



Verena  
Wermuth

Lakaxana  
Lena

Verena  
Wermuth

# Łakazana Łona

„Małżeństwo, będąc w założeniu uwieńczeniem miłości, nader często wieńczy ją żalobnym kirem. Tymczasem miłość niespełniona – trwa, bo podsycy ją tęsknota. Jestem przekonana, że serce Vereny (mimo iż wyszła za innego) nadal należy do Chalida. W przeciwnym razie, po cóż spisywałaby wspomnienia?”

AGATA ŁOMAKO „SEKRETY SERCA”

„To, co wydawało się egzotyczne i fascynujące, zmienia się na naszych oczach w mydlane bańki, które symbolizują zderzenie się dwóch odrębnych kultur: Wschodu i Zachodu. Co z tego wyniknie – zostawiam to Twojej dociekliwości, Drogi Czytelniku.”

ANNA MAZUR, PORTAL KSIĘGARSKI

„Opowieść jak z *Baśni z tysiąca i jednej nocy*, niestety, bez happy endu.”

MIESIĘCZNIK „DOBRE RADY”

ISBN 978-83-7448-749-8



9 788374 487498

 **hachette**  
POLSKA  
www.hachette.pl

patroni  
medialni:

**kobieta.onet.pl**

**Sekrety serca**

**Cienie  
i Blaski**

RADIO **VOX** FM

**DOBRE RADY**

recenzje • rozmowy • wydarzenia  
**książki**  
Magazyn Literacki  
www.rynek-ksiazki.pl

PORTAL  
KSIĘGARSKI  
www.książka.net.pl

Verena  
Wermuth

# Lakazana

## żona



*Moje lata z Chalidem,  
szefkiem Dubaju*

 hachette  
POLSKA

## *Spis treści*

Dubaj, 1995	9
Tak to się zaczęło... Torquay, 1979	18
Między niebem a Chalidem, 1980-1985	31
„Jebel Ali” 1989	75
Matar	96
Między dwiema kulturami	103
Noc zwątpienia i rozpacz	109
Doroczny zjazd Merrill Lynch Bank w Zatoce	120
Droga do Al-Waha	127
Posiadłość Matara	158
Czarna sobota	189
Przebudzenie z tysiąca i jednej nocy	193
Wydarzenia w dolinie Nilu, grudzień 1989	203
Klan Al-Naserów	233
Boże Narodzenie, 1989	241
Tajemnica Chalida	265
„Telestar I”	286
Ramses Hilton	309
Ja, pierwsza żona szejka Chalida	316
Mama i Chalid	325
Ramadan, koniec kwietnia 1990	333
Epilog	358
Ostatnie wydarzenia,	
Zurych i Dubaj, styczeń 2006	360
Słowniczek	362

## *Podziękowanie*

Mój Mąż przez cały czas służył mi wsparciem i zachętą przy pisaniu tej książki. Niewzruszenie wierzył w jej sens i wartość; był gotów dyskutować i rozprawiać o tym, o czym piszę.

Dodawał mi odwagi.

Jestem Mu winna o wiele większą wdzięczność, niż mogę wyrazić.

## *Dubaj, 1995*

**K**iedy schodzimy z pokładu samolotu, uderza nas woń morskogo powietrza, pomieszana z zapachem kerozyny. Wszystko wokoło spowija głęboka czerń, tylko terminal jaśnieje w oddali. „Nareszcie! Nareszcie!” - myślę, a serce wali mi w piersi jak oszalałe. Znowujestem w tej cudownej krainie.

Tuż pod schody do samolotu podjeżdżają limuzyny po jakąś arabską rodzinę. Ochrona przytrzymuje drzwi. Kolumna pasażerów zatrzymuje się na chwilę. Oczarowana, patrzę, jak bryza morską delikatnie muska czarne zasłony kobiet, igra z ubraniami. Ale wygląda na to, że nastrój tego miejsca robi wrażenie tylko na mnie. Mój mąż zauważa trzeźwo: „Czuć tu kerozyną i kadzidłem!”.

Gdy z pasa lądowania nagle dolatuje wycie silników maszyny Pakistan Airlines, serce na chwilę podchodzi mi do gardła. Czuję narastające zdenerwowanie i gorączkowo próbuję sobie wmówić, że przeszłość jest mi zupełnie obojętna. Ale sama w to nie wierzę. I jedynie świadomość, że jestem teraz w legalnym związku małżeńskim, sprawia, że idę pewnie i z podniesioną głową. Ale zdenerwowanie nie ustępuje.

W hali przylotów mnóstwo ludzi, ożywiony ruch. Piloci wycieczek z hinduskich i pakistańskich biur podróży czekają

na swoich klientów, wymachując kartonikami z nazwiskami i głośno wywołując przybywających pasażerów. Gdziekolwiek spojrzę - wszędzie mężczyźni w śnieżnobiałych diszdaszach. Przechadzają się po hali albo siedzą rozparci w fotelach i z tym obojętnym wyrazem twarzy synów pustyni obserwują otoczenie. Nie wypada bowiem okazywać zbyt wielkiego zainteresowania. W jednokowych strojach, ze zwykle na w pół przysłoniętymi twarzami, wszyscy wyglądają tak samo, nigdy nie ma pewności, kto kryje się za zasłoną. Na myśl, że najzupełniej przypadkowo mógłby się tutaj znaleźć Chalid, robi mi się gorąco.

- Co się z tobą dzieje? - pyta Franz. - Patrzysz w ziemię, zasłaniasz twarz włosami...jakoś dziwnie się zachowujesz...

„Ach, gdybyś wiedział...” - przebiega mi przez myśl. Jak dobrze byłoby mu powiedzieć! Opowiedzieć o tym strasznym uczuciu, o tej mieszance radości i jednocześnie strachu, że ktoś mógłby mnie rozpoznać. Albo, jeszcze gorzej, że na polecenie mojego eksmęża, mogliby mnie zatrzymać przy kontroli paszportowej. Ale to na nic. Nie mogę jeszcze i tym obciążać Franza, któremu nerwy wysiadają przecież podczas każdej podróży.

Gdy płyniemy z falą nowo przybyłych, przypadkiem spoglądam na dwóch mężczyzn, którzy gestykułując, rozmawiają ze sobą. Jeden z nich śmieje się i krótkim szarpnięciem głowy wskazuje w moim kierunku. Nasze oczy spotykają się na ułamek sekundy i widzę, jak usta mężczyzny otwierają się, by coś powiedzieć. Skurcz chwytam mnie za gardło, przez chwilę nie mogę oddychać. Nie, to nie może być prawda. To nie może być Chalid. Setki razy wyobrażałam sobie taką sytuację - i setki razy zastanawiałam się, jak byśmy wtedy zareagowali. Idę dalej, sztywno jak automat, nie zatrzymuję się ani na chwilę, zupełnie

jakby się nic nie stało. Ale wszystko we mnie dygocze, kolana, ręce, dosłownie każde włókienko ciała. Najchętniej po prostu uczepliłabym się męża jak przerażone dziecko. Ale teraz za późno na wołanie o pomoc. Wiem, że to by dotknęło Franza, sprawiłabym mu przykrość, zraniłabym go. A nasze wakacje byłyby zmarnowane. O ile w ogóle wyszlibyśmy z lotniska.

Wchodząc na ruchome schody, dyskretnie wysuwam się przed męża. Serce ciągle jeszcze bije mijak oszalałe. Ze strachu, że ci, którzy mnie śledzą, są tuż-tuż, nie odzywam się ani słowem. Chociaż się nie rozglądam, czuję jakby Chalid był obecny wszędzie, w całym terminalu. A może to tylko moje urojenia?

Wreszcie mamy za sobą kontrolę paszportową. A ja jestem całkiem wykończona, ledwie trzymam się na nogach.

Ale co mnie tak przyciąga do tego miejsca? Jaka magiczna siła każe mi tu wracać? Czy to bije we mnie serce pustyni? Czy tak bardzo przywiązałam się do Ar-Rab al-Chali, że moje serce pozostało tu uwięzione, jak w nieszczęśliwej miłości?

„Opanuj się, Verena!” - przywołuję sama siebie do rozsądku.

Z całą pewnością ten kraj to jeden z najpiękniejszych zakątków naszej Ziemi. Można także powiedzieć, że symbolizuje to, co arabscy Beduini wyobrażają sobie jako ziemski raj. I to nie jest fatamorgana: tam, gdzie jeszcze wczoraj ziemię pokrywał piasek, dzisiaj niebo odbija się w stawach, słońce połyskuje na przeszklonych fasadach pałaców, trawniki porastają wydmy, otaczające pola golfowe, a na wybrzeżu turkusowego morza konkurują ze sobą luksusowe hotele i eleganckie kurorty. „Allah akbar! Bóg jest wielki” - dolatuje głos z miasta. I już w sekundę później ze wszystkich stron rozlegają się dźwięczne nawoływania muezinów. To świat zdumiewających kontrastów i zasługujących



na podziw ludzi, którzy mimo naftowych miliardów i wpływu Zachodu potrafią niewzruszenie trwać przy swojej tradycji.

Mamy już za sobą lotnisko w Dubaju i samo miasto. Po obu stronach szosy ciągnie się pustynia, mijamy wielkie portrety emirów. Od czasu do czasu z mroku, jak z nicości, wyskakuje i śmiga obok nas w obłądnym tempie jakaś ciemna luksusowa limuzyna. Franz tylko potrząsa głową. Ale ja wiem, że kiedy tylko wzejdzie słońce i on także zachwyci się tą krainą.

Po kilku kilometrach w całkowitej ciemności nagle, niby skrzynia skrzących się skarbów, z piasków wyłania się hotel „Jebel Ali”. Zostawiamy za sobą pył pustyni - za hotelową bramą otwiera się prawdziwa oaza: wysokie pinie, platany i palmy wyciągają wierzchołki ku księżycowi. Bażanty przebiegają przez drogę, a spośród koron drzew dolatują skrzekliwe głosy egzotycznych ptaków.

„Nareszcie, nareszcie jestem bezpieczna” - myślę.

Gdy portier otwiera drzwi do naszego pokoju, biegnę od razu na balkon. Spoglądam na srebrzyste morze i ogarnia mnie nostalgia. W ostatnich latach coś się tutaj zmieniło: przy plaży Jumeirah Beach widzę dwa nowiutkie pięciogwiazdkowe hotele. Ale ja jestem pewna, że nie dorównują one naszemu „Jebel Ali”, z jego wspaniałym ogrodem palmowym, który ciągnie się aż do morza. I w końcu z tym miejscem wiąże się kawałek tej historii...

Pierwszego dnia naszego urlopu ani jedna chmurka nie maści głębokiego błękitu nieba nad nami. Leżę ukryta w cieniu palm, a przeświecające przez liście światło słoneczne delikatnie muska moją skórę. Długo i w skupieniu nasłuchuję odgłosów otoczenia. Z parku dobiegają stłumione pokrzykiwania bażantów. Jestem ciągle na tej samej stronie książki, zupełnie nie mogę się

skupić na czytaniu. Obrazy z lotniska bez przerwy pojawiają się przed moimi oczami. Widzę Chalida, widzę, jak otwierają się jego usta, widzę, jak uciekam przerażona... I jest mi tak strasznie wstyd. Chciałabym krzyczeć - tak głośno, jak te bażanty w parku; na pewno potem poczułabym się lepiej.

Mój mąż leży obok, zagłębiając się w lekturę swojej książki, a ja co chwila odrywam wzrok znad mojej i spoglądam wokoło. Wózek z zimnymi drinkami cichutko toczy się między palmami i leżakami.

- Kochanie, masz ochotę na coś zimnego? - pytam.

- No pewnie, z przyjemnością.

Franz sący swój napój przez słomkę i przygląda mi się z uwagą. Zupełnie, jakby wyczuwał moje zdenerwowanie.

- O czym tak myślisz, Verena?

- Ach, o niczym! Odpoczywam i tyle. Czy tu nie jest bosko?

- Hm... no to dlaczego się tak kręcisz i wierzysz?

- Jak to? - pytam zaskoczona.

- Najpierw oparcie, potem odtwarzacz, potem znowu krem do opalania...

- No wiesz, jestem kobietą, kobiety lubią się smarować kremem - mruczę w odpowiedzi, mając nadzieję, że zadowolony jest tym wyjaśnieniem.

- Jasne, jasne! Tylko mi potem nie mów w domu, że nigdy nie masz czasu na czytanie! - burczy Franz, najwyraźniej rozdrażniony.

Zrywam się z leżaka i mocno całuję go w policzek... to rozładuje atmosferę. Uff!

Znowu moszczę się wygodnie na leżance i próbuję się skupić na lekturze.

Ciszę przerywa nieoczekiwane pytanie Franza:

- Zadzwońisz do Chalida?

Rzucam spojrzenie znad książki.

- Co takiego? - pytam zaskoczona. - Przecież wiesz, że nie mam najmniejszej ochoty rozmawiać z moim byłym mężem ani tym bardziej się z nim widzieć - mówię.

I chociaż doskonale wiem, że Franz jest przeciwny spotkaniu, dorzucam po chwili z uśmiechem:

- Ale może ty byś chciał? W takim razie musiałabym rozważyć możliwość spotkania...

- Verena, oszczędź mi tych twoich pustynnych historii!

Czy mi się wydaje, że w głosie Franza zabrzmiał delikatny ton podziwu? W każdym razie on sam nigdy by się do tego nie przyznał.

Moje myśli mimowolnie zaczynają krążyć wokół Chalida. Czy tego chcę, czy nie, natrętnie przypomina mi się ostatnia rozmowa z mamą. Bo Chalid dzwoni do mojej mamy raz, dwa razy w roku. Zwykle koło Bożego Narodzenia albo w okolicach moich urodzin. Czasem w środku lata, a ostatnio - w październiku. Mój mąż i ja byliśmy właśnie za zwrotnikiem Koziorożca, na dwudziestym szóstym stopniu szerokości geograficznej, kiedy mama przekazała mi wielce szlachetne słowa z Dubaju. A dokładniej mówiąc, wspaniałomyślna propozycja Chalida dotarła do mnie, gdy przebywaliśmy w RPA i mieszkaliśmy w hotelu „Palace of the Lost City”.

Teraz, skoro oboje zawarliśmy związki małżeńskie, mogłabym oficjalnie i jako mile widziany gość pojawić się w domu Chalida. W towarzystwie mojego ślubnego małżonka, ma się rozumieć.

- Ależ mamó! - wykrzyknęłam wtedy oburzona.

Poczułam niesmak i niechęć. Chalid chyba musiał postradać rozum. Niby w jakim charakterze mielibyśmy się spotkać? Dawnych przyjaciół z ławy szkolnej? I skąd u niego ta pewność, że zachowałam naszą tajemnicę? Ajak on poczułby się, gdybym przy tej okazji zapytała go o nasz akt ślubu. O ten dokument, który udało mu się sprytnie wyciągnąć ode mnie i którego mi nigdy nie oddał.

„Bismillah - klnę się na Boga - dostaniesz kopię. Tylko mi przypomnij” - zapewniał mnie wtedy.

Przypuszczam, że dla uniknięcia rodzinnej tragedii Chalid zniszczył dokument. Chociaż, kto wie... może nasza tajemnica leży gdzieś pieczołowicie ukryta w sejfie, jak pilnie strzeżony skarb. Jakżebym chciała to wiedzieć!

Gdyby nie ta duma. Gdyby nie ta moja duma, która dotąd nie pozwalała mi na jakikolwiek kontakt! Chalid miał nigdy więcej nie usłyszeć mojego głosu, nie mówiąc już o spotkaniu. I przez te wszystkie lata wytrwałam w moim postanowieniu, byłam niezłomna.

Ale teraz, gdy leżę tu w rozedrganym upale pod palmami, upojona dalekim, stłumionym łoskotem fal Zatoki Perskiej, wszystkie postanowienia i wątpliwości gdzieś ulatują. Nagle wydaje mi się, że może tracę w ten sposób cenną przyjaźń, kusi mnie myśl o możliwości kontaktu ze światem arabskim i to w formie, w jakiej dane jest to tylko niewielu ludziom Zachodu.

Już wyobrażam sobie, jak to spędzam popołudnia w pałacu Chalida. Oczywiście - w kręgu kobiet. Widzę, jak rozdają dzieciom prezenty, jak przesiadują godzinami na pogawędkach i zajmujących dyskusjach przy herbacie... a później, po jakimś

czasie może nawet zaczynam organizować podróże kobiet: „East meets West”. Te fantastyczne obrazy całkiem mnie pochłaniają. Porywająca wizja.

A Franz? Nieee, z nim by się nie udało. Chalid i Franz za bardzo się różnią. Franz potrafi godzinami rozprawić o wyborowych winach, o punktach Parkera, o golfowych birdies i eagles albo o przewodnikach Gault Millau, gdy tymczasem u Chalida takie przejawy dobrobytu raczej budzą sprzeciw. Pamiętam, jak zawsze powtarzał: „Dobrobyt jest wyłącznie zasługą naszych przodków”.

No więc raczej nie mogę ich sobie wyobrazić razem. Choć...? Może jednak! Wystarczyłoby, żeby Franz zaprezentował swoje kulinarne zdolności. Już to widzę: mój mąż w zaanektowanej kuchni Chalida, z podwiniętymi rękawami własnoręcznie oskubuje, a potem faszeruje indyka albo opieka na ruszcie jaganię. Coś w tym stylu. No, i najpóźniej podczas piątkowego pikniku, Franz wykazawszy się umiejętnością rozniecania ognia, zostałby zaakceptowany jako członek rodziny Al-Raszidów.

Takie bezsensowne myśli snują mi się po głowie, kiedy w ciszy, podkreślanej delikatnym szelestem palmowych liści, leżę obok pogrążonego w głębokim śnie Franza. Po chwili ija odkładam książkę i przytykam oczy.

Cichy, miarowo powracający szum morza, ostre, przesywające krzyki bażantów - to wszystko budzi we mnie gwałtowną, nieoczekiwaną tęsknotę. Nagle opanowuje mnie przemożna chęć działania, prawie podrywa mnie z miejsca - chciałabym koniecznie coś zrobić, tylko sama nie wiem, co! Ale kto z nas nie zna tego uczucia: długa jazda samochodem, wokoło pusto, miasto daleko, człowiek jest sam... I nagle w radiu słychać piosenkę,

może Dire Straits albo innego zespołu, jednego z tych, które najbardziej się lubi... I człowiek prawie umiera z tęsknoty.

- O czym tak znowu rozmyślasz, kochanie - głos Franza wrywa mnie z rozmarzenia.

Zaskoczona, otwieram oczy i spoglądam na męża.

Pewnie uśmiechałam się w tym półśnie, pewnie wszystko było widać na mojej twarzy... Ale nie mówię nic, jasne, że Franz nie byłby zachwycony moimi fantazjami na temat jego kulinarnych popisów w kuchni Chalida. No tak, bo też to były tylko fantazje i ja sama natychmiast wykreślam je z pamięci. W końcu temat Chalida to tabu. Koniec, kropka.

- Kochanie, zrobiło się późno, czas na tenis!

- Poczekaj, pójdę z tobą! Tylko coś narzucę.

Kiedy, trzymając się za ręce, powolnym krokiem idziemy przez park, otoczeni głosami ptaków, a właściwie w towarzystwie wałęsających się wszędzie bażantów, nagle doznaję olśnienia. Zupełnie tak, jakby mnie ktoś mocno potrząsnął - nieoczekiwanie z całą ostrością dociera do mnie, że szejka Chalida i mnie łączy wielka tajemnica.

Coś, o czym nie mogę wiecznie milczeć. Coś, co boli, co jątrzy, chwilami przeraża, a czasem... upaja.

## *Tak to się zaczęło... Torquay, 1979*

**T**ego dnia, gdy Chalid przybył tutaj z Arabii, Torquay, melancholijne, zamyślane miasteczko portowe na południowym wybrzeżu Anglii, przesłaniała letnia, gęsta mżawka. Chalid, młody student, którego przodkowie przeszli do historii jako bojownicy o wolność Dżulfy, dawnego gniazda piratów, miał ambitne plany na przyszłość: przed rozpoczęciem studiów w Stanach Zjednoczonych chciał dobrze opanować język angielski. Bóg jeden wie, co skłoniło go do wybrania fizyki atomowej. Ja, w każdym razie, nigdy się tego nie dowiedziałam. Przecież w latach osiemdziesiątych nie było w Dubaju możliwości robienia kariery zawodowej jako fizyk atomowy, zresztą nie ma też takich możliwości i teraz.

Ale zacznijmy wszystko od początku... Chalid, wybacz mi, proszę, muszę o tym opowiedzieć, muszę zdradzić naszą tajemnicę...

Zajęcia właśnie się zaczęły, gdy w drzwiach sali stanął młody chłopak z nieśmiałym uśmiechem na twarzy. Krople deszczu skrzyły się na jego niesfornych lokach, biedak, wyglądał, jakby trafił prosto z deszczu pod rynnę. Na jego widok cała klasa

wybuchnęła śmiechem. Mr Collins odwrócił głowę w kierunku chłopaka i zawołał:

- Good morning, come in. You might be Khalid, arent you?

Chalid Bin Sułtan Al-Raszid wszedł do sali. Najego twarzy malowała się wyraźna ulga, że ma za sobą ten pierwszy krok. Ale to jeszcze nie był koniec prób na dzisiaj: pan Collins wskazał nowo przybyłemu miejsce i poprosił, aby ten przedstawił się klasie. W końcu to nie zabawa, to poważne życie.

- My name is Khalid. I come from the United Arab Emirates.

Rzuciłam pytające spojrzenie mojej sąsiadce, Laurze. Hiszpanka tylko wzruszyła ramionami. W myślach przebiegłam oczami mapę Bliskiego Wschodu - jednak nic nie pasowało mi do tej nazwy: United Arab Emirates. Naftowych potentatów, jak Arabia Saudyjska, Kuwejt, Libia znałam. Ale Emiraty? Pomyślałam sobie, że to pewnie jakieś mało znaczące państwo, zarówno pod względem politycznym, jak i ekonomicznym.

Natomiast osoba Chalida, owszem, robiła wrażenie - i to duże. No, bo czy inaczej pobiegłabym z tym od razu do Esther? Akurat w ten poniedziałek Esther, moja koleżanka, przeszła do innej grupy. Esther była w grupie jedyną osobą mówiącą po niemiecku. I kiedy odeszła, to potem właściwie nie było już nikogo, z kim mogłabym wkuwać nowy materiał i spędzać wolny czas. Dwie Hiszpanki przyjaźniły się tylko ze sobą, a Yoko, Japonka, sięgała mi ledwie do piersi i jakoś nie mogłam znaleźć z nią wspólnego języka. Poza tym na naszym semestrze studiowało też pięciu chłopców, wszyscy pochodzenia arabskiego. I oczywiście, oni, synowie pustyni, nie byli przyzwyczajeni do kontaktów towarzyskich z dziewczętami. Tak więc powtarzałam sobie: «Verena! Jesteś tu po to, by się nauczyć angielskiego - i po nic więcej».



Wyszliśmy na przerwę. Gwar, sporo nas tam studiowało. I jeszcze, zanim przerwa dobiegła końca, mimo ścisku i tłumy poczułam na sobie czyjeś spojrzenie: Chalid. Szybko odwróciłam wzrok.

Pamiętam, jak trudno było mi na początku - nie mogłam się przyzwyczaić do nowego miejsca. Nie było tu kawiarnianych ogródków, w których tak miło siedzi się latem. Nic dziwnego - przy tych ciągłych deszczach i mżawkach. No, do tego zupełnie nie mogłam przywyknąć.

Dni mijały. Podczas zajęć widziałam nieraz, jak Chalid, niby w zamyśleniu, spogląda przez okno na boisko do gry w piłkę albo - ukradkiem - na mnie. Gdy tylko pochwyciłam jego spojrzenie, uśmiechałam się. A on za każdym razem spuszczał oczy. Ale nie potrafił się powstrzymać od tych ukradkowych spojrzeń.

Po mojej prawej stronie siedział na zajęciach chłopak z Kuwejtu, Hamed Altaweed. Był żywy, inteligentny. Zaczął ze mną flirtować - podczas lekcji! Na każdych zajęciach prosił, żebym mu wypisywała tłumaczenie słówek angielskich na niemiecki. I natychmiast próbował je wymawiać - tak że wszyscy to słyszeli! Było jasne, że prędzej czy później nauczyciel go przesadzi! I, rzeczywiście, już wkrótce Mr Collins, naprawdę rozłoszczony, kazał mu się przesiąść. A ja nie wierzyłam własnym uszom, gdy zwolnione miejsce pan Collins wskazał... Chalidowi! „Akurat on!” - pomyślałam wściekła. Myślałby kto! Ten dumny mieszkaniec pustyni, tajemniczy i nieprzenikniony; w dodatku ostatnio, dla odmiany, kompletnie mnie lekceważył! Skąd mogłam wiedzieć, że nie podobały mu się umizgijego kolegów, a zwłaszcza Hameda. A byłam tym bardziej zła, że serce nagle zaczęło mi bić w piersi jak oszalałe.

Zatem Chalid siedział obok mnie - pełen dystansu i zimny jak ryba; chłopak, którego przodkowie musieli niegdyś bronić swoich wód terytorialnych przed Brytyjczykami. Choć był tak nieprzystępny, święcie wierzyłam w to, że już wkrótce go oswoję, że to tylko kwestia czasu.

Chalid zewnętrznie bardzo różnił się od innych arabskich uczestników kursu - smukły, o długich i szczupłych rękach i nogach. I w ogóle był jakiś inny. Robił wrażenie nadzwyczaj ambitnego i poważnego. No, i był piękny. Tak piękny, jak bywają ludzie Orientu. Koledzy Chalida często obdarowywali nas, dziewczyny, drobnymi upominkami, fundowali słodycze, za to Chalid trzymał się z daleka od płci pięknej, był zawsze na dystans. Być może brakowało mu pieniędzy, bo gdy Kuwejtczyzy i Saudyjczycy często spędzali całe popołudnia w domach towarowych, jego ciągnęło wyłącznie na boisko. Interesował się piłką nożną i był kibicem FC Al-Waha. Znak drużyny nosił dumnie na swojej kurtce Adidasa. Jeszcze dzisiaj widzę oczyma wyobraźni te zielone paski na białym tle. Gdy tylko trochę padało, zawsze przychodził na zajęcia w tej kurtce. A pewnej nocy, gdy wracaliśmy do domu, troskliwie mnie nią otulił. Ale to było znacznie później.

Tymczasem związki między Wschodem a Zachodem zacieśniały się - niestety, niestety! - coraz bardziej z każdym tygodniem. W niemałym stopniu przyczyniło się do tego kierownictwo naszej szkoły. Regularnie organizowano dla nas wycieczki, na których naprawdę świetnie się bawiliśmy. W ciemnych, tajemniczych oczach Chalida raz po raz pojawiał się cień uśmiechu. Jak na niego, to było dużo - bo zwykle wobec tego, co obce, Chalid okazywał nieufność. Często zadawałam sobie pytanie,

co też kryje się za tą jego maską. Zmieniał się tylko wtedy gdy mówił o swoim domu i o pustyni; choć właściwie, opowiadał bardzo niewiele.

U moich gospodarzy w Torquay było mi bardzo dobrze. Całkiem się u nich zadomowiłam: uwielbiałam wymyślne desery Mrs Mitchell i jej znakomite grzyby. Z czasem przyzwyczaiałam się nawet do solonego masła i deszczu. Ostatecznie Torquay przekonało mnie do siebie podczas pierwszej wyprawy, kiedy poznaliśmy nocne, muzyczne życie miasteczka: bo tak jak Bóg obdarzył ciemnoskórych cudownym wyczuciem rytmu, tak Anglikom podarował genialny słuch muzyczny.

Mimo tych dobrych stosunków, na czołe Mrs Mitchell niekiedy pojawiały się zmarszczki zatroskania. I bynajmniej nie z powodu muzycznych fascynacji jej studentki. Nie! Zmartwienia przysparzały pani Mitchell moje kontakty z arabskimi chłopakami. „Nie do wiary!” - myślałam sobie. Ci z Mekki krzyczą, że my, niewierni, jesteśmy niegodni, zepsuci, pozbawieni moralności, a co mówi moja landlady, moja pani Mitchell? Bez przerwy powtarza, że studenci z krajów arabskich przez swoje skandaliczne zachowanie mają w Torquay bardzo złą opinię. Ze młodzi arabowie nie potrafią się oprzeć pokusom Zachodu. Jej ostatni student noc w noc wracał do domu podpity. Słyszała, jak potykał się na schodach, idąc do swojego pokoju.

Zbliżał się poranek pierwszego pożegnania. Jeden z arabskich studentów, Fajsal, musiał nagle wyjechać z Anglii. Fajsal był mężczyzną niezwykle przystojnym, o wspaniałych, melancholijnych oczach, przypominających oczy Omara Sharifa. Był popularny

i bardzo lubiany w naszej grupie - był naszym „prorokiem”. Nie dlatego, że pochodził z Mekki, świętego miasta islamu, a z powodu swojego niezwykłego daru: potrafił przywołać do rozsądku każdego młodego szejka, który wyrwany z rodzimej pustyni zszedł na złą ścieżkę. To był wspaniały człowiek, promieniujący mądrością, inteligencją i wielką dobrocią. Podkochiwałam się w nim potajemnie. Tylko tyle - więcej, na Allaha, nie było wolno! Doskonale o tym wiedziałam.

Mimo to było mi przykro, kiedy odjeżdżał. Żal Fajsala. To, że my, studenci z różnych krajów, dziewczęta i chłopcy wyznający różne religie, tworzyliśmy taką zgraną grupę, to była jego zasługa. Dlatego bardzo się bałam, że bez Fajsala nasza paczka po prostu się rozpadnie. Ale wtedy wydarzyło się coś zdumiewającego. Coś, co miało wpłynąć na całe moje późniejsze życie.

To było w przeddzień wyjazdu Fajsala. Staliśmy oboje na boisku naszej szkoły - chwila pożegnania. Nagle Fajsal skinął ręką na swojego kolegę, na Chalida. Na twarzy Chalida wyraźnie odmalowało się zdumienie. Po chwili odłączył się od grupki, z którą rozmawiał, i powoli, prawie z ociąganiem podszedł do nas.

- Słuchaj, Chalid - odezwał się Fajsal po angielsku. - Chciałbym, żebyś uważał na Verenę, żebyś się nią opiekował. Gdziekolwiek będzie, strzeż jej i chroń ją, żeby nie przytrafiło się jej nic złego.

Tego się Chalid nie spodziewał. Na moment na jego ustach zaigrał nieśmiały uśmiech. Zaraz jednak opanował się i spoważniał. A ja stałam między nimi obydwoma zdumiona i zaskoczona, próbując coś z siebie wykrztusić. Ale, gdy dotarło do mnie to, co przed chwilą usłyszałam, kompletnie odjęło mi

mowę. Troskliwość Fajsala wzruszyła mnie do głębi. Poczułam, że jestem kimś szczególnym, wyjątkowym.

Od tego dnia Chalid faktycznie stał się za mnie odpowiedzialny. A ja mu na to pozwoliłam. Przede wszystkim dlatego, że taka była wola Fajsala.

Wtedy nie wiedziałam jeszcze, że słowo jest dla Arabów sprawą honoru i znaczy więcej niż jakakolwiek umowa na piśmie.

Zaczęliśmy razem odkrywać muzyczną scenę Torquay. Kiedy po raz pierwszy zamówiłam napój alkoholowy, Chalid był bardzo zaskoczony i poprosił mnie, bym zostawiła drinka. „Inna kultura, inne zwyczaje” - pomyślałam i nawet wydało mi się to w jakiś sposób zabawne. Jasne, skoro tak, mogę nie pić. Dla mnie to nie problem.

Wiedziałam, że w krajach arabskich małżeństwa układa się na długo przedtem, zanim synowie i córki dojrzeją do zawarcia związku. Bardzo mnie ciekawiło, jak to jest z Chalidem, i pewnego dnia zapytałam go o to. Ku mojemu zaskoczeniu, tylko parsknął śmiechem:

- Oczywiście, jest jakaś przeznaczona dla mnie.

Z jakim spokojem to powiedział. Nie mieściło mi się to w głowie! Przecież doskonale widziałam, że z jego zachowania wobec mnie przebija prawdziwe, serdeczne uczucie. Nawet wśród swoich arabskich kolegów Chalid miał specjalne względy, chłopcy szanowali jego sferę prywatną. Szczerze mówiąc, zachowanie Chalida wprawiało mnie w zakłopotanie. Dlatego teraz nie potraktowałam poważnie tego, co powiedział. Pomyślałam, że pewnie sobie ze mnie trochę pokpiwa. Zresztą, Chalid najwyraźniej lubił różne tajemnice i niedopowiedzenia.

Przez większość czasu żartowaliśmy i droczyliśmy się ze sobą. Ale wśród tych przekomarzanek często poważnieliśmy nieoczekiwanie i bez wyraźnego powodu. W takich chwilach czułam, jak drzemie w nas i płonie głęboka tęsknota, czułam, że łączy nas tajemnicze pokrewieństwo dusz.

Im więcej upływało czasu, im dłużej trwała ta nasza zażyłość, tym trudniej było mi patrzeć Chalidowi prosto w oczy. A już najgorzej było, gdy w nocy wracaliśmy do domu. Dom państwa Mitchellów leżał z dala od centrum miasta, na stromym wzgórzu. Kiedy wchodząc na górę, przypadkiem dotknęliśmy się rękami, albo lekko potrąciliśmy się ramionami, przebiegał mnie dziwny dreszcz. W dodatku, gdy Chalid mówił, jego głos drżał od hamowanego podniecenia. W takich chwilach bałam się choćby na chwilę na niego spojrzeć. Wiedziałam, że padlibyśmy sobie wtedy w ramiona.

A tego właśnie chciałam uniknąć. W mojej głowie nagle wszystko zaczęło się kręcić wokół obcej kultury. Wokół islamskich wartości i obyczajów, zwłaszcza tych dotyczących przyzwoitości i moralności. Nie chciałam nic popsuć. Ale pewnego dnia stało się. To było podczas konnej przejażdżki - na moment straciłam panowanie nad sobą.

„Ho, ho! Za dużo byś chciała wiedzieć! Strasznie jesteś ciekawska!”- podśmiewał się zawsze Chalid, kiedy próbowałam go wypytać o dom rodzinny i pochodzenie. I faktycznie, mimo dużych wysiłków z mojej strony nigdy nie udało mi się z niego nic wyciągnąć. Żadnych konkretów. Z konieczności musiałam kierować się tylko tym, co ogólnie wiedziałam o jego kulturze. A wiedza ta była raczej skromna. Podob-

nie jak wielu Europejczyków miałam fałszywe wyobrażenia o mieszkańcach Półwyspu Arabskiego. I to był powód, dla którego od czasu do czasu kusiło mnie, by „uświadamiać” Chalidowi pewne rzeczy. Na przykład: że kobiety też mogą i powinny się kształcić, że potrafią myśleć nie gorzej niż mężczyźni, że dziewczyna może być świetnym kumplem itp. Ja niemądra! Skutek był taki, że wypadało mi się wykazywać dzielnością: przy mojej zgoła niesportowej naturze, musiałam brać udział w różnych karkołomnych eskapadach typu „horse-back-riding”.

Owego dnia znowu mżyło i miałam nadzieję, że uda mi się uniknąć tej konnej przejażdżki. Na próżno. Chalid zaprowadził mnie do stajni. Obiecał, że zadba o to, bym dostała łagodnego konia. I rzeczywiście, na początku wszystko szło dobrze. Do chwili, gdy Chalid, dojechawszy do brzegu szumiącego potoku, ściągnął cugle i powiedział:

- Verena, pogalopuję na to wzgórze. Ty zaczekaj tutaj.

Na moment przed katastrofą przeczułam, co się stanie: moja kobyła na ślepo rzuciła się za tym przeklętym zwierzakiem Chalida. Już prawie straciłam przytomność ze strachu, kiedy przyszła mi do głowy zbawcza myśl, by ściągnąć cugle. Ale za późno. Zawisłam obok strzemion, a kiedy kobyła stanęła dęba, spadłam w mokrą trawę. Jak rzadko kiedy, momentalnie zerwałam się na równe nogi. Błyskawicznie rozejrzałam się wokoło, by sprawdzić, czy Chalid nie zauważył mojego upadku. Niestety! Od razu zawrócił.

- Good boy, good boy - klepałam konia po karku, kiedy Chalid podjechał bliżej. Od razu zeskoczył z konia. Oczy śmiały mu się szelmowsko.

- Tylko nic nie mów! - syknęłam. - *Przecież* każdy wie, że konie biegają za sobą.

Kąciki ust Chalida drgały od ledwie powstrzymanego uśmiechu.

- To nieprawda, Verena! - parsknął w końcu śmiechem.

I spontanicznie położył mi rękę na ramieniu.

- Wszystko w porządku? Nic ci się nie stało?

Dotyk jego ręki był miły i ciepły. Jego oczy zapłonęły dziwnym blaskiem, poczułam dreszcze na całym ciele. I zanim się zorientowałam, Chalid przyciągnął mnie gwałtownie do siebie i pocałował. Serce skoczyło mi do gardła. Zrobiło mi się ciemno przed oczami, wszystko we mnie drżało. „Boże, jak on cudownie całuje...” - przebiegło mi przez myśl. Ale zaraz przestraszyłam się i wyrwałam z jego ramion. Poczułam, jak twarz oblewa mi rumieniec zażenowania.

Zapomniałam się. Straciłam kontrolę nad sobą. I było mi wstyd. Chalid mógł mieć nie więcej niż siedemnaście lat, czyli musiał być ode mnie młodszy co najmniej o pięć lat. Jak mogłam do tego dopuścić?

Ale to było na nic. Zakochałam się. Śmiertelnie. Poczułam to już następnego dnia. Nagle myśl, że Chalid jest być może przeznaczony jakiejś innej, zaczęła bardzo boleć.

Zbliżało się zakończenie naszego kursu. Liczyliśmy dni pozostałe do rozstania. Nasza niefrasobliwość gdzieś uleciała. Byliśmy bezradni wobec tego, co się działo w naszych sercach. Patrzyliśmy na to oniemiałi i zaleknieni, bo nie mogliśmy sami zdecydować o swoim życiu. Decydowanie należało do starszych w rodzinie - przynajmniej w przypadku Chalida: tego wymagał islam.



Moja gospodyni, pani Mitchell, wyczuwała, co się ze mną dzieje. Współczuła mi, ale nie mogła mi pomóc. Zresztą, już i tak rozstrajała ją perspektywa mojego wyjazdu z Torquay: przecież przez trzy miesiące jadałyśmy kolacje przy wspólnym stole. Na początku jest rezerwa i dystans, a potem, potem... człowiek nie chce się rozstawać. Tak to już jest. Taki jest los gospodyń (i studentów). Poza tym myślę, że jeśli idzie o panią Mitchell, to dokonałam małego cudu. W ostatnim tygodniu naszego pobytu Chalid mógł przychodzić do nas na kolacje. Pani Mitchell przekazała mu przeze mnie oficjalne zaproszenie. Drobne ustępstwo o szczególnej wadze.

Kiedy wyjeżdżaliśmy z Torquay, zapadała już ciemność; tego wieczoru ulice były suche. Taksówkarz wyskoczył z samochodu, usłużnie chwycił moją walizkę. Po policzku pani Mitchell spłyła łza. Obawiałam się, że tak to właśnie będzie. Stary Mitchell stał obok, wyglądał tak jakoś nieporadnie, a Chalid, wyraźnie wzruszony, niepewnie przestępował z nogi na nogę. Ja, jak zwykle w takich sytuacjach, ze wszystkich sił starałam się zachować spokój. Jeszcze się dość napłaczę. Gdy nasza taksówka wykręcała powoli, by ruszyć w stronę dworca, pani Mitchell nachyliła się jeszcze do okna i rzuciła z uśmiechem:

- Verena, życzę ci, żebyś wyszła za mąż za mężczyznę najlepszego pod słońcem; daj nam znać, kiedy będziesz wychodzić za mąż.

W pewnej chwili moja głowa mimowolnie oparła się na ramieniu Chalida. Zamknęłam oczy. Chciałam, żeby czas stanął w miejscu, żeby ta podróż nigdy się nie skończyła.

Następnego dnia rano dojechaliśmy do Londynu. Dudniący głos z megafonu, ostre dźwięki kolejowego gwizdka, hałas i tłum prze-

lewający się po peronie gwałtownie przywołały nas z powrotem do rzeczywistości. Trzeba było złapać taksówkę i pojechać na lotnisko. Ostatnia wspólna podróż. A potem - już tylko gorzkie rozstanie. Nie chciałam tam jechać. Stałam bez ruchu. Tak, jakby mój opór mógł cokolwiek zmienić, jakby można było uniknąć nieuniknionego.

Ze zdumieniem stwierdziłam, że Chalid doskonale nad wszystkim panuje. Mój lot do Zurychu był o dziewiętej, natomiast samolot Chalida miał wystartować mniej więcej godzinę później. Choć nasze terminale były bardzo oddalone, Chalid nie odstępował mnie na krok. Gdy mój bagaż został odprawiony, byłam bliska załamania.

„Tak, to już, koniec - myślałam z rozpaczą - jeszcze pięć minut i już nigdy więcej nie ujrysz tego człowieka”.

Chalid natomiast sprawiał wrażenie, jakby przez cały czas nad wszystkim panował. I zamiast się pożegnać, poprosił, bym poczekała na niego przy stanowiskach kontroli paszportowej. Zanim zdążyłam się zorientować, co zamierza, wraz ze swoją walizką zniknął w tłumie.

Owego wrześniowego dnia 1979 roku na lotnisku kłębił się tłum pasażerów. Przed okienkami odprawy bagażowej i paszportowej ustawiały się niekończące się kolejki. Czekałam, niepewna i zrozpaczona. A co, jeśli Chalid nie zdąży:<sup>1</sup> Wtedy nawet nie uściśniemy się na pożegnanie. Pozostanie mi tylko tych kilka fotografii i być może listy, na które miałam nadzieję... Ale tak bez pożegnania...? Z minuty na minutę ogarniała mnie coraz większa rozpacz. W pewnej chwili, po nieskończonej długim czekaniu, olśniło mnie: „To koniec”.

Już nigdy więcej nie zobaczę Chalida. Na pewno chciał sobie oszczędzić scen pożegnania i już tu nie wróci, tylko tak powiedział. Zrobiło mi się niedobrze.

Kiedy zaczęły migać zielone lampki boardingu, poczułam w sercu bolesne ukłucie. Czy to naprawdę już? Czy to możliwe? Nie mogłam i nie chciałam w to uwierzyć. Siedziałam jak skamieniała. Nie mogłam nawet płakać.

W pewnej chwili jakaś siła podniosła mnie jednak z fotela, gdyż jak automat zaczęłam iść w kierunku odprawy paszportowej. Nie było we mnie nic poza niewypowiedzianą pustką. Nic poza pozbawioną powietrza przestrzenią i obezwładniającym bólem.

„Ale jak mogłam tak zwątpić?” - pytałam potem sama siebie. Bo oto nagle czyjaś ręka chwyciła mnie za ramię. Spojrzałam i poczułam, że robi mi się słabo. Chalid! Na jego twarzy malowała się bezgraniczna rozpacz. Jego pierś unosiła się i opadała gwałtownie.

- Chalid - tylko tyle zdołałam z siebie wyrzucić.

Bez tchu, z gardłem ściśniętym wzruszeniem patrzyłam w jego oczy, pełne bólu i smutku. Przez chwilę czułam, jak ze sobą walczy, ale zaraz wziął mnie w ramiona, nie mógł się dłużej bronić przed uczuciem. To było jak niebo i piekło jednocześnie. Łzy szczęścia, łzy wzruszenia, przerażenia... Wszystko naraz. Doskonale wiedziałam, że Chalidowi - jako wyznawcy islamu - nie było łatwo objąć mnie publicznie. I kochałam go za to jeszcze bardziej.

Nagle poczułam, jak jego łzy spływają po mojej szyi.

*Między niebem a Chalidem*

*1980-1985*

**N**awet przez chwilę nie wierzyłam, że pozostały mi już tylko wspomnienia. Kładłam się spać z gorączkowym pragnieniem, żeby noc jak najszybciej się skończyła i by kolejny rano przyniósł pocztę od Chalida. Wreszcie, po tygodniu, doczekałam się. Listonosz wręczył mi wytęskniony list z Dubaju.

Nie posiadałam się z radości. Szybko pobiegłam do mojego pokoju i rozerwałam kopertę. Sądząc po adresie, Chalid musiał mieszkać pod Dubajem, w podmiejskiej miejscowości o nazwie Al-Waha.

*Najdroższa Vereno! Rozstaliśmy się przed dwunastoma godzinami i od dwunastu godzin nie myślę o niczym innym, jak tylko o Tobie. Przez cały dzień bez celu chodziłem po domu. Ale teraz na niebie jest już księżyc i wiem, że jesteś przy mnie. Pamiętam o naszej małej tajemnicy — księżyc. I mam nadzieję, że i Ty o niej nie zapomniałaś. Księżyc, jedyne na co możemy patrzeć w tym samym czasie, myśląc o sobie...*

„Kocham cię na zawsze”. Tak kończył się list. Słowa Chalida wzmocniły jeszcze moje uczucia, a ten pierwszy list przypieczętował nasz los.

Od owego dnia listy z Dubaju zaczęły przychodzić niemal codziennie, nie spodziewałam się tego w najśmielszych snach. Od razu chwyciłam za pióro, by odpisać, słowa układały się same; pisząc, słuchałam tęsknych dźwięków arabskiej muzyki. A także piosenek, których słuchaliśmy razem w Anglii. Chalid kupił w Dubaju płyty i nagrał dla mnie kasetę. „I don't like Mondays” Boba Geldoffa, „We don't talk anymore” Cliffa Richarda i wiele, wiele innych. Ciągłe je puszczałam, leciały na okrągło z naszej wieży stereo. Poza tym z nad Zatoki Arabskiej ciągle przychodziły zdjęcia i małe podarunki, drobne rzeczy do oglądania, do słuchania albo pachnidełka. Mama i moje dwie młodsze siostry, którym na początku ta historia wydała się bardzo ekscytująca, po pewnym czasie zaczęły się wyraźnie niepokoić, widząc moje zachowanie.

Odczuwałam bowiem coraz większą potrzebę spotkania z Chalidem. Czekałam tylko na jakiś znak z pustyni. Ale nic się nie zdarzyło. W każdym razie nic konkretnego. Tymczasem nadeszła wiosna, a wraz z nią ta straszna wiadomość, która właściwie zniweczyła wszystko. Wiadomość, która strąciła mnie na dno rozpacz.

„USA, Ameryka, to dwa razy dalej niż teraz...” - nieustannie huczało mi w uszach.

Mój Chalid zawiadomił mnie z dumą, że niebawem rozpoczyna studia na wydziale fizyki atomowej na uniwersytecie w Tucson w Arizonie. Wyjeżdża na siedem lat. A ja? Ani słowa o tym, kiedy i gdzie moglibyśmy się wreszcie zobaczyć (o zabranii mnie

do Arizony nawet nie wspomnę). Gdzie się podziała nasza miłość? I co on, Chalid, będzie potem robił z tą fizyką atomową na pustyni? W głowie mi wirowało od najróżniejszych przypuszczeń i myśli: że Chalid nawiąże nowe znajomości i przyjaźnie i że zapomni o mnie - to było przecież możliwe. Właściwie mimochodem wspomniał w liście, że jak tylko będzie już znał swój nowy adres w Arizonie, to do mnie napisze. Słaba pociecha. To był cios, straszny, bolesny cios! Byłam rozżalona i nieszczęśliwa. Ale nie zamierzałam beczynnie czekać na zbliżający się koniec. Musiałam coś przedsięwziąć, cokolwiek, byle stąd uciec: daleko, w jakiś nieznanne miejsce. Tutaj wszystko za bardzo przypominało mi Chalida. Sterta listów, fotografie, kasety - i moja zapłakana poduszka. Wszystko sprawiało ból. Musiałam wyjechać, i to natychmiast. Byłam przekonana, że jakoś da się to załatwić.

A poza tym, poza tym...jeśli w sercu Chalida tli się jeszcze chociaż iskierka miłości, to mój wyjazd z domu powinien go zaniepokoić. Chalid pewnie zacznie się bać, że może mnie stracić...

Przyznaję, że ta myśl bardzo mi się spodobała. I szybko ułożyłam sobie plan działania: wśród znajomych moich rodziców był pewien grecki biznesmen. Pan Leventakis, ożeniony ze Szwajcarką, miał w Zurychu agencję mody. W interesach jeździł regularnie do Aten, gdyż tam odbywała się produkcja tekstyliów dla jego agencji. Nie minął nawet tydzień, a już mogłam urzeczywistnić mój plan. Błyskawicznie napisałam do Chalida, do Dubaju, że jestem w drodze do Aten. I że po przybyciu podam mu mój nowy adres.

Czułam się tak zraniona, że w ogóle nie przyszło mi do głowy, co mogą oznaczać dla Chalida studia w Stanach. Jakie to jest dla niego wyróżnienie. Nie pomyślałam też, że właściwie nie miał możliwości, by studiować bliżej mnie, w Europie - ani ze

względu na kierunek, jaki wybrał, ani na prestiż. Zamiast więc pogratulować Chalidowi, sprawiłam mu przykrość.

Trzy tygodnie później wsiadłam do samolotu do Aten (ufa-  
jąc, że mój plan się powiedzie).

Ale nie było mi lekko na sercu: ku mojemu zdziwieniu, jak dotąd nie otrzymałam z Dubaju żadnej wiadomości.

Przez te wszystkie dni - nic. Przecież mój plan powinien się powieść, a tymczasem Chalid, wbrew moim oczekiwaniom, wcale się nie odzywał. Żadnej reakcji. Milczenie. Im dłużej to trwało, tym większy ogarniał mnie niepokój.

Także w dniu odlotu skrzynka na listy była pusta. Zalała mnie fala zwątpienia: może napisałam coś nie tak? Nie ten ton? Zbyt ostro i chłodno. Może, powodowana urazą, tymjed-  
nym listem zniszczyłam całą naszą miłość - wszystko? Ale na odwrót było, niestety, za późno. Taksówka na lotnisko czekała już przed domem.

Sklep odzieżowy, w którym miałam pracować, mieścił się w ha-  
łaśliwym centrum Aten, przy Syntagma Square. Już sama proce-  
dura przyjmowania do pracy okazała się ciężką próbą dla mojej  
cierpliwości. Właściciel sklepu, pan Petropulos, oraz nasz zna-  
jomy przez kilka godzin ustalali przy greckiej kawie i papiero-  
sach zakres moich obowiązków i wysokość pensji. Wykończona  
upałem i zaduchem zgodziłam się w końcu - za parę drachm  
i mieszkanie - przyjąć pracę dekoratorki. Nie zaprotestowałam  
nawet wtedy, gdy zobaczyłam nędzny pokój w domu pod Akro-  
polem. Było mi wszystko jedno; w razie czego mogłam w każ-  
dej chwili wrócić najbliższym samolotem do domu. Ale tak  
naprawdę nie wiedziałam, co robić.

Zniechęcona i przybita wypakowałam walizki. Pokój był mały i ciemny. Szafa z zamkniętą jedną połową, pod oknem - wychodzącym na podwórze - stół i krzesło. Stałam na fotelu i w głębi podwórza dostrzegłam kilka wąsających się wychudłych kotów. Szczęście, że Chalid nie widzi, w co się wpakowałam przez niego! Gdy już pochowałam ubrania, położyłam się na wilgotnym i miękkim łóżku. Leżałam tak długo, że wzrokiem utkwionym w sufit. Kompletna idiotka ze mnie!

Kiedy się ściemniło, przyszedł pan Leventakis i zabrał mnie na kolację. Pojechaliśmy taksówką do Kifissii, eleganckiego miasteczka pod Atenami, skąd pochodził. Do tawerny towarzyszyła nam cała gromada jego krewnych i znajomych. Było widać, że pan Leventakis cieszy się tu popularnością, co zresztą najwyraźniej wprawiało go w doskonały humor. W dodatku był w towarzystwie młodej i niebrzydkiej Szwajcarki. Choć nie znałam greckiego, przysłuchiwałam się i obserwowałam wszystko uważnie i dość szybko zorientowałam się, że Grek robi wszystko, by uznano nas za parę. Byłam zbulwersowana jego zachowaniem. Zeby czym prędzej zakończyć tę farsę, zaczęłam się skarżyć na ból głowy.

Po powrocie do domu ze złością rzuciłam na łóżko torebkę i ubranie, a sama poszłam pod prysznic, żeby się ochłodzić. Woda spływała przyjemnie po moim ciele, ale nagle zobaczyłam na posadzce ogromnego karalucha. Z obrzydzeniem wybiegłam spod prysznica i zatrzasnęłam za sobą drzwi łazienki.

O śnie nie było nawet co marzyć. Budzący niesmak wieczór, strach przed karaluchami i obojętność Chalida - to za wiele. Przewracałam się z boku na bok, a sen nie nadchodził.



Początkowy okres pracy w sklepie pana Petropulosa był dla mnie wielkim zaskoczeniem. Przede wszystkim nikt w firmie nie mógł pojąć, dlaczego „ta młoda Szwajcarka” pracuje od rana jak nakręcona. Przecież najpierw trzeba zaparzyć kawę, spokojnie ją wypić, wypalić kilka papierosów, pogadać o tym, co w domu, a potem dopiero zacząć pracę.

Faktycznie, musiałam się dopiero przyzwyczaić do greckiego stylu życia. W południe wszystkie sklepy zamykano. Ponieważ nie byłam przyzwyczajona do spania w czasie dnia, godzinami błądziłam po ulicach Aten. Wspinałam się na Akropol albojechałam autobusem do Pireusu. Za każdym razem ujmowała mnie czarująca cisza małego, starego portu Turkolimano. Mogłam tu, przy talerzu kalmarów, w spokoju pomarzyć i porozmyślać.

Wkrótce jednak upały i smog zmusiły mnie do zmiany rytmu dnia. Musiałam się nauczyć odpoczywać w czasie popołudniowej sjesty.

Na klatce schodowej mojego domu często spotykałam pewną Greczynkę, która także tu mieszkała. Stara, pomarszczona kobieta za każdym razem jazgotała coś i wymyślała pod nosem, kiedy tylko mnie zobaczyła. Tamtego dnia siedziała przed domem. Jak zwykle pozdrowiłam ją uprzejmie: Jassu.

W tym momencie zerwała się ze stołka i zaczęła wrzeszczeć, wymachując przy tym rękami. Przypominała mi spłoszoną wronę. Zrozumiałam, że nie jestem w tym domu mile widziana. „Ale dlaczego?” - zadawałam sobie pytanie. Zaskoczona pobiegłam schodami do mojego pokoju, otworzyłam drzwi i z przerażeniem stwierdziłam, że w moim łóżku leży jakiś mężczyzna.

Kiedy podeszłam bliżej, rozpoznałam w śpiącym mojego szefa, pana Petropulosa. Ale co on, na miłość boską, robi w moim pokoju?!

- Jak pan tu wszedł? - wykrzyknęłam, nie panując nad sobą.  
- Skąd ma pan klucz?! I co pan tu w ogóle robi?!

Greki usiadł powoli, uśmiechnął się do mnie w najmniejszym stopniu nieskrępowany i powiedział:

- I o co tyle hałasu, miss? To pokój, w którym odbywam sje-  
stę. Przychodzę tu spać.

- Czyja się przesłyszałam?!

Nie wierzyłam własnym uszom, myśli wirowały mi w głowie, a tymczasem on podszedł do mnie i usiłował mnie objąć. Z wściekłością odepchnęłam go od siebie i zagroziłam, że natychmiast zadzwonię do Szwajcarii i zawiadomię pana Leventakisa o tym incydencie. Nie byłam pewna, czy zrobiło to na nim jakiegokolwiek wrażenie, jednak szybko włożył spodnie i bez słowa opuścił mój pokój. Teraz zrozumiałam, dlaczego ta stara Greczynka tak się złościła. Jasne, nikt nie chce mieć „burdelu” w swoim domu. I coś takiego musiało się przytrafić właśnie mnie. Porządnej dziewczynie, która nigdy nie dopuściła się żadnej nieprzyzwoitości. A wszystko tylko dlatego, że chciałam się trochę podrażnić z Chalidem. Miałam dość.

Natychmiast zaalarmowałam mamę; jednocześnie zaczęłam rozważać decyzję o jak najszybszym wyjeździe z Grecji. Interwencja mamy u pana Leventakisa okazała się jednak skuteczna. Już w kilka dni później mieszkałam w nowym, ślicznym apartamencie w Ano Voula pod Atenami. Tym razem bez nieproszonych gości, za to z pięknym widokiem na morze. Incydent został zapomniany.

W końcu, po tygodniach zwątpienia i lęku nadszedł list od Chalida. Na adres szwajcarski. Mama przesłała go do Aten, na adres firmy, a pan Petropulos kazał mi go przynieść do atelier. Natychmiast zaszyłam się między belami materiałów a pudełkami z sukniami i drżącymi palcami rozerwałam kopertę.

*Kochana Vereno, co u Ciebie? Czy jesteś już w Atenach? Czym prędzej podaj mi swój nowy adres. U mnie na razie wszystko w porządku, dzielę pokój z amerykańskim studentem. Studia są ciężkie. Bardzo dużo nauki. Niestety, nie będę miał aż tyle czasu, co dotąd, na pisanie listów. Na tutejszym uniwersytecie także jest klub futbolowy. (...)*

*Napisz do mnie jak najszybciej.*

*Do następnego listu.*

*Twój Chalid*

Sukienki zaczęły tańczyć na wieszakach, widziałam wszystko jak przez mgłę. Czy to dzieje się naprawdę? Jak to możliwe? Czy czas i oddalenie mogły zniszczyć nasze uczucie?

„Oddalenie to nic, jeśli kocha się tak bardzo” - napisał kiedyś Chalid. A teraz? Z dnia na dzień taka zmiana! Suche, pozbawione uczucia zdania. Zamiast słów o tęsknocie, rzeczowe informacje: „Wczoraj graliśmy mecz” itp. Gdzie się podziała miłość i oddanie?

Zrozpaczona, ledwie powstrzymując łzy, powlokłam się z powrotem do pracy. Boże, dlaczego to tak boli...

„Weź się w garść, Verena! - upominałam sama siebie. — Jesteś w kraju, gdzie ludzie śmieją się od rana do nocy. Chyba nie chcesz zwracać na siebie uwagi? Ani prowokować pytań?”

W ten sposób broniłam się przed łzami, które co chwila napływały mi do oczu.

W domu rzuciłam się na sofę, wyjęłam list. Raz po raz, ciągle od nowa przebiegałam oczami przez napisane przez Chalida zdania. Ale nie mogłam znaleźć nic, absolutnie nic, co by wskazywało na to, że on za mną tęskni, że mu mnie brakuje, że mu na mnie zależy. W końcu zrozumiałam, że wszystko, w co dotąd wierzyłam, o czym byłam przekonana, to były tylko moje wyobrażenia i marzenia.

Nastawiłam kasetę z tęskną grecką muzyką i sięgnęłam po kartkę papieru.

„Najdroższy Chalidzie, łamiesz mi serce...” Nie. To brzmiało zbyt dramatycznie. Pisałam i gryzmoliłam przez całą noc, skreślałam słowa i linijki, rwałam całe napisane strony, a potem zaczynałam od nowa. Męczyłam się tak aż do świtu i nie udało mi się dobrać odpowiednich słów. A następnego dnia i tak porwałam i wyrzuciłam list, gdyż to, co napisałam, wydało mi się bezsensowne.

Kilka następnych nocy przeleżałam w łóżku, nie mogąc zasnąć. W kółko analizowałam stare listy z Dubaju. Myślałam o tym bez przerwy: w porcie w Turkolimano, w autobusie, w domu. I w żaden sposób nie mogłam zrozumieć, dlaczego, jak to możliwe, że do tego doszło.

Pewnego pięknego poranka pan Petropulos znowu przyniósł pocztę do naszego atelier. Wśród innych był także list od mojej przyjaciółki, Jolandy, która zapowiadała swój przyjazd. Ucieszyłam się. Już sama myśl o tym, że za dwa tygodnie ją zobaczę, podniosła mnie na duchu i dodała sił. Na tyle, że wieczorem zasiad-

łam do stołu i bez specjalnych emocji odpisałam Chalidowi. No, tak zupełnie bez emocji to nie było: szczerze mówiąc, to nie był przyjemny list. Świadomie sprawiłam Chalidowi przykrość. Ale tylko to pozwoliło mijakoś uporać się z tym wszystkim: musiałam zranić Chalida i to bardziej niż on mnie.

Przed przyjazdem Jolandy miałam w atelier dużo pracy. Nowe wystawy były już dawno gotowe - wszystko zapięte na ostatni guzik. Pan Petropulos bez problemu dał mi kilka dni wolnego w związku z przyjazdem przyjaciółki. Przed wyjściem z pracy zajrzałam do jego biura, żeby się pożegnać.

- Ach! - rzucił mimochodem - jest tu dla pani list ze Stanów!

Wzięłam list, niby obojętnie wrzuciłam go do torebki, obróciłam się na pięcie i wyszłam z biura. Przez całą drogę do przystanku autobusowego serce waliło mi jak oszalałe. Najchętniej od razu rozerwałabym kopertę, ale autobus do Ano Voula już czekał, gotowy do odjazdu. Wskoczyłam do środka i wcisnęłam się między innych pasażerów. Upłynęły aż trzy kwadranse, zanim w autobusie trochę się rozluźniło. W końcu zostałam prawie sama. Sięgnęłam do torebki i drżącymi rękami wyciągnęłam list.

Zaczęłam czytać. Na mojej twarzy musiał pojawić się mimowolny uśmiech, bo gdy zaskoczona słowami Chalida potrząsnęłam głową i na chwilę podniosłam oczy, zobaczyłam w lusterku, że szofer mruga do mnie figlarnie. Jeszcze raz przeczytałam zdanie. Nie, nie myliłam się. Chalid dopytywał się, dlaczego nie odpisałam najego poprzedni list. Z jego słów przebijało rozczarowanie i żal. Muszę przyznać, że odczułam drobną satysfakcję. Najwyraźniej w jakiś sposób jednak za mną tęsknił. Ta świadomość była przyjemna. Ale cały list nie brzmiał zbyt euforycznie.

Trudno było mówić o fajerwerkach uczucia. Chalidowi nawet nie przyszło do głowy, by mnie zapytać, czy nie chciałabym przyjechać do Arizony. Tak! Dlaczego nie napisał po prostu, żebym do niego przyjechała? Że już dłużej nie może beze mnie wytrzymać, że tęsknota doprowadza go do szaleństwa, że... że... że...

Niestety. Nic z tych rzeczy!

Ano Voula to był ostatni przystanek linii 72 z Aten. Wysiadłam, myśląc: „Teraz już na pewno dostał list ode mnie. Mogę spokojnie zaczekać z odpowiedzią”.

Następnego dnia przyleciała Jolanda. Pojechałam po nią na ateńskie lotnisko. W domu od razu zaplanowałyśmy wycieczkę. Kupiłyśmy dwa bilety na Mykonos, szybko spakowałyśmy parę rzeczy i wyruszyłyśmy do Pireusu.

Wiał umiarkowany północny wiatr, gdy nasz prom wypływał z portu. Morze i niebo lśniły jednakowym głębokim lazurem. Ale kiedy wpłynęliśmy w rejon Cyklad, morze stało się tak niespokojne, że nasza stara łajba przez kilka godzin płynęła niepokojąco przechylona na bok. Rozmowa z którymś z oficerów być może zmniejszyłaby nasz strach. Ale jakoś żaden się nie pojawił, a na domiar złego okazało się, że wszystkie drzwi i przejścia na pokłady zostały potajemnie zamknięte. Wśród pasażerów panowała niesamowita cisza. Wszyscy byli przerażeni. Spoglądaliśmy milcząco na siebie, próbując w oczach innych, czy rzeczywiście sytuacja jest groźna. Jolanda, żeby rozproszycie niedobre myśli, cały czas pisała coś w swoim dzienniku - dopóki tylko było to możliwe. Bo już wkrótce i ona potrzebowała obu rąk, by przytrzymywać się barierki. Wszyscy się trzymali - inaczej zjechalibyśmy z pokładu, tak przechylony był nasz statek.

W końcu na horyzoncie pojawiła się wyspa Mykonos. Jak pijane szłyśmy przez śnieżnobiałe, zaciszne uliczki, wijące się, skręcające i krzyżujące się setki razy. Między białymi domami z niebieskimi okiennicami raz po raz wykwitwały białe kościółki. Właściciele butików tu i tam wywieszali już na murach i drzwiach fantazyjne ubrania w jaskrawych barwach. Młodzi, piękni jak Adonis, greccy chłopcy w obcisłych dżinsach i opinających torsy podkoszulkach układali poduszki przed barami. Miasto Mykonos właśnie się budziło. Nagle uliczki zalał tłum pięknych dziewcząt i muskularnych chłopców w plażowych kostiumach. Podeszłyśmy jeszcze parę kroków i oto z daleka między domami zamigotało niebieskie morze. Z oddali wabiły nas czarujące dźwięki piosenki Neila Diamonda.

„America, America, they're coming to America” - słychać było coraz bliżej i głośniejsze.

Po karku spłynął mi zimny dreszcz. Dlaczego nie jestem w Ameryce, w Arizonie - z Chalidem. W pewnej chwili przystanęłyśmy, zdumione i oczarowane idyllicznym zakątkiem miasteczka. Zauważyłam, że przygląda nam się jakiś mężczyzna o szpakowatych włosach, z wąsikami a la Salvador Dali. Uśmiechnęłyśmy się, spoglądając na szyld nad wejściem do lokalu: „The Dreammaker”. Rzeczywiście. Wszystko pasowało. Wnętrze ozdabiało mnóstwo fotografii z atrakcjami Mykonos, a między nimi ujęte w ramki wiersze. Cisza i spokój kojące duszę.

Melodia Neila Diamonda wywabiła nas z powrotem na zewnątrz i powiodła prosto do tawerny na wodzie. Kiedy przyszyliśmy, przy kiwających się małych drewnianych stolikach nie było jeszcze nikogo. Jakiś Grek o pooranej bruzdami twarzy

i z sumiastymi wąsami właśnie rozpałał grilla. Ściągnął suszącego się na słońcu kalmara i od razu rzucił go na ogień. Od czasu do czasu uśmiechał się do nas i coś tam mruczał po grecku. Nie śpieszył się. Za nami syczał i trzaskał ogień. Nasze uszy wypełniał szum Morza Egejskiego, a nosy - zapach pieczonego kalmara. Słońce przygrzewało coraz mocniej. Siedzieliśmy, upajając się atmosferą tego miejsca; od czasu do czasu wybuchałyśmy śmiechem i przytrzymywałyśmy się mocno stolików, gdyż nasze krzesła przechylały się - to się nazywa choroba morska.

Jakież było nasze zdziwienie, kiedy przed nami na stoliku nagle stanął talerz wypełniony kawałkami pieczonego kalmara i dwie szklanki uzo. Grek, uśmiechając się, powrócił do ognia. Wyglądało na to, że nas podejmuje. Tymczasem pojawiło się kilku rybaków. Ale żadnego turysty. Gdzie się wszyscy podziwiają? Po chwili znowu na naszym stole stanęły pełne talerze, jeszcze zanim zdążyłyśmy cokolwiek zamówić.

Najodważniejszy z mężczyzn przysunął do nas krzesło i zaczął demonstrować, jak powinno się jeść smażone w oleju rybki: wycisnął na nie sok z cytryny, posypał solidnie solą i całą garść rybek włożył sobie od ust - razem z łebkami i płetwami! Parsknęłyśmy śmiechem, bardzo podekscytowane. To był muskularny, przystojny chłopak z okazałymi wąsami. Miał na głowie wysłużoną, wypłowiałą czapkę kapitańską, którą to naciągał sobie nisko na twarz, to znowu przesunął dumnie wyżej na czoło.

Tymczasem zaszło słońce, a wraz z nim myśl o Chalidzie. Nasz stół został przysunięty do innych, wokoło ustawiono krzesła i w ten sposób znalazłyśmy się wśród posilających się



rybaków. Na stole bez przerwy pojawiały się nowe potrawy: tsatsiki, feta, frytki i jeżowce. Ze zdumieniem przyglądałyśmy się, jak nasz przystojny chojrak położył sobie na dłoni całego jeżowca, razem z igłami, i otworzył go uderzeniem noża. Galaretowata, pomarańczowa masa miała smak wody morskiej, ale atmosfera była tak wspianiała, że i to dało się znieść.

Kiedy około północy ruszyliśmy do naszego pensjonatu, na wszystkich ulicach kipiało nocne życie - wszędzie słychać było muzykę i śpiewy, przed każdym barem stały grupki wesołych, rozśpiewanych i tańczących ludzi. Każdy chciał się pokazać, każdy próbował przyćmić innych wymyślnym strojem. Jacyś ludzie przebrani za Marsjan, w srebrnych kostiumach i z antenami na głowie, biegali radośnie wśród tłumu. Było mi strasznie głupio, że nie jesteśmy przebrane, tylko w zwykłych strojach; najchętniej założyłabym czapkę niewidkę. Ale Jolanda wcale nie była zachwycona tym barwnym tłumem. Szybko pociągnęła mnie do legendarnej knajpy „Pierros”. Ludzie tańczyli tam nawet na stołach, a na kontuarze swój show prezentował Carlito, Portorykańczyk przebrany za kobietę. Był porywający. Publiczność, przeważnie mężczyźni, głośnymi okrzykami kibicowała artyście. Wszyscy, i kobiety, i mężczyźni, tłoczyli się wokoło, każdy chciał być jak najbliżej małego, cudownego Carlita.

Jeszcze tej samej nocy Jolanda pojechała na drugi koniec wyspy. Bolesnie urażona, pobiegłam następnego dnia do biura Olympic Airways.

- Wszystkie loty do Aten są już zabukowane, bardzo mi przykro - obojętnym tonem oświadczyła kobieta w okienku. - Niech pani zajrzy jutro - dorzuciła.

Następnego dnia również nie było ani jednego wolnego miejsca, a potem - z powodu silnego wiatru - odwołano wszystkie loty; wreszcie przywykłam jakoś do Marsjan w srebrnych kostiumach.

Mijały miesiące, a ja stawałam się coraz spokojniejsza. Potrafiłam tygodniami nie odpowiadać na listy Chalida. Nie, żebym o nim zapomniała. Nie! Moje uczucie do niego nie minęło. Ale stało się jakoś tak, że w pewnej chwili po prostu przestał mi towarzyszyć ból. Został gdzieś za mną. Tak jak port zostaje za statkiem, który wypływa w morze.

Lato miało się ku końcowi i dni stawały się coraz krótsze. Ateńczycy założyli półbuty i płaszcze. W autobusach ciągle słyszałam, jak głośno śmieją się z biegających w kostiumach kąpielowych turystów. A ja śmiałam się z nimi.

Kiedy wreszcie w Atenach nastąpiła zima, nagle zatęskniłam za ośnieżonymi górami, za moją rodziną i za domowymi pierniczkami. I jeszcze... zapagnęłam zmiany, czegoś nowego. Poczułam przypływ energii, ogarnęła mnie chęć działania. Potrzebowałam prawdziwego życia. Tęsknota i czas jałowego rozmarzenia minęły. Ból, smutek, przygnębienie uleciały wreszcie. Listy Chalida już nie wywoływały tej burzy uczuć, więcej - w ogóle straciły swoją magiczną moc. Odpowiadałam na nie coraz później. W końcu w ogóle przestałam pisać.

Sądziłam, że mam to już za sobą, że się z tym uporałam. Rozpie-rała mnie energia, a moje życie zaczynało przybierać nowy kształt.

I właśnie wtedy wydarzyło się coś niepojętego. Chalid znowu pojawił się w moim życiu. Po prostu stanął przed drzwiami mojego domu w Szwajcarii.

Ale to było trzy miesiące później. W marcu 1981 roku.

Wcześniej, na tydzień przed Bożym Narodzeniem wyjechałam z Grecji równie nagle, jak kiedyś tam przyjechałam.

Tamtej marcowej niedzieli łałojak z cebra. Właśnie skończyłam jeść, kiedy zadzwonił telefon. Pomyślałam, że to pewnie mama, że ma ochotę na małą pogawędkę.

- Halo?

- Hi Verena, tu Chalid.

Serce stanęło mi w piersi. Cisza... Zaniemówiłam z wrażenia.

- Co u ciebie? - w jego głosie usłyszałam śmiech.

A ja nie mogłam wydusić z siebie ani słowa. Szok.

- Hej, słyszysz mnie?

- Tak... ty... ee... tak z bliska cię słyhać... - wyjąkałam wreszcie.

- Zgadnij, gdzie jestem...? - Chalid na to, wyraźnie rozba-  
wiony.

- Pojęcia nie mam.

- W Zurychu.

Boże! To było jak grom z jasnego nieba. Spadła na mnie lawina wspomnień. Jak on może się tak zachowywać, jakby się nic nie wydarzyło?! Zjawia się. Teraz. Gdy na wszystko jest już za późno! Przez półtora roku wypisywałam do niego te listy, tysiące słów przez ocean... I nigdy nic, żadnej jednoznacznej reakcji! Żadnej decyzji. A teraz! I ten jego głos! Z czego on się tak cieszy! Byłam wściekła. Byłam oburzona. Naprawdę nie wie, co zrobił?! Czy tylko udaje?! Za kogo on się właściwie uważa!

Najchętniej wykrzyczałabym mu to przez telefon. Sama nie wiem, co mnie powstrzymało. Chyba poczucie kompletnej beznadziejności...

- Verena? Jesteś tam?

- Jestem, jestem... ale wiesz, zaskoczyłeś mnie... Myślałam, że już cię nigdy więcej nie zobaczę...

- Naprawdę? Naprawdę coś takiego sobie pomyślałaś?

Nagle z jego głosu zniknęła cała radość. Zupełnie jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z powagi sytuacji. „No tak... on, mieszkaniec pustyni, pewnie ma inne poczucie czasu...” - przeleciało mi przez głowę. Półtora roku to dla niego nic. Ale dla mnie - wieczność...

- Już dobrze, Chalid, zostawmy to. Powiedz, co cię tak nagle sprowadza do Zurychu? I skąd masz mój numer?

Oczywiście od razu wiedziałam, kto się za tym kryje.

Fakt, że przerwałam korespondencję, jednak zabolął i mocno zaniepokoił Chalida. Do tego stopnia, że na krótko przed moim powrotem do Szwajcarii zadzwonił do mojej mamy. To był pierwszy raz, kiedy w ogóle zadzwonił pod nasz numer. Trochę mnie to jednak zaskoczyło. Mama powiedziała mi potem, podczas świąt, że Chalid niepokoił się, dlaczego tak długo nie ma ode mnie z Aten żadnej wiadomości... Powiedziała mu, że niedługo wracam i że na pewno się do niego odezwę ze Szwajcarii. No, a ja tego nie zrobiłam. I oto teraz Chalid tu był. Zjawił się nagle, gdyja właśnie rozpoczynałam nowy etap w swoim życiu, podjęłam nową pracę i zabierałam się do urządzenia własnego mieszkania. Dosłownie kilka dni temu pomyślałam sobie: „Wreszcie do mojego życia powrócił spokój”. A teraz masz!

- Słuchaj, wracam właśnie z Arizony do Dubaju i pomyślałam sobie, że zrobię przerwę w Zurychu, żeby cię zobaczyć.

- Aha, rozumiem.

Więc rzeczywiście! Byle tylko nie okazywać uczuć! A przy tym doskonale wiedziałam, że ten przyjazd, ta decyzja, żeby

pojawić się tak niespodziewanie, musiała Chalida sporo kosztować. W końcu nie mógł wiedzieć, jak zostanie przeze mnie przyjęty.

Ale najwyraźniej nie domyślał się, nie dopuszczał do siebie myśli, że już na wszystko jest za późno. „Fatalnie. Dla nas obojga” - pomyślałam sobie. Tym swoim niespodziewanym przyjazdem wprowadził tylko chaos. I zburzył mój spokój. No, bo przecież moje uczucia nie mogły się nagle zmienić, wystrzeżić w górę, jak za naciśnięciem guzika. Gorączkowo zastanawiałam się, co robić. Wszystko się we mnie burzyło, wszystko mówiło: nie! Ale im dłużej słuchałam jego głosu, tym bardziej malał mój opór.

Prawdę mówiąc, chciałam go zobaczyć.

Ujrzałam mały, skromny hotelik na tyłach dworca, pomyślałam, że również pod względem finansowym przyjazd tutaj nie był dla Chalida taki łatwy. Pewnie musiał nieźle oszczędzać z kieszonek, żeby sobie na to pozwolić. To, oczywiście, zrobiło na mnie wrażenie.

Zebrałam się w sobie i przekroczyłam próg hotelu.

Już miałam zapytać o niego w recepcji, gdy usłyszałam za sobą:

- Hello, Verena!

Odwrociłam się. To był on. Uśmiechał się promiennie, zupełnie jakby nic się nie stało. Odruchowo wyciągnęłam ramiona, by go uściskać. Ale Chalid mnie uprzedził - sztywno wyciągnął rękę. Zabolało jak policzek. Czyżby nie wiedział, że to normalny sposób powitania u nas, że nic się za tym nie kryje?

To był szok! Oszołomiona i zdezorientowana, zaniemówiłam na chwilę, a potem zaczęłam paplać o wszystkim i o ni-

czym... Chalid tymczasem stał z tym charakterystycznym obojętnym spojrzeniem Araba, który zanim się odezwie, waży w myślach każde słowo. Chłód między nami dał się wyraźnie odczuć. Było mi przykro, chociaż nie umiałabym dokładnie powiedzieć, dlaczego. Może to był żal, że tak to się potoczyło? Wszystko poszło jakoś nie tak... Dlaczego? Teraz nie potrafiłam znaleźć przyczyny, ale obiecałam sobie, że w ciągu tych kilku dni przy najbliższej okazji porozmawiam o tym z Chalidem. A tymczasem postanowiłam go mimo wszystko serdecznie przywitać, ugościć i przyjąć. Chciałam mu po prostu okazać gościnność - reprezentując niejako Szwajcarię.

Toteż, niewiele myśląc, całkowicie spontanicznie zaferowałam mu gościnę w swoim domu. Sądziłam, że w ten sposób przynajmniej odciążę go finansowo. No i ten hotel! Nie wyobrażałam sobie, żeby Chalid miał mieszkać w tak nieprzytulnym miejscu. Doskonale pamiętam, że było mi autentycznie przykro z tego powodu. Chciałam dla niego jak najlepiej - nie zdawałam sobie sprawy z tego, w jak niezręcznej sytuacji postawiła nas moja gościnność.

Załadowaliśmy ciężką walizę Chalida do mojego samochodu. I już na samym początku niewiele brakowało, a doszłoby do pierwszego spięcia, gdyż Chalid koniecznie chciał usiąść za kierownicą. Nie rozumiałam, dlaczego tak się przy tym upiera, skoro nie zna ani miasta, ani tego samochodu. Skąd mogłam wiedzieć, że w jego mniemaniu fakt, że wiezie go kobieta, przynosił mu ujmę. Przecież nigdy niczego mi nie wyjaśniał.

Ostatnie kilka metrów do domu musieliśmy przejść na piechotę. Ciągle jeszcze padało, ale Chalid wolał moknąć, zamiast schronić się pod moim parasolem!

Pamiętałam, że w Anglii noc w noc wracaliśmy do domu pod ramię - przynajmniej pod koniec naszego pobytu. I przecież Chalid dwa razy mnie pocałował! To były prawdziwe, długie pocałunki. Wtedy, podczas tej konnej przejażdżki, i jeszcze raz w noc przed naszym wyjazdem. Tymczasem, kiedy wreszcie znaleźliśmy się w moim mieszkaniu, nie bardzo wiedzieliśmy, jak się zachować. Atmosfera stawała się tak napięta, że oboje zapragnęliśmy wyjść. Przez kilka godzin błądziliśmy po uliczkach starego miasta, aż wreszcie postanowiliśmy wejść gdzieś na kolację. W przytulnej restauracji w pobliżu rzeki Chalid trochę się rozluźnił. Sypał żarcikami, śmiał się. Wyczuwałam jednak, że ta jego wesołość jest sztuczna. To nie były oczy, które znałam. Na każde moje pytanie rzucał niby żartem: „Za dużo chcesz wiedzieć, Verena” - i wywijał się od odpowiedzi. Takie żarty po tym wszystkim, co się stało... to było cokolwiek dziwne. Na koniec podjęłam jego grę i też wpadłam w rozbawiony ton, takjakby to było zwykłe, sympatyczne spotkanie towarzyskie. Pomyślałam sobie, że może Chalid potrzebuje po prostu trochę więcej czasu, żeby mi powiedzieć, po co przyjechał. Nigdy bym nie uwierzyła, że potem nie znajdziemy ani odpowiedniej okazji, ani słów, by o tym porozmawiać.

Kiedy wróciliśmy do domu, rozbawienie i dobry nastrój Chalida uleciały jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Było widać, że Chalid czuje się źle i niezręcznie, jest strasznie spięty. Chciałam coś z tym zrobić, ale nie bardzo wiedziałam, co. Zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie popełniłam błędu, zapraszając go do siebie. Chalid cały czas był sztywny, nerwowo przekładał kasyty z muzyką i palił. Rozmowa nie kleiła się, co jakiś czas zapadała pełna napięcia cisza. Atmosfera stała się przytłaczająca.

Na wszelkie sposoby starałam się rozruszać mojego gościa. Bezskutecznie. Chalid powtarzał tylko, że wszystko jest w porządku i nie muszę się o niego troszczyć. Oczywiście w końcu i ja zaczęłam się czuć równie skrepowana jak on.

Teraz już wiem, że tam, skąd pochodzi Chalid, przyzwoitej kobiecie od pewnego, określonego dnia znajomości nie wypada patrzeć mężczyźnie prosto w oczy, a o zapraszaniu go do domu w ogóle nie może być mowy. I dlatego do dzisiaj nie rozumiem, dlaczego Chalid od razu nie odrzucił wtedy mojego zaproszenia. Dla dobra nas obojga.

Kiedy zrobiło się późno, poszłam do łazienki i włożyłam piżamę. Założyłam nawet skarpetki, żeby nie wprawić Chalida w zażenowanie widokiem choćby centymetra mojego nagiego ciała. Pewnie mu się nawet nie śniło, że w tak cywilizowanym kraju jak Szwajcaria ludzie mogą mieszkać w jednym pokoju. Tym bardziej, że pustynia to wielkie przestrzenie, a domy buduje się tam duże i przestronne. „Wszystko jedno - pomyślałam - szybko się przyzwyczai, jutro będzie lepiej...” Pomyślałam też, że jak pójdę spać, to on od razu poczuje się swobodniej.

Zanim się położyłam, powiedziałam jeszcze Chalidowi, że może słuchać muzyki tak długo, jak zechce. Ale ledwie znalazłam się pod kołdrą, on natychmiast się podniósł, przyciszył muzykę i wyłączył światło. Wierciłam się i kręciłam, ale nie mogłam zasnąć, za bardzo byłam podekscytowana. Spod przykniętych powiek obserwowałam twarz Chalida w blasku świec. Osobliwym wzrokiem spoglądał w moim kierunku. Czas mijał. Kilka razy spojrzałam ukradkiem, żeby zobaczyć, co on robi. A on przez cały czas wpatrywał się w moje łóżko. Poczulałam się nieswojo. „Co się z nim dzieje” - pomyślałam.



- Chalid, na pewno jesteś zmęczony, połóż się - wymamrotałam wreszcie - to łóżko wystarczy na troje.

Cisza. Żadnej odpowiedzi.

- Słuchaj, jeśli to cię krępuje, mogę spać na podłodze. To nie problem, naprawdę - zapewniłam.

- Verena, nie troszcz się o mnie, wszystko jest okay, śpij.

- Ależ Chalid, co ty opowiadasz! Przeleciałeś pół świata, na pewno jesteś bardzo zmęczony! Kładź się!

- Verena, śpij wreszcie! - usłyszałam energiczną odpowiedź.

Nie wierzyłam własnym uszom. Ten rozkazujący ton! Tego jeszcze brakowało! To ja się o niego troszczę, wychodzę ze skóry, żeby mu było przyjemnie w obcym kraju, a on...! Rozżłoszczona odwróciłam się do niego plecami. Jak tak, to niech sobie robi, co chce!

Wytrwałam tak przez jakiś czas. Ale niedługo.

- Na miłość boską, Chalid! Czy ty nie widzisz, że ja nie mogę zasnąć! Połóż się wreszcie! Nie musisz nawet zdejmować butów.

Nie wiem, co we mnie wstąpiło! Nie wiem, jak mogłam powiedzieć coś takiego! To nie było w moim stylu, obrażać kogoś tylko dlatego, że okazuje rezerwę i skrępowanie, że ma inne obyczaje. Ale jednak nie rozumiałam zachowania Chalida. O co tu właściwie chodzi? Z mojego punktu widzenia łączyło nas tylko koleżeństwo - no bo co innego? Skąd mogłam wiedzieć, że właśnie to była przyczyna skrępowania Chalida. A nie przyszło mi do głowy najprostsze rozwiązanie. Żeby po prostu powiedzieć: „Słuchaj, Chalid, oboje czujemy się skrępowani, może odwiozę cię z powrotem do hotelu, a jutro wybierzemy się razem w góry...” Albo coś w tym stylu.

Chalid bez słowa zgasił świecę. Potem w ubraniu i sportowych butach położył się obok mnie. Leżeliśmy w milczeniu, ja

udawałam, że śpię. Nagle Chalid wstał po cichutku, myślałam, że idzie do łazienki. Ale zaraz usłyszałam, że zaczyna majstrować przy swojej walizce.

Włączyłam światło.

- Co robisz? Chalid!

Ani słowa odpowiedzi. Nawet nie odwrócił głowy.

Kłęczał przed walizką i nerwowo czegoś w niej szukał. Wreszcie znalazł. Był to pakiet listów - listów ode mnie! Miały wszystkie przy sobie. Ze wściekłym spojrzeniem rzucił mi je na łóżko.

- Zdaje się, że już ich nie potrzebuję - powiedział.

- Ależ Chalid...

Poczułam ukłucie w sercu. I nagle zrozumiałam, że on to mówi poważnie - śmiertelnie poważnie. Z całych sił starałam się powstrzymać łzy, które napłynęły mi do oczu...

- Chalid, nie rób tego, nie możesz mi tego zrobić... - wyjąkałam.

Ale Chalid był bezlitosny. Chodził po pokoju jak dziki zwierz, tam i z powrotem, tam i z powrotem... od okna do drzwi, od drzwi do okna. Wykrzykiwał przy tym coś po arabsku i gwałtownie gestykulował. Na moją głowę posypały się Bóg wie jakie przekleństwa... aja, oczywiście, nie rozumiałam z tego ani słowa. W końcu ucichł.

Zobaczyłam, że klęka przed walizką i z powrotem pakuje rzeczy, które wypadły. Szlochając, zebrałam listy i podałam mu.

- Chalid, proszę, weź je! Są przecież twoje...

Bez słowa zamknął walizkę, wstał i odwrócił się do mnie plecami.

- Chalid, Chalid... jak możesz tak po prostu odrzucić coś, co tyle dla nas znaczyło i co tak długo trwało? Jedyne dowody naszej miłości. Spójrz na mnie, proszę...

Odwrócił się. W oczach miał łzy. Przycisnął mnie razem z tymi listami mocno do piersi. I trzymał tak przez kilka długich minut. Zrozumiałam, że dla niego to się nie skończyło, że przez cały czas żywił do mnie głębokie uczucie. To był wstrząs. Nie wiedziałam, co o tym myśleć. W głowie i w sercu miałam chaos. Sama nie potrafiłam ani uporządkować, ani nazwać swoich uczuć. W tej chwili tylko jedno stało się dla mnie jasne: doszło do jakiegoś strasznego nieporozumienia. Nie, właściwie była to cała sieć nieporozumień, która nas oplótła i z której nie mogliśmy się wyrwać.

Owej nocy żadne z nas nie chciało już więcej ranić drugiego słowami albo ryzykować, że słowa zostaną źle zrozumiane. Dlatego nie mówiliśmy nic, tylko leżeliśmy w bezgłośnym, głębokim uścisku.

Następnego dnia rano po cichutku wyslizgnęłam się do pracy. Sportowe buty Chalida leżały na podłodze obok łóżka. Kiedy wróciłam do domu, Chalida już nie było. Zniknął. Razem z walizką. Nie było listu pożegnalnego. Nawet kilku słów. Nic. Stałam jak porażona. Nie wiedziałam, czy mam się cieszyć, czy płakać. Czułam tylko dziwną pustkę. Sięgnęłam po szklanekę, chciałam się napić wody. Ręka mi drżała. W tej chwili puściły wszelkie tamy - dygotałam w ataku spazmatycznego płaczu.

Później zastanawiałam się, czy może Chalid już dawniej nosił się z myślą, by mnie odwiedzić - o wiele wcześniej, wtedy, gdy dopiero leciał do Stanów. A jeżeli tak, to czy przebieg tego spotkania, do którego w końcu nie doszło, był z góry ustalony? Czy dlatego fałszywie rozumiałam samotny wyjazd Chalida do Arizony, że i tak nie rozumiałabym go przez całe życie? Czy może wszystko było tylko dziełem głupiego przypadku? I tylko dlatego się nie udało? Pech, kaprys losu... Wielki żal.

Musiało upłynąć kilka tygodni, zanim wreszcie pojęłam, co się naprawdę stało: w Zurychu Chalid zrozumiał, że pochodzimy z zupełnie innych kultur, z innych światów. I pewnie dlatego raz na zawsze zniknął z mojego życia. Tak myślałam. Ale się myliłam.

Następne dwa lata to był czas przełomu: wielkie zmiany w moim życiu. Zakochałam się. Zmieniłam pracę, opuściłam także moje dotychczasowe mieszkanie. Myślałam, że teraz nareszcie wszystko jakoś się ułoży.

Jedyne, co we mnie pozostało z dawnych lat, to ciekawość nieznanego, tęsknota za podróżami, za przygodą. Te uczucia stały się tak silne, że prawie nie mogłam wysiedzieć w kraju, ciągnęło mnie w świat. Ale do końca nie wiedziałam, co robić: studiować archeologię, organizować podróże kulturalne, czy też może zostać stewardessą i zwiedzać świat? Zdecydowałam się najpierw skończyć Szwajcarskie Studium Turystyki, które oferowało mi duże możliwości. Wydawało się, że podjęłam dobrą decyzję. Poza tym postanowiłam raz na zawsze przestać myśleć o Chalidzie; koniec, musi zniknąć z mojego życia, ten etap mego życia muszę uznać za zakończony! Ale okazało się, że to nie takie proste. Gdyż wbrew wszelkim oczekiwaniom, Chalid znowu odezwał się z Arizony. I, co dziwne, w duchu bardzo mnie to ucieszyło. Czy dlatego, że oznaczało to kontakt ze światem arabskim?

Kultura arabska fascynowała mnie od dziecka. Ciekawiły mnie arabskie bajki, oglądałam arabskie filmy... postacie w długich białych i złocistych szatach robiły na mnie duże wrażenie.

Czytałam listy Chalida i nie mogłam wyjść ze zdumienia z jaką łatwością przeszedł do porządku nad tym, co się wydarzyło.

Ani słowa o tym, dlaczego wyjechał bez pożegnania. Podobnie jak poprzednio tematem listów od niego był uniwersytet i piłka nożna. A mógł mi przecież opowiedzieć coś o swojej rodzinie, o Dubaju, o tym, jak wygląda jego rodzinne miasto. Ale nic z tych rzeczy. A ja obiecałam sobie, że pewnego dnia i tak tam pojadę, że objadę ten kraj wzdłuż i wszerz. Bo chociaż nie widziałam tego miejsca, to miałam dziwną pewność, że wygląda tak, jak w moich marzeniach...

W listach od Chalida wyczuwałam między wierszami jego wielką tęsknotę za krajem, za pustyniami Arabii. Współczułam mu i było mi go żal. Nagle dotarło do mnie, dlaczego to korespondowanie ze mną było dla niego tak ważne: musiał się czuć bardzo osamotniony w Arizonie.

Tak mi się wydawało.

Wkrótce jednak wszystko, co związane było z Chalidem, przestało mnie boleć. Upajałam się moją nową miłością, moim nowym szczęściem i zapomniałam o Chalidzie. Uspokoiliłam się i rozkwitłam - rodzina i przyjaciele odetchnęli z ulgą.

Człowiek, który obudził mnie do nowego życia, nazywał się Marco. Typ sportowca. Jego entuzjazm i nieskończona cierpliwość, którą miał dla mnie, sprawiły, że pochłonęły mnie najróżniejsze sportowe zajęcia: skoki ze spadochronem, narty wodne, śmiganie na desce surfingowej po wodach wietrznej zatoki Psaru. Wiosną, ledwie stopniały ostatnie śniegi wskakiwaliśmy najego czarny motocykl kawasaki i jechaliśmy, nie śpiesząc się - to był warunek! - przez tunel św. Gottharda albo przełęcz Brenner. Mocno przytulałam się do muskularnego ciała Marka, a on pewnie prowadził ciężką maszynę pod wiatr. To było wspaniałe, oszałamiające uczucie.

W końcu uznałam, że czas zawiadomić Chalida o mojej nowej miłości. Nie chciałam sprawić mu przykrości - po prostu nie wiedziałam, jak sobie z tym poradzić. Jeśli mu nie powiem, to ta historia między nami nigdy się nie skończy.

Ledwie te przykre słowa poleciały przez Atlantyk, a już odwrotną pocztą przyszła odpowiedź. Z dziwnym, nieprzyjemnym przeczuciem trzymałam w ręku list od Chalida i wahałam się, czy go otworzyć... przez chwilę obracałam przesyłkę w ręku, a potem wrzuciłam list do szuflady. Bałam się, że będę musiała przeczytać przykre, obraźliwe słowa, podyktowane urażoną dumą. Ale nie wytrzymałam - list Chalida nie dawał mi spokoju. Następnego dnia, zdecydowana znieść najgorsze, ze złością rozerwałam kopertę. Ale tego, co zawierał list, nie spodziewałam się nawet w najśmielszych snach. Nie wierzyłam własnym oczom. Musiało potrwać chwilę, zanim oswoiłam się z tymi rewelacjami.

Okazało się, że Chalid też znalazł nową miłość! Jego wybranka studiowała psychologię i seksuologię na uniwersytecie w Tucson w Arizonie.

Co za ironia losu!

Co jeszcze pisał Chalid? Chciałby, żebyśmy na zawsze, na wieczność pozostali przyjaciółmi.

Dosłownie mnie zatkało. Nie wiedziałam, co o tym myśleć.

Kiedy opowiedziałam o tym mamie, ona tylko wzruszyła ramionami, nie zrobiło to na niej szczególnego wrażenia.

- Wcale mnie to nie dziwi - powiedziała tylko - on już od dawna robi to, co ty teraz. Przecież niczego innego nie można się spodziewać po dumnym mężczyźnie, wszystko jedno czy to Szwajcar, czy Arab.

Spojrzałam tylko na nią, nic nie rozumiejąc. Wcale mnie to nie śmieszyło.

Pewnego dnia, wiosną następnego roku usłyszałam, jak mama woła do mnie z dołu w naszym mieszkaniu:

- Verena, Verena! Gdzie jesteś?

Była wyraźnie podekscytowana.

Właśnie skończyłam naukę w Szwajcarskim Studium Turystyki i uzyskałam dyplom. Droga do ciekawej pracy zawodowej stała przede mną otworem.

- Verenaaa!

- O co chodzi? - wychyliłam się przez poręcz. Normalnie mama zwracała się do mnie pełnym imieniem tylko przy obcych.

Teraz zaś znacząco wskazała na aparat telefoniczny i szepnęła:

- To Chalid!

- Co? O Boże! Nie odbiorę! Przecież wiesz, że nie chcę żadnych kontaktów!

Nie wiedziałam, co robić. Mama wyszła, zostawiając słuchawkę obok widełek. Chalid mógł wszystko usłyszeć! W tej chwili nienawidziłam go. Poczułam bolesny skurcz żołądka, serce waliło mi jak młotem - zesłam po stopniach w dół i powiedziałam chłodno: „Hello?”.

Ku mojemu zaskoczeniu nie usłyszałam nic poza echem własnego powitania. Dopiero po kilku sekundach, jak z odległej planety dobiegł mnie gardłowy głos Chalida. W dodatku, pobrzmiwał w nim delikatny ton rozbawienia, co mnie, oczywiście, od razu zirytowało.

Moje „skąd dzwonicz?” nałożyło się gdzieś w przestrzeni na jego słowa. W końcu słychać było już tylko jakieś niezrozumiałe szumy, bełkot i trzaski. To było okropne. Zamilkłam. Wyda-

wało się, że upłynęła cała wieczność, zanim Chalid ponownie podjął rozmowę.

- Verena, chciałem się tylko dowiedzieć, co u ciebie i u twojej rodziny... jak się wam powodzi...

Odczekałam kilka sekund, by się upewnić, że już nic więcej nie powiedział.

- Och, znakomicie, naprawdę, wszystko w porządku! To miłe z twojej strony, Chalid!

Jakbym widziała, że się uśmiecha!

- No, przecież jesteśmy teraz przyjaciółmi, prawda, Verena? Tak?

- Co? Co takiego? Oczywiście!

Starałam się ignorować niektóre pytania czy uwagi, które dobiegały ze słuchawki, co wydawało się bawić Chalida. „A swoją drogą - zastanawiałam się podczas rozmowy - skąd on ma pieniądze, żeby dzwonić do mnie do Szwajcarii ze Stanów, by sobie ze mną pogawędzić?”

- Okay, Verena, don't forget to write me - przypomniał mi na koniec.

Wiedziałam!

- Ani mi się śni! - wrzasnęłam do słuchawki.

- Że jak?

Chalid wybuchnął nagle głośnym śmiechem i rzucił:

- W takim razie będziemy dzwonić.

I usłyszałam trzask odkładanej słuchawki...

O co mu chodzi? Co się dzieje w głowie tego syna pustyni? Chalid był dla mnie coraz większą zagadką. Czy chodzi o to, że tak bardzo tęskni za domem? - zastanawiałam się. A może



o co innego? Może znaczą dla niego więcej, niż może, niż potrafi wypowiedzieć? Więcej niż wydawało sięjemu samemu?

W końcu zaczął dzwonić co kilka tygodni. Dzięki Bogu nie zawsze byłam w domu, a często zmęczona tym wszystkim po prostu kazałam mówić, że mnie nie ma. Myślę, że Chalid doskonale wiedział, że to nieprawda.

- Miło cię wreszcie usłyszeć - powiedział kiedyś. - Trudniej się do ciebie dodzwonić niż do prezydenta Stanów Zjednoczonych. Ale muszę przyznać, że świetnie mi się zawsze rozmawia z twoją mamą.

Pięknie, moja mama ucina sobie z Chalidem telefoniczne pogawędki! Coraz lepiej! Mama nawet nie chciała słyszeć, że w ten sposób tylko mi szkodzi, że to komplikuje sytuację, a Chalid dostaje fałszywe sygnały. „Przecież chcęjak najlepiej” - usłyszałam od niej. „Tylko dla kogo?” - pomyślałam.

- Słuchaj, Verena, niedługo lecę na wakacje do domu. Najprawdopodobniej zatrzymam się w Zurychu. Powiedz, co ci przywieźć, chciałbym ci zrobićjakiś prezent.

Tego jeszcze brakowało! Chalid najwyraźniej uważał, że będę miała czas i ochotę zobaczyć się z nim. W dodatku wiedział przecież, żejestem z Markiem!

- No to przywieź mi kowbojski kapelusz! - odpowiedziałam złośliwie.

- Hej, Verena, nie traktujesz mnie poważnie. Możesz poprosić o coś naprawdę pięknego. Przecieżjesteśmy przyjaciółmi.

„Tak, tak, przyjaciółmi...” - pomyślałam... zupełnie nie mogłam pojąć, dlaczego tak przy tym ciągle obstaże. Bo czy kobieta i mężczyzna mogą w ogóle być przyjaciółmi? Nie byłam tego taka pewna...

W każdym razie pewnego pięknego popołudnia cztery miesiące później Chalid po prostu zadzwonił i powiedział: „No, to jestem!”.

Tak naprawdę wcale nie chciałam dłużej uczestniczyć w tym szaleństwie. I sama nie wiem, co mnie tamtej niedzieli skłoniło, żeby jeszcze raz zobaczyć się z Chalidem.

Fakt, że Chalid zatrzymał się w eleganckim pięciogwiazdkowym hotelu, tuż przy zuryckim pasażu handlowym, był dla mnie ogromnym zaskoczeniem. Kiedy tamjechałam, przez całą drogę towarzyszyło mi osobliwe uczucie. Myśl, że Chalid prawdopodobnie oszczędzał pieniądze po to, by mi zaimponować, nie była wcale przyjemna.

W nieszczęśliwym nastroju weszłam do hotelowego foyer. Przy recepcji stało kilku mężczyzn z podróżnymi teczkami i płaszcami przeciwdeszczowymi. Portier właśnie ładował bagaże na wózek. Drzwi windy otwierały się i zamykały. Rozejrzałam się szybko dookoła, ale poza przybywającymi gośćmi nie zauważyłam nikogo. W końcu zaanonsowałam się w portierni i usiadłam w jednym ze skórzanych foteli.

Szczerze mówiąc, odczuwałam lekkie zdenerwowanie. Ale, inaczej niż ostatnim razem, nie drżały mi kolana. Przecież teraz Chalid i ja byliśmy tylko przyjaciółmi. Tak przynajmniej myślałam. W każdym razie postanowiłam, że już nie popełnię tego błędu, by uścisnąć go na powitanie.

Drzwi windy rozsunęły się znowu i zobaczyłam Chalida. Moje zdumienie było bezgraniczne. Ujrzałam wysokiego, przystojnego mężczyznę o szerokich barach, który spoglądał na mnie ciemnymi, błyszczącymi oczami. „O Boże - przebiegło mi przez

głową - ale się odstawił! Naprawdę świetnie wygląda". Przestraszyłam się tej mojej reakcji i pomyślałam: „Mam nadzieję, że nie zauważył z daleka mojego zdziwienia i zachwytu". Ale z Chalidem działo się coś podobnego, widziałam, że z każdym krokiem coraz trudniej zachować mu powściągliwość i udawaną powagę. W pewnej chwili nie mógł już dłużej powstrzymać radości i szeroki uśmiech rozjaśnił mu twarz. Szybko wyciągnęłam rękę i mocno uściśnięłam mu dłoń na powitanie. Nie zdziwiło mnie, kiedy na jego twarzy zobaczyłam lekkie rozczarowanie. Chalid mimowolnie zdradził się ze swoimi uczuciami i choć nic to nie zmieniało, to jednak ucieszyłam się w skrytości ducha.

Ledwie usiedliśmy, natychmiast pojawił się kelner. Dla ośmielenia miałam ochotę na coś mocniejszego, może kieliszek Cùpli, ale z szacunku dla muzułmańskich zwyczajów zamówiłam tylko sok pomarańczowy. Sama nie wiem, co o tym zdecydowało: troska o to, by nie potwierdzić złej opinii o Zachodzie, czy może chęć przypodobania się Chalidowi.

Kiedy już wymieniliśmy wszystkie uprzejmości dotyczące naszych rodzin, wszystkie: co słyhać i jak ci się powodzi, na chwilę zapadła cisza. Chalid przyglądał mi się badawczo, jakby chciał się czegoś dopatrzeć.

- Dobrze wyglądasz, Verena - przerwał w końcu milczenie.

Poczułam, że się czerwienię i spuściłam wzrok na wyścieloną dywanem podłogę.

- Dziękuję - odparłam. - Ty też się dobrze prezentujesz. Wydaje mi się, że urosłeś, jakieś dwa, trzy centymetry... prawda?

Spojrzał na mnie z wyrzutem, ale w jego oczach dostrzegłam dumę.

- Chalid, na miłość boską, mógłbyś mi wreszcie powiedzieć, ile tak naprawdę masz lat! - rzuciłam żartobliwie.

Oczywiście wiedziałam, że to pytanie ogromnie go śmieszy. Ale i tym razem nie odpowiedział, zachował dla siebie tę słodką tajemnicę.

Mimo wszelkich wysiłków, jakoś nie udawało mi się rozruszać Chalida. Siedział poważny i skupiony. Jego ciemne oczy co chwila spoglądały na mnie uważnie, właściwie... było to przezywające spojrzenie. To mnie onieśmielało, czułam się coraz bardziej skrępowana, do tego stopnia, że nawet picie świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego okazało się problemem. Natomiast Chalid sprawiał wrażenie spokojnego i pewnego siebie. Wyglądało na to, że lata spędzone w Stanach zrobiły jednak swoje. A co do mojego skrępowania, to brało się ono zapewne z mojej nieśmiałości, jaką zawsze odczuwałam - i, niestety, nadal odczuwam - w stosunku do mężczyzn.

W pewnej chwili Chalid spojrzał mi prosto w oczy i zapytał:

- Verena, co powiesz na wspólną kolację? Zarezerwowałem dla nas stolik w sali z grillem.

Kompletne zaskoczenie.

- To bardzo miło z twojej strony, Chalid - odparłam. - I tak chciałam jeszcze porozmawiać o twoich planach na przyszłość... Zdaje się, że niedługo kończysz studia, prawda?

- Zgadza się. Jeszcze rok. Ale opowiem ci o tym później. Najpierw mam dla ciebie małą niespodziankę. Chodźmy na chwilę na górę, do mojego pokoju.

Zatkało mnie. Byłam tak zaskoczona, że nie wiedziałam, jak mu odmówić, jak się sprzeciwić tej niewinnej propozycji. Zresztą, w końcu byliśmy przyjaciółmi. Zanim się obejrzałam,

już jechaliśmy windą na górę, ja z bijącym sercem, zdenerwowana i zażenowana. Spuściłam oczy, ale i tak wiedziałam, że Chalid spogląda na mnie z uśmiechem. W tamtej chwili czułam do niego autentyczną odrazę.

Kiedy otworzyły się drzwi, rzuciły mi się w oczy dwie ogromne walizy. Jedna z nich leżała otworzona na podłodze. Ominęłam bagaże i stanęłam w nogach podwójnego łóżka.

- Usiądź - poprosił Chalid.

Ponieważ fotel zarzucony byłjakimiś rzeczami, nie pozostało mi nic innego, jak usiąść na brzegu łóżka. Kiedy Chalid przeszukiwał walizkę, dyskretnie odwróciłam wzrok. Upłynęła dobra chwila. Chalid ciągle przewracał rzeczy w walizce. Chciało mi się trochę śmiać i nie wiedziałam, na co skierować wzrok. Wyglądało to naprawdę komicznie. Nie mogłam uwierzyć, że to ten sam Chalid, któryjakiś czas temu młody i niedoświadczony, nie wiedząc, jak się zachować, po prostu uciekł z mojego mieszkania. Z pewnością jednak, chociaż od tamtego zdarzenia minęły trzy długie lata, na taką przemianę nie byłam przygotowana.

W końcu Chalid wyciągnął z walizki małą paczuszkę.

- To chyba nie jest kowbojski kapelusz? - zażartowałam, chociaż wcale nie byłam w nastroju do żartów, a ta sytuacja krępowwała mnie w najwyższym stopniu.

Bez słowa, z rumieńcem na twarzy Chalid podał mi prezent. Była to mała szkatułka z napisem w języku arabskim. Trzymając ją na dłoni, zaczęłam się domyślać, co się w niej znajduje. Spojrzałam na Chalida i zobaczyłam, że na nosie zebrały mu się kropelki potu. W pokoju nagle zrobiło się zupełnie cicho, słychać było tylko szum klimatyzacji. „Boże, co za sytuacja!” - pomyślałam i uniosłam wieczko.

- Chalid, jesteś szalony! Taki prezent!

Szkatułka była wyścielona białym atłasem. Pośrodku leżało złote serduszek na łańcuszku. Zrobiło mi się gorąco. Czy przyjaciele robią sobie takie prezenty? Nie, absolutnie nie! O co tu chodzi? Co się dzieje z Chalidem? Czemu nagle okazuje mi tego rodzaju uczucie. Teraz, gdy mamy być już tylko przyjaciółmi. Nie potrafiłam wydobyć słowa. Szybko ucałowałam Chalida w oba policzki i stanęłam przed lustrem, żeby założyć łańcuszek.

Chalid natychmiast do mnie podszedł.

- Daj spokój, dam sobie radę sama - powiedziałam.

Jego spojrzenie uważnie śledziło w lustrze moje ruchy. W jego oczach na chwilę pojawił się dziwny, gorączkowy blask. „Szalony człowiek” - pomyślałam. Tak, musiał być szalony. Te skrajne wahania uczuć, ta ciągła huśtawka nastrojów, jak można to wytrzymać? Postanowiłam jeszcze tego samego wieczoru postawić sprawę jasno i powiedzieć, żeby skończył z tą dziecinnadą. W końcu był już na tyle dorosły, by podjąć jakąś konkretną decyzję.

- Chalid, to jest piękne. Ale chyba powinniśmy już iść na kolację.

- Ależ oczywiście, Verena, idziemy.

Zabrzmiało to tak naturalnie, jakby Chalid o niczym innym teraz nie myślał. I tylko ten jego uśmiech... to lekkie wygięcie ust i wiele mówiący wyraz oczu zdradzały, co miało zaraz nastąpić. Chalid nagle po prostu wziął mnie w ramiona, objął - zdecydowanie, mocno. Serce podskoczyło mi do gardła. Byłam całkowicie oszołomiona. I nie wiedziałam, co myśleć.

Kiedy jechaliśmy windą w dół, serce ciągle waliło mi jak młotem. Drzwi się otworzyły i zaraz pojawił się ktoś z obsługi restauracji.

Byliśmy pierwszymi gośćmi, którzy weszli na salę i ostatnimi, którzy opuścili lokal. Mieliśmy sobie tyle do powiedzenia. Choć teraz, kiedy patrzę na to z perspektywy czasu, muszę stwierdzić, że właściwie nie otrzymałam od Chalida ani jednej konkretnej odpowiedzi na moje pytania. „Z pomocą Allaha” Chalid umiejętnie nie dopowiadał wielu rzeczy. Mimo to przez cały wieczór byliśmy tak pochłonięci rozmową, że przestaliśmy kontrolować czas, kompletnie nie wiedząc, co dzieje się wokół nas.

Kiedy Chalid od czasu do czasu wtrącał słówko o swoim domu, ogarniało mnie przemożne pragnienie, by na zawsze zabrał mnie do Dubaju. Byłam przekonana, że to cudowne miejsce. Ale o swojej przyszłości Chalid mówił tak mgliście, że nie odważyłam się nawet słówkiem pisnąć o moich marzeniach. W końcu usłyszałam, że po skończeniu studiów zamierza starać się o pracę we Francji jako fizyk atomowy.

- Bylibyśmy wtedy bliżej siebie - dodał.

Z radości przez chwilę nie mogłam oddychać. Nastrój był coraz bardziej intymny, jednak w atmosferze naszej rozmowy wyczuwało się coraz większe napięcie. Nagle w oczach Chalida, dopiero co rozradowanych i pełnych tęsknoty, pojawił się wyraz troski i przygnębienia.

- Dlaczego nie w Dubaju? - zapytałam wprost.

- Ach, Verena, pustynia... nie sądzę, żeby życie na pustyni było dla ciebie odpowiednie. Ponadto w Dubaju nie ma pracy, w każdym razie nie dla fizyka atomowego...

- No, to po co robisz te studia? Myślałam, że chcesz pomagać swojemu krajowi w rozwoju.

- Jeśli Allah zechce, znajdzie dla nas miejsce gdzieś na tym świecie. Ale do tego dnia jest jeszcze daleko...

Tak, tak, jeśli Allah zechce... ulubiona odpowiedź Chalida. Odpowiedź, która niczego nie wyjaśnia. Chalid ciągle robił uniki, wymykał mi się, kiedy tylko pytałam o konkrety. Nadal nie bardzo rozumiałam, dlaczego zdecydował się na ten kierunek studiów. A ponadto pozostawało dla mnie zagadką, czemu nie chciał wracać do Dubaju, on, który tak tęsknił za pustynią. Coś mi tu nie pasowało.

Siedzieliśmy już tak dobre trzy godziny, kelnerzy zaczęli zniknąć, zbliżała się godzina zamknięcia lokalu, a wraz z nią ta straszna chwila: „Już zaraz znowu na długo rozstanę się z Chalidem...” - pomyślałam. Zrobiło mi się ciężko na sercu, ledwie mogłam oddychać.

Chalid jakby to wyczuł, bo wziął moją dłoń i mocno ścisnął w swoich dłoniach.

- Gdybyś tylko wiedziała, jak bardzo za tobą tęskniłem...

Na te słowa ogarnęło mnie zwątpienie.

- Ależ Chalid, dlaczego mówisz mi o tym dopiero teraz? - wyrzuciłam z siebie.

Zobaczyłam, że na jego twarzy pojawił się wyraz prawdziwej rozpacz. Patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami, niezdolny do wypowiedzenia ani jednego słowa.

W tej chwili częściowo wyłączono oświetlenie lokalu. To był znak, że powinniśmy się zbierać.

Wstaliśmy od stołu i przeszliśmy do foyer. Oboje nie mogliśmy zapanować nad wzruszeniem.

- Czy zobaczymy się jeszcze raz? - zapytałam, kiedy czekał na taksówkę, która miała mnie zawieźć do domu.

- Obawiam się, że już jutro muszę lecieć do Dubaju, Verena. Wiesz, czeka na mnie rodzina...

- Ach, tak...jasne...



To oznaczało, że znowu się rozstaniemy bez żadnych planów na przyszłość.

Po chwili zajechała taksówka. Chalid otworzył tylne drzwiczki.

- Wsiadaj! - rzucił energicznie.

Musiałam spojrzeć na niego z całkiem zdezorientowaną miną, bo uśmiechnął się lekko i powiedział:

- Co tak patrzysz? Myślałaś może, że pozwolę ci samej pojechać do domu?

Westchnęłam głęboko i wsiadłam do taksówki.

Kiedy wóz ruszył, Chalid mocno chwycił moją rękę.

- Chcę do ostatniej chwili być z tobą - powiedział.

Zrobiło mi się jeszcze ciężiej na sercu. Głęboko zasmucona spoglądałam na migające obok nas światła miasta i modliłam się, żeby te ostatnie minuty trwały wiecznie.

Nagle ciszę przerwał głos Chalida:

- Verena, następnym razem chciałbym poznać twoją mamę, dobrze?

Moje zdumienie było bezgraniczne, spjrzałam na niego rozpromienionym wzrokiem.

- Oczywiście, Chalid. A kiedy ja poznam twoją?

Chalid na moment zaniemówił.

Ale zaraz wybuchnął śmiechem i powiedział lekkim tonem:

- Hm... dobrze, porozmawiam z nią.

Co w tym takiego śmiesznego?

Taksówka zatrzymała się i Chalid poprosił kierowcę, żeby chwilę poczekał. Przy wejściu do domu po raz ostatni wziął mnie w ramiona.

- Sweetheart, wszystko będzie dobrze, zaufaj mi, dobrze? Proszę, spójrz na mnie, kocham cię.

Dotknął złotego serduszka na mojej szyi i przymknął oczy. Tylko na sekundę. Potem ujął moją twarz w dłonie i delikatnie dotknął ustami moich warg.

Następnego dnia przyszło otrzeźwienie. Chalid wyjechał, a moje uczucia zapłonęły na nowo. Zrozumiałam, że marzę o mężczyźnie, którego nie mogę mieć. Przynajmniej nie tutaj, nie teraz. Chalid błagał mnie o cierpliwość i zaufanie. Ale jak długo można panować nad tęsknotą? Znosić tę wieczną niepewność? Nagle zdałam sobie sprawę z tego, że w ogóle na ten temat nie rozmawialiśmy. Żadnych konkretów, żadnych ustaleń. Podeszłam do lustra, dotknęłam złotego serduszka i... przez chwilę miałam ochotę zerwać je z szyi. Z moich ust wydobył się jęk rozpacz. Co mnie tak zaślepiło? Czemu pozwalałam manipulować sobą i swoimi uczuciami, jak mogłam znowu dopuścić do takiej sytuacji? Jestem idiotką! Kompletną idiotką! Ale wszystko jest możliwe - jeśli tylko Allah zechce!

Mijały tygodnie i miesiące. A mnie dręczyły wątpliwości i niepewność. I nie pomagały na to nawet najczulsze listy z Arizony i Dubaju. To były słowa i tylko słowa. Nic uchwytneho, nic, na czym mogłabym się pewnie oprzeć. A czas upływał. Niepostrzeżenie. I nieubłaganie. W końcu nie mogłam już patrzeć na swoje odbicie w lustrze. Najbardziej żał mi było Marka. Po wizycie Chalida po prostu nie mogłam dłużej się z nim spotykać. A im dłużej to wszystko trwało, tym silniejszą odczuwałam potrzebę zostawienia za sobą wszystkiego.

Po zastanowieniu uznałam, że powinnam postawić Chalidowi ultimatum. Napisałam do niego i zaznaczyłam, że są to

ostatnie słowa, jakie do niego kieruje. Więcej nie będę pisać. Teraz jest już wystarczająco dorosły, by podjąć jakąś decyzję. Wie też, gdzie mnie szukać, jeśliby chciał pojąć mnie za żonę. Poinformowałam go, że wyjeżdżam na Kretę i będę na niego czekać, aż skończy studia.

Kiedy już raz podjęłam decyzję, wszystko poszło bardzo szybko. Wymogłam na mamie obietnicę, że nie zdradzi Chalidowi mojego kreteńskiego adresu. Miałam dość słów. Teraz oczekiwałam czynów. Jak długo można żyć tylko westchnieniami i czczymi obietnicami.

Anons: „Poszukiwana przewodniczka po Krecie” przyszedł w samą porę; był mi tym bardziej na rękę, że przecież miałam już za sobą pobyt w Grecji i pewne doświadczenie.

Chania, piękne miasto nad rozległą zatoką w zachodniej części wyspy, stała się moim nowym domem. Ledwie przybyłam, rzuciłam się w wir pracy w Kydonia Travel, agencji turystycznej działającej dla europejskich biur podróży. To, co przeżywałam w związku z Chalidem, dodawało mi siły i energii, byłam naprawdę w doskonałej formie. Pracę zaczynałam o szóstej rano od wycieczek, a kończyłam dopiero po północy, kiedy już wszyscy nowo przybyli turyści zostali przywiezieni z lotniska i rozlokowani w hotelach. To była szaleńcza, wyczerpująca, ale i ekscytująca praca. Dokładnie to, czego mi było trzeba, by nie myśleć i nie rozpamiętywać.

W tym czasie poznałam wiele nowych miejsc, a także wielu nowych mężczyzn. Miałam też na swoim koncie pewne niewielkie osiągnięcia. Otóż w każdy czwartek „zaliczałam” słynny wawóz Samaria w towarzystwie około pięćdziesięciu ofice-

rów NATO. Utrzymanie w ryzach takiej gromady tryskających energią, pewnych siebie mężczyzn nie zawsze było łatwe. Siedemnaście kilometrów robiliśmy w dwie godziny i czterdzieści pięć minut, podczas gdy przewodniczki pokonywały z turystami tę trasę nierzadko w pięć godzin.

Sezon turystyczny skończył się pod koniec października.

Któregoś dnia z żalem spakowałam manatki i pojechałam na lotnisko w Chanii. A tam wszyscy patrzyli tylko na mnie. Miałam na sobie czarne, wysokie kreteńskie buty, szyte na miarę, do tego ciemne, szerokie spodnie i tradycyjną czarną, robioną na szydełku opaskę na głowie.

Kreta miała dla mnie nieodparty urok i było mi przykro rozstawać się z tą wspaniałą wyspą, na której kiedyś Grek Zorba tańczył słynne sirtaki.

Na lotnisku w Zurychu czekała na mnie moja siostra, Dagmara.

- Jassu kritikopula. Wracasz w odpowiednim momencie - powitała mnie ze śmiechem. - Mamajuż się cieszy, żejej pomożesz przy urządzaniu nowego mieszkania.

No proszę, jakie przywitanie! Jeszcze nie zdążyłam rozpakować walizek, a rodzinajuż ma dla mnie nowe zajęcia. Kiedy wsiadłyśmy do samochodu, z entuzjastycznym powitaniem dosłownie rzucił się na mnie Topolino, maltańczyk mojej siostry. Wprawiło mnie to w doskonały humor i wtedy poczułam, że wróciłam do domu!

Któregoś popołudnia, kiedy wieszaliśmy na ścianach obrazy, zagadnęłam mamę o Chalida:

- Mamo, powiedz, czy Chalid odezwał się w ogóle chociaż raz, kiedy mnie nie było?

- No pewnie!

Zastanowiła się przez chwilę.

- Chyba to było w sierpniu... tak, wydaje mi się, że w sierpniu dzwonił po raz ostatni...

- Ach, naprawę?

Mama rozmawiała ze mną obojętnie, a nawet wydawało się, że temat „Chalid” ją nudzi. Ale to były tylko pozory, bo tak naprawdę ta rozmowa sprawiała jej przyjemność, doskonale o tym wiedziałam, dobrze znałam moją mamę.

W krajach arabskich matce okazuje się wielki szacunek i poważanie. I Chalid z odpowiednim respektem zwracał się zawsze również do mojej mamy. Był dla niej miły i uprzejmy. Oczywiście przez telefon. To jej się podobało.

- No i... czego chciał? - pytałam dalej, równie obojętnym tonem.

- Cóż... chciał wiedzieć, jak nam się powodzi... I kiedy wracasz do domu.

- A ty, co mu powiedziałaś?

- Powiedziałam, że dokładnie nie wiem i że pewnie sama się do niego odezwiesz.

- Aha. I to wszystko?

- Tak, wszystko.

- A czy on wie o tym mieszkaniu... to znaczy, czy wie, że się przeprowadziłyśmy?

- Nie.

A więc nie wie! W głowie zaczęło mi wirować od natłoku myśli: Chalid nic nie wie o przeprowadzce! To doskonale! To pozwala zatrzeć wszelkie ślady, jeśli tylko zechcemy. Żadnego kontaktu. Chalid mnie nie znajdzie. No, chyba że zatrudni agentów FBI!

- Mamo, posłuchaj...

- Och, proszę, nie zaczynaj znowu...

I tak oto zniknęłyśmy. Było to 31 października 1985 roku.

Ta sytuacja nie była dla mnie łatwa. Odczuwałam jednak satysfakcję już na samą myśl o tym, jak bezradny i wściekły będzie Chalid, kiedy zorientuje się, co się stało. Przebolełam nawet list z adnotacją „Adresat się wyprowadził”. Chalid mnie rozczarował, zawiódł moje nadzieje i musiał ponieść karę. Byłam rozgoryczona i rozżalona. Chociaż w gruncie rzeczy, czego innego mogłam się spodziewać? Najwyraźniej, jego miłość nie wytrzymała próby. Jedyne, co mogłam teraz zrobić, to odciąć się od tej historii - inaczej już nigdy w życiu nie zaznam szczęścia.

Po kilku miesiącach, zaczęło mnie dręczyć sumienie. To było nieuniknione. I trwało jakiś czas. Ciągłe słyszałam głosy: ten numer jest nieaktualny... ten numer jest nieaktualny... A przed moimi oczami pojawiała się koperta z adnotacją „Adresat się wyprowadził”. Ciągłe robiłam sobie wyrzuty, zadrezczałam się, w nocy nie mogłam spać. Ale nie zdradzałam się z moimi uczuciami. Moje smutki i rozpacz przeżywałam samotnie, bo i komu mogłabym się poskarżyć? Nikt nie przyznałby, że postąpiłam słusznie. Bezsensowność mojego postępcu, który wynikał z bezradności i rozpacz, uzmysłowiłam sobie dopiero potem.

Na Allaha - nie pozostało mi nic innego, jak mieć nadzieję, że Chalid jakoś przeboleł to wszystko i że dobrze mu się wiedzie.

Dni upływały, życie toczyło się dalej - a ja po jakimś czasie przestałam w ogóle o tym myśleć.

Trzy lata później, w Boże Narodzenie 1988 roku, moja przyjaciółka Lisa rozstała się ze swoim partnerem. Bardzo to przeżywała. W pewnej chwili przyszło jej do głowy, żeby wyjechać ze mną w podróż do Austrii, na jedną z tych beauty farms, by tam dość do siebie.

- Ależ Lisa! - zaprotestowałam. - To jest wyrzucanie pieniędzy! Po co ci spa! Piękno to coś, co pochodzi z wnętrza człowieka. Daj spokój! Pojedźmy raczej tam, gdzie szumi morze i świeci słońce. Zabawmy się, zobaczmy coś ciekawego!

Przekonywałam ją przez kilka dni i po tygodniu była gotowa na podróż. Przed nami piętrzyły się sterty prospektów turystycznych. To miało być coś ekskluzywnego, tutaj byliśmy jednomyślnie. Nasz wybór padł na Sycylię. Na pewno będzie fantastycznie! Będziemy spacerować i obserwować, jak wraz z nadejściem wiosny właściciele szykują swoje jachty w porcie. Ogromnie podekscytowane pobiegliśmy do najbliższego biura podróży. A tam agent - tak przy okazji - napomknął o najnowszej atrakcyjnej ofercie: Zjednoczone Emiraty Arabskie.

Był początek marca 1989 roku.

Od razu wiedziałam, że muszę namówić Lisę, żebyśmy zamiast na Sycylię poleciały do Dubaju. Nie ze względu na Chalida, nie, w żadnym wypadku nie chciałam go widzieć! Ale byłam ciekawa pustyni, miejsca, skąd pochodziły te wszystkie pełne tęsknoty listy.

Później zadawałam sobie pytanie, co mnie podkusiło, by pojechać właśnie tam, do kraju, gdzie, jak mogłam się spodziewać, moje życie znowu zmieni swój kierunek.

## *"Jebel Ali", 1989*

**P**o sześciogodzinnym locie w głośnikach rozległ się głos kapitana: „Ladies and gentlemen, podchodzimy do lądowania w Szardży. Prosimy zapiąć pasy bezpieczeństwa i ustawić oparcia foteli pionowo. Pasażerowie, którzy lecą dalej do Male, pozostają na pokładzie samolotu. Dziękuję bardzo”.

W latach osiemdziesiątych, zanim jeszcze Dubaj i Abu Zabi postawiły na rozwój turystyki, to właśnie Szardża była pierwszym emiratem, który otworzył się na turystykę. W owym czasie nie było jeszcze bezpośredniego połączenia Zurychu z Dubajem. Do wyboru były dwie możliwości: ośmiogodzinny lot przez Arabię Saudyjską albo też podróż samolotem czarterowym, lecącym na Malediwy. Emir Szardży wydał jednak całkowity zakaz spożywania alkoholu, który nadal obowiązuje. To spowodowało zmniejszenie liczby turystów i dzisiaj palmę pierwszeństwa w turystyce dzierży Dubaj.

Przez okienko w samolocie spjrzałam w ciemność nocy. Ku mojemu zdziwieniu pod nami połyskiwało i skrzyło się morze świateł.

- Lisa, niedługo lądujemy w Szardży - wykrzyknęłam podkscytowana. - Popatrz na pustynię! Jak tam się błyszczą!



Ale Lisy to nie obchodziło.

Kiedy podwozie samolotu wysunęło się z łoskotem, serce podskoczyło mi z radości, a jednocześnie napłynął chaos wspomnień i uczucie niepewności: co czeka mnie tam, na dole. Im bardziej obniżaliśmy lot, tym szybciej biło moje serce.

„Boże, co we mnie wstąpiło?” Taka myśl przemknęła mi przez głowę, gdy pod nami zniknęły światła, a maszyna lada chwila miała kołami dotknąć ziemi.

Jeszcze przed kilkoma tygodniami nawet nie myślałam o tym, by zobaczyć się z Chalidem. Co prawda świadomość, że ot tak, po prostu pojedę sobie do jego kraju, a on nie będzie nic o tym wiedział, trochę mnie uwierała. A im bliższy był dzień wylotu, tym bardziej mi to doskwierało. To już trzy i pół roku, odkąd zniknęłam, a mimo to samo wyobrażenie, że mogłabym najzupełniej przypadkowo natknąć się na Chalida na ulicach Dubaju, powodowało niemal paniczny strach.

Aby z góry wykluczyć wszelkie nieprzyjemne sytuacje, sięgnęłam w końcu po pióro i na kartce pocztowej nakreśliłam kilka niezobowiązujących słów:

*Hello, Chalid, mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku. Niedługo będę razem z moją przyjaciółką spędzać urlop w Dubaju (hotel „Jebel Ali”). Jeśli nie jesteś właśnie w USA, odezwij się. Pozdrowienia, Verena.*

Ciężki airbus powoli kołował w stronę budynku lotniska. Zdumiona patrzyłam na imponującą budowlę w stylu arabskim, bardziej przypominającą meczet niż terminal. Wszystko wydawało mi się jakoś dziwnie znajome. Zupełnie tak, jakbym już tu

kiedyś była... Nagle, zupełnie nagle, zapragnęłam znowu zobaczyć Chalida. Tęsknota narastała wraz z każdym metrem, który przybliżał nas do budynku lotniska. To było coś silniejszego ode mnie i nie potrafiłam się temu przeciwstawić. Coś, co pociągało i odurzało, a jednocześnie wzbudzało lęk. A jeśli nie uda mi się z nim zobaczyć? Bo przecież go zraniłam. Może Chalid ciągle jeszcze czuje urazę i żal i nie ma najmniejszej ochoty mnie widzieć. I czy w ogóle jest w Dubaju? Poczułam bolesne ukłucie w piersi. „Boże, spraw, żeby się udało” - wyszeptałam w duchu.

Kiedy schodziłyśmy z pokładu samolotu, stwierdziłyśmy, że poza trzema innymi pasażerami, wszyscy inni lecieli dalej, na Malediwy. „No i dobrze” - pomyślałam. W hali przylotów panował osobliwy spokój. Ciszę przerywało tylko pluskanie kilku pięknie zdobionych rzeźbieniami fontann. Jakiś mężczyzna o poważnej twarzy i w tradycyjnym białym ubraniu wskazał nam drogę do kontroli paszportowej.

- Widziałaś... tego szejka... - szepnęła Lisa.

Starałam się opanować. Widok pierwszego Araba w białej szacie wydał mi się dziwnie obcy, a jednocześnie działał na mnie podniecająco. Galeria, obiegająca halę dookoła, wiodła pod główną kopułą, wspartą na potężnej, bogato i kunsztownie zdobionej kolumnie. Przepych, piękno i bogactwo architektury robiły na mnie ogromne wrażenie.

Ledwie wyszłyśmy z hali, a tu nowa niespodzianka: duszno, parno, prawie nie można złapać oddechu. W powietrzu niemal namacalna wilgoć.

- Jak ja to wytrzymam... - jęknęła Lisa.

Ale już wkrótce siedziałyśmy w przyjemnie klimatyzowanym minibusie, który wiozł nas przez skrzącą się nocnymi świat-

łami metropolie. Przed naszymi oczami przesuwały się wspaniałe oświetlone, przeszklone pałace Dubaju, meczety, supermarkety i restauracje Pizza Hut. Wszędzie był duży ruch, a była trzecia nad ranem! „O Boże, ja chyba śnię! Ja oszaleję!”

Oczekiwałam czegoś zupełnie innego. Wydawało mi się, że poza naszym hotelem nie zastanę tu zbyt wielu luksusów i nowoczesności, tylko stare, zapyłone miasto.

Kiedy teraz o tym myślę, nie bardzo wiem, czemu jechałam do Dubaju z takimi wyobrazeniami: bezkresna pustynia, zakwiecone kobiety, mężczyźni o surowych twarzach. Taki obraz tkwił w mojej głowie. W wyobraźni widziałam gwarne bazyry, na których targowano się o wspaniałe wschodnie kobierce i złoto. A tu, ku mojemu zaskoczeniu, wszystko wyglądało zupełnie inaczej.

Kiedy nasz autobus cicho mknął dalej, zadawałam sobie kolejne pytanie, dlaczego Chalid nigdy mi o tym wszystkim nie opowiedział. O rzece Dubai Creek, dzielącej miasto na dwie części, o charakterystycznej panoramie wieżowców, hoteli i eleganckich sklepów. Albo o nowiutkich mercedesach, które mkną po autostradach.

Pomyślałam, że Chalid nie mówił mi o tym bogactwie, ponieważ sam pochodzi ze skromnej rodziny. I zaraz zrobiło mi się przykro. Postanowiłam, że jeśli tylko moja wiadomość do niego dotarła i Chalid się odezwie, zaproszę go na obiad do naszego hotelu.

Czteropasmowa, dobrze oświetlona autostrada prowadziła teraz przez pustkowia. Po lewej stronie nie było nic poza bezkresną pustynią, po prawej ciągnęły się piaszczyste plaże. Na poboczu co chwila, jak z nicości, wyłaniały się upiornie oświetlone, gigantyczne portrety emirów. To prawda, człowiek mógł

się tu poczuć nieswojo. Na szczęście od czasu do czasu, wyprzedzał nas jakiś mercedes i dzięki temu nie czuliśmy się tak osamotnieni w tej bezludnej okolicy.

- Jedziemy teraz wzdłuż strefy wolnocłowej Dżabal Ali - poinformował przez głośniki kierowca.

Wkrótce zwrócił naszą uwagę na kilka świateł w oddali. Tańczyły na horyzoncie, ledwie rozpoznawalne w dusznym, ciężkim powietrzu.

- To jest hotel „Jebel Ali”.

„Cudowny!”- pomyślałam zachwycona.

Podjeżdżaliśmy coraz bliżej i coraz wyraźniej widać było nasz hotel: w samym środku pustyni wyrastał z piasków, niby połyskująca szkatuła z klejnotami. Nad nim wisiał srebrzysty sierp księżycy... sceneria jak z *Baśni z tysiąca i jednej nocy*. Głęboko poruszona wpatrywałam się w dal. Na najbliższym skrzyżowaniu kierowca zjechał z Abu Dhabi Highway i skręcił w kierunku wybrzeża. Szkatuła ze skarbami zniknęła jak fatamorgana. W skupieniu wpatrywałam się w nieoświetloną drogę, którą jechaliśmy, i starałam się ustalić, gdzie teraz jesteśmy. Ale już za następnym zakrętem znaleźliśmy się na wjeździe do hotelu. Kręta droga dojazdowa prowadziła środkiem wspaniałego parku z egzotycznymi drzewami i różowymi krzewami bugenwilli. Nagle wyrósł przed nami majestatyczny budynek hotelu.

Za szklanymi drzwiami czekał już portier, który pomógł nam przy bagażach. I to o czwartej nad ranem! To zaskoczyło nawet Lisę. W jasno oświetlonym marmurowym westybulu pyszniły się ogromne kolumny. Kilka osób, stewardesy i piloci, którzy stali w hallu przy wózku do serwowania potraw, pijąc

kawę i posilając się kanapkami, spojrzeli na nas z zaciekawieniem. Na ścianie za recepcją wisiały olejne portrety władców tego kraju.

Kiedy wypełniłyśmy formularz meldunkowy i właśnie ruszyłyśmy do windy, recepcjonistka zawołała za nami:

- Przepraszam, jest tu jeszcze wiadomość dla pani, miss Schmidt.

Z niedowierzaniem wzięłam list, drżącymi palcami otworzyłam kopertę - w środku był faks. Lisa z zaciekawieniem nachyliła się nad kartką, aja przeczytałam z bijącym sercem:

*Hi Verena,*

*Welcome to the United Arab Emirates. I'll be glad to see you again.*

*I'll give you a call later on today.*

*Enjoy your day.*

*Chalid.*

Nie wierzyłam własnym oczom. Wszystko zawirowało mi przed oczami. Zalała mnie fala niewyobrażalnej radości, jakiej nie doświadczyłam nigdy przedtem.

- Nie pojmuję - mruknęłam cicho i poczułam, jak uśmiech mimowolnie rozjaśnia mi twarz.

Chciało mi się krzyczeć z radości, ale starałam się powściągnąć emocje. Słowa Chalida wywarły na mnie takie wrażenie, że stałam oszołomiona i jak z oddali, jak przez mgłę dotarła do mnie uwaga Lisy:

- No, mam nadzieję, że nie będzie u nas każdego dnia.

Zrozumiałam, co chciała przez to powiedzieć: po prostu chciała mieć trochę spokoju.

- Nie martw się - uspokoiłam ją - Al-Wahajest zbyt daleko stąd.

Nasze walizki były już dawno wypakowane, sukienki równiutko wisiały w szafie, a ja leżałam na łóżku i ciągle nie mogłam zasnąć. Podekscytowana i niespokojna wierciłam się i przewracałam z boku na bok; nie wiedziałam też, czego tak naprawdę spodziewać się po spotkaniu z Chalidem.

Po dwóch godzinach miałam dość, wstałam i poszłam na śniadanie. Sama. Lisa spała.

Wypiłam kawę i zapaliłam papierosa. Byłam zbyt zdenerwowana, by coś przełknąć. Ja, która zawsze miałam znakomity apetyt i lubiłam dobrze zjeść! Nie byłam pewna, czy kiedykolwiek wcześniej zdarzyło mi się nie mieć apetytu!

Przypomniałam sobie, jak to było, gdy miałam 17 lat i uczyłam się na dekoratorkę wystaw sklepowych. Mój pierwszy chłopak, Henrik, zabierał mnie na obiady. Najczęściej jadaliśmy w legendarnej „Ziircher Kronenhalle” lub eleganckiej wówczas restauracji „Nova Park”, albo «Piccoli Akademia”. Planowałam, że po skończeniu nauki wyjadę na kilka miesięcy do Anglii, by szlifować język. Ale Henrik chciał podróżować ze mną dookoła świata. „Ależ Verena, przecież i tak mamy się pobrać. Nie możesz mnie teraz zostawić. A podczas podróży i tak nauczysz się angielskiego” - argumentował. Tymczasem ja wcale nie byłam jeszcze dojrzała do tak bliskiego związku. Gdybym wtedy potrafiła się przeciwstawić Henrikowi, oszczędziłabym sobie wiele cierpienia: nie spotkałabym w Anglii Chalida, gdyż w owym czasie go tam nie było...

Henrik był, co prawda, marzycielem, ale też uparcie dążył do realizacji swoich marzeń. Szybko udało mu się załatwić wszystkie niezbędne formalności, zapakowaliśmy się do nowiutkiego samochodu z przyczepą kempingową i wyruszyliśmy w podróż.

Tak naprawdę spodobało mi się dopiero w Marrakeszu. Byłam zachwycona i oczarowana orientalnym kolorytem miasta. Zafascynowana i trochę przestraszona przemierzałam wąskie uliczki i bazyry miasta, wymijałam nosiwodów, przyglądałam się zaklinaczom węzów, zonglerom, magikom i akrobatom... W Algierii na własnej skórze przekonaliśmy się, jak niebezpieczne może być podróżowanie po tym kraju. Na szczęście nie zdawałam sobie wtedy sprawy z naszej lekkomyślności. Prawdę powiedziawszy, czuliśmy się bezpiecznie, gdy nocowaliśmy we wspaniałych hotelach, na przykład w malowniczej Konstantynie czy w czarującej Annabie.

Upłynęło sześć miesięcy naszej podróży i staliśmy właśnie przed granicą irańską, kiedy zdałam sobie sprawę, że Henrik ma poważne problemy ze zdrowiem. Już od dawna musiał cierpieć na depresję, bo stale powtarzał, że nie widzi żadnego celu w życiu. Poczułam nagle, że on przed czymś ucieka - i to ze mną.

I tak oto skończyła się nasza podróż dookoła świata - a wraz z nią moja pierwsza miłość.

Zadzwonił telefon. Lisa nieoczekiwanie wyrwana ze snu burknęła coś spod kołdry zaspanym, przestraszonym głosem. „To pewnie Chalid” - pomyślałam. Serce zaczęło mi bić gwałtownie, jak u zakochanej dziewczyny. Wszystko działo się tak szybko. Wzięłam głęboki oddech i podniosłam słuchawkę:

- Haloo...? Słucham...

- Verena, czy to ty?

- Tak, ja - odpowiedziałam, modląc się, aby nie usłyszał bicia mego serca. - Nie mogę w to uwierzyć... Chalid, czy ty w ogóle spałeś ostatniej nocy - zażartowałam, żeby ukryć skrzępowanie.

To się nazywa tupet! Chalidowi na chwilę odebrało mowę, ale zaraz się roześmiał i to rozładowało napięcie. Zaczął od dokładnego wypytywania o moją matkę i rodzeństwo: co słychać i jak nam się powodzi, potem o naszą podróż, samopoczucie i tak dalej... I niemal mimochodem zaproponował:

- Verena, jeśli byś miała ochotę, moglibyśmy się spotkać dzisiaj wieczorem. Akurat mam coś do załatwienia w Dubaju, mógłbym to jakoś połączyć...

Dzisiaj wieczorem? O Boże! Kompletne zaskoczenie! Najwyraźniej Chalid nie może się doczekać spotkania. W głowie mi zawirowało: wybaczył mi? Cieszy się, że się odezwałam? Czy może myśli tylko, żeby się na mnie odegrać? Zemścić się na niewiernej za to, jak z nim postąpiła... Na myśl o tym dostałam gęsiej skórki. Ale pewność, że w hotelu nie może mi się przytrafić nic złego, od razu mnie uspokoiła.

- Ależ oczywiście, z radością się z tobą zobaczę, Chalid.

Tymczasem Lisa wstała i mogłam wreszcie rozsunąć zasłony.

- Popatrz - wykrzyknęłam, wyjrzawszy przez okno - jaki wspaniały park! I te smukłe jachty, tam... Widać je spoza drzew!

Wysokie pinie, palmy i platan y wyciągały konary ku niebu. Powietrze było gorące i parne. Pod naszym balkonem przechadzał się wspaniały paw z rozpostartym ogonem, a z oddali docierały pomieszane głosy zwierząt: coś jak krzyki bażantów i pochrzakiwanie wielbłądów. Wspaniały spektakl egzotycznej przyrody, który porwał nawet moją przyjaciółkę, przywracając jej dobry nastrój.

- Masz ochotę się przejść i rozejrzeć po okolicy? - zapytałam.

- Pewnie! - odpowiedziała Lisa z uśmiechem.

- Ojej, popatrz, co się stało z naszym lustrem!



Powietrze było tak wilgotne, że wszystko momentalnie zachodziło parą! A nasze włosy zaczęły się skręcać w dzikie loczki.

Od strony wody nasz hotel sylwetką przypominał sokoła, który z rozpostartymi skrzydłami zazdrośnie strzeże swojej zdobyczy - wspaniałego, soczyście zielonego ogrodu palmowego. Gdy przechadzałyśmy się po oazie, która zdawała się nie mieć końca, co chwila z ukrytych głośników dobiegała nas cicha muzyka.

W pobliżu hotelu znajdowało się nowoczesne centrum sportowe, Club Joumana. Z restauracji rybnej rozciągał się zapierający dech w piersiach widok na turkusowe morze i przystań jachtową. Mężczyźni czyścili i polerowali śnieżnobiałe jachty, tak by mogły w każdej chwili wypłynąć w rejs. Za klubem rozciągał się ogromny egzotyczny las, ze stadniną koni i wielbłądami. Popatrzyłam na Lisę i po wyrazie jej twarzy poznałam, że Szwajcarię i swoje problemy zostawiła daleko za sobą.

Zadowolone wyciągnęłyśmy z torby plażowej nasze książki. Lekka bryza poruszała pióropuszcami palm, jak przez sito przepuszczając słoneczne promienie. Lisa czytała *Kobiety, które kochają za bardzo*, ja tymczasem zagłębiłam się w lekturze najnowszego bestsellera *Tylko razem z córką*. Od czasu do czasu podnosiłyśmy oczy znad książek, by zobaczyć, co dzieje się w ogrodzie. W miejscu przeznaczonym do odpoczynku było wiele wolnych leżaków, co sugerowało, że hotel jest obłożony najwyżej w połowie. Bardzo nam to odpowiadało. Nie musiałyśmy walczyć o miejsce w cieniu i mogłyśmy czuć się zupełnie swobodnie. Nic więcej nie było nam potrzebne do szczęścia.

Nagle usłyszałam przez megafon moje nazwisko. Kto to może być? Nikt nas tu nie zna... o Boże! To Chalid! Zaczyna się!

Z megafonu rozległo się jeszcze raz:

- Mrs Verena Schmid, please contact the telephone operator.

- No, co się tak zastanawiasz - roześmiała się Lisa, widząc moje zmieszanie - biegnij do tego telefonu!

Skłębłam ją w duchu, ale poszłam.

- Haloo! Słucham!

- Hi, Verena, to ja, chciałem się tylko dowiedzieć, czy wszystko u was w porządku...

Głos Chalida w słuchawce był bardzo opanowany. Serce biło mi gwałtownie.

- Ależ oczywiście, Chalid, nie kłopotz się. „Jebel Ali” to cudowne miejsce.

- Miło to słyszeć. Ale proszę, uważajcie na siebie i na tutajszych mężczyzn, nie pozwólcie, żeby wam się narzucali - zabrzmiało to bardzo poważnie. - A zatem zobaczymy się wieczorem o dwudziestą, dobrze?

I na tym się skończyło.

Zatroskanie Chalida bardzo mnie zdziwiło. Inaczej niż w wielu innych krajach, tutaj personel hotelowy był nadzwyczaj dyskretny, uprzejmy i kulturalny. Ponadto ani w ogrodzie, ani przy basenie nie było żadnych miejscowych.

Późnym popołudniem zjadłyśmy świeżego hemulona z cytryną i gorącym masłem. Ryba była znakomita. Siedziałyśmy na tarasie, spoglądając na przystań jachtową, a ja przygotowywałam **Lise** na wieczór z Chalidem.

- Cheers, Lisa, na zdrowie, to już ostatni łyk dzisiaj - powiedziałam ze śmiechem i zaraz dodałam. - Słuchaj, mówię cał-

kiem poważnie. Chalid jest ortodoksyjnym muzułmaninem i - odkąd go znam - ani nie pije, ani nie pali. A ponieważ jesteśmy w jego kraju, chciałabym okazać mu respekt. Słuchaj, tylko dzisiaj, dobrze?

- No, dobrze... skoro nalegasz. Ale naprawdę tylko dzisiaj, potem już nie. Nie ma mowy.

Kilka godzin później siedziałyśmy pełne oczekiwania w hotelowych kuluarach, w pobliżu wejścia, tak żebym od razu mogła zobaczyć Chalida. Przez cały dzień zastanawiałam się, co mu powiem, kiedy się zobaczymy.

Chociaż w hotelu było niewielu gości, po zachodzie słońca zaskakująco się tutaj ożywiło. Ze zdumieniem obserwowaliśmy, jak z nowiuteńkich limuzyn wysiadali ubrani na biało mężczyźni, naftowi szejkowie. W tych swoich śnieżnych szatach, z białymi nakryciami głów, przytrzymywanymi czarnymi opaskami, wyglądali bardzo tajemniczo. Niespiesznie, wręcz majestatycznie, sunęli w sandałach po marmurowej posadzce westybulu i znikali w salach konferencyjnych albo w barze. Powoli zaczęłam się martwić o Chalida, że pewnie nie będzie mu przyjemnie zajeżdżać tutaj skromnym samochodem - o ile w ogóle majakiś wóz.

Ale właśnie w tym momencie zauważyłyśmy duże, czarne auto z przyciemnianymi szybami. To była dokładna kopia gadającego i myślącego pontiaka z serialu *Nieustraszone*. W przeciwieństwie do innych samochodów, ten zajeżdżał z dość dużą prędkością i zahamował z piskiem opon. Portier natychmiast podbiegł do tego amerykańskiego sportowego wozu.

Z samochodu wysiadł mężczyzna w ciemnym, doskonale skrojonym garniturze. Wręczył portierowi kluczyki i odwrócił się. Omal nie zemdlałam z wrażenia!

- Trzymaj mnie, Lisa! Ten mężczyzna... to mój Chalid! - zdołałam wyjąkać.

A potem już tylko stałam bez ruchu, w najwyższym stopniu zdumiona. Gdy Chalid szedł w stronę wejścia, dumny i pewny siebie, czułam, jak drżą mi kolana. „Boże, jak on się zmienił!” - przemknęło mi przez głowę. Onieśmielona spuściłam oczy i rozpaczliwie próbowałam zapanować nad emocjami. Ale gdy Chalid stanął przede mną, podniosłam wzrok i uśmiechnęłam się na powitanie. Jego oczy promieniały, a z całej postaci biła radość. Na parę sekund nam obojgu odebrało mowę - ani on, ani ja nie mogliśmy wydobyć z siebie głosu.

Omal nie zapomniałam przy tym przedstawić Lisy. Zmieszana odwróciłam się, by czym prędzej naprawić mój błąd. A Lisa natychmiast zaczęła się wdzięczyć! Zupełnie jakby nie wiedziała, gdzie jest! Wyglądało na to, że moja przyjaciółka naprawdę nie ma wycucia i nie rozumie, że w tym kraju kokieteryja nie przystoi kobiecie. A przecież po południu rozmawiałam z nią o tym i powiedziałam jej o kilku ważnych regułach zachowania!

- Słuchajcie, może pójdźmy na drinka do baru - Lisa prze-rwała niezręczną ciszę, jaka zapadła między nami.

- Świetny pomysł - podchwycił Chalid; przez cały czas nie odrywał ode mnie wzroku.

Czułam, jak te iskry w jego oczach znowu rozpalają we mnie uśpione uczucia. Kiedy szliśmy obok siebie do baru, serce waliło mi jak oszalałe.

Wtedy jeszcze nie wiedziałam, jaką tajemnicę nosił w sobie Chalid. Jakie miał w stosunku do mnie zamiary i na jak szaleńczy czyn się poważy siedem miesięcy później, w dolinie Nilu.

Kiedy wreszcie usiedliśmy przez chwilę patrzyliśmy na siebie nieśmiało. To było tylko krótkie spojrzenie, kilka sekund, ale wystarczyło, by wyrazić wszystko.

- Czego się napijecie? - zapytał Chalid, gdy przy stoliku pojawił się kelner.

- Dla mnie sok pomarańczowy - powiedziałam, spoglądając wymownie na Lisę.

- To samo - mruknęła niechętnie moja przyjaciółka.

- Dobrze, dwa razy sok pomarańczowy, a jeden screwdriver dla mnie, bardzo proszę - Chalid złożył zamówienie.

Ze zdumienia oczy Lisy zrobiły się wielkie i okrągłe.

- Verena, ja się chyba przesłyszałam! - prychnęła i zaczęła się śmiać serdecznie ubawiona, od razu też przywołała z powrotem kelnera:

- Przepraszam, chcielibyśmy zmienić zamówienie!

Chalid z początku udawał, że nie rozumie, o co chodzi. Ale w końcu nie wytrzymał i zaczął się śmiać razem z nami. Nie ma co! Naprawdę mnie zaskoczył! Poczułam się trochę głupio. Wyglądało na to, że życie Chalida faktycznie się zmieniło. Prawie go nie poznawałam.

- A więc pijesz alkohol i to tutaj, w domu, u siebie?!

- Ależ oczywiście, dlaczego nie?

Zamilkłam. A Lisa czym prędzej pośpieszyła uraczyć Chalida opowieścią o tym, jakich to niedorzeczności naopowiadałam jej na okoliczność dzisiejszego wieczoru. Nie szczędziła przy tym szczegółów, a Chalidowi wraz z każdym słowem coraz bardziej śmiały się oczy, tak jakby ta historia niezwykle go bawiła. Ja zaś nie wiedziałam, gdzie mam się podziać. Było mi okropnie wstyd.

W pewnej chwili Chalid położył mi rękę na ramieniu i zaśmiał się.

- Nie, naprawdę, Verena... you are so sweet!

Od strony baru co chwila spoglądały w stronę naszego stolika zaciekawione oczy miejscowych mężczyzn w białych disz-daszach. Nic dziwnego: Lisa i ja wyróżniałyśmy się wśród przeważnie starszych gości z Europy.

Nasza rozmowa jakoś nie bardzo się kleiła: ja w moich fantazjach zawsze byłam rozmowna i błyskodiwa, ale w obecności Chalida odbierało mi mowę. On najwyraźniej czuł się podobnie, wyglądał na skrępowanego, co nie ułatwiało sprawy. Chyba byliśmy zbyt podekscytowani, by czuć się swobodnie.

- Dlaczego nie chodzisz w tradycyjnym stroju? - zapytałam.  
- Wszyscy chyba tak tu się ubierają...?

Chalid spojrział na mnie, nic nie rozumiejąc.

- Po prostu lepiej się czuję w spodniach... To znaczy, czasem na specjalne okazje ubieram się tradycyjnie.

Poczułam, że za chwilę, jeśli się nie opanuję, zacznę wygadawać jakieś bzdury.

- A co robisz teraz w Dubaju? Przyjechałeś coś załatwić?

- Cóż, bywam tutaj bardzo często, jedno z moich biur znajduje się w World Trade Center. Żeby dopilnować interesów, właściwie stale krążę między Al-Waha a Dubajem.

- Ach tak?!

Ogarnęła mnie taka ciekawość, że zaczęłam bombardować Chalida pytaniami.

- A czym się zajmujesz, jeśli wolno zapytać?

- Ależ Verena! - roześmiał się Chalid. - Wiesz, prowadzę dość urozmaiconą i wielostronną działalność. Jestem mię-

dzy innymi właścicielem *znaczącego* towarzystwa okrętowego, które przewozi towary z Dalekiego Wschodu do Portu Raszid. Ponadto mianowano mnie dyrektorem generalnym lotnictwa cywilnego i portu lotniczego Al-Waha. A teraz zastanawiam się nad tym, czy w najbliższym czasie zająć się importem wielbłądów wyścigowych z Sudanu... Chcesz wiedzieć więcej - czy na początek wystarczy?

Chalid popatrzył na mnie z dumą.

Zaniemówiłam. Z tego, co powiedział, wynikało, że jest w Dubaju wpływowym biznesmenem. Nie poznawałam mojego dawnego Chalida.

- Trzeba przyznać, że w ciągu ostatnich trzech lat, odkąd wróciłeś ze Stanów, wiele osiągnąłeś. Ale zdradź mi, po co w takim razie przez siedem lat studiowałeś fizykę atomową? Na pewno nie po to, by przewozić przez pół świata wielbłądy i inne towary.

Odchrząknął nerwowo.

- Wiesz, Verena, trochę to trudno wyjaśnić. Jak na razie nie mam tu możliwości, by wykorzystać moją wiedzę ze studiów. Musiałbym wyjechać i żyć z dala od mojego kraju... a tego nie chcę.

Wyjął pager z kieszeni na piersi i wyłączył sygnał.

- Moje życie jest tutaj, w Arabii. Przepraszam na chwilę. Muszę do kogoś oddzwonić.

I odszedł na bok.

- On jest naprawdę sympatyczny, ten twój Chalid. A jaki przystojny! - Lisa była zachwycona.

- Taak, faktycznie świetnie wygląda... - odpowiedziałam w zamyśleniu.

Poczułam się niezręcznie. Gdy bowiem zaczęłam wypytywać Chalida o sprawy osobiste, wyraźnie zmienił się ton jego

głosu. Brzmiało jakoś tak poważnie, a nawet surowo. W każdym razie - dziwnie. Pomyślałam, że może popełniłam nietakt, pewnie byłam zbyt bezpośrednia jak na tutejsze zwyczaje. Postanowiłam, że nie będę go więcej nękać tego typu pytaniami.

Uznałyśmy z Lisą, że zmienimy lokal - na „Ibn Majed”, naprzeciwno.

Chalid wrócił po krótkiej nieobecności. Kiedy wchodził do baru, obrzucił siedzących mężczyzn tak surowym i władczym spojrzeniem, że żaden nie odważył się już więcej spojrzeć na nas choćby ukradkiem.

- Chalid, może zjadłbyś z nami kolację;<sup>1</sup> Co o tym sądzisz? A może masz inne plany? - zapytałam.

- Hm, właściwie to niejestem głodny. Ale wy możecie mimo wszystko coś zjeść, a ja dotrzymam wam towarzystwa.

Lisa spojrzała na mnie z osłupieniem.

- Co to znaczy „możecie mimo wszystko...” - zapytała, kiedy szliśmy przez hotelowe foyer.

- Ach, daj spokój, Lisa, jesteśmy w kraju arabskim, oni tutaj nieco inaczej się wyrażają.

- No, ale przecież Chalid mieszkał przez siedem lat na Zachodzie... - zauważyła moja przyjaciółka.

Przed nami ciągnął się długi bufet, kuszący różnorodnością przysmaków kuchni azjatyckiej i śródziemnomorskiej. Lisa od razu poszła się obsłużyć. Gdy zostaliśmy sami, Chalid wyraźnie spoważniał. Starałam się ukryć onieśmielenie, namawiając go, by zjadł przynajmniej coś małego. Nie zareagował. Spojrzał tylko na mnie, ale tak, jakby mnie nie widział. Wydawało się, że w ogóle mnie nie słucha. Cokolwiek powiedziałam, on milczał i tylko jego oczy śmiały się ze mnie. Zupełnie tak, jakby mówiły:



nie gadaj bzdur, opowiedz lepiej, co robiłaś przez te wszystkie lata. To nie było zbyt przyjemne, speszona odwróciłam wzrok i zamilkłam. Wiedziałam, że nie uniknę odpowiedzi na nieme pytania Chalida. Kiedy nasze spojrzenia znowu się spotkały, w jego wzroku dostrzegłam ton męskiej stanowczości.

- Chalid - zaczęłam - nie masz pojęcia, jak wielką sprawiłeś mi radość swoim powitalnym faksem.

Spojrzał na mnie wyczekująco.

- Tak, wiem, wiem, jestem ci winna wyjaśnienie... - dodałam niepewnie...

Na szczęście dla mnie w pobliżu znowu pojawiła się Lisa i mogłam się wykręcić od wyjaśnień, powiedziałam tylko, że teraz nie jest odpowiednia pora i że porozmawiamy później. A Chalid zaraz potem, zupełnie jakby się nic nie stało, całkiem spokojnym głosem zagadał do mojej przyjaciółki:

- No i jak tam, Lisa, jak ci się podoba w „Jebel Ali”?

- Jak dotąd - fantastycznie! Ale powiedz, czy ci mężczyźni w białych szatach to szejkwowie?

Chalid ledwie się powstrzymał od śmiechu:

- Ależ skąd! Tu wszyscy noszą białe diszdasze.

- Aha, rozumiem... macie tu bardzo dużo bogatych ludzi, szejków i księżniczek, to przecież prawda?

- Noo, tak!

- Po czym ich poznać? - Lisa nie dawała za wygraną.

Musiałam ją kopnąć pod stołem. Zauważyłam, że Chalid jest już lekko poirytowany, myślami był gdzie indziej. Widziałam, że co innego go teraz nurtuje... Z pewnością też nie był przyzwyczajony do tego, żeby kobiety naprzykrzały mu się pytaniami. W milczeniu wstałam i poszłam do bufetu.

Nakładając sobie na talerz różne sałatki i przekąski, zastanawiałam się gorączkowo, co zrobić, żeby porozmawiać z Chalidem w cztery oczy. Jeśli Lisa się nie domyśli, będę musiała ją poprosić, żeby nas zostawiła samych. „A zresztą - pomyślałam - tylko spokojnie!” W końcu to Chalid zwodził mnie przez siedem lat. Nie było żadnych zaręczyn, przyrzeczeń, nic podobnego. Przecież nawet mi się nie oświadczył. Nie miałam obowiązku usprawiedliwiać się przed nim.

Kiedy wróciłam do naszego stolika, Chalid właśnie szukał czegoś w kieszeni marynarki. Zdumiona zobaczyłam, jak wyciska z blistra kapsułkę i szybko połyka.

- No, nie patrz tak, Verena, to na przeziębienie! - pośpieszył z wyjaśnieniem.

- Ojej! To ty jesteś przeziębiony?! Wcale nie widać. Wglądasz doskonale! Wyprzystojniałeś w ciągu tych kilku lat.

To było dobre zagranie z mojej strony, Chalid wyraźnie się odprężył, chociaż na twarzy widać było jeszcze napięcie.

- Myślałam, że na pustyni nie dostaje się kataru - dodałam po chwili.

- Ale! Wraz z petrodolarami pojawiła się u nas klimatyzacja, niby to bardzo przyjemne, ale sprzeczne z naturą. W hotelach, w World Trade Center, w centrach handlowych Deira Shopping Mail - pomieszczenia są za bardzo wyziębione. Klimatyzacja jest włączona nawet zimą! To nie do wiary, ale ja sam nie mogę już zasnąć bez znajomego szumu klimatyzatora w domu - mimo iż często z zimna muszę naciągać koc na głowę.

Lisa i ja wybuchnęliśmy śmiechem. A Chalid był zadowolony, że udało mu się nas rozbawić.

Zaproponowałam, żebyśmy zeszli na dół do klubu. Miałam nadzieję, że tam wreszcie uda się nam spokojnie porozmawiać.

- Chętnie bym wam towarzyszył - odparł Chalid - ale zrobiło się późno, aja mam przed sobą jeszcze długą drogę.

Ogarnęła mnie panika. Nie, to niemożliwe! Mamy się teraz tak po prostu rozstać?!

- Naprawdę chcesz jechać do Al-Waha?

- Oczywiście!

- Ale to niebezpieczne, jesteś zmęczony, możesz zasnąć za kierownicą! A tak w ogóle, to ile się tam jedzie?

- Nie martw się tak o mnie, Verena! - roześmiał się Chalid.

- Przecież ja stale jeżdżę tą trasą.

- Okay! Ale powiedz mi jednak, ile jest stąd do Al-Waha? - nie ustępowałam.

- To znaczy?

- No, przecież ja nie wiem! Daleko, bardzo daleko, ile godzin jazdy?

- Eeemm, stąd to jakieś trzy godziny...

Skierowaliśmy się w stronę foyer i Chalid polecił, żeby przywiedziono jego wóz. Nie mogłam uwierzyć, że on rzeczywiście zamierza się ze mną tak po prostu rozstać, bez rozmowy o tym, co najistotniejsze. Czas pożegnania się zbliżał, a Chalid nawet nie wspominał o tym, żebyśmy się jeszcze spotkali, może tylko we dwoje...

I nagle doznałam olśnienia! „A niech to! - pomyślałam. - Przecież on po prostu chce mnie wystawić na próbę! Bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że tak szybko się tu pojawił?!”

Kiedy wóz zajechał, Chalid pożegnał się oficjalnym uściśkiem dłoni. Najpierw z Lisą, potem ze mną. Byłam tak rozcza-

rowana, że nie mogłam wydobyć z siebie ani słowa. Ale Chalid przytrzymał moją rękę i objął ją drugą dłonią.

- Verena, a może wybralibyśmy się któregoś dnia na kolację do Dubaju? We czworo. Miałabyś ochotę?

- Hm... - zawahałam się specjalnie - ...czemu nie... Właściwie to całkiem dobry pomysł.

- Dobrze! - Chalid uśmiechnął się z wyraźnym zadowoleniem. - W takim razie odezwę się. A wy tymczasem uważajcie na siebie.

Chalid odjechał. W głębi duszy wiedziałam, że moje uczucie do niego odżyło. Ale nigdy bym się do tego nie przyznała.

## *Matar*

Następny dzień *zaczął* się zupełnie spokojnie. Czytając książkę Betty Mahmoody, co chwila spoglądałam na wodę i uśmiechałam na myśl o tym, jak niewłaściwie oceniłam Chalida. Co za naiwność! Przecież minęło kilka lat, Chalid był teraz dojrzałym, pewnym siebie mężczyzną, w dodatku jakim przystojnym! Wyglądało, że sporo osiągnął pod względem zawodowym, że odniósł sukces. No tak, właściwie można się było tego spodziewać.

- Mrs Verena Schmidt... - przyjemnie brzmiący kobiecy głos zaszemrał wśród palmowych liści - ... Mrs Verena Schmidt...

- No tak, znowu się zaczyna... - Lisa uśmiechnęła się pod nosem.

- Neee, tylko nie to... - jęknęłam.

I obie wybuchnęłyśmy śmiechem. Oczywiście, w duchu bardzo się ucieszyłam.

- Hi, Verena - usłyszałam w słuchawce głos Chalida - co tam u was? Wszystko w porządku?

- Tak, tak, Chalid... ajak tam twoje przeziębienie?

- Dziękuję, u mnie wszystko w porządku.

- Aleja pytam o przeziębienie! Lepiej się dzisiaj czujesz?

Sposób, w jaki Chalid prowadził rozmowę, był naprawdę denerwujący. Właściwie nigdy nie odpowiadał wprost. O tym, że właśnie taki sposób prowadzenia konwersacji jest w krajach arabskich dobrze widziany, dowiedziałam się znacznie później.

- Nie kłopotz się, Verena, wszystko jest w porządku.

Voilà! Znowu to samo! Nie dowiem się, czy jest chory, czy nie!

- Słuchaj, właściwie to chcę ci tylko dać mój numer, gdybyś potrzebowała... może się przydać, kto wie... Ponadto wiedz, że podczas waszego pobytu w moim kraju jesteście obie pod moją opieką.

Niezależnie od tego, co Chalid miał na myśli, na chwilę odebrało mi mowę. Ja przecież już znałam ten rodzaj troskliwości, tę atencję i poważanie. Przypomniała mi się Anglia. Wtedy, przed laty opiekował się mną Fajsal, chronił mnie, jakbym była kimś wyjątkowym? W każdym razie taka męska opiekuńczość dobrze mi robiła, to było miłe i bardzo mi odpowiadało.

- Verena, jesteś tam?

- Tak, tak, oczywiście! To miłe z twojej strony! Bardzo ci dziękuję!

- To przecież nic takiego, nie ma o czym mówić! - zaśmiał się Chalid. - Podaję moje numery: World Trade Center..., mój pager..., do mojego domu...

Do domu?

- Ale powiedz, Chalid, czy jeśli zadzwonię na twój numer domowy, to zgłosi się twoja mama? I co mam jej wtedy powiedzieć? Jak się przedstawić? Czy ona w ogóle o mnie wie?

Znowu śmiech!

- Nie obawiaj się, Verena, mam swój własny numer.

- Ach, tak! A co, jeśli ktoś usłyszy, że twój telefon dzwoni, i odbierze?

Tym razem Chalid zaśmiał się na cały głos. I ja już wiedziałam, że nie ma co pytać dalej. Nawet gdybym miała pęknąć z ciekawości - i tak niczego więcej się nie dowiem. Jedno było pewne: Chalid nie mógł się wprost nasłuchać mojego głosu. W ciągu dnia zadzwonił jeszcze dwa razy.

Kiedy na trawnik padł cień palm, przeniosłyśmy się z Lisą nad basen. W półśnie marzyłam o jutrzejszym wieczorze na pokładzie *dau*, tradycyjnego arabskiego statku żaglowego. Na taki statek Chalid ze swoim przyjacielem Zajedem zaprosili nas na kolację.

Tego wieczoru Lisa i ja w wyśmienitych humorach poszłyśmy do hotelowego klubu.

Wśród gości hotelowych, przeważnie członków załóg lotniczych, wyróżniał się pewien Arab w tradycyjnym białym stroju. Jak drapieżny ptak krążył między stolikami na sali, aż w końcu zdecydowanym krokiem podszedł do naszego stolika i usiadł.

Lisę aż zatkało z wrażenia.

- Widzisz tego przystojniaka? - szepnęła podekscytowana.
- Pewnie... Lisa, proszę, więcej dyskrecji...
- Wygląda na dumnego i nieprzystępnego...
- Tak? Naprawdę?

Pomyślałam, że jeśli Lisa dalej będzie się tak wygłupiać, to nie wytrzymam - strasznie chciało mi się śmiać.

I nagle poczułam, jak pięknie, jak pociągająco pachnie ten arabski mężczyzna; dolatywała mnie delikatna woń olejków eterycznych, przypominająca kadzidło. Zrozumiałam, że oto bierze mnie we władanie czarowna moc pustyni, z jej wszystkimi woniami...

- Lisa, uciekajmy stąd, chodźmy potańczyć... albo do toalety, wszystkojedno gdzie... nie wytrzymam dłużej tego napięcia.

- Dobrze, dobrze, chodźmy tańczyć.

Z parkietu dyskretnie spojrzałam na mężczyznę. Wyglądał jak Omar Sharif w filmie *Lawrence z Arabii*. Chociaż nie, lepiej, o wiele piękniej w swojej śnieżnobiałej szacie! I bez wątpienia był tego świadomy. Jego postawa, sposób, w jaki siedział, a zwłaszcza

ta celowo podkreślana obojętność spojrzenia - tak właściwie to była nawet wyniosłość. A sposób, w jaki pił herbatę... raz po raz elegancko podnosił do ust malutką niebieską filiżankę, jednocześnie, zgodnie tamtejszym zwyczajem, trzymając pod nią talerzyk.

Doskonale wiedziałam, że nieznajomy mnie obserwuje - czułam na sobie spojrzenie jego ciemnych oczu.

Jakiś czas potem, znowu siedząc przy stoliku, obserwowałyśmy młodą załogę samolotu Alitalii, która przyciągała wszystkie spojrzenia brawurowym tańcem synchronicznym. Nagle aż drgnęłam. Tuż przy moim uchu zabrzmiał męski głos. Odwróciłam się gwałtownie i spojrzałam mężczyźnie prosto w twarz.

- Where do you come from? - zapytał.

Jednocześnie z wdziękiem odrzucił na plecy połą swojego nakrycia głowy i pokazał w uśmiechu wspaniałe, nieskazitelnie białe zęby. Zaskoczona i zmieszana przez chwilę nie mogłam wydobyć głosu, tym bardziej, że takie zachowanie przypominało mi puszenie się pawia, który rozpościera swój kolorowy ogon.

- Where do you come from? - powtórzył, ale teraz jakby onieśmielony własną odwagą.

- Przestraszył mnie pan - powiedziałam.

- Tak, oczywiście.

Boże! Powiedział to tak spokojnie! A może po prostu nie zrozumiał mojego angielskiego?

- No dobrze, niech będzie: jesteście ze Szwajcarii. A pan?

Otworzył usta i przez chwilę tylko wpatrywał się w moje oczy, jakby chciał powiedzieć: więcej szacunku! Ale co ja takiego zrobiłam? Nie było przecież żadnego uchybienia z mojej strony! Zrobiłam niewinną minę i uprzedziłam jego odpowiedź:

- So, you may come from Dubai.



Przez chwilę przyglądał mi się, jakbym była istotą nie z tej ziemi. Potem powiedział z dumą w głosie:

- I come from Abu Dhabi.

- O, to chyba dość daleko stąd, prawda?

Jego ciemne oczy znowu objęły mnie badawczym spojrzeniem, jakby musiał się za każdym razem zastanawiać i rozważać każdą odpowiedź.

- Hm... na wielbłądzie to będzie tak zjeden dzień - powiedział, po czym wybuchnął gromkim śmiechem.

Aha, na żarty mu się zebrało! Bez słowa odwróciłam się plecami do niego. Co on sobie właściwie wyobraża? Że niby kim jest? Najpierw narzuca dystans, żąda respektu, by zaraz potem robić sobie żarty! No tak. W tym momencie uświadomiłam sobie, że i Chalid czasem reaguje w ten sposób. Czyżby to, co mówię, było aż tak osobliwe dla Arabów?

Wreszcie nieznajomy opanował ten atak cokolwiek niestosownej wesołości, przeprosił, a potem się przedstawił:

- I am Mattar - i gestem pełnym godności przerzucił róg ghutry do przodu, przysłaniając sobie w ten sposób twarz. Wyglądało to naprawdę dosyć uwodzicielsko.

- Zachowuje się jak odaliska w haremie - szepnęła Lisa ukradkiem, zasłaniając usta dłonią. Z całych sił starałam się zachować powagę, za nic w świecie nie chciałam popsuć tej osobliwej atmosfery, czaru, który roztaczał ten dziwny nieznajomy. Nagle Arab wstał i zwrócił się do mnie:

- Chodźmy potańczyć!

„Chyba nie mówi tego poważnie” - pomyślałam... Tańczyć w diszdaszy i sandałach?! Lecz zanim zdołałam zaprotestować, nieznajomy chwycił mnie za rękę.

Biała szata zaczęła kołysać się w rytm piosenki *You can dance* Madonny, a ja byłam tak speszona, że nie śmiałam nawet spojrzeć na *mężczyznę*. Ale sądząc po oklaskach, pozostali goście byli zachwyceni odwagą „białego szejka”. Jego taniec stawał się coraz bardziej szalony. A przecież on pił tylko herbatę!

Nagle otrzeźwiła mnie myśl: a gdyby tak zobaczył to Chalid...! Na Allaha! Natychmiast wróciłam do stolika. Wkrótce potem stanął przede mną imbryczek pachnącej herbaty miętowej. Pytająco spoglądałam na kelnera, który bez słowa wskazał w kierunku parkietu, na Matara. Ten zaś natychmiast wysunął się z kręgu tańczących i wrócił do stolika.

Usiadł, aja nieco zaczepnym tonem powiedziałam:

- Nie mam ochoty na gorący napój.

Na ułamek sekundy spojrzenie Matara spochmurniało, ale zaraz roześmiał się głośno, a w jego ciemnych, prawie czarnych oczach pojawiły się iskierki rozbawienia.

- Proszę wypić ten napar. Miętajest zdrowa i na pewno lepsza dla pani skóry niż alkohol.

To niesłychane! Jeszcze nigdy w życiu mi się nie zdarzyło, żeby jakiś nieznajomy pouczał mnie w ten sposób! Chciałam coś powiedzieć, odciąć się, ale nic odpowiedniego nie przychodziło mi do głowy. W każdym razie jedno było dla mnie pewne: ten Arab musi być strasznie próżny. Powoli wypitałam jednak miętę, żeby Matar nie pomyślał, że ludzie Zachodu potrafią się bawić tylko przy alkoholu.

W końcu uznałam, że czas poinformować Matara o Chalidzie. Im wcześniej, tym lepiej. Żeby tylko nie wplątać się w ja-

kąs historię, nie tutaj, nie w Dubaju! Ledwie o tym pomyślałam, a tu słyszę słowa Matara:

- A tak w ogóle, to mam posiadłość w Al-Ain. I chciałbym ją paniom pokazać.

Kuszące zaproszenie, ale ja wiedziałam od razu, że nie mogę go przyjąć.

- To bardzo miłe z pana strony, Matar, ale my jesteśmy tu w Dubaju gośćmi mojego przyjaciela, którego znam jeszcze z czasów studiów.

Spojrzała na mnie całkowicie osłupiały; koniecznie chciał wiedzieć, kto to taki, ten przyjaciel, który nas gości.

- Nie może go pan znać - odparłam - on jest z Al-Waha.

Tymczasem z parkietu wróciła Lisa. Matar natychmiast zaatakowała ją, pytając podejrzliwie:

- Lisa, czy to prawda, że macie tu znajomego? Jesteście pod jego opieką?

- Tak, tak, nazywa się Chalid. To dobry znajomy Vereny.

Lisa musiała wyczuć, że Matar interesuję się wyłącznie mną. Z prowokacyjnym uśmiechem powtórzyła jeszcze raz:

- Tak, Chalid to naprawdę nasz bliski przyjaciel.

Zrobiło się późno. Uznałam, że jak najszybciej powinnam się pożegnać.

## *Między dwiema kulturami*

Tuż po południu zaczęłam się zastanawiać, co założyć na wieczór. To nie było wcale takie łatwe: ubrać się stosownie do arabskich zwyczajów, a jednocześnie wyglądać ponętnie i pociągająco dla Chalida. Im bliżej było do kolacji, tym bardziej byłam niezdecydowana. W końcu wybrałam powiewne, szerokie spodnie, w kolorze złotego piasku.

- Lisa, czy to na pewno odpowiednie na ten wieczór? - zapytałam przyjaciółkę.

- Wyglądasz fantastycznie. Jeszcze tylko bluzka, pośpiesz się, Chalid z przyjacielem będą tu za dziesięć minut.

Kiedy wchodziliśmy do foyer, na podjazd wjechała długa śnieżnobiała limuzyna. Gdy zaciekawione patrzyłyśmy, kto z niej wysiadzie, okazało się, że przyjechała po nas! Chalid był dla mnie coraz większą zagadką. Zaraz za Chalidem z samochodu wysiadł jego przyjaciel. Zajed na pierwszy rzut oka nie wyglądał na Araba. Miał kwadratowe czoło i nosił brodę. Obaj przyjaciele bardzo się różnili wyglądem. Byłam zdenerwowana, zupełnie jak przed egzaminem. Chalid też wyglądał na podniekowanego. Gdy podeszli do nas, Chalid przedstawił mi Zajeda, co jednak wypadło zbyt oficjalnie, a sam Zajed obsypał mnie powitalnymi uprzejmościami. Jego gesty były trochę niezgrabne i powolne, a spojrzenie - nieprzeniknione. Zaskoczona, starałam się odpowiedzieć uprzejmościami i odniosłam wrażenie, że Chalid jest ze mnie zadowolony.

Gdy samochód ruszył, zastanawiałam się, co łączy tych dwóch tak różnych mężczyzn. Zajed sprawiał wrażenie fleg-

matyka, a z tą swoją brodą wyglądał jak jakiś naukowiec. Ach, wszystko jedno! W ogromnej limuzynie z przyciemnianymi szybami powinnam była czuć się jak bogata szejkini. Tymczasem przestronna kabina wozu, wyposażona nawet w podnoszoną kuloodporną wewnętrzną szybę, oddzielającą ją od szoferki, działała na mnie przytłaczająco i wcale nie czułam się dobrze, raczej mi to przeszkadzało. Rozumiałam, że Chalid chciał jak najlepiej, ale przecież ja byłam tylko jego wieloletnią przyjaciółką, a nie politykiem składającym oficjalną wizytę państwową!

Już wkrótce miało się okazać, że takich oddzielających szyb jest znacznie więcej.

Podczas jazdy Chalid i Zajed byli cały czas zajęci telefonowaniem, a ja z radością patrzyłam na panoramę Dubaju. Wreszcie minęliśmy World Trade Center. Pomyślałam, że już niedługo wysiądziemy z samochodu i Chalid będzie blisko mnie.

Na przystani tłoczyło się mnóstwo tradycyjnych ciężkich dau. Za masztami widać było błyszczące w słońcu drapacze chmur i luksusowe hotele. Od zatoki wiał letni wietrzyk. Mieszkańcy Dubaju przechadzali się po nabrzeżu całymi rodzinami. Na przedzie kroczyli mężczyźni w białych diszdaszach, za nimi dreptały kobiety całe w czerni, jedne z zasłoniętymi twarzami, inne nie, a wokół rodziców szalały dzieciaki. Także Chalid i Zajed szli kilka kroków przed nami.

Kiedy weszliśmy po trzeszczących schodkach na statek, przed nami ukazał się zapierający dech w piersiach widok na Dubai Creek.

Tamtej nocy w powietrzu czuło się dużą wilgotność. Wszystko wynagrodził nam jednak wspianiały bufet rybny i piękny

widok. Nie obyło się bezjeszcze jednej przykrej niespodzianki: Chalid nie zapytawszy nawet, co chcemy pić, zamówił wodę. Kiedy Lisa i ja powiedziałyśmy, że mamy ochotę napić się wina, Chalid uśmiechając się, zaproponował nam wielbłądzie mleko.

- Ależ Verena, jesteśmy w arabskiej restauracji. Oj, chyba musisz się jeszcze wiele nauczyć - zakończył ze śmiechem.

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem, zauważyłam też, że nawet flegmatyczny Zajed nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

- Nabijacie się z nas, to nie fair - zauważyła także rozsławiana Lisa.

W końcu dostałyśmy colę. Wilgotność była tak duża, że w krótkim czasie zaparowały kieliszki i butelka, a nawet nasze torebki. O włosach lepiej nie wspominać. Za nic w świecie nie chciałam się zobaczyć w lustrze. Obserwowałam, jak na brązowym obrusie wokół butelki robi się coraz większa mokra plama. Zapragnęłam znowu znaleźć się w suchym, klimatyzowanym hotelu.

Mimo wszystko wypadało podziękować Chalidowi, toteż powiedziałam:

- Chalid, miałeś wspaniały pomysł, by nas tu przywieźć. Piękne miejsce... I te kontrasty: stare łódzie, a wokół luksus. Sceneria jak z *Baśni z tysiąca i jednej nocy*. A słyszałam, że dalej, w głębi miastajest największy targ złota na Środkowym Wschodzie... *i*

Chalid odwrócił wzrok i spojrzał na wodę, jego spojrzenie było dziwnie pogardliwe.

- Nadejdzie dzień - powiedział - w którym stąd odejdziemy i znowu odkryjemy pustynię.

Zajed spojrział na Chalida, mruknął do niego coś po arabsku. Lisa i ja popatrzyłyśmy na siebie zmieszane. Głos Chalida brzmiał poważnie, prawie wrogo...

- A poza tym, to zasługa naszych przodków... - dodał jeszcze.

Czy to Chalid, którego znam? Skąd nagle takie poglądy? I czy on sam niejeździ amerykańskim wozem? Nie mówiąc już o korzyściach ze studiów w Stanach! Czy nie pomyślał o tym, że jego uwagi mogą sprawić przykrość Lisie i mnie? Jednak coś mnie powstrzymało przed powiedzeniem, co o tym myślę.

- Dobrze rozumiem twoje uczucia - odezwałam się w końcu.

- Przez ropę pewnie wszystko dzieje się tu za szybko. Ale wydaje mi się, że mimo wszystko zachowujecie przy tym wasze tradycje i uważam, że jest to godne podziwu, prawda, Lisa?

Po tych słowach rzuciłam przyjaciółce wymowne spojrzenie. Lepiej niech nic nie mówi! Obawiałam się, że Lisa może popełnić jakąś niezręczność, rozprawiając o rzeczach, o których miałyśmy przecież słabe pojęcie.

Tak jak myślałam, na moje słowa twarze obu mężczyzn rozjaśniły się dumnym uśmiechem.

- A skoro już jesteśmy przy tradycji, Chalid, to chętnie zobaczyłabym cię w tradycyjnym stroju.

Chciałam szybko zakończyć ten nieprzyjemny temat. Pomyślałam, że chociaż jestem osobą o niezależnych poglądach, to jednak należę do kultury Zachodu. Co jednak z drugiej strony nie znaczy, że zgadzam się ze wszystkim, co zachodnie.

Chalid zaśmiał się:

- Kto wie, może i zobaczysz...

No tak! Jego zwykła odpowiedź. Wymijająca. To znaczy, że nie wiadomo, czy kiedykolwiek zobaczę go w tradycyjnym stroju!

- A jak ci się podobają te haremowe szarawary - założyłam je specjalnie dla ciebie!

Chalid zaśmiał się, wyraźnie speszony. Z całą pewnością nie był przyzwyczajony do tego typu pytań.

- Cóż... uważam, że są... - powiedział z wahaniem - no, trochę niemodne.

- Co takiego? W Paryżu takie spodnie są teraz prezentowane na wszystkich wybiegach! Właśnie teraz się takie nosi! Każda kobieta musi obowiązkowo mieć je w swojej garderobie!

Chalid i Zajed dosłownie pękali ze śmiechu.

Wieczór, po którym sobie tyle obiecywałam, przebiegał zupełnie nie po mojej myśli. Teraz chciałam już tylko jednego: wrócić do naszego schronienia, do „Jebel Ali”.

W pewnej chwili pomyślałam, że obaj mężczyźni woleliby mnie widzieć raczej w kostiumie od Chanel. A więc dążą do zachodnich wzorców i wcale nie pragną cofnąć się do czasów Beduinów. Nawet jeśli wszystko wydaje się im pełne sprzeczności i nie wszystko im się podoba.

Gdy w jakiś czas potem wszyscy wchodziliśmy do naszego hotelu, kilkoro gości obejrzało się za nami z zaciekawieniem. Przeszedł mnie dreszcz, kiedy poczułam na sobie spojrzenie znajomych oczu...

- Popatrz, jest tu Matar! - powiedziała Lisa.

Oczywiście Chalid nie mógł tego nie usłyszeć.

- Wiesz - wtrąciłam szybko - to ten człowiek z A.bu Zabi, o którym wspomnieliśmy przy kolacji...

Co za szczęście, że napomknęłam o tym Chalidowi! Nie śmiałam nawet pomyśleć, co by było, gdybym tego nie zrobiła.



I tak sytuacja była niezwykle krępująca. Bo Matar zachowywał się tak, jakby znał nas Bóg wie, jak długo!

W tym momencie dotarło do mnie, że zupełnie bez mojej winy czy woli znalazłam się na krawędzi i że balansuję między dwiema kulturami. I to już po trzech dniach pobytu na arabskiej ziemi. Zrozumiałam też, że lepiej będzie trzymać się z dala od osób spoza hotelu, odwiedzających tutejszy bar i restaurację.

## *Noc zwątpienia i rozpacz*

Czy to Beduini rozbili nocą obóz na naszej plaży? Zaciekawione, ostrożnie podeszłyśmy do wielkiego, brązowego namiotu. Ale ku naszemu zdumieniu nie byli to Beduini - wewnątrz krzątali się członkowie hotelowego personelu, odziani w niebieskie kombinezony. Instalowali podłączenia do sieci elektrycznej, przywozili na wózkach i rozkładali zwinięte dywany, rozstawiali miękkie kanapy. Pomyślałam, że szykuje się wieczór arabski. W żadnym wypadku nie chciałyśmy go stracić

Przygotowania i krzątania trwały cały dzień. Tymczasem z Dubaju odezwał się Chalid i poinformował mnie, że nie pojawi się ani następnego dnia, w piątek, ani też w sobotę. Domyśliłam się, że powodem jest islamski koniec tygodnia.

- W takim razie koniecznie przyjedź dzisiaj - powiedziałam, zachęcająco opisując spektakl, który się szykuje.

- Nie wiem... jestem dosyć zmęczony... ostatnio prawie nie spałem...

- Ojej! No jasne, rozumiem, przecież masz tu do mnie tak daleko. Przepraszam, nie powinnam była cię prosić. Ale będę o tobie myśleć.

Tak naprawdę, to myślałam o nim przez cały czas, w każdej minucie. Rozczarowana wróciłam na plażę.

Tymczasem słońce zeszło nisko nad Zatokę. Palmowy ogród opustoszał, a przygotowania do wieczoru miały się ku końcowi - zapalono fajki wodne, na rożnach nad ogniem obracały się owce i kozy, piasek przykryto barwnymi kobiercami. W powietrzu unosił się oszałamiający zapach kadzidła, wody różanej i piżma.

Wzdłuż ścian namiotu ustawiono czerwonobordowe niskie kanapki, na których ułożono stopy poduszek. Nad niskimi stolikami wisiały mosiężne orientalne lampki. Wszystko wyglądało po prostu bajecznie...

Ale kiedy podeszłyśmy bliżej, usłyszałyśmy od managera bankietu, który jeszcze raz sprawdzał, czy wszystko jest w porządku, że to prywatne przyjęcie!

- Przykro mi, że muszę panie rozczarować... Za to jutro, w piątek mamy barbecue w naszym ogrodzie palmowym. Nie zabraknie też arabskich smakołyków.

Słaba pociecha! Byłyśmy ogromnie rozczarowane. Smętnie poczłapałyśmy przez ogród do pokoju. Kiedy brałam prysznic, zadzwonił telefon. Słyszałam, jak Lisa rozmawia, ale nie rozumiałam słów.

- Verena! - zawołała po chwili - trzymaj się mocno! Chalid i Zajed już tu jadą.

- Nie?! Naprawdę?!

Z radości rzuciłam się Lisie na szyję. „Jak on musi za mną tęsknić...” - pomyślałam. Podobnie jak wtedy w Anglii, gdy ze względu na mnie maszerował kilometrami na drugi koniec miasta, gdzie mieszkałam. Teraz byłam pewna: niezależnie od wszystkiego, co się zdarzyło i zdarzy, Chalida i mnie łączy nierozwalna więź.

Sukienki i szczotki do włosów zaczęły fruwać w powietrzu. Nawet Lisa uległa urokowi orientalnej atmosfery. Stojąc w lustrze, zaczęła zmysłowo kręcić biodrami w takt arabskiej muzyki płynącej z telewizora.

Kiedy zobaczyłam Chalida, ogarnęła mnie przemożna chęć, by się do niego przytulić. Niczego nie pragnęłam tak bardzo, jak

móc go wziąć w ramiona. Jego oczy załśniły tak, jakby to zrozumiał, jakby i on nie pragnął niczego innego. To była obietnica, wiedziałam już, że upragniona chwila się zbliża.

We czworo poszliśmy w kierunku plaży. Koniecznie chciałam, żeby Chalid zobaczył ten namiot Beduinów. Miałam też nadzieję, że może odważy się pod osłoną nocy wziąć mnie za rękę. Kiedy doszliśmy do ogrodu palmowego, zobaczyliśmy, że cały teren jest ogrodzony. Z namiotu dobiegały rozochoczone męskie głosy i dźwięki arabskiej muzyki. Z naprzeciwka, oświetleni pochodniami, zbliżali się trzej Arabowie na wielbłądach. W swoich śnieżnobiałych szatach wyglądali jak fatamorgana - piękni i nierzeczywiści. Kozy przez cały czas obracały się na rusztach, a łagodny wiatr od morza niośł nad hotelowy ogród wspaniałą zapach mięsa i rozgrzanego tłuszczu. Z tęsknotą spojrzałam na Chalida, który niepostrzeżenie na chwilę objął mnie ramieniem. Przeszedł mnie dreszcz. Cudownie było czuć jego bliskość. Ale to nie trwało długo, bo już po chwili Chalid zaproponował, żebyśmy poszli coś zjeść.

Tego wieczoru w „Ibn Majed” głównym punktem programu kulinarnego było „Fondue Night”.

- Ojej, ależ tu intensywnie pachnie! - stwierdzili zgodnie nasi mężczyźni, przewracając oczami.

Ku naszemu zdumieniu serwowano wszelkie rodzaje fondue, od bourguignon aż po serowe fondue z Wallis.

- Nie szkodzi, że tak pachnie - stwierdziła Lisa - powinniście chociaż spróbować... W końcu my też kosztujemy waszych potraw.

- Nie, nie, nie chcę mieć problemów z żołądkiem - odparł Zajed.

- A ja spróbuję! - rzucił Chalid odważnie.

Zajed tylko ze zdumieniem potrząsnął głową. Jakby chciał dać do zrozumienia, że jego przyjaciel chyba z miłości postradał zmysły. Najchętniej posłałabym go do diabła. Zwłaszcza że miałam wrażenie, jakby wszystko utrudniał.

Ale Chalid wcale się tym nie przejmował. Przez cały wieczór przyglądał mi się uważnie, jakby studiował każdy mój gest. Kiedy nasze spojrzenia się spotykały, czułam, jak rumieniec oblewa mi twarz. W dodatku im bardziej byłam onieśmielona, tym częściej Chalid - niby przypadkowo - dotykał mojej ręki lub lekko muskał moje ramię. Za każdym razem przechodził mnie dreszcz.

W pewnej chwili zapragnęłam się dowiedzieć, gdzie właściwie, z kim i jak mieszka Chalid. Nie miałam przecież jeszcze wtedy pojęcia, jak nierealne, jak niemożliwe do spełnienia jest moje pragnienie.

- Chalid - zaczęłam odważnie - kiedy wreszcie przedstawisz nas swojej rodzinie? Tak bardzo chciałabym ich poznać, zobaczyć jak żyjesz...

Zajed otworzył usta ze zdumienia i przez chwilę tak siedział, aż Chalid zatrząśnięty od tłumionego chichotu; w końcu obaj wybuchnęli gromkim śmiechem.

- Co w tym takiego śmiesznego - zapytałam z lekka poirytowana.

- Ach, Verena, u nas nie jest tak, jak u was w Szwajcarii. Nie mogę cię tak po prostu zabrać do domu.

- A to dlaczego? Przecież chyba nie jestem obca, znamy się już dziesięć lat...

- Nie, niejesteś. Ale mimo to...

- Dlaczego nie zapytasz po prostu swojej matki? Na pewno by się zgodziła, gdybyś chciał zaprosić starą przyjaciółkę z Anglii.

Zajed tylko przewrócił oczami. Nie wiedziałam, o co chodzi, czemu on nie powie po prostu, że to dobry pomysł, tylko się wygłupia.

- Zobaczymy...jak Bóg zechce - powiedział w końcu Chalid.

- A więc zapytaszja? - nie ustępowałam.

- Zobaczymy - powtórzył z uporem.

Zrozumiałam, że więcej nic z niego nie wyciągnę i zamilkłam. A obaj mężczyźni zaczęli natychmiast gwałtowną dyskusję. Pewnie naradzali się, jak wybić mi z głowy ten głupi pomysł. Widziałam przy tym, jak oczy Chalida autentycznie pochmurniają, jak tracą swój blask.

Wkrótce Chalid dał znak do odjazdu.

Serce mi zamarło. „Jak on może mnie tak zostawiać - pomyślałam z rozpaczą. - Odjeżdża i znowu nie porozmawialiśmy w cztery oczy. A ja marzyłam o tym, żeby mnie wziął w ramiona. Czyż nie zżera nas pragnienie i tęsknota... Chyba się nie mylę, chyba nie mogę się aż tak mylić...” Ale nagle przemknęła mi przez głowę myśl, że może Chalid chce mi sprawić ból.

Może poprzysiągł sobie, że odpłaci mi pięknym za nadobne... Zrobiło mi się niedobrze.

Tak myślałam. Nie miałam najmniejszego pojęcia o tym, co przeżywa Chalid z mojego powodu od wielu już dni. Jak bardzo musi ze sobą walczyć.

Tym większe było moje zdumienie, kiedy podczas pożegnania powiedział:

- Verena, przejdźmy się jeszcze kawałek, dobrze?

Przypominam sobie, że byłam wtedy bliska omdlenia. Zajed najwyraźniej o wszystkim poinformowany zaczął oddalać się w stronę parkingu, do samochodu.

Szliśmy w milczeniu przez tropikalny ogród. Słychać było tylko granie cykad i nasze kroki. Wilgotne powietrze nocy otulało nas niczym płaszcz. Ogarnęło mnie dojmujące pragnienie bliskości Chalida, jego dotyku. Napięcie między nami było ogromne, prawie nie do zniesienia, a ja balansowałam między uczuciem szczęścia i rozpacz. Chalid chwycił moją dłoń. Na chwilę straciłam oddech. Uścisk jego ręki był niezwykle przyjemny, dobry, silny. Prawie zakręciło mi się w głowie. Ale im szliśmy dalej, tym trudniejsza do zniesienia, tym tragiczniejsza stawała się dzieląca nas cisza. W pewnej chwili Chalid przystanął, ujął mnie pod brodę i zajął mi głęboko w oczy. Potem wziął mnie w ramiona, przyciągnął do siebie, a nasze wargi się zetknęły. Słodki, delikatny dreszcz wstrząsnął moim ciałem. „Kochać się z nim, to dopiero musi być oszałamiające...” - pomyślałam. Chalid trzymał mnie długo w objęciach, jakby chciał poczuć mnie jeszcze mocniej, jakby chciał być jeszcze bliżej mnie. To było cudowne uczucie. Gdyby wtedy nastąpił koniec świata, nie miałyby to dla mnie znaczenia. W końcu Chalid ujął moją twarz w obie dłonie i uważnie mi się przyjrzał. W świetle księżyca dostrzegłam w jego oczach wilgotne lśnienie. Serce przeszły mi ból. I przejął mnie okropny strach.

- Verena, posłuchaj - zaczął Chalid powoli, ale z naciskiem  
- kocham cię tak bardzo... tak bardzo... i wiesz, że będę cię kochał do końca moich dni. Ale...

Zamknęłam oczy.

- Nie, proszę, nie... nie mów... kocham cię.

Wszystko we mnie było jednym wielkim bólem.

- Muszę, Verena, spójrz na mnie, proszę!

Potrząsnął mnie za ramię. A jednocześnie patrzył mi prosto w oczy, jego spojrzenie było pełne rozpacz, ale i wściekłości,

nieustępliwości; spojrzenie Araba, który jest gotów walczyć ze mną, ze śmiercią, z szatanem.

Zraniona, zrozpaczona odpowiedziałam takim samym spojrzeniem i wykrzyczałam mu prosto w twarz:

- To dlaczego mnie nie poślubisz, tu i teraz, skoro mnie tak bardzo kochasz?!

- Verena, nigdy nie będziemy mężem i żoną. Ty nic nie wiesz o moim życiu, będę ci musiał wyjaśnić kilka rzeczy...

Co on mówi?!

Cofnęłam się o krok, ale Chalid przytrzymał mnie mocno za nadgarstki, nie pozwolił mi odejść.

- Słuchaj, znajdziemy jakieś wyjście, jeśli Bóg da... Obiecuję ci, jak tu stoję. Ach, dlaczego musiałaś zniknąć na tak długo...

Do oczu napłynęły mi gorące łzy.

- Spójrz na mnie wreszcie - powiedziała jeszcze raz - powinnaś wiedzieć, jakie to było dla mnie straszne. Najpierw myślałem, że kochasz mnie tak, jak ja ciebie, potem przestałaś odpowiadać na moje listy, a ja nie wiedziałem, dlaczego. Wreszcie zmieniłaś numer telefonu. Czy nie wydaje ci się, że powinnaś mi to wytłumaczyć?

Otarłam policzek rękawem.

- Przecież to i tak nie ma sensu, za późno.

Chalid chwycił mnie wzburzony za ramię.

- Czemu tak uważasz? Czemu mi nie ufasz? Powiedziałem ci przecież, że znajduję jakieś rozwiązanie!

Tak bardzo chciałam móc mu zaufać, powiedzieć, że moje uczucie do niego jest silniejsze niż wszystko na świecie. Ale rozgoryczona powiedziałam tylko sucho:

- Ty chyba postradałeś rozum.



Chalid dotknięty do żywego patrzył na mnie w osłupieniu. Najego twarzy malowało się bezgraniczne rozczarowanie i ból, jakby za chwilę miał się rozpłakać. Jednak zamiast łez, w jego oczach błysnął gniew. Już otwierał usta, by coś powiedzieć, ale powściągnął się, milczał chwilę, po czym rzekł lodowatym tonem:

- Trzeba było nie pisać, że przyjeżdżasz do Dubaju.

To były jego ostatnie słowa. Chalid odwrócił się i poszedł w stronę parkingu.

Jak rażona gromem, stałam nieruchomo i patrzyłam na jego oddalającą się postać, która w końcu zupełnie zniknęła w ciemności.

- Chalid! - krzyknęłam nagle na cały głos - Chalid! To nie tak! Nie chciałam tego powiedzieć!

Żadnej reakcji. Cisza. Myślałam, że mi serce pęknie.

Wróciłam do hotelu. Przechodząc przez hall, modliłam się, żeby nie upaść. Rozpacz, czarna rozpacz. Zeszłam na dół do klubu, gdzie miała być Lisa. Musiałam z nią pogadać, czułam, że inaczej zwariuję. Ku mojemu zdziwieniu już z daleka zamachała do mnie postać w białej szacie. Matar! Obok niego siedziała Lisa. Chciałam od razu zawrócić, ale moja przyjaciółka już mnie zauważyła i zaczęła gorączkowo wymachiwać do mnie ręką. Jakby tylko czekała na to, by usłyszeć ode mnie najnowsze wieści.

- Ach, specjalnie nie ma o czym mówić - zbyłam ją. - Po prostu pogadaliśmy trochę bardziej intymnie.

Lisa spojrzała na mnie podejrzliwie.

- Na pewno? Nic się nie stało? Źle wyglądasz.

- Już dobrze, Lisa. Wszystko ci potem opowiem, jak pójdziemy do pokoju, spokojnie. Nie teraz, nie chcę, żeby on coś usłyszał. I czemu widzę go tu każdego dnia? On nas po prostu prześladuje!

- Można tak powiedzieć - roześmiała się Lisa.

Chciałam jak najszybciej odejść, ale jednocześnie wiedziałam, że nie powinnam teraz siedzieć w pokoju sama. Pewnie zaczęłabym krzyczeć z rozpaczy.

Lisa poszła tańczyć.

- Jak się miewa pani przyjaciel Chalid? - zapytał Matar, gdy tylko zniknęła wśród tańczących.

- Najlepiej niech go pan sam zapyta przy najbliższej okazji - odparłam, nie patrząc mu w oczy.

- Verena, wystarczy, jak pani powie, że nie życzy sobie mojego towarzystwa - Matar podniósł się z miejsca, jakby rzeczywiście chciał odejść.

- Proszę wybaczyć, nie chciałam pana urazić.

Matar usiadł znowu i przez dłuższą chwilę obserwował mnie kącikiem oka. W końcu ostrożnie nachylił się do mnie i zapytał:

- Shall I get you a tea, darling?

- Nie, dziękuję, dzisiaj nie. A tego „darling” nie słyszałam.

Matar zawstydzony uśmiechnął się, przysłaniając twarz.

„Jeszcze trochę - pomyślałam - a uda mu się mnie rozśmieszyć. Trzeba przyznać, że się stara”.

- Wie pani, co - powiedział po chwili - wydaje mi się, że dobrze by pani zrobiła wycieczka do mojej posiadłości.

- Ach tak?

Matar przysunął się nieco bliżej.

- Jak mam to wyjaśnić... hm... to szczególne miejsce, tam się czuje pozytywną energię, pozytywne wibracje, rozumie pani?

- Nie.

Dobre sobie! Czyżby nasz Matar zajmował się jeszcze dodatkowo ezoteryką?

- Czasem zaszywam się tam na kilka dni, żeby zaczerpnąć świeżych sił i energii. Przechadzam się po wspaniałych ogrodach i żyznych polach, to cudowne widzieć, jak się tam wszystko bujnie rozwija. Zapach jaśminu i owoców cytrusowych sprawia, że mimowolnie oddycha się głęboko. Zresztą, powietrze w Al-Ain i tak jest lepsze niż tutaj, bardziej suche. Przed domem rosną ogromne palmy. Dają dużo cienia i chronią przed skwarem, nie potrzebujemy więc klimatyzacji. A z werandy można obserwować kolorowe ptaki, których jest tam mnóstwo. Lądują w fontannie, żeby się wypłuskać i ochłodzić. Ajak świergocą, jak trzepocą skrzydłami! Koniecznie musi to pani zobaczyć!

Przysłuchiwałam się opowieści Matara z prawdziwym zainteresowaniem. Wynikało z niej, że jego posiadłość jest położona na pustyni; Matar ma tam hektar ziemi. Z upodobaniem hoduje warzywa i owoce z różnych stron świata. Ma też ule i pszczeli miód!

Było naprawdę miło słuchać o tym wszystkim, głos Matara brzmiał przyjemnie, a jego postać sprawiała niezwykle wrażenie; z całą pewnością ten człowiek wiedział, jak się podobać. Na chwilę zapomniałam o wszystkim.

Zauważyłam, nie bez zaskoczenia, że tego wieczoru w klubie było więcej niż zwykle miejscowych - zapewne miało to związek z tym, że zaczął się już islamski weekend. Arabowie odziani w białe szaty, w sandałach na nogach, wszyscy z telefonami komórkowymi z zaciekawieniem okrażali stoliki. W przeciwieństwie do Matara byli raczej niscy i drobni. Niemal wszyscy nosili małe, krótko przycięte brody. Szczególną uwagę zwracał pieczołowicie przycięty paseczek między dolną wargą a zagłębieniem brody.

- Niech mi pan powie, Matar, czy w pana kraju zdarzyło się już, że Arab poślubił Europejkę? Czy może prawo zabrania takich małżeństw?

- Nie, nie, to nie jest zabronione. W Abu Zabi są już takie mieszane małżeństwa.

- Ach, naprawdę? - powiedziałam szybko, by ukryć rozczarowanie. - Ale to mnie dziwi! Bo zastanawiam się, jak kobieta z Zachodu radzi sobie, gdy jej mąż bierze sobie drugą żonę, co jest przecież dozwolone, prawda?

Matar roześmiał się.

- Na Boga! Młode Arabki nie zgadzają się dzisiaj na wielożenstwo, to już od dawna należy do przeszłości.

Teraz wreszcie wiedziałam! Chalid nie chce mnie poślubić.

Nie mogłam już dłużej wytrzymać. Pożegnałam się z Matarem. W pokoju rzuciłam się na łóżko i długo bezgłośnie płakałam, z twarzą ukrytą w dłoniach.

## *Doroczny zjazd Meryll Lynch Bank w Zatoce*

Następnego dnia namiot Beduinów zniknął. Ku naszemu zdumieniu na jego miejscu zaczęto pośpiesznie wznosić inny. W trawę wbito pale, przywieziono plandeki i ustawione jedne na drugich krzesła i stoły. Wszystko odbywało się w kompletnej ciszy, tak by nie przeszkadzać gościom. Właściwie był to prawdziwy pokaz znakomitej pracy. Zaciekawione podeszliśmy do zarządzającego wszystkim mężczyzny. Personel - niektórzy w białych turbanach na głowie - sprawnie i pilnie wykonywał jego polecenia. Jak się dowiedziałyśmy od managera bankietu, palmowy gaj przygotowywano właśnie na doroczne spotkanie Meryll Lynch Bank, które odbywa się w Zatoce.

- Nawiasem mówiąc - dodał mężczyzna - wczorajszy wieczór w beduińskim namiocie, to właśnie było otwarcie tej imprezy.

Aha, teraz już wiedziałyśmy...

Tego przedpołudnia cały czas wylegiwałyśmy się w cieniu palmowych liści. Głowa mnie bolała, byłam jak odurzona, oczy zapuchnięte od płaczu piekły nieprzyjemnie. Chalid po raz pierwszy od czasu naszego tu przybycia nie dał znaku życia. Nikt mnie nie wzywał do telefonu, żadnej wiadomości. Kompletna cisza. Dręczyły mnie wyrzuty sumienia: jak mogłam tak zranić Chalida, osobę najdroższą mi na świecie? Wszystko popsułam. Straciłam go bezpowrotnie...

- Ach, Verena, nie wariuj! - usłyszałam od Lisy. - Gdyby Chalid chciał, już dawno ożeniłby się z tobą. Przecież już wiesz, jak to tutaj jest, czy Matar nie wyjaśnił ci wszystkiego wczoraj wieczorem? Sama mi o tym powiedziałaś.

Oczywiście nie chciałam nawet o tym słyszeć. Miałam raczej nadzieję, że Lisa doda mi otuchy, że na przykład powie: „Cierpliwości, na pewno się odezwie, zobaczysz, stęskni się i zadzwoni...”. Ale nic podobnego! Moja przyjaciółka zadowolona i zrelaksowana leżała sobie wygodnie obok, od czasu do czasu z zaciekawieniem spoglądając na krzątających się przy namiocie ludzi.

Niedaleko nas przechodziła właśnie hałaśliwa, wesoła grupa mężczyzn w kąpielówkach i podkoszulkach. Na cały głos opowiadali sobie o swoich sukcesach wędkarskich podczas wyprawy jachtem na pełne morze.

- Pewnie to ci z Merryll Lynch - mruknęła Lisa.

- Pewnie tak - potwierdziłam.

Nie mogłam przestać myśleć o Chalidzie. Łamałam sobie głowę nad tym, co przeżywa, jakie kierują nim motywy. Wiedziałabym już, gdybym pozwoliła mu wczoraj o tym opowiedzieć. Tymczasem dowiedziałam się tylko jednego: że małżeństwa mieszane są tutaj jak najbardziej dozwolone. W każdym razie nie ma przeszkód prawnych. Inne przeszkody były dla mnie nie do zaakceptowania. Wszystko - albo nic. A to oznaczało, że uczucie Chalida do mnie nie jest dość silne.

Mimo to nie mogłam się oprzeć powracającym wątpliwościom. Bo w takim razie skąd ten jego smutek? Skąd ten wyraz rozpaczony w oczach? Coś mi tu nie pasowało. Chyba że istnieje dla niego coś, co jest ważniejsze, silniejsze niż nasza miłość i czemu musi się podporządkować.

Lisa także była bezradna, nie potrafiła rozwiązać moich wątpliwości. Poza tym uważała, że nie powinnam więcej spotkać się z Chalidem, gdyby się zgłosił. To tylko pogorszy sytuację. Moja przyja-

ciołka nie wiedziała jednak, jak bardzo pragnę tego spotkania. I że moja tęsknota jest tak wielka, że zgodziłabym się na wszystko.

Kiedy słońce stanęło w zenicie, rozpoczął się piknik. Przy barbecue zebrali się pierwsi goście. W pewnym oddaleniu od bufetu wznosił się śnieżnobiały, bajkowy namiot banku Merrill Lynch, którego dach przypominał dachy arabskich meczetów. Część ścian bocznych namiotu była malowniczo podwinięta i podwiązana do dachu czerwonymi ozdobnymi sznurami. Wyposażenie namiotu było utrzymane w różnych odcieniach bieli. Wśród białych tkanin i sprzętów połyskiwały liczne złote elementy. Spod kopuły dachu zwisała ogromna orientalna mosiężna lampa - prawdziwe чудо. Nie zabrakło fajek wodnych, wspaniałych kobierców, misternie wykonanych dzbanków i mis.

Gdy na to patrzyłam, ogarnęła mnie dziwna tęsknota. Ten wschodni świat pociągał mnie niezmiernie, odkrywałam go z zachwytem, a to, co przeżywałam, przywoływało w swoisty sposób moje dzieciństwo.

Przypadek chciał, że tego popołudnia poznałyśmy kilku interesujących, wpływowych ludzi z Merrill Lynch. Był wśród nich Abdul, bardzo otwarty - jak na stosunki arabskie - i po europejsku wychowany młody Kuwejczyk. Abdul dotrzymał nam towarzystwa; była to bardzo pożądana i miła odmiana przede wszystkim dla Lisy.

Następnego dnia była sobota. Islamski weekend się skończył i w hotelu znowu zapanowała cisza i spokój.

Leżałam pod palmami i wsłuchiwałam się w łagodny szum wody znad Zatoki. Wydawało mi się, jakby od morza dobiegały jakieś głosy, ostrzegawcze wołanie, które upominało: „Powściąg-

nij swoje uczucia, bo inaczej - niech Bóg ma cię w swojej opiece! Znowu niebezpiecznie zbliżyłaś się do tego mężczyzny. Ale on nigdy nie będzie twój. Będzie z tego tylko nieszczęście. Wszystko na to wskazuje".

W głębi ducha doskonale o tym wiedziałam. Ale nie wyobrażałam sobie, że mogę już nie zobaczyć Chalida. Na samą myśl o tym zbierało mi się na płacz, ogarniała mnie rozpacz i ból. „Na miłość boską, Verena! - upominałam sama siebie. - Weź się w garść! Gdzie twój rozsądek! Masz trzydzieści dwa lata, kobieta w tym wieku powinna już umieć kierować swoim życiem!"

Nagle torba plażowa Lisy wylądowała obok mnie.

- Dzień dobry, Verena!

- Dzień dobry... ale chyba już się widziałyśmy...

Prawie jednocześnie zatrzeszczał megafon i rozległ się kobiecy głos:

- Mrs Schmidt, Mrs Verena Schmidt, please contact the operator...

Spojrzałyśmy na siebie zdumione. Z wrażenia wstrzymałam na chwilę oddech. To pewnie Chalid. Lisa lekko wzruszyła ramionami na znak, że sama muszę zdecydować. Zastanawiałam się przez chwilę, ale nie znalazłam w sobie ani dość odwagi, ani siły, by tak to zostawić... Pobiełam do telefonu.

Kobieta w recepcji młodym, energicznym głosem powiedziała:

- You can pick up phone number one.

- Hallo? - odezwałam się.

- Hi, Verena, jak się masz?

- Dziękuję, jako tako... a ty? Odpocząłeś podczas weekendu?

- zapytałam z udawaną obojętnością.

- Nie, nie do końca... nie, wcale nie. Dużo o nas myślałem.



Zakręciło mi się w głowie, nie wiedziałam, co na to powiedzieć, jak zareagować. Milczałam uparcie.

- Tak bardzo mi ciebie brakowało - usłyszałam nagle.

Głos Chalida brzmiał miękko, ze wzruszeniem.

Jakby mnie prąd przeszedł. Zawstydzona spuściłam wzrok, szukałam odpowiednich słów.

- Ja...ja też za tobą tęskniłam - wyrwało mi się nagle, jakby wbrew woli. Zagryzłam wargę, byłam na siebie wściekła.

- Verena... - usłyszałam głośny oddech Chalida - Verena... ja wiem, że te twoje słowa, że to nie było na poważnie... Ale teraz słuchaj, mam dla ciebie niespodziankę. Przyjadę jutro, koło jedenastej, zabiorę cię na wycieczkę.

Ogarnęła mnie panika.

- Chalid, posłuchaj, oboje wiemy, że będzie lepiej, jeśli już się nie zobaczymy.

- Nie mów tak - jęknął - nigdy więcej tak nie mów.

Wyczułam ból i skrywaną namiętność w jego słowach. Bo to była namiętność, gorące uczucie, którego płomień obejmie i mnie, jeśli natychmiast nie przestaniemy. To nieuniknione.

- Nie utrudniaj wszystkiego, Chalid. Postaraj się być rozsądny.

- To nie jest fair z twojej strony - głos mu się prawie załamał. - To ty pojawiaasz się nagle, jak gdyby nigdy nic i wywracasz moje życie do góry nogami, ty.

Zjego piersi wyrwało się westchnienie pełne bólu i rozpacz.

Nie wiedziałam, co na to powiedzieć.

- Słuchaj, Chalid, nie mogłam wiedzieć, jak to się wszystko potoczy, kiedy wysyłałam do ciebie tę kartkę. Nie było moim zamiarem burzenie ci życia i spokoju...

- Verena, wołają mnie... muszę na chwilę odłożyć słuchawkę. Ale ty nie odchodzić, *zaczekaj*, zaraz wrócę.

„Wielki Boże, powiedz mi, co mam robić...” - westchnęłam w duchu. Zamknęłam oczy, wiedziałam już, że dopóki jestem w Dubaju, nie zaznam spokoju. Że w każdej godzinie, w każdej minucie będę o nim myśleć. Że będzie mi brzmiał w uszach jego gardłowy głos, że będę usychać z tęsknoty.

Telefon znowu zadzwonił. Telefonistka kiwnęła do mnie z uśmiechem.

- Verena?

- Tak.

- Proszę, powiedz, że mnie kochasz, że za mną tęsknisz i że już nigdy mnie nie opuścisz, aż do śmierci.

- Ach, Chalid, doprowadzasz mnie do szaleństwa.

Zaśmiał się czule i z zachwytem.

- No, więc przyjadę po ciebie jutro, o jedenastej, dobrze?

W jego głosie dało się wyczuć cichą radość i oczekiwanie.

- Dobrze, przyjedź, wygrzałeś.

- Och, Verena, proszę, powiedz to jeszcze raz. Twoje słowa są słodkie jak miód.

Tylko westchnęłam głośno.

W głosie Chalida brzmiała wielka radość:

- A wiesz, dokąd pojedziemy?

- Nie, nie, skąd mam wiedzieć. Przecież mi nie powiedzia-  
łeś... No, to dokąd?

- Zdradzę ci tylko tyle: nie wrócimy przed nocą.

- No, powiedz wreszcie: jedziemy do Al-Waha?

- To niespodzianka.

- Nie, Chalid, powiedz: do Al-Waha?

- Zobaczysz - zaśmiał się cicho i tajemniczo.

- Wielki Boże! Zgadłam, zgadłam! Jedziemy do Al-Waha.

Pytałeś matkę? Zgodziła się? Ciesz się, że mnie zobaczy?

Tylko zachichotał.

- No, to dojutra... I proszę, załóż coś, co zakrywa ramiona.

Lisa jest też oczywiście zaproszona.

Podeksytowana pośpieszyłam przez ogród z powrotem do Lisy. Poczułam przypływ optymizmu i nadziei. Czy Chalid rzeczywiście podjął zdecydowane kroki, podczas gdy ja tu siedziałam i myślałam o najgorszym? Jak mogłam mieć do niego tak mało zaufania!

- Lisa, wyobraź sobie, jedziemy jutro do Al-Waha!

Chociaż perspektywa poznania rodziny Chalida niespecjalnie ją zachwycała, moja przyjaciółka obiecała, że dotrzyma mi towarzystwa.

Przez resztę dnia wyobrażałam sobie, jak to będzie jutro. Wypełniały mnie silne uczucia, radość mieszała się z napięciem, ciekawością i zdenerwowaniem. Długo nie mogłam zasnąć, ale wreszcie zmęczenie wzięło górę.

## ***Droga do Al-Waha***

„Smile, you are in Sharjah” - ogromne hasło wymalowane białymi literami pośród kwiatów - to pierwsze, co rzuciło nam się w oczy przy wjeździe do miasta. Dalej zobaczyłyśmy labirynt przecinających się ulic, mnóstwo lagun i wysp. Łatwo tu stracić orientację. Chalid pewnie prowadził samochód przez miasto. Minęliśmy Rulers Palace i podjechaliśmy do bazy wojskowej w Szardży - Sharjah Military Camp. Po drodze Chalid objaśniał nam wszystko, a z jego słów przebijała taka radość i duma, jakby własnoręcznie tu wszystko zbudował: parki wodne, mosty, wieże zegarowe.

- Popatrzcie tam - powiedziała w pewnej chwili znacząco - tam, w bazie stacjonuje Zajed.

I dodał, że jego przyjaciel jako psychiatra wojskowy zajmuje wysoko cenione stanowisko.

- Psychiatra? Mogłeś nas wcześniej ostrzec!

Chalid się roześmiał. Potem samochód ruszył i wyjechaliśmy z miasta w kierunku Al-Waha.

Droga szybkiego ruchu prowadziła wzdłuż wybrzeża, przez kolejne mniejsze szekjanaty. Dalsza część podróży przebiegała spokojnie, nie rozmawialiśmy za wiele. W samochodzie nie było słyhać nic poza piszczeniem szybkościomierza oraz muzyką Dire Straits, najwyraźniej ulubionego zespołu Chalida. Kiedy zabrzmiała piosenka „Once Upon a Time in the West,” Chalid i ja spojrzeliśmy sobie głęboko w oczy. Trwało to co prawda tylko chwilę, ale wystarczyło, żeby poczuć głęboką wewnętrzną więź, która łączyła nas ponad przepaścią między dwiema kulturami.

Gdy mniej więcej w połowie drogi zostawiliśmy za sobą Ajman, *trzeba*, było zatankować samochód. Dla orzeźwienia Chalid kupił puszki z colą i seven up. Perspektywa poznania jego matki napełniała mnie coraz większą nerwowością. Pomyślałam, że powinienam się wewnętrznie przygotować na spotkanie z rodziną Chalida i przez całą dalszą drogę towarzyszyły nam już tylko arabskie piosenki. Piękny głos kobiecy i pełne skargi dźwięki doskonale pasowały do pejzażu okolicy. Między ostatnim emiratem a Al-Waha ciągnęła się jedna wielka pustynia. Skrajem szosy ciągnęły się nawiane przez wiatr łachy piasku. Przez długi czas nie widzieliśmy nic poza pustynią, asfaltem i - daleko, daleko - atramentowym morzem. Ale mimo pustki, sama gra kontrastów i barw dostarczała niezapomnianych wrażeń.

Chalid spojrzął w lusterku wstecznym na drzemiącą Lisę. I chociaż zobaczył, że wpatruję się w niego, nie odwrócił wzroku od szosy. Przez cały czas niemy uśmiech błąkał się po jego wargach. Patrzyłam na jego charakterystyczny profil, z typowym długim arabskim nosem, pięknie rzeźbionym i bardzo męskim. I nagle wydało mi się, że Chalid chce, żebym widziała ten jego profil, żebym go dobrze zapamiętała. Poczułam, że moja twarz oblewa się rumieńcem i odwróciłam wzrok. A kiedy wyjrzałam przez okno, on delikatnie pogłaskał mój policzek i powiedział:

- Chcę, żebyś zawsze pamiętała, że kocham cię bardziej niż wszystko na świecie.

W oparach upału coraz wyraźniej rysowały się góry Al-Hadżar - zbliżyliśmy się do Al-Waha. Na tylnym siedzeniu poruszyła się Lisa. Zasnęła wkrótce potem, jak zatankowaliśmy samochód.

- Czy już dojeżdżamy? - zapytała, *przeciągając się*.

- Tak, obudź się, niedługo będziemy na miejscu - odparł Chalid.

Góry, które mijaliśmy, były na wyciągnięcie ręki. Między palmami i płaskimi, białymi domami wznosiło się w niebo kilka minaretów. Morze po lewej stronie nieoczekiwanie zniknęło za potężnymi wydmami. Przed nami zaczęło wyłaniać się miasto. Serce biło mijak oszalałe, wyczuwało się narastające napięcie. W samochodzie zrobiło się zupełnie cicho. Czułam się jak przed ważnym i trudnym egzaminem. A miałam go zdawać w odległym zakątku, na cyplu Półwyspu Arabskiego.

Al-Waha powitało nas skąpane w słońcu późnego popołudnia. Właściwie to mieliśmy dotrzeć tutaj wcześniej, ale Chalid musiał załatwić jakieś dodatkowe sprawy, tak że wyjechaliśmy z „Jebel Ali” z trzygodzinnym opóźnieniem. Ale oto nasz pontiac skręcał właśnie przy wieży zegarowej - Clock Tower. Był to sześcioboczny dach na palach, ustawiony pośrodku puszystego, delikatnego trawnika.

- Smile, you are in Al-Waha - zażartowała Lisa.

Chalid uśmiechnął się z wyraźnym wysiłkiem. Wyczuwało się, że ijemu udzieliło się napięcie. Z nieruchomym spojrzeniem prowadził samochód przez stare miasto, obok dawnej twierdzy i meczetu. Nie było widać wieżowców i szklanych pałaców; jechaliśmy labiryntem wąskich uliczek, skręcając po tysiąc razy i mijając malownicze targowiska z rybami, owocami i warzywami. Co chwila między budynkami połyskiwało niebieskie morze. Dość szybko straciłam orientację. Wreszcie Chalid zatrzymał się przed kilkupiętrowym budynkiem mieszkalnym, który nie wyróżniał się niczym specjalnym. Dom jak inne.

„Aha, więc to tu - pomyślałam - to jest jego dom rodzinny, którego tak długo nie chciał mi pokazać”.

- Wsiadamy, moje panie.

Kilkoro dzieci, które bawiły się na ulicy, natychmiast okrążyło z zaciekawieniem nasz samochód.

- Chalid... czy to już tu? - zapytałam niepewnie.

- Nie, najpierw jeszcze kogoś odwiedzimy... - uśmiechnął się szelmowsko.

- A kto to jest, ten ktoś?

- Moja dawna nauczycielka.

Zatkało mnie. Ale zanim zdołałam coś odpowiedzieć, już byliśmy na klatce schodowej. Na korytarzu tłoczyły się jakieś kobiety i dzieci. Trudno powiedzieć, czy to dlatego, że oczekiwano naszej wizyty. Tym bardziej że w krajach arabskich właściwie w każdej chwili jest się przygotowanym na gości. Pani domu przywitała Chalida tyradą zwyczajowych uprzejmości i dała zgromadzonym znak, by się rozeszli. Ale nikt nie zareagował. Po chwili otuliła nas ciężka woń kadzidła. „Zaraz zemdleję” - zdawał się mówić wzrok Lisy. Wreszcie pani domu zauważyła i nas. Chalid zwrócił się do mnie:

- Verena, pozwól, że ci przedstawię Mrs Szandrani, moją dawną nauczycielkę szkolną, o której ci opowiadałem.

Posłałam mu spojrzenie pełne nagany: bo czyż nie dowiedziałam się o istnieniu tej nauczycielki dopiero na progu jej domu?

- Welcome, marhaban, Verena - powitała mnie serdecznie.

Jej oczy przyglądały mi się badawczo i ze zdumieniem.

- O, your hair is beautiful - dodała po chwili z prawdziwą admiracją i zaraz też ich dotknęła. - Piękna, jak róża! - powiedziała jeszcze, spoglądając na Chalida.

Poczułam się niezręcznie. Skąd mogłam wiedzieć, że takie formy zachowania są jednym z elementów tutejszej kultury.

W końcu komitet powitalny popchnął nas do salonu. Nie wiedziałyśmy, co mamy dalej robić. Stałyśmy niezdecydowane przed licznymi sofami.

- Usiądźcie - zachęcił nas Chalid.

Tymczasem pani Szandrani poszła do pomieszczenia obok, pewnie do kuchni. Chalid ze spokojem bawił się z małym chłopcem, który po cichutku podkrał się do niego. Po chwili pani domu weszła z powrotem do salonu, towarzyszyła jej dziewczyna, pewnie służąca, która podała nam herbatę. Dopiero teraz dotarło do mnie, że Mrs Szandrani, chociaż rozmawia z Chalidem po arabsku, nie pochodzi stąd. Miała na sobie sari, jakie noszą kobiety w Indiach albo na Sri Lance. Z początku ledwie mogłam wydusić z siebie słowo, byłam całkowicie wyprowadzona z równowagi tą nieoczekiwaną zmianą planu przez Chalida. Oszałamiał mnie ciężki dym, który wydobywał się z miedzianego naczynia i wypełniał cały pokój. A przy tym miałabym, oczywiście, mnóstwo pytań dotyczących Chalida. Nawet Lisa siedziała cichutko, wyraźnie przejęta.

- Ho w do you like the United Arab Emirates? - nauczycielka zadała standardowe pytanie, starając się rozpocząć konwersację. Chalid tymczasem zostawił nas całkowicie na łasce losu. Usiadł w przeciwległym kącie pokoju i beztrudnie zajmował się chłopcem, który wspinał się po nim jak mała małpka.

To pewnie był mój pierwszy egzamin.

Po pewnym czasie zza sof zaczęły jedna po drugiej wyglądać dziecięce twarzązki. Dziewczynki nieśmiało wsunęły się do pokoju i po kolei zaczęły zajmować miejsca obok matki. Swoimi



czarnymi oczami przyglądały się raz Lisie, raz mnie, jakbyśmy były jakimiś niezwykłymi istotami.

- Hej, jak ci na imię? A tobie? Ile macie lat? Chodźcie już do szkoły?

I tak dalej i tak dalej...

Nie miałam odwagi zapytać o nic innego, za nic w świecie nie chciałam uchybić tutejszym obyczajom i w duchu modliłam się gorąco: „Dobry Boże, spraw, żebym nie popełniła jakiejś gafy”.

Po pewnym czasie weszła służąca i postawiła przed nami tacę, na której stały miseczki z drobnymi przekąskami. Mrs Szandrani wskazała tacę Chalidowi, zachęcając go, żeby się poczęstował, na co on podziękował równie uprzejmym gestem, wskazując z kolei na panią domu i nas. Nieśmiało wzięłam mały kawałek czegoś bliżej nieokreślonego - smakowało jak mydło. Popiłam herbatą i starałam się nie dać po sobie niczego poznać. Lisa też walczyła - ona z kolei musiała trafić na coś bardzo ostrego. Na szczęście nasza gospodyni udawała, że niczego nie zauważa. Nieoczekiwanie dołączył do nas kolejny mieszkaniec domu, mężczyzna. Wchodząc do pokoju, skinął od progu i ruszył w stronę Chalida, który natychmiast podniósł się i pozdrowił go z respektem. Mężczyzna wyglądał na zasnętego, ubranie miał lekko wymięte; zapewne obudził się właśnie z popołudniowej drzemki. To musiał być pan Szandrani. Natychmiast wniesiono świeżą herbatę, a pan Szandrani usiadł w pobliżu Chalida. Czy ja już gdzieś nie słyszałam, że kobiety i mężczyźni przebywają w oddzielnych częściach domu? I siadają osobno? Nagle zrozumiałam, dlaczego Chalid nie siedzi obok mnie.

Tkwiłam tutaj już od godziny, nie wiedząc, dlaczego jesteśmy tu tak długo i co mnie jeszcze czeka tego dnia.

Kiedy pani Szandrani kazała podać daktyle i miodowe ciasteczka, pomyślałam, że ta wizyta nigdy się nie skończy. Nerwowo próbowałam pochwycić spojrzenie Chalida. Wreszcie mi się udało; lekki uśmiech na jego twarzy zdawał się obiecywać, że to już niedługo.

Gdybym była u siebie, już dawno wyraziłabym swoje niezadowolone. Ale tu było inaczej. Wiedziałam, że obowiązują inne zasady. Instykt podpowiadał mi, że nie powinnam okazywać złości ani się za bardzo przeciwstawiać, bo skutek będzie zupełnie przeciwny. I zrobiłam dobrze, jak się potem okazało.

Kiedy wreszcie opuściliśmy dom Mrs Szandrani, słońce dawno już skryło się za dachami. Niebo zabarwiło się na różowo, a z oddali z minaretów dolatywały nawoływania muezzinów „Allah akbar”. „Co za kontrasty!” - pomyślałam, gdy Chalid uruchomił silnik swojego supernowoczesnego sportowego samochodu.

- No, Verena, pewnie cię trochę zaskoczyłem tą wizytą - zapytał ostrożnie, ale jednak z odrobiną filuterności w głosie.

Ze wszystkich sił starałam się zachować spokój. Lisa nie odezwała się ani słowem. Z pewnością żałowała, że w ogóle dała się namówić na tę wycieczkę.

Jadąc ostro pod górę, przejechaliśmy przez ogromny most i opuściliśmy starą część miasta.

Po drugiej stronie basenu portowego rozciągały się tereny zielone. Widać też było potężne domy za murami chroniącymi mieszkańców przed wzrokiem niepowołanych osób. Lekko wznoszącą się szosą jechaliśmy prosto w kierunku gór. Wzdłuż drogi, za coraz to wyższymi murami ciągnęły się jedna za drugą eleganckie posiadłości otoczone ogrodami palmowymi.

Nietrudno było sobie wyobrazić, jak piękne są ich wnętrza. Milczałam zauroczona okolicą.

Tymczasem zapadł zmierzch. Droga, którą jechaliśmy, bez wątpienia prowadziła z powrotem do miasta. Chalid jeździł w kółko! Moje napięcie powoli zaczęło ustępować miejsca niepokojowi i niepewności, a wreszcie - rozczarowaniu. Zrozumiałam, że nigdy nie poznam jego matki. „Mam tego dość!” - pomyślałam. Moja cierpliwość się kończyła.

- Chalid, czy mógłbyś na chwilę się zatrzymać?

Zatrzymał wóz i spojrział na mnie z niewinną miną.

- Już chyba dość zwiedzania Al-Waha. Chciałeś nam pokazać swój dom, prawda?

- Właśnie przejeżdżaliśmy obok niego.

- Słucham?

Chalid zgiął się w pół ze śmiechu i padł na kierownicę.

- Verena, słuchaj, mam dość, nie wytrzymam dłużej tego bezsensownego błędzenia, wracajmy do „Jebel Ali” - powiedziała Lisa całkiem przybita.

- Oczywiście, zaraz jedziemy z powrotem.

Wreszcie Chalid się opanował. Przeczuwałam, co teraz powie.

- Verena, proszę, nie gniewaj się, muszę ci się do czegoś przyznać.

- Dobrze. Mów.

- Słuchaj, wiesz... ja nie mogę was zaprosić do siebie do domu. Niejesteśmy spokrewnieni i macie niezastłonięte twarze. Byłoby to kłopotliwe dla mojej matki i wszystkich krewnych. W Al-Waha równałoby się to zniesławieniu mojej rodziny. Mówię to poważnie, wybacz mi.

Nie mogłam wydobyć z siebie głosu.

- Przejdziemy jeszcze raz koło mojego domu, obejrysz go z samochodu, dobrze?

Moje rozczarowanie było wielkie, ale musiałam sama przed sobą przyznać, że próbowałam wymóc na Chalidzie coś, co po prostu było niemożliwe. W głębi ducha być może nawet to przeczuwałam, ale nie chciałam dopuścić do siebie prawdy. Jak mogłam przypuszczać, że uda mi się nagiąć rzeczywistość do moich wyobrażeń!

W milczeniu pojechaliśmy z powrotem w kierunku gór. Tymczasem nad Al-Waha zapadała ciemność. Zadawałam sobie pytanie, czy właśnie o to chodziło Chalidowi. Czy po to właśnie jeździliśmy bez sensu, żeby zrobiło się ciemno? Kiedy podjechaliśmy z powrotem w górę, a następnie zaczęliśmy zjeżdżać ulicą, z której wyjechaliśmy poprzednio, Chalid zwolnił. Mimo że nie było jeszcze całkiem ciemno, ze względów bezpieczeństwa powinno się już włączyć światła, ale myjechaliśmy bez świateł. Samochód toczył się powolutku, prawie bezgłośnie, a Chalid, napięty jak zwierzę czyhające na ofiarę, wpatrywał się w budynek, który stał na wprost.

- To tu - powiedział prawie szeptem - To jest mój dom.

Podjechał jeszcze kilka metrów bliżej. Atmosfera była nieznośnie napięta, wyczuwałam lęk Chalida i ledwie śmiałam oddychać: a nuż ktoś nas usłyszy! W milczeniu przyglądałam się domowi, do połowy ukrytemu za wysokim murem. Widać było tylko dwa górne piętra i dach. Była to wielka i dość stara budowla, a właściwie dwa budynki. A więc Chalid nie pochodził bynajmniej ze skromnej rodziny. Mogłam tylko wikłać się w domysłach.

- Dlaczego są tu dwa domy? Czy ktoś mieszka w tym mniejszym?

- Tak, pierwsza żona mojego ojca - padła rzeczowa odpowiedź.

- To twój ojciec ma kilka żon?

Ale Chalid zdawał się mnie nie słuchać. Tak bardzo był skupiony na tym, żeby nikt nas nie zauważył.

- Gdzie jest twój pokój, można go stąd zobaczyć?

W tym momencie wóz ruszył - i po wszystkim!

Miałam wrażenie, że to był tylko sen. Staliśmy przed tym domem nie dłużej niż kilka sekund.

Trzy czy cztery domy dalej Chalid nagle powiedział:

- Popatrz, Verena, a to jest dom mojej siostry.

W jego głosie zabrzmiała niekłamana duma. Spojrzałam na dom: jak na warunki w Al-Waha była to bardzo nowoczesna, wręcz imponująca budowla.

Chalid patrzył na mnie w napięciu, w jego ciemnych oczach wyraźnie malowała się desperacja. Jego spojrzenie zdawało się pytać, czy wszystko zrozumiałam. Tak, zrozumiałam.

Po tym wszystkim musiałam koniecznie napić się kawy. Ponadto Lisa i ja już od dawna potrzebowaliśmy małej przerwy, żeby pójść do toalety i trochę się odświeżyć. Chalid posłuchał nas i jeszcze przed wyjazdem z miasta skręcił z głównej drogi do małego hoteliku o nazwie „Al Waha”.

- Idźcie przodem - powiedział - ja muszę jeszcze załatwić kilka telefonów. Zaraz przyjdę.

Kiedy weszliśmy do środka, mężczyzna w recepcji popatrzył na nas z niedowierzaniem. Zupełnie jakby zobaczył duchy. W pewnym sensie tak właśnie było, z pewnością nigdy nie zabłąkała się tu żadna Europejka.

Restauracja świeciła pustkami, wszystko pogrążone było w bezruchu. Ciszę przerywały tylko trzepot skrzydeł i świer-

got ptaków, dolatujące z woliery. Byłyśmy z Lisą zbyt wyczerpane, by rozmawiać o tym, co się wydarzyło. Zresztą fakty mówiły same za siebie.

Już dawno wypiliśmy kawę, a Chalid wciąż nie nadchodził. Zastanawiałam się, gdzie też się podziewa i dlaczego do nas nie dołączył. Może obawiał się pytań, na które nie potrafiłby odpowiedzieć...

    Nie pozostawało nam nic innego, jak zapłacić i wyjść.

Jak przypuszczałam, Chalid siedział w samochodzie i telefonował - albo udawał, że telefonuje. Nagle mnie olśniło: te ważne sprawy przez telefon to tylko wymówka! Chalid po prostu nie odważył się z nami pokazać nawet w tym hotelu! Zmęczona i zniechęcona wsiałam do samochodu.

Kiedy dojechaliśmy do autostrady, Lisajuz prawie drzemała. Ja natomiast próbowałam wybadać Chalida, dowiedzieć się czegoś o tajemnicach domu za wysokim murem. Oczywiście, z całym szacunkiem dla uczuć jego mieszkańców. Chciałam tylko dodawać do tej mozaiki kamyczek po kamyczku, w nadziei, że któregoś dnia wszystko się ułoży w zrozumiałą całość. Nie mogłam się przy tym nadziwić, jak potrzeba podsuwa najbardziej pomysłowe rozwiązania. Chalid powiedział, że przy najbliższej okazji naszkicuje mi plan swojego domu rodzinnego. Podczas gdy zaczęłam się zastanawiać, czy znowu ze mnie nie kpi, on - z niewzruszoną miną - zaczął opowiadać o tym, że jego matka to druga, młodsza żona ojca. Razem zajmują główny budynek. Pierwsza żona, która mieszka sama w domu obok, to dla niego, Chalida, ktoś w rodzaju ciotki czy też babci. Jej dzieci, rodzeństwo przyrodnie Chalida, nie mieszkają razem z nimi. Już dawno założyły własne rodziny. Z uśmiechem dodał, że

macocha zawsze była prawdziwym błogosławieństwem i dobrym duchem rodziny. Na przykład, gdy w dzieciństwie Chalid coś przeskrobał i groziły mu cięgi od matki, zawsze mógł się schronić w opiekuńcze ramiona macochy. I chociaż to wszystko, o czym mówił, wydawało się dziwne i nieprawdopodobne, to najwyraźniej ten układ w jego rodzinie funkcjonował doskonale. W każdym razie z opowieści Chalida, ze sposobu, w jaki mówił, wynikało, że miał szczęśliwe dzieciństwo.

W tym momencie przyszło mi do głowy jeszcze coś, o co mogłabym zapytać: Anglia! Ten epizod z narzeczoną, którą wyznaczają rodzice. Umowa honorowa między głowami rodzin, która w krajach islamskich ciągle jeszcze traktowana jest jako obowiązująca. Ale czy miałam prawo go o to pytać? Teraz, kiedy najwyraźniej trochę się uspokoił? I czy to właśnie ta sprawa jest przyczyną jego tajemniczości, tej rzekomej tragedii i rozpacz? Wyjaśnieniem jego niezrozumiałego zachowania przez te wszystkie lata? Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że Chalid, mając pewność, że poślubi inną kobietę, kochałby mnie tyle lat i tyle lat zabiegał o podtrzymanie znajomości. Ale może sam nie wiedział, jak potoczą się sprawy? Bo i kto to wie... Nagle może wybuchnąć wojna, nadejść powódź, trzęsienie ziemi. I los człowieka potoczy się inaczej.

Szukałam naszej ulubionej kasety z muzyką i gorączkowo zastanawiałam się, od czego zacząć. Drżącymi ze zdenerwowania palcami włożyłam kasetę do odtwarzacza. Wahałam się. Czy to ze strachu przed ostateczną odpowiedzią? Przed zniszczeniem tej resztki nadziei, którą żywiłam w skrytości ducha? Jakże łatwo było zamknąć oczy na rzeczywistość! Dźwięki gitary wygrywały całą tęsknotę świata, wszystko zaczęło się

rozmywać, zacierać... Wspomnienie początków, nieuchronność końca. Ogarnęło mnie obezwładniające zmęczenie. Widziałam już tylko sylwetkę Chalida, który nieruchomo, jak skamieniały, wpatrywał się w szosę i horyzont...

Kiedy się obudziłam, ujrzałam tysiące świateł. Mknęliśmy przez Dubaj, pustynną metropolię. Na tylnym siedzeniu po drzemce przeciągnęła się Lisa; siedziała, nie odzywając się ani słowem. Tymczasem Chalid prowadził wóz przez most Al-Garhud.

- Mam nadzieję, że wybaczycie, jeśli pojedziemy bezpośrednio do „Jebeli Ali”? Zrobiło się późno, a ja o szóstej rano muszę być z powrotem w Dubaju, w Porcie Raszid.

Chalid był zupełnie nieobecny duchem przez ostatnie kilometry do hotelu.

- O czym tak myślisz? - zapytałam.

Ale on ani jednym słowem nie dał poznać, co zaprzętało jego uwagę. Nawet wyraz oczu nie zdradzał, o czym myśli, albo co czuje. Miałam wyrzuty sumienia, że zasnęłam, zamiast z nim porozmawiać.

Kiedy wysiedliśmy z samochodu, Chalid przejechał dłonią po twarzy, jakby chciał coś zetrzeć: ślady znużenia, przytłaczające myśli...

- Nie powinieneś teraz jechać do Al-Waha - powiedziałam ze współczuciem i delikatnie pogłaskałam go po twarzy. Ogarnęło mnie poczucie winy.

- Może masz rację, pewnie przenocuję w Dubaju.

- Obiecujesz?

W milczeniu kiwnął głową.

I tak się pożegnaliśmy.



- *Jeszcze* trochę, a stracę resztki nadziei, jeśli nic się nie wydarzy - powiedziałam do Lisy.

- Ach, Verena, wiesz, co o tym myślę!

Kiedy weszliśmy do hotelowego foyer, było już po dwudziestej drugiej. Zamiast wziąć prysznic i zmienić ubrania, poszliśmy prosto do jadalni. Ku naszemu zaskoczeniu ktoś tam na nas czekał.

- Miło was widzieć! - zawołał Matar ze swojego miejsca przy wejściu. Podniósł się z galanterią i rozłożył ramiona na znak, że zaprasza nas do swojego stolika. Kelnerka, która nam towarzyszyła, zrozumiała gest i rzuciła się podsunąć nam krzesła.

- Nie, dziękuję - rzuciłam szybko - niejesteśmy z tym panem.

- Verena, proszę - powiedział Matar, przykładając dłoń do serca - będę się czuł zaszczycony. Jesteście, oczywiście, moimi gośćmi.

Lisajuz się sadowiła, ajajeszcze szukałam wymówki. Matar tymczasem odsunął się na bok, żeby zrobić mi miejsce przy sobie. Wiedziałam, że popełniam błąd. Matar zaś objął mnie pełnym zadowolenia spojrzeniem, prezentując w uśmiechu swoje olśniewająco białe zęby, i rzekł:

- Habibti.

- Słucham? Nie rozumiem po arabsku.

Najwyczejniej w świecie zignorował moje pytanie i zamówił butelkę bordeaux. Kiedy degustował wino, zastanawiałam się, czy rozumie sens wachania, czy tylko podpatrzył to u Europejczyków. W każdym razie wino smakowało znakomicie.

- Czemu przychodzicie panie jeść tak późno? Byłyście dzisiaj na wycieczce?

- Późno? Co pan ma na myśli?

- No, przecież Europejczycy zwykle jadają wcześniej...

- Bystry z pana obserwator, Matar!

Uśmiechnął się, mile połączony, z wdziękiem przysłaniając twarz ghurstem... Gest, który robił na mnie sympatyczne wrażenie.

- Tak, trochę dzisiaj zwiedzałyśmy, pojechałyśmy aż do Al-Waha.

- Ach! Z waszym przyjacielem, Chalidem!

Twarz Matara spochmurniała.

W tym momencie uświadomiłam sobie, jak bardzo Matar i Chalid różnią się pod względem charakteru. Matar otwarcie ujawniał emocje - czy to smutek, czy radość - natomiast Chalid zazdrośnie strzegł dostępu do świata swoich uczuć. Przez te wszystkie lata nieraz doprowadzało mnie to prawie na skraj obłądzenia.

Przy bufecie krzątali się drobni azjatyccy kucharze. Gdy nakładałam sobie na talerz, Matar uśmiechał się do mnie figlarnie z przeciwnej strony bufetu, spomiędzy dekoracyjnie powycinanych warzyw. Pomyślałam sobie, że „Jebel Ali” to jego teren łowiecki.

Potem, podczas przyjemnej towarzyskiej pogawędki przy stole nagle pojawiła się myśl o Chalidzie: na pewno poczułby się dotknięty, gdyby wiedział, że spędzam czas w towarzystwie Matara. W dodatku po takim dniu. Ale już za chwilę sama siebie przekonałam, że przecież Chalid nie ma prawa mnie ograniczać.

- Proszę wybaczyć moją ciekawość, Matar, ale czym się pan właściwie zajmuje?

- I am a lawyer.

- Ach tak, prawnik! A gdzie pan studiował? Czy w Abu Zabi jest uniwersytet?

- Nie, studia ukończyłem w Kairze. Potem musiałem odrobić pięć ciężkich lat jako prawnik wojskowy w Abu Zabi.

- Ciężkie lata? - roześmiała się Lisa. - Na pewno odbywał pan służbę w przyjemnie klimatyzowanym biurze.

Matar ściągnął usta i dziwnie się uśmiechnął.

- No, to nie zawsze było takie proste. Czasem było naprawdę trudno obsłużyć niektórych europejskich pośredników.

Spojrzałyśmy na niego pytająco.

- Nie rozumiem... co ma pan na myśli? - zapytałam.

- Mówię o pośrednikach w handlu bronią i samolotami z Francji, którzy chcieli za łapówkę nakłonić mnie do podpisania umów na zakup myśliwców. No, ale mocno się pomylili. W ten sposób nie załatwia się interesów w Zatoce. Ja w każdym razie nie dałem się przekupić.

- To godne szacunku, Matar, naprawdę.

- Tak... tak... - westchnął - ... a teraz mam własną kancelarię adwokacką. Ale ciągle jeszcze nie umiem obsługiwać faksu.

I Matar wybuchnął głośnym śmiechem.

Dla mnie było to jeszcze jedno potwierdzenie obserwacji, że wraz z naftowymi dolarami wiele rzeczy zbyt gwałtownie spadło na ten kraj. Cała nowoczesna technika ciągle jeszcze stanowiła problem, co mogłam doskonale zrozumieć.

Nagle ku naszemu zaskoczeniu przy stoliku pojawił się Abdul. Z właściwą sobie swobodą światowca przedstawił się Matarowi, któremu nie pozostało nic innego, jak poprosić, żeby się przysiadł.

Im dłużej tak razem siedzieliśmy, tym większy niepokój mnie ogarniał. Moje myśli co chwila podążały ku Chalidowi. A co, jeśli nie może zasnąć, jeśli tęskni i spróbuje się dodzwonić,

a mnie nie będzie? Nawet o północy. Nie mogłam już dłużej znieść tego niepokoju i wyrzutów sumienia. Zaczęłam się żegnać.

- Ależ, Verena! Proszę nas jeszcze nie opuszczać... - powiedział Abdul.

- Ach, ja po prostu nie mogę siedzieć za długo w nocy.

Matar spojrzał na mnie z powątpiewaniem swoimi ciemnymi oczami. A potem, jakby chciał mnie usidlić, znowu uwodzicielskim gestem zarzucił ghutrę na swoją piękną twarz i powiedział:

- Nie zapominaj o mnie, habibti....

- You are a crook, Matar - roześmiałam się i wyszłam z sali.

W windzie wyłożono już dywan na poniedziałek - a więc było aż tak późno! Kiedy drzwi się otworzyły, pobiegłam do pokoju. Bałam się, że nie zdążę odebrać telefonu. Ale telefon nie zadzwonił. Pełna skruchy rozsunęłam firanki i wyszłam na balkon. Noc była bezksiężycowa, czarna jak smoła, tylko światła strefy wolnocłowej Dżabal Ali tańczyły w powietrzu. Usiadłam, czekałam, że coś się wydarzy - ale wokoło panował spokój i całkowita cisza, przerywana jedynie od czasu do czasu cichym trzaśnięciem samochodowych drzwiczek. A ja po prostu nie wiedziałam, jak mam się zachowywać jako „arabska kobieta”, a jednocześnie turystka i przyjaciółka Lisy. Za dużo tego... I to nie mogło wypaść dobrze. Czy rano niebo będzie zachmurzone? Gdzie Chalid będzie nocować? Dlaczego on z każdej sprawy, ze wszystkiego musi robić tajemnicę? Raz jest zamknięty i pełen dystansu, a innym razem troskliwy, ciepły, uważający, czuły. Oszaleć można. Gdybym nie była absolutnie pewna, że za tą fasadą kryje się wrażliwy, porządny człowiek, nigdy bym na to wszystko się nie zgodziła.

Wreszcie poszłam do łóżka. Byłam pewna, że Chalid nigdy by się nie przyznał i nigdy by sam nie powiedział, że dzwonił na próżno. Był na to zbyt dumny.

Imprezy banku Merrill Lynch kończyły się tego dnia. Abdul niewiele myśląc, przedłużył swój pobyt. Na jak długo? Inszallah, tego nie wiedział nikt. Chalid, który od wczesnego ranka zajęty był w Porcie Raszid, dzwonił do mnie kilka razy z komórki. Żadne z nas słowem nie wspomniało o minionej nocy.

Chalidowi na pewno nie podobało się to, że Lisie będzie teraz towarzyszył Abdul. Ale nie dał po sobie nic poznać, tylko wyraził gotowość poznania Kuwejtczyka.

Tego wieczoru oczekiwaliśmy więc Chalida we troje. Abdul chciał zaprosić nas do „Hyatt Regency”. Zarezerwował nawet stolik w japońskiej restauracji. Zastanawiałam się, czy spotkanie obu panów wypadnie dobrze. Jakoś nie mogłam się pozbyć uczucia, że ci dwaj to zderzenie dwóch zupełnie różnych światów.

Tego wieczoru Abdul, ku niepomiernemu zdumieniu nas wszystkich, wyglądał jak Wielki Gatsby. Czuprynę miał nażełowaną i zaczesaną do tyłu, do tego szykowny jasny garnitur i biało-brązowe buty do golfa. Oczywiście nie brakowało również słynnych cygar Montechristo.

- Verena, jestem bardzo ciekaw pani Chalida.

Zabrzmiał w tym jakiś dziwny dodatkowy ton, ale nie wiedziałam, czemu to przypisać, bo przecież ci dwaj mężczyźni nie musieli staczać o mnie walki.

Kiedy wreszcie Chalid wszedł przez wahadłowe drzwi do baru, gdzie na niego czekaliśmy, Abdul grzecznie podniósł się z miejsca.

Rozłożył ramiona i przywitał go szerokim gestem światowca. Może nieco za bardzo podkreślając, że jest tu gospodarzem. W każdym razie nie zdziwiło mnie, kiedy Chalid w odpowiedzi niezbyt elegancko opadł na fotel. Widać było, że zrobił to specjalnie.

Już na samym początku zgrzyt.

Na domiar złego okazało się, że nie ma na nogach skarpetek. Boże! Było mi wstyd. Chalid zachowywał się okropnie, nigdy jeszcze nie widziałam, żeby był tak gburowaty i nieokrzesany. Ale Kuwejtczyk doskonale sobie radził, udawał, że niczego nie widzi, robił dobrą minę do złej gry i starał się podtrzymać konwersację. Wkrótce zaproponował, żeby udać się do „Hyatt Regency”.

- Czemu nie - powiedział Chalid obojętnie.

Przez chwilę rozważałam, czy nie wysłać Lisy i Abdula samych do Dubaju. W końcu ten wieczór miał być dla wszystkich przyjemnością, a nie udręką. Abdul musiał odgadnąć moje myśli, gdyż zaczął ze wszystkich sił zachwalać swój plan i roztaczać kuszącą perspektywę wspaniałego wieczoru.

- Obiecuję, że nie pożałujecie, naprawdę. Będziecie zachwyceni japońską kuchnią. A jeśli się nie spodoba, to zawsze możemy zmienić lokal. W „Hyatt Regency” każdy znajdzie coś dla siebie, prawda, Chalid? Oczywiście, jesteście moimi gośćmi.

Poklepał przy tym Chalida po przyjacielsku po ramieniu. Chalid próbował się wymówić, ale Kuwejtczyk nawet nie chciał o tym słyszeć. W końcu poszli razem do wyjścia. Abdul miał dla nas jeszcze jedną niespodziankę: portier przyprowadził ogromnego, białego oldtimera, podobnego do rolls-roycea, który idealnie pasował do stroju Kuwejtczyka. Iście filmowa scena. Ale Chalid nie chciał zrezygnować z jazdy swoim samochodem, z czego w duchu bardzo się ucieszyłam: nareszcie będę z nim sama!

Bez słowa poprowadził pontiaka za oldtimerem przez park i na drogę szybkiego ruchu.

- Chalid, wszystko okay, dobrze się czujesz?

- Oczywiście, wszystko w porządku - odparł z obojętną miną.

Wyczuwałam jednak, że coś jest nie tak. Albo raziło go zachowanie Kuwejtczyka, albo też gryzł się tym, gdzie byłam ostatniej nocy. Chociaż... może się myliłam, może gnębiło go jeszcze coś, o czym nie miałam najmniejszego pojęcia, i dlatego był taki nieswój.

Chciałam gojakoś pocieszyć i wesprzeć.

- Chcę, żebyś wiedział, Chalid, że mimo wszystko ta wycieczka do Al-Waha wiele dla mnie znaczy i cieszę się, że mnie tam zabrałeś. Przecież od samego początku wiedziałeś, że nie możesz mnie przedstawić w swoim domu. A mimo to wzięłeś sobie do serca moją prośbę i postarałeś się spełnić moje życzenie, na ile to możliwe. Doceniam to.

Twarz mu się nieco rozpuodziła.

- A więc nie masz mi za złe, że nie wszystko przebiegło zgodnie z twoimi oczekiwaniami?

- Tylko troszkę - uśmiechnęłam się. - Z tą twoją nauczycielką to jednak trochę przesadziłeś.

Roześmiał się i pogłaskał mnie po rękę.

- No tak... Wiesz, musiałem coś wymyślić, przecież nie dałaś mi wyboru. Jak sobie czymś nabijesz głowę, to już nie odpuszczisz, choćby się waliło i paliło. Niejest tak, Verena?

- No, może i masz rację. Potrafię być uparta i wytrwała. Ale powiedz, jak się powodzi twojej rodzinie?

(No tak, zagadałam jak prawdziwa Arabka!)

- Dobrze, w porządku, wszystko dobrze - odparł i głośno przełknął.

- Chalid?

- Tak?

- Słyszę w twoim głosie smutek i z troskanie.

- Ach, naprawdę? Cóż... W naszym domu nie wszystko jest tak, jak być powinno. Brakuje mi mojego ojca. Tak strasznie mi go brakuje. Zmarł przed dwoma laty.

Przyglądałam mu się uważnie z boku i starałam się odgadnąć, jak bardzo dotknęła go ta strata.

- Ciągłe ci smutno, że ojca nie ma?

- To był najgorszy okres w moim życiu, kiedy umierał. Omal nie postradałem zmysłów. W krótkim czasie straciłem dwie najbliższe mi osoby. Opuściło mnie dwoje najbliższych ludzi.

Powiedział: dwoje? Myśli zawirowały mi w głowie: chyba nie ma na myśli mnie?

- Tak, Verena, nie możesz sobie nawet wyobrazić, jak wielki zadałaś mi ból. Jak bardzo cię wtedy potrzebowałem. A ciebie nie było - w najgorszym okresie mojego życia.

To oskarżenie bardzo mnie dotknęło. Poczułam się urażona.

- Gdybyś wiedział, Chalid, jak ty doprowadzałeś mnie na skraj szaleństwa! Co ty sobie wyobrażasz? Że to było dla mnie takie łatwe, takie oczywiste - tak po prostu zniknąć?

- Verena, teraz nie kłóćmy się o to, kto kogo bardziej skrzywdził. I tak na wszystko jest już za późno.

Co on opowiada? Poczułam bolesne ukłucie w piersi. Słowa Chalida zabrzmiały tak ostatecznie. A przecież dopiero co zaklinał mnie i błagał, obiecywał, że znajdzie jakieś wyjście!

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Westchnął ciężko, zacisnął wargi, widać było, że stacza ze sobą ciężką walkę. Gorzej już być nie mogło...



- Obiecałem mojemu ojcu przy łożu śmierci, że w końcu poślubię dziewczynę przeznaczoną mi przez niego i innych starszych w rodzinie.

Przez cały czas przeczuwałam coś takiego. A mimo to byłam wstrząśnięta tym, co usłyszałam.

- Na miłość boską, czemu mówisz mi o tym dopiero teraz?! Dlaczego nie powiedziałeś mi zaraz pierwszego dnia, że masz żonę? Dlaczego - do diabła! - musisz zawsze ze wszystkiego robić taką tajemnicę!

- Niece, Verena! Nie! Uspokój się. Jeszcze się nie ożeniłem. Ale to nastąpi niedługo, jeszcze w tym roku.

Poczułam, jak żołądek podchodzi mi do gardła.

- To po co to wszystko: nasze spotkania, wycieczki, twoje wyznania miłości?! - wykrzyknęłam zduszonym głosem.

- Ty jesteś tą, którą kocham - odparł Chalid ze spokojem.  
- Kocham cię od pierwszego dnia, od dnia, w którym cię zobaczyłem. I tak pozostanie. Jesteś pierwszą i ostatnią prawdziwą miłością mojego życia.

- Chalid!

Potrząsnęłam głową w osłupieniu. Nie pojmowałam tego. Popatrzyłam przez okno na przesuwający się krajobraz. Nie, to nie do pojęcia. W tym nie ma żadnego sensu...

- Verena, obiecaj mi, proszę, obiecaj, że do końca życia pozostaniemy przyjaciółmi... cokolwiek się stanie...

Patrzyłam na niego zdumiona i przestraszona.

- Proszę... - powtórzył błagalnym tonem, w oczach miał bezmiar smutku.

Nie mogłam wytrzymać tego spojrzenia.

- Dobrze, Chalid, dobrze... spróbuję...

Z prawej strony ciągnęły się piękne zielone tereny, należące do „Emirates Golfclub”. Wszystko spowijał welon gorącego, rozedrganego powietrza. Białe beduińskie namioty przy budynku klubu w promieniach zachodzącego słońca przybierały delikatną, różową barwę. Przed Jumeirah Beach delikatnie marszczyło się i falowało morze. Jak w bajce. „Oto koniec pięknego snu...” - pomyślałam.

Przy wejściu do „Hyatt Regency” czekali już na nas Lisa i Abdul. Miałam nadzieję, że nie widzą po nas niedawnego wzburzenia. Jakkolwiek było, odniosłam wrażenie, że tych dwoje nie zamierza psuć sobie wieczoru. Poszli przodem.

Abdul pokazał klasę prawdziwego światowca. Ze znanstwem prezentował nam kartę sushi, toteżjemu pozostawiliśmy wybór potraw. Na okrągłym stole wkrótce pojawiło się mnóstwo tacek i deseczek z surową rybą, do tego podano mnóstwo najróżniejszych sosów. Starałam się zachować pogodną twarz i cieszyć się tym wspólnym wieczorem. Natomiast wyraz twarzy Chalida nie wróżył, niestety, niczego dobrego. Z dezaprobatą spoglądał na czerwone, brunatne i białe kawałeczki ryb, celowo okazując Abdulowi lekceważenie.

- Verena, to na pewno będzie pani smakowało, to tuńczyk, proszę skosztować - powiedział Abdul zachęcająco, spoglądając na mnie z zadowoleniem.

- Doskonałe, naprawdę... ty też spróbuj - próbowałam namówić Chalida.

Ale Chalid zdobył się jedynie na wymuszony uśmiech. Atmosfera przy stoliku robiła się coraz cięższa, zanosilo się na coś złego. Stopniowo zaczęło mi świtać, że Chalid jest zazdrosny o Kuwejtczyka. Abdul przez cały wieczór był miły,

starał się wciągnąć Chalida w rozmowę, ale ten traktował go z wyraźnym dystansem. Co chwila podnosił się od stołu i odchodził z telefonem komórkowym w rękę, a gdy wracał tylko dużo pił i udawał, że nie ma apetytu. Dobitniej nie mógł już okazać Abdulowi, jak niewiele znaczy dla niego jego towarzystwo. A im więcej uwagi okazywał mi Abdul, tym większa surowość malowała się na twarzy Chalida. Wiedziałam już, że lepiej będzie, jak się stąd wyrwę.

- Chalid, może już pojedziemy? Masz chyba za sobą ciężki dzień, prawda?

Abdul uprzedził jego odpowiedź i wtrącił z życzliwym uśmiechem:

- Oczywiście, Verena może jechać z nami, Chalid, nie musi pan jeszcze raz jechać do „Jebel Ali”...

To musiał być rewanz za niemiłe zachowanie Chalida.

Wkrótce oboje błędziliśmy zdezorientowani po ogromnym parkingu i wypatrywaliśmy naszego samochodu. W końcu go znaleźliśmy. Chalid ostrym szarpnięciem otworzył drzwiczki i czekał, aż wsiądę. Przez cały czas starał się na mnie nie patrzeć, a na jego twarzy malowała się wściekłość i złość. I nic poza tym. Przestraszyłam się. Nie, w tej sytuacji nie wsiądę do jego samochodu. To może być niebezpieczne.

- Chalid, o co chodzi, coja takiego zrobiłam?

Milczał uparcie.

- Proszę, powiedz, co cię gnębi?

Jego oczy były wilgotne. Odwrócił wzrok.

- Hej! - powiedziałam miękkiem głosem i objęłam go ramieniem - przecież jesteśmy przyjaciółmi...

Jego głowa opadła na moje ramię, westchnął ciężko.

- Nie rozumiem - mówiłam szeptem - jak to jest, jak to możliwe, że nie możemy być razem, skoro żyjemy do siebie tak mocne uczucia. Nigdy tego nie rozumiałam. Ani dziesięć lat temu, ani teraz.

Przycisnął mnie mocno do siebie i milczał dalej.

- Odpowiedź znasz tylko ty, Chalid...

Musiał zauważyć, że zbliża się dwóch mężczyzn w białych strojach.

- Wsiądźmy, Verena - powiedział zduszonym głosem.

Prawie zapomniałam, że tutaj publiczne obejmowanie się uważane jest za wyjątkowo gorszące. Chalid uruchomił silnik i zmęczonym gestem przejechał ręką po twarzy. W milczeniu ruszyliśmy w kierunku ujścia rzeki, przez tunel Szindagha, koło portu, do Dżumajry. Z radia sączyła się arabska muzyka. W duchu marzyłam, żeby Chalid zatrzymał się gdzieś na plaży. Byłoby cudownie spacerować z nim boso po delikatnym piasku, poddając się chwili, czuć siebie... To byłam cała ja! Nawet teraz, gdy wiedziałam, że wszystko stracone, nie pomyślałam, by to zakończyć, uwolnić się, pożegnać się z nim na zawsze. Jeszcze nie było za późno, by się wycofać. Zamiast tego zanurzyłam się w fantastycznych obrazach, w romantycznych rojeniach. Wyobrażałam sobie, że Chalid, urzeczony pocałunkami w świetle księżyca, zrywa przyrzeczenie dane Bogu i rodzinie. Tak marzyłam.

Ale przecież on nigdy nie naraziłby na szwank ani mojej czci, ani czci swojej przyszłej żony. Zbyt cenił miłość i szacunek dla siebie samego. Tak naprawdę wiedziałam o tym. I za to kochałam go jeszcze mocniej.

Jechaliśmy szybko i już wkrótce w oddali można było rozpoznać błyszczącą „skrzynię skarbów”. Chalid powiedział mi, że moja kartka z opisem hotelu była urocza.

»Hotel o nazwie „Jebel Ali” - w pobliżu Dubaju...«

A *przecież* ten kompleks hotelowy był tu doskonale znany. Poza hotelami miejskimi, tylko ten jeden hotel na plaży liczył się dla Arabów. Ale o tym, oczywiście, nie mogłam wiedzieć.

Nagle ciszę przerwał głos Chalida:

- Verena, jesteś mi winna pewne wyjaśnienie... pamiętasz, prawda?

Spojrzałam na niego pytająco.

- Ach, nie udawaj! - Chalid uśmiechnął z wysiłkiem.

- Chyba nie masz na myśli mojego zniknięcia przed trzema laty?

- Właśnie to mam na myśli.

- Słuchaj, Chalid, ja myślę, że ty sam doskonale wiesz, czemu tak postąpiłam. Ja po prostu nie widziałam innego sposobu. Musiałam się jakoś uwolnić od tego uczucia do ciebie, od miłości bez perspektyw. Przecież nie było niczego, czego mogłabym się chwycić, co by mi dawało jakąkolwiek pewność. Żadnych planów, przyrzeczeń, ty byłeś daleko, żadnej nadziei na małżeństwo, nic! Po prostu nic. Ja i dzisiaj nie wiem, co ci wtedy chodziło po głowie. Na pewno doskonale rozumiesz, dlaczego tak postąpiłam.

- Nie, nie rozumiem!

To mocne, zdecydowane „nie” było jak policzek.

- Ale przecież ty... .

- Nie, nie, nie! To nie usprawiedliwia twojego zachowania, absolutnie nie... - wpadł mi w słowo. Nie mówił już, a krzyczał.

Przestraszyłam się, z trudem chwyciłam powietrze. Twarz Chalida zrobiła się czerwona ze złości. Wiedziałam, że będzie lepiej, jeśli zamilknę. Chalid był naprawdę wzburzony, widzia-

łam, że wszystko się w nim gotuje. Ta wściekłość była w nim od dawna.

Jechał coraz szybciej, po wariacku, coraz mniej się kontrolował. Z niepokojem patrzyłam na drogę i w duchu dziękowałam Bogu za każdy przejechany metr, który przybliżał nas do hotelu. Na ostatnim zakręcie opony tak zapiszczały, że w wyobraźni już widziałam informację na stronie tytułowej w miejscowym dzienniku: »Jadący z nadmierną prędkością pontiac uderzył w latarnię«.

Serce biło mi jeszcze mocno ze strachu, kiedy minęliśmy hotelowy podjazd. Chalid skierował wóz na parking usytuowany na płaskich tarasach obsadzonych bugenwillami, palmami i kaktusami. Środkiem wiodły schody, prowadzące do drzwi wejściowych do budynku. Najchętniej poprosiłabym, żeby mnie wysadził zaraz przy wjeździe, ale bałam się, że ze wzburzenia kompletnie straci panowanie nad sobą.

Wyłączył silnik, wysiadł, szybkim krokiem obszedł samochód i gwałtownie otworzył drzwiczki. Wysiadłam. Byłam rozczarowana i wściekła. Nie patrzyłam na niego. On w rewanżu chwycił mnie szorstko za ramię, rzucił mi spojrzenie nakazujące respekt. Pomyślałam, że jeszcze trochę i przejdzie mi uczucie do Chalida i nawet łyżę po nim nie uronię.

- A co takiego znowu zrobiłam? - zapytałam udręczona, prawie obojętnym tonem.

Wiedziałam, że lepiej z nim teraz nie żartować. Ale ponieważ czułam się pewnie na terenie hotelu, odważnie wytrzymałam jego wściekłe spojrzenie. Tak długo, aż Chalid skapitulował i gwałtownie przyciągnął mnie do siebie.

- Doprowadzasz mnie do szaleństwa - powiedział zduszonym, pełnym bólu głosem.

„Na to wygląda” - pomyślałam. Moje ciało było sztywne. Nie mogłam oddać uścisku. Jeszcze ciągle czułam strach.

Chalid kołysał mnie w ramionach, głaskał mnie po plecach, jakbym była dzieckiem, które trzeba uspokoić.

- Tak bardzo mi przykro, że się uniosłem - wyjąkał z trudem - wybacz mi, proszę.

Ja ciągle jeszcze stałam bez ruchu, walczyłam z uczuciami.

Nagle Chalid wziął moje ręce i oplótł nimi swoje biodra.

- Proszę, Verena, daj mi poczuć, że mnie jeszcze kochasz, proszę! Czy ty wiesz, że ja nie śpię po nocach, że modłę się do Boga, żeby nam pomógł? Żeby znalazł dla nas jakieś wyjście...

Ciężkie westchnienie wyrwało się z jego piersi, podkreślając jeszcze wyraźniej beznadziejność sytuacji, w jakiej się znalazł. To było dziwne, ale nagle poczułam dla Chalida większe współczucie niż dla siebie.

A on zamknął oczy i znowu głęboko westchnął.

- Tak bardzo cię kocham, tak bardzo pragnę. Twoje ciało jest takie cudowne, gdy cię dotykam, świat przestaje dla mnie istnieć...

Jego słowa napełniły mnie słodyczą, nie mogłam mu się dłużej opierać, przytuliłam się mocno. Wszystko, co się przed chwilą zdarzyło, przestało być ważne.

Wokół nas zrobiło się cicho, tylko wiatr delikatnie muskał nasze ciała. Od czasu do czasu, gdy ktoś otwierał drzwi, dolatywała nas muzyka z „Plantation Bar”. Długo tak staliśmy, każde zatopione w swoich myślach, każde we własnym świecie. Nagle coś zaszeleściło w krzewach.

Szybko spojrzałam w tamtym kierunku - nie wierzyłam własnym oczom! Czy to nie znajoma postać w białej szacie mignęła mi wśród gałęzi? Zrobiło mi się nieprzyjemnie. Nie, chyba

się nie pomyliłam, to chyba...? Żeby odwrócić uwagę Chalida, zapytałam go, jak mu się podobał wieczór w japońskiej restauracji i co sądzi o znajomym Lisy.

Co mnie podkusiło! Nieszczęsne pytanie! Ze zdenerwowania serce zabiło mijeszczę mocniej, przygryzłam wargę.

Chalid spojrział na mnie wyraźnie poirytowany.

- Znajomy Lisy, powiadasz? Przecież ten facet interesuje się wyłącznie tobą!

- Ależ Chalid! Przecież to nieprawda!

Zaśmiałam się nerwowo. To było mimowolne, nie wytrzymałam już dłużej tego napięcia.

- Myślisz, że nie zauważyłem, jak ci cały czas nadskakiwał, jaki był słodziutki? A jak na ciebie patrzył! Możesz mi na przykład wyjaśnić, dlaczego nie wyjechał z ludźmi z Merryll Lynch?

- Chalid, proszę, przestań...

Znowu szelest w krzewach... Zdrętwiałam.

Spojrzałam nad ramieniem Chalida i zobaczyłam Matara. To trwało tylko kilka sekund, ale wystarczyło. Serce na moment stanęło mi w piersi. Ten człowiek chyba postradał rozum! Śledzić mnie i w dodatku zwracać na siebie uwagę! Byłam przerażona. Za chwilę wszystko legnie w gruzach. W okamgnieniu! Całe zaufanie, miłość, przyjaźń między nami, wszystko. Koszmar. Zimny dreszcz przeszył moje ciało.

- Chalid, to nonsens - powiedziałam pośpiesznie. - Abdul jest po prostu uprzejmy, to prawdziwy gentleman, stara się być miły dla wszystkich. I zakochał się w Lisie, nie we mnie, tego jestem pewna.

Ale Chalid już mnie nie słuchał, musiał chyba coś zauważyć. Dokładnie w chwili, kiedy poczułam, że będę musiała jakoś zareagować, biała postać zniknęła. Chalid zwrócił na mnie spój-



rzenie, przez chwilę przyglądał mi się badawczo. Jeśli nawet rozpoznał Matara, zachował to dla siebie. Kolana dygotały mi ze strachu, kiedy odezwałam się po chwili:

- Słuchaj, daj spokój, lepiej porozmawiajmy o nas, co z nami?

Spojrzał na mnie spłoszony i lekko poirytowany.

- Nie wiem, nic nie wiem... odpowiedź zna tylko Allah. Będę się za nas modlić.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że ja za kilka dni wrócę do domu, a ty się ożenisz i będziesz miał dzieci...

- Przestań, nie dręcz mnie!

Zrobiło mi się wstyd, spuściłam oczy i zamilkłam.

- Ach, popatrz, kto to już wraca do domu - rzucił Chalid zaczepnie - No, przecież mówię, że nie ze względu na nią tu został.

Lisa i Abdul ręka w rękę spacerkiem wchodzili po schodach. Wyglądali na bardzo zadowolonych.

- Nie mogliśmy już dłużej wytrzymać tego hałasu w „Hyatt Regency Club” - powiedziała Lisa ze śmiechem.

Ku mojemu zdumieniu Abdul spojrzał na mnie poważnie, ale zaraz uśmiech rozjaśnił jego twarz.

- No, to do zobaczenia - rzuciła jeszcze Lisa.

I zostawili nas samych.

To, co się potem wydarzyło, było straszne.

W ciągu kilku minut sami prawie zniszczyliśmy naszą przeszłość, teraźniejszość, przyszłość - wszystko. Ledwie Abdul i Lisa zniknęli z pola widzenia, a już Chalid z wściekłością zaczął mi wyrzucać, że daję nadzieję zarówno Matarowi, jak i Abdulowi! Nie mogłam wydobyć z siebie słowa. Zarzucać mi coś takiego, kobiecie, która zachowuje się tak przyzwoicie! Trudno o wiek-

sza skromność i cnotliwość! Rozzłoszczona z trudem chwytalam powietrze, z całej siły starałam się opanować. Ale Chalid ani myślał skończyć. To była prawdziwa tyrada zazdrości. Zrozumiałam, że - oczywiście - rozpoznał wcześniej Matara. Ale co ja miałam do tego? Czy to moja wina, że się tam kręcił? A Abdul? Przecież to sympatia Lisy! Poczułam się tak dotknięta, że nie wytrzymałam i powiedziałam o kilka słów za dużo. Lepiej by było, gdyby nie padły. Aleja naprawdę byłam wściekła. Bo czy Chalid miał w ogóle prawo do takiej zazdrości? Byłam coraz bardziej sarkastyczna, coraz bardziej przykra.

I nagle, zupełnie nieoczekiwanie Chalid obrócił się na pięcie i zanim zdołałam się zorientować, wskoczył do samochodu. Wściekle zatrzęsnał drzwiczki, gwałtownie zapuścił silnik i wrzucił wsteczny bieg. W ostatniej sekundzie zdołałam szarpnąć drzwiczki i krzyknąć:

- Przyjaciele nie powinni rozstawać się w gniewie!

Samochód ruszył, a Chalid nie zaszczycił mnie nawet jednym spojrzeniem.

Idąc do pokoju, wybuchnęłam płaczem.

Od tego dnia sprawy przybrały fatalny obrót, wszystko zmierzowało już tylko ku zgubie.

## *Posiadłość Matara*

- Hej, Verena, spakuj kilka *rzeczy*, jedziemy do Matara, trochę rozrywki dobrze ci zrobi... Boże, dziewczyno! Ty masz całkiem zapuchnięte oczy! Co się stało?

Co za ironia losu! Wszystko wyszło na odwrót: to ja miałam być tą, która będzie pocieszać i wspierać przyjaciółkę. To ja miałam postawić **Lise** na nogi. Przecież po to właśnie przyjechałyśmy do Dubaju.

Kiedy opowiedziałam Lisie, co zaszło, ta z ubolewaniem pokiwała tylko głową i westchnęła:

- Na miłość boską, Verena! Co jeszcze musi się stać, żebyś wreszcie nabrała rozumu!

Potem opowiedziała mi, skąd to zaproszenie do Matara. Otóż wczoraj w nocy ona i Abdul natknęli się w barze na Matara. Obaj mężczyźni przypadli sobie do gustu, no i Matar wszystkich zaprosił.

- Nawiasem mówiąc, zrobiłaś na Matarze duże wrażenie, naprawdę mu się podobasz, chciałby się czegoś o tobie dowiedzieć, poznać cię lepiej...

- Mam nadzieję, że ty mu niczego nie opowiedziałas?

- Bez obawy, nadal jesteś jedną wielką tajemnicą.

- Ale Chalid! Co, jeśli się dowie, że byłam z wizytą u Matara? To by go ostatecznie utwierdziło w tych jego podejrzeniach... - powiedziałam niepewnie. - No bo, gdyby mnie jednak szukał, gdyby dowiedział się, z kim pojechałam? Lisa, mówię ci, wtedy do końca życia nie wybaczyłby mi tego.

Moja przyjaciółka westchnęła ciężko.

- Słuchaj, Verena, przykro mi, ale muszę ci to powiedzieć: mam wrażenie, że nigdy nie będziesz szczęśliwa.

Spojrzałam na nią zdumiona. Chyba nie mówi tego poważnie? Ale ona zaraz dodała niemal mimochodem:

- Jeśli się nie mylę, to on ci powiedział, że niedługo się żeni, prawda?

Celne uderzenie.

- No dobrze... - westchnęłam z rezygnacją - ... dołączę do was. Jedziemy samochodem Abdula, czy przyjedzie po nas Matar?

- Matar już tu jest, nocował w hotelu.

- Co takiego?! A czy wiesz, że on nas wczoraj w nocy szpiegował na parkingu? - wymknęło mi się.

Lisa, gdy usłyszała tę rewelację, wybuchnęła głośnym śmiechem.

- No! - stwierdziła. - To przynajmniej jest mężczyzna. Ktoś, kto podejmuje jakieś działania.

Potem dodała, że obaj nasi przyjaciele wypłynęli rano jachtem Matara na połów ryb, bo Matar chce nas ugościć, chce sam coś dla nas ugotować.

Wreszcie podniosłam się z leżaka. Ale wiedziałam, że spotkanie z Matarem i tak będzie mnie sporo kosztowało.

W godzinę później jechaliśmy podekscytowani drogą do Al-Ain. Z kaset rozbrzmiewała arabska muzyka, co jakiś czas rozlegało się znane ostrzegawcze piszczenie ogranicznika prędkości. Mężczyźni rozmawiali wesoło. Matar od czasu do czasu rzucał zadowolone spojrzenie we wsteczne lusterko. Wyglądało na to, że dwie pasażerki na tylnym siedzeniu i ryby w bagażniku wprawiły naszych towarzyszy w isticzampański humor. Mijane domy, ludzie, wielbłądy - wszystko było powodem do żartów i wesołego śmiechu. Właśnie wtedy uświadom-

miłam sobie, że często fałszywie rozumiałam śmiech Chalida. Po prostu ludzie mieszkający nad Zatoką są tacy pogodni i weseli z natury.

Po obu stronach szosy rozciągały się wspaniałe tereny zielone - widomy znak, że jesteśmy w szejkanacie Abu Zabi. Prosta sześciopasmowa autostrada biegła aż do Al-Ain. Jedynie piasek, naniesiony tu i tam na asfalt, zdradzał, że jedziemy w kierunku pustyni. Śmigały obok nas wspaniałe limuzyny i samochody terenowe. Nikt tu nie przejmował się ograniczeniami prędkości. Siedzący na przednich siedzeniach Abdul i Matar rozmawiali po arabsku - w języku, który zawsze mnie fascynował. Podobnie jak pustynia. Od czasu do czasu mijaliśmy tablice z wypisanymi po arabsku nazwami miejscowości: znak, że w pobliżu autostrady znajdują się wioski. Nagle Matar zwolnił, a potem zatrzymał się przed zakurczonym przydrożnym sklepikiem.

- Zaczekajcie w samochodzie - powiedział, po czym wraz z Abdulem zniknęli we wnętrzu sklepiku.

Przed wejściem do budynku siedziało na ziemi kilka osób. Gapiły się na naszego nowiutkiego mercedesa. Na szczęście, przed ich ciekawskim wzrokiem chroniły nas przyciemnione szyby. Pomyślałam, jakie to musi być ekscytujące, kiedy można bez skrupowania obserwować świat zza zasłony okrywającej całą twarz.

Po chwili mężczyźni wrócili obciążeni plastikowymi torbami. Kiedy wreszcie dojechaliśmy do posiadłości, Al-Ain dyszało w południowym upale. Z daleka trudno było dostrzec, co się kryje za ogromną drewnianą bramą i wysokimi murami. Matar wysiadł, załomotał do bramy i głośno zawołał, wznosząc twarz

ku niebu. Nic. Spróbował jeszcze raz, mocniej i głośniej. Lisa i ja spojrzaliśmy na siebie. Czyżby zapomniał klucza? No, ale teraz to nie moja wina, to Lisa i Abdul uparli się na tę przygodę.

W końcu brama się otworzyła. Matar zajął do środka i zaraz z powrotem wrócił do samochodu. Bez słowa zapalił silnik i powoli wjechaliśmy na teren posiadłości, a strażnik zamknął za nami bramę. Rozglądaliśmy się wokoło, ogromnie zaciękawione. Mercedes toczył się powoli, podskakując na wyłożonej płytami drodze, która przez wspaniałą, soczyście zieloną oazę wiodła do stojącego w posiadłości domostwa. Gdy wysiadaliśmy, zaskoczył nas przyjemny zapach kwiatów pomarańczy i jaśminu. Powietrze wypełniał śpiew ptaków. Słoneczny żar uderzył w nas z całym impetem.

Matar otworzył bagażnik. Wewnątrz znajdowały się dwie podróżne lodówki. W jednej były napoje, a wśród nich butelka chardonnay - Matar zdobył ją na pewno w hotelu. W drugiej leżały ryby, które Matar i Abdul złowili rano.

Kiedy samochód został wyładowany, poszliśmy za mężczyznami do domu. Na pewno było tu główne wejście, ale Matar, nie namyślając się wiele, odsunął drzwi na werandzie. Od razu znaleźliśmy się w salonie, ogromnym pomieszczeniu ze ścianami pomalowanymi na biało i żółto. Orientalne łuki, ozdobione ornamentami, dzieliły pokój na mniejsze przestrzenie. Wzdłuż ścian stały liczne sofy z ustawionymi przy nich małymi podręcznymi stolikami. Weszliśmy do kuchni. Nasz gospodarz sięgnął do jednej z plastikowych toreb i wyciągnął z niej za szyję kurę. Lisa i ja spojrzaliśmy z obrzydzeniem. Kura nie była wypatroszona, ani nawet porządnie oskubana. Potem Matar obiema rękami sięgnął do pojemnika

i z dumą zaczął wyciągać ryby morskie, które miękkim ślizgiem wylądowały na marmurowym blacie.

- Matar, w tym to ci chyba za bardzo nie pomożemy - powiedziała Lisa, uśmiechając się pytająco.

Stałyśmy bezczynnie. Nie bardzo było wiadomo, co dalej. Hm... a może ci arabscy mężczyźni sami tego nie wiedzą? Albo po prostu uważają informowanie kobiet o czymkolwiek za zbędne.

Kiedy już w kuchni wszystko było wypakowane, Matar i Abdul poszli przez salon z powrotem do drzwi na werandę. A my - za nimi. Z podziwem i zdumieniem obserwowałam, z jaką łatwością Kuwejczyk przybiera w obecności Matara arabskie formy zachowania, zupełnie jakby Wielki Gatsby nigdy nie istniał!

Matar z godnością, majestatycznie kroczył przez swój kwitnący Eden. To, co u nas, w Szwajcarii, było oczywiste tu, na pustyni graniczyło z cudem. Mijaliśmy rosące bujnie rozmaite gatunki owoców i warzyw. Widać było, że Matar poświęca dużo czasu na ich pielęgnację. Co chwila zatrzymywał się i sprawdzał, jak rosną jego rośliny; oglądał wszystkie owoce, zbierając najokazalsze z nich. Nie do wiary, ale Matar miał tu nawet ule i własny miód! Naprawdę osobliwy człowiek!

Kiedy już byliśmy obładowani najróżniejszymi warzywami i owocami, zanieśliśmy wszystko do kuchni. Matar wyciągnął z salonu na werandę kilka dywanów, rzucił na nie poduszki i poprosił, żebyśmy się wygodnie usadowiły. (Na szczęście miałyśmy długie spódnice). Na środku pan domu ustawił misę ze świeżo zebranych owocami. Potem wyciągnął się na dywanie, oparł się na poduszkach jak pasza i poczęstował nas słodkimi morelami. W białej szacie wyglądał po prostu bajecznie - ideał męskiej

urody. Ciche pluskanie fontanny, dobiegające ze zwirowanego placyku, i świergot ptaków dopełniały tego obrazu - po prostu kraina szczęśliwości.

Nie wiem, jak długo tak siedzieliśmy. Czas przestał odgrywać jakąkolwiek rolę. W pewnej chwili Matar podniósł się i dał znak, by pójść za nim. Pomyślałam, że pewnie pokaże nam basen. Przed wyjazdem z „Jebel Ali” Abdul uprzedził nas, żebyśmy wzięły kostiumy kąpielowe.

Poszliśmy wykładaną płytami ścieżką, biegnącą wokół tego zdumiewającego domu. Tuż przy murze otaczającym całą posiadłość zobaczyliśmy uroczy basen w stylu mauretańskim, z jednej strony ocieniony smukłymi palmami. Szerokie schody osłonięte kopułą na czterech kolumnkach, wyłożone niebieskimi i zielnymi kafelkami, prowadziły prosto do turkusowo-niebieskiej wody.

- Ach, Matar, i po coś nas tu przywiózł! Do końca naszych dni będziemy tęsknić do tego cudownego miejsca... - powiedziałam pół żartem, pół serio.

Ciemne oczy Matara, spoglądające znad zasłony, zajaśniały nieskrywaną dumą.

- Proszę bardzo - powiedział z uśmiechem, wskazując na basen - jeśli tylko macie ochotę, możecie sobie popływać. Tymczasem Abdul i ja przygotujemy jedzenie, prawda, przyjacielu? - i Matar poufale klepnął Abdula po ramieniu.

Zabrzmiało to trochę apodyktycznie, ale zaraz uzmysłowiłam sobie, że przecież islamskie obyczaje nie zezwalają na wspólną kąpiel mężczyzn i kobiet.

Poszliśmy z powrotem na werandę. Matar poprowadził nas przez cały dom i pokazał przebiegającą, która miała bezpo-



średnie wyjście na basen. Bardzo żałowałam, że zapomniałam zabrać aparat fotograficzny; został w hotelu. W domu nikt mi nie uwierzy, jak opowiem o tej bajce.

Woda była przejrzysta i chłodna.

- Noo, na co czekasz, śmiało! - zawołała Lisa.

Nie namyślając się wiele, wskoczyłam do wody i popłynęłam za Lisą. Po chwili już leżałyśmy na ciepłych płytach, by wyschnąć na słońcu. Pomyślałam o Chalidzie. Co będzie, jeśli się dowie, że przyjechałam to zaproszenie? Ale im dłużej się nad tym zastanawiałam, tym dobitniej docierała do mnie absurdalność takiego myślenia. Jak mogłam czuć zobowiązania wobec mężczyzny, który wkrótce miał poślubić inną! To nonsens. Ponadto wmawiałam sobie, że Chalid z pewnością nieprędko da znać o sobie.

Kiedy tak siedziałyśmy leniwie na brzegu basenu, kreśląc stopami kółka w wodzie, podszedł Abdul.

- Hej, miłe panie, czy macie coś przeciwko temu, żebym sobie popływał?

- Oczywiście, że nie, Abdul! - zapewniliśmy go.

W końcu wszyscy już widzieliśmy się w kostiumach kąpielowych w „Jebel Ali”. Niestety, wkrótce dano mi odczuć, że nasza uprzejmość została zrozumiana jako wykroczenie przeciwko arabskiej obyczajności. Już sama wizyta - bez Chalida i nawet bez uprzedniego omówienia z nim wyprawy - była poważnym błędem. Ale żebyjeszcze do tego pływać w basenie razem z arabskim mężczyzną, zamiast skromnie odejść na stronę i okryć ciało - nie! Coś takiego, to już naprawdę rażące uchybienie. Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że z tego powodu scenę zazdrości zrobi mi Matar, wobec którego przecież nie miałam żadnych zobowiązań.

Jakże byliśmy naiwne!

Po chwili pobiegłam do przebieralni, narzuciłam spódnicę i zostawiłam Lisę i Abdula samych.

Idąc w stronę werandy, poczułam smakowity zapach gotowanych potraw.

- Mm... ale pięknie pachnie! Poczekaj, niech zgadnę! To musi być curry!

Matar rzucił mi badawcze spojrzenie.

- Skąd to wiesz? - zapytał ostro.

- Noo, po prostu czuję.

- Aha. Myślałem, że kuchnia szwajcarska nie zna curry.

Jego podejrzliwy ton zdetonował mnie. Co mu się stało?

- Matar, co się dzieje? Coś jest nie tak?

W jego oczach pojawił się diaboliczny błysk. Potem wyrzucił z siebie:

- Wy, kobiety Zachodu! Podróżujecie po całym świecie - z łóżka do łóżka.

Na miłość boską! Ale co ma do tego curry! W głowie zawirowało mi od natłoku myśli.

- Ależ Matar, proszę! Co ty wygadujesz! To absurd!

Z kpiącym spojrzeniem włożył do ust truskawkę. Boże! Tylko nie dać się sprowokować! Zignorowałam jego obraźliwe zachowanie, z trudem udało mi się pohamować wybuch gniewu.

- Słuchaj, może i są takie kobiety, może jest ich trochę, ale na pewno nie dotyczy to wszystkich kobiet Zachodu.

- To nieprawda.

- Czyżbyś sądził, że i ja należę do tego rodzaju kobiet?

Odwrócił wzrok i wymamrotał w przestrzeń:

- Oczywiście.

Zaschło mi w gardle. Nie wierzyłam własnym uszom! Jak to możliwe! Dlaczego on mnie obraża? W pierwszej chwili nie wiedziałam, czy mam się rozpłakać, czy roześmiać. Bo czy można coś takiego w ogóle potraktować poważnie?

- Słuchaj, Matar, chyba nie po to zaprosiłeś mnie do swojego domu, żeby mnie obrażać.

Nie patrzył na mnie, jego spojrzenie powędrowało w stronę fontanny.

- Naprawdę mnie zasmucasz - dodałam po chwili.

Wziął z misy morelę, podniósł się i spojrzał mi prosto w oczy:

- Zapomnij, co powiedziałem. Ty jesteś w porządku, Verena. Mówiąc to, poklepał mnie po ramieniu i zniknął w kuchni.

Zamyśliłam się, wodząc oczyma po pięknym wzorze na dywanie. Jakie znowu przestępstwo popełniłam? Pływanie w basenie. Z mężczyzną. Ale przecież Abdul nie był kimś obcym! Ponadto, co ja na to poradzę, że i on chciał się wykapać. No, ale obraz nieprzyzwoitej kobiety Zachodu był tak mocno zakodowany w wyobrażeniach Matara, że nie było sensu z nim o tym dyskutować. Czegoś takiego nie da zmienić w ciągu jednego dnia. A już na pewno nie samymi słowami. Skoro Arabowie tak nas postrzegają, to tak jest. Kropka.

Aleja mimo to kochałam ten kraj i jego ludzi.

Z kuchni dobiegło mnie ciche pobrzękiwanie naczyń. „Dziwne - pomyślałam - to brzmi jak propozycja pokoju”. W tych dźwiękach nie było śladu złości. Może to małe intermezzo to był rodzaj egzaminu...? Bo tak naprawdę, to nie wierzyłam, że Matar uważa mnie za kobietę łatwą i pozbawioną godności. Gdyby tak było, już dawno robiłby mi awanse.

Powściągnęłam złość i poszłam zobaczyć, co robi. Cicho podeszłam do kuchni i stanęłam w progu.

Musiał mnie zauważyć kątem oka, ale nie dał nic poznać po sobie.

- Mogę ci w czymś pomóc? - zapytałam.

Spojrzał na mnie znad garnka, odłożył na bok łyżkę i mruknął:

- No dobrze, habibti, weź te talerze i zanieś na werandę.

- Ale najpierw, powiedz mi, co znaczy „habibti”.

- Idź już, zadajesz za dużo pytań.

Na jego ustach zaigrał lekki uśmiech.

- Idę już, idę... ale to nie fair.

Na werandzie rozłożyłam talerze na naszym stole, czyli na dywanie, i odsunęłam na bok misę z owocami, żeby zrobić miejsce dla potrawki z kury.

- A gdzie sztucce? - zapytałam, wróciwszy do kuchni.

- Dzisiaj będzie bez sztucców, będziemy jeść rękami - powiedział Matar.

Potem wcisnął mi do ręki zapakowaną w kawałek papieru pittę, arabski chleb, i powiedział:

- To są sztucce.

Zdębiałam. Ale zaraz spojrzałam na niego i roześmiałam się wesoło. Przyszło mi do głowy, że przecież Arabowie jadają tylko prawą ręką. No, to może okazać się zabawne... bo ja jestem leworęczna.

- I zawołaj tamtych dwoje! - krzyknął jeszcze za mną Matar.

Zaczęła się nasza pierwsza uczta w stylu beduińskim. Ogromnie zaciekawione, siedziałyśmy ze skrzyżowanymi nogami w kręgu razem z mężczyznami. Pośrodku stał ogromny, parujący garnek z potrawką, a obok niego miska kleistego ryżu,

butelka wody i chardonnay. No i pita. Matar skinieniem poprosił Abdula, by rozpoczął posiłek. Ten najpierw wylewnie podziękował za gošcinę i wspaniałą ucztę. Oczywiście po arabsku, ale zrozumiałam gesty. Potem poniósł swój kieliszek z winem i dał znak Matarowi, by to on rozpoczął jedzenie.

Z kolei my wyraziłyśmy podziękowania, a Lisa dodała, że jeśli Matar odwiedzi kiedyś Szwajcarię, to on będzie wówczas naszym gościem. W tym czasie Matar nałożył każdemu na talerz po chochli potrawki. Zastanawiałam się tylko, jak będziemy jeść rękami!

- Mam tylko nadzieję, że nie pływają w tym kurze pióra... - mruknęła Lisa.

- Ależ oczywiście, że pływają! Zostawiłem kilka specjalnie dla ciebie - rzucił Matar, na co wszyscy wybuchnęliśmy gromkim śmiechem.

Śmiałyśmy się tak długo, aż łzy popłynęły nam z oczu. Potrawka smakowała znakomicie. Jedzenie bez sztuców było o wiele mniej skomplikowane, niż się wydawało. Odłamywało się kawałek pity, związało jak mały omlet i nabierało kawałki ryby albo kurczaka. Jedynie jedzenie ryżu i sosu wymagało nieco wprawy. Trzeba było ugnieść w ręku trochę ryżu i uformować niedużą kulkę, a następnie zanurzyć w sosie. Jasne, że nie dało się przy tym uniknąć zabrudzenia palców.

Kiedy już wszyscy po kolei umyliśmy sobie ręce w łazience, Matar przyniósł nargile - fajkę wodną. Nie miałyśmy najmniejszego pojęcia, że palenie tej fajki na zakończenie beduińskiej uczyty jest tu powszechnym rytuałem. Obie podejrzliwie obserwowałyśmy, jak nasz gospodarz zapala małe kawałeczki węgla i zdecydowałyśmy, że lepiej pozostawić ten ceremoniał mężczyznom. My chciałyśmy zająć się kuchnią, posprzątać, ale

wywołało to głośny protest. Matar powiedział, że tym zajmie się służba. Po czym obaj mężczyźni nauczyli nas, że kobiety nad Zatoką mają wysoką pozycję społeczną i nie wykonują prac domowych. Ponadto mogą zarządzać własnym majątkiem i rozporządzać domem oraz decydować o dzieciach. W rodzinie kobiety są odpowiedzialne za politykę wewnętrzną, natomiast mężczyźni - zewnętrzną. Lisa i ja uznałyśmy to za mądre i godne naśladowania.

Matar oświadczył, że zamierza się wybrać do Szwajcarii - może nawet tego lata. Spojrzał przy tym na mnie, a jego ciemne oczy promieniały nadzieją. Poczulałam się nieswojo, przecież miejsce w moim sercu ciągle jeszcze należy do kogoś innego. Ale gdy Matar zaczął mówić o jodłowych lasach, łąkach, strumieniach i kwiatkach, odsunęłam na bok moje niepokoje. A on dodał, że - oczywiście - chciałby zamieszkać w prawdziwym górskim lub wiejskim domu, i żeby pasły się przed nim krowy, żeby było słychać dzwoneczki. „Na Boga! - pomyślałam w duchu - czy on mówi poważnie?” Dla mnie takie wiejskie życie wcale nie było pociągające. O ileż bardziej tajemnicza i fascynująca jest pustynia.

Z posiadłości wyruszyliśmy dopiero wtedy, gdy słońce już dawno schowało się za horyzontem. Z żalem spojrzałam jeszcze raz za siebie i zobaczyłam, jak zamykają się za nami wierzeże ciężkiej drewnianej bramy. Biały mur ciągnął się przez chwilę obok nas. Nikt by nie przypuszczał, że kryje się za nim taka cudowna oaza spokoju.

Im bardziej zbliżaliśmy się do emiratu Dubaj, tym więcej myślałam znowu o Chalidzie. W duchu miałam nadzieję, że po powrocie zastanę wiadomość od niego.

Siedziałam w samochodzie jak na szpilkach. A kiedy wreszcie pożegnałyśmy się z Matarem, szybko pobiegłam na górę, do pokoju. Karteczki z wiadomościami wsuwano zwykle przez szparę pod drzwiami. Ale tym razem na podłodze nie znalazłam żadnej koperty, niczego. Nic nie leżało też na biurku ani na łóżku. Nogi ugięły się pode mną, jednak miałam w duchu nadzieję, że nic się nie stało, Chalid nie szukał mnie, to tylko ja przez cały dzień wyobrażałam sobie, że wydzwaniał tu do mnie, do hotelu.

Po północy wiedziałam już, że to nie były moje fantazje.

Moje myśli cały czas rozpaczliwie krążyły wokół jednego i ciągle jeszcze miałam nadzieję na cud. Myślałam, że jeśli Chalid chciałby się pogodzić, to na pewno zadzwoniłby najpóźniej do dwudziestej drugiej. Ale nic się nie wydarzyło, telefon milczał jak zakłęty.

Chwyciłam za słuchawkę i wybrałam numer komórki Chalida. Nic, cisza, żadnej odpowiedzi. Z bijącym sercem spróbowałam dodzwonić się pod numer domowy - znowu nic. Choć wiedziałam, że biura są o tej porze najprawdopodobniej nieczynne, jak szalona wybierałam wszystkie numery: World Trade Center, Al-Waha, biuro na lotnisku, Port Raszid. Oddychałam coraz szybciej i szybciej. Zdjęłam ubranie, poszłam pod prysznic i za chwilę próbowałam znowu. Bez skutku. Nie wiedziałam, co robić. Czym się zająć. O spaniu nie było nawet co marzyć. Nie mogłam się skupić na czytaniu ani na oglądaniu telewizji. Nie mogłam nawet płakać. Czułam w sercu straszliwy ciężar. Ogarnęła mnie czarna rozpacz.

Wyszłam na balkon, chciałam się modlić, błagać niebiosa. Noc była jasna, przejrzysta, bezchmurna. Cicha, aż do bólu. Oparłam łokcie o balustradę i jak zahipnotyzowana patrzyłam na wschód,

w kierunku Al-Waha. W końcu uzmysłowiłam sobie, co mnie w tym wszystkim najbardziej bolało, co mnie tak naprawdę obrażało. Bo przecież to nie była młodzieńcza miłość - w żadnym razie. Miałam już trzydzieści dwa lata; niektóre kobiety w tym wieku są już po rozwodzie. A ja? Czyja oszalałam? Zamiast białego welonu - pustynne czary, fatamorgana, zapachy kadzidła i dymu, daremne pragnienia...

I nagle olśnienie. Przecież Chalid powinien mieć numer „Jebel Ali” na wyświetlaczu komórki! A to oznaczało, że specjalnie nie oddzwonił. Chce się odegrać. Chce mieć swoje zadośćuczynienie. Kiedy już uzna, że odpokutowałam, na pewno odbierze. I tak też się stało.

Na moim zegarku było już po dwunastej w nocy, kiedy usłyszałam jego głos w telefonie.

- Haloo?

- Chalid, to ty? - Nie wiedziałam, czy mam się śmiać, czy płakać.

- Yes, it's me - padła odpowiedź.

- Wybacz, że dzwonię tak późno.

- Ależ nic nie szkodzi - odparł obojętnym tonem.

- Martwiłam się, bo przez cały dzień nie udało mi się ciebie złapać - skłamałam.

- Ach, naprawdę?

Wiedziałam, że Chalid jest zbyt dumny, by się przyznać, że wiele razy dzwonił do „Jebel Ali” (o ile dzwonił). A więc mogłam spokojnie trochę poblefować.

- Przykro mi, Verena, gdzieś zapodziałem swoją komórkę.

„Akurat - pomyślałam - i ja mam w to uwierzyć!”.

- Aha, rozumiem, a to pech!



Moje serce szalało. Chalid mówił chłodnym, prawie odpychającym głosem. Był nieprzystępny, odzywał się tylko zapytany. To jego milczenie było nie do zniesienia. Wreszcie miałam go przy telefonie, ale to nic nie zmieniało, nadal nic nie wiedziałam, nadal dręczyła mnie niepewność.

- U ciebie wszystko w porządku?

- Tak, w porządku.

- Chalid, masz taki dziwny głos, inny niż zwykle...

- Ach, nie przejmuj się, jestem po prostu zmęczony - odparł obojętnym tonem.

- Słuchaj, bardzo mi przykro z powodu wczorajszego dnia...  
- powiedziała niepewnie. - Nie wiem, co we mnie wstąpiło...  
ale to nie byłam ja, normalnie się tak nie zachowuję...

Żadnej reakcji. Lęk ścisnął mi serce. Gdybym chociaż mogła mieć pewność! Wie o mojej wyprawie do Matara i tylko tak udaje - czy może naprawdę nie wie? W każdym razie lepiej nie opowiadać mu o tej wycieczce, na pewno nie w tej chwili.

- J u ż dobrze, widzę, że nie chcesz o tym rozmawiać... - odezwałam się po chwili - ale powiedz, jak się ma twoja mama?

Po raz pierwszy poczułam, że Chalid odrobinę się rozluźnił, miałam wrażenie, że się uśmiechnął.

- Ja naprawdę o to pytam, poważnie - powtórzyłam spokojnym głosem.

Znowu chyba uśmiech.

- Dziękuję, u mojej mamy wszystko w porządku.

Nie oczekiwałam innej odpowiedzi.

- Jesteś w swoim pokoju? To znaczy... gdzie stoi telefon?  
Ach, przepraszam, co ja plotę...! Wybacz! Chcę sobie tylko wyobrazić, jak tam mieszkasz w tym twoim domu za murem...

Nie zrobiłeś jeszcze tego rysunku. Czy widzisz księżyc z twojego okna?

- Czy widzę? Też pytanie!

- J a kto?

Nie odpowiedział.

- Aha, rozumiem... twoja mała tajemnica... A pamiętasz, jak w Anglii czasem patrzyliśmy na księżyc? Mówiłeś, że jego srebrzyste światło będzie nas łączyć przez kontynenty, pamiętasz?

- Też pytanie...

Nagle mnie olśniło. Przypomniałam sobie, że Chalid pisał w swoich listach o księżycu, że często nie śpi w nocy i patrzy w jego kierunku.

- Ach, Chalid! Przecież wiem, że widzisz księżyc ze swojego pokoju, teraz sobie przypomniałam!

Tylko cichutko się zaśmiał.

- Chalid, chyba wiesz, że niedługo wyjeżdżam?

- Wiem, pamiętam - jeszcze się zobaczymy. No, to do widzenia, Verena, śpij dobrze.

- Dobranoc... Chalid.

Jeszcze przez chwilę stałam bez ruchu, jak skamieniała, trzymając w rękę słuchawkę. Ta rozmowa - to było straszne! Czy to już koniec? Na to wyglądało. Chalid jeszcze nigdy tak się nie zachowywał: chłodny dystans aż do samego końca. Czy to możliwe, żeby nasza sprzeczka aż tak go dotknęła? A może poczuł się oszukany, gdyż zniknęłam na cały dzień, nie pozostawiwszy mu żadnej wiadomości? Pomyślałam, że w najgorszym razie chodzi o jedno i drugie. Ale potem okazało się, że jest jeszcze gorzej, niż sądziłam.

Nie wiem, jak długo siedziałam odrętwiała na balkonie. W pewnej chwili usłyszałam, że klamka w drzwiach lekko się

poruszyła. Odsunęłam zasłonę i zobaczyłam, jak Lisa na paluszkach wchodzi do pokoju.

- Dziewczyno, jest trzecia nad ranem... co ty robisz na balkonie!

- Nie wiem...jeszcze trochę, a zwariuję.

- Błagam, nie zaczynaj znowu... -jęknęła Lisa.

Ale jednak wysłuchiwała mnie.

- Verena, nie szalej! Naprawdę. Puknij się w czoło. Jeśli chcesz znać moje zdanie, to posłuchaj. Chalid to nie jest człowiek dla europejskiej kobiety. Przypomnij sobie, jak się zachowywał podczas tego wieczoru z Abdulem. Zrobił wszystko, żeby popsuć nam przyjemność. No, a na tym statku! Nie chciałam ci nic mówić, ale tego wynurzenia! Czysta fantasmagoria! Nie, to właściwie koszmar! Co ty byś robiła z mężczyzną, który najchętniej zrównałby swój kraj z ziemią i wrócił na pustynię? Popatrz na Matara albo Abdula - to są otwarci, wykształceni i nowoczesni Arabowie. Tacy mężczyźni na pewno lepiej nadawaliby się dla ciebie. Ponadto zasługujesz na kogoś, kto cię będzie szanował i rozumiał, kogoś, dla kogo to ty będziesz najważniejsza w życiu, kto cię będzie nosił na rękach. A już na pewno nie na kogoś, kto od dawnajest związany słowem z inną i wkrótce ma się z nią ożenić.

Westchnęłam ciężko.

- Chodźmy spać, Verena, i nie pozwólmy sobie popsuć tych ostatnich trzech dni tutaj, naprawdę byłoby szkoda. Chalid przecież powiedział, że zobaczycie się jeszcze raz... Aha, byłabym zapomniała! Masz serdecznie pozdrowienia od Abdula. Prosił, żebym cię pożegnała od niego. Wyjeżdża. Musi natychmiast wracać do Londynu w sprawach Merryll Bank. Za dwie

godziny jedzie na lotnisko. Obiecał, że tak szybko, jak to tylko możliwe, odwiedzi mnie w Szwajcarii.

Następnego dnia czułyśmy się trochę dziwnie i samotnie w pięknym ogrodzie przy „Jebel Ali”. Abdul, urlopowa miłość Lisy, odjechał o świcie, Chalid, urażony i niedostępny, siedział w Al-Waha.

- Może pójdziemy na falochron, co, Lisa? - zapytałam przyjaciółkę.

- Nie, idź sama, ja wolę zostać tutaj, w cieniu.

Nałożyłam słuchawki i poszłam w głąb palmowego ogrodu. Między drzewami połyskiwało turkusowe morze. Wreszcie znalazłam się na brzegu i weszłam na moło. Kompleks „Jebel Ali” wyglądał stąd zachwycająco.

Zeszłam niżej, na głazy przy falochronie. Łagodne fale obmywały moje nogi. Ze słuchawek sączyły się dźwięki piosenki Dire Straits. Patrzyłam na wodę, a moje myśli unosiły się na falach. Ogarnęła mnie przejmująca tęsknota i melancholia. Widziałam kozy, obracające się na rożnach i brzuchate łodzie w oddali; nad ogrodem przy „Jebel Ali” wiał delikatny wiatr, unosząc piasek pustyni. Wśród krzewów przechadzały się pawie, a w koronach drzew hałasowały kolorowe ptaki. W pewnej chwili z przystani wypłynął elegancki jacht. Kiedy kapitan mnie zobaczył, silniki głośno zawyły. Z przestachu omal nie wpadłam do wody. Rozzłoszczona wdrapałam się z powrotem na falochron. Zanim ruszyłam w drogę powrotną do hotelu, jeszcze raz objęłam wzrokiem panoramę wspaniałego ogrodu palmowego. Widok rzeczywistości, która już niedługo dla mnie miała się stać fatamorganą...

W oddali zobaczyłam jakąś postać, dającą znaki rękami. Kiedy podeszłam bliżej, rozpoznałam Lisę. Krzyczała coś, ale nie mogłam zrozumieć. Potem doszło do mnie: ...aalid.

Wielki Boże! Czyja dobrze słyszę?

Ostatnie metry przebiegłam. Właściwie to miałam ochotę skakać z radości.

- Dzwoni? - wydyszałam.

- Nie, jest tutaj.

To było jak grom z jasnego nieba. Odruchowo skrzyżowałam ręce na piersiach.

- Naprawdę?

- No tak. Wywoływali cię kilkakrotnie, ale ja nie mogłam cię nigdzie znaleźć. W końcu poszłam do recepcji. Chalid siedzi w lobby i czeka na ciebie. Powiedział mi, że jedzie do Abu Zabi. I, że jeśli mamy ochotę, to możemy się z nim zabrać. Aleja mu powiedziałam, że nie mam specjalnej chęci, bo wczoraj byliśmy w Al-Ain.

No, świetnie! Dowiedział się od Lisy! Zrobiło mi się niedobrze. Tego jeszcze brakowało. Teraz już nic mnie nie uratuje. Jak mu się pokażę na oczy?! W żadnym wypadku nie wsiądę sama do jego samochodu. Jeśli już miałabym z nim jechać, musiałyby namówić Lisę, żeby mi towarzyszyła.

- Pośpiesz się, Verena, Chalid czeka już tak długo.

- Lisa, proszę, zrób coś dla mnie i pójdz ze mną do recepcji. Tylko ten jeden, ostatni raz, dobrze?

- Okay, chodźmy. Boże, ale jesteś blada... źle się czujesz?

Kiedy podeszłam do Chalida, od razu poczułam od niego chłód.

- Hi, Verena, gdzie byłaś tak długo?

- Spacerowałam po falochronie, słuchałam naszej muzyki.

- Ach, naprawdę?

Spojrzała na mnie z uśmiechem, ale czułam jego gniew.

- Zapraszam was do Abu Zabi na obiad, ty Lisa, musisz koniecznie pojechać z nami.

- Nie, Chalid, wydaje mi się, że byłoby dobrze, gdybyście raz mogli pobycć sami.

Zignorował jej argument i odparł:

- Ależ Lisa, być w Emiratach i nie zobaczyć Abu Zabi, perły tego kraju!

Obdarzył ją przy tym zachęcającym, promiennym uśmiechem. Naprawdę wyglądało na to, że Chalid nie ma najmniejszej ochoty spędzić tego popołudnia tylko ze mną. W takim razie, po co tu w ogóle przyjechał? Co to za nowa gra? Ogromnie mnie to rozłościło, ale nagle przyszło mi do głowy, że może on potrzebuje kogoś w rodzaju przyzwoitki - przecież wkrótce ma się zenić.

- Macie pięć minut na przebranie, czekam w samochodzie.

- Lisa, w porządku, cieszę się, że będziesz przy mnie. Dzięki temu nie będzie mi mógł zrobić awantury z powodu wycieczki z Matarem.

- Ojej, wybacz, wygadałam się.

- Ach, nie ma o czym mówić, i tak by się to wydało. Brakowałoby jeszcze tylko, żebyśmy się w Abu Zabi natknęli na Matara.

- Uważaj, nie wywołuj wilka z lasu! - rzuciła Lisa.

Niedługo potem wsiadłyśmy do czarnego pontiaka. Chalid właśnie rozmawiał przez telefon. Znowu bez spojrzenia uruchomił silnik, ruszył i gadał dalej. Od razu pożałowałam, że dałam się namówić na tę eskapadę. Ujechaliśmy już spory kawałek na autostradzie, kiedy wreszcie odłożył komórkę. Nie patrząc na mnie, zapytał:

- No, i jak ci się podobało u Matara?

- O, bardzo ciekawa wycieczka! Chciałam ci o tym opowiedzieć w nocy, ale byłeś taki zmęczony, że nawet nie próbowałam...

Gdy mówiłam, Chalid znowu sięgnął po komórkę. Wydawało się, że moja odpowiedź zupełnie go nie interesuje. Ale ja byłam pewna, że chłonał każde słowo.

Przez całą drogę do Abu Zabi Chalid od czasu do czasu posyłał Lisie uwodzicielskie spojrzenia w lusterku wstecznym. Flirtował z nią na moich oczach! Przełknęłam gniew i urazę, miałam nadzieję, że do obiadu da sobie spokój z tą zabawą.

Nie wiedziałam wtedy, że w gruncie rzeczy sama sobie zasłużyłam na takie traktowanie. Tą wycieczką do Al-Ain sprzeniewierzyłam się tutejszym zasadom moralnym, a tym samym obraziłam honor Chalida. Powinnam była przynajmniej poprosić go o towarzyszenie.

Wreszcie Chalid zatrzymał się przed hotelem „Sheraton”. Gdy wysiadaliśmy, spojrzął na moją przyjaciółkę z podziwem i powiedział:

- Świetnie wyglądasz w tej spódnicy, czemu też takiej nie nosisz, Verena?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Wiedział, jak uderzyć, fakt.

Lisa umiała się znaleźć w sytuacji, zignorowała komplement Chalida i powiedziała szybko:

- Verena, chciałaś przecież zrobić kilka fotek... Zaraz, poczekajcie... - zastanowiła się przez chwilę - ...o, stańcie tam!

Nie wiem, czemu się na to godziłam, nie wiem, czemu uczestniczyłam w tej farsie. Wiedziałam przecież doskonale, jak fatalnie, jak smutno będziemy wyglądać na tych zdjęciach, Chalid i ja.

- A teraz jeszcze zdjęcie ze mną - zawołała Lisa.

Chalid natychmiast objął ją w talii i uśmiechnął się od ucha do ucha - jakby byli parą. To było zupełnie nie w jego stylu.

Miałam dość. Miałam naprawdę dość. Obróciłam się na pięcie i zaczęłam się rozglądać za taksówką.

- Verena, co jest? - Lisa położyła mi rękę na ramieniu.

- Ach, daj spokój. Tego już za wiele, nie zamierzam dłużej znosić jego impertynencji. Nie pozwolę się dłużej obrażać. Wracam do „Jebel Ali”.

- Ależ Verena, wiesz dobrze, że ten biedak zupełnie stracił głowę z zazdrości.

- Wszystko jedno, mam tego dość.

- Verena, nie możesz tego zrobić, Verena, proszę cię... - powiedziała błagalnie Lisa.

- Nawet zazdrość ma swoje granice - rzuciłam z dezaprobatą.

Chalid podszedł do nas. Na jego twarzy malowała się konsternacja i zaskoczenie, zupełnie, jakby zrozumiał, o co chodzi.

Przez chwilę staliśmy tak we troje, w kompletnym milczeniu. Lisa trzymała mnie mocno pod rękę, a Chalid wpatrywał się we mnie z niemym błaganiem w oczach. W końcu moja przyjaciółka ruszyła z miejsca, aja, chcąc nie chcąc - razem z nią.

W każdym razie to było wyraźne ostrzeżenie dla Chalida. Teraz już wiedział, że w każdej chwili mogę odjechać, że nie zamierzam dłużej znosić jego impertynencji, że w razie czego poniesie konsekwencje swojego zachowania. Musiał to dobrze zrozumieć, bo od razu zaczął się inaczej zachowywać. Naraz stał się troskliwy i uprzejmy, wręcz nadszakujący. Odsunął mi krzesło, pieczołowicie wybrał z karty menu, a nawet przełotnie pogładził mnie po ręce. Być może Chalid rzeczywiście chciał wyjechać ze mną sam, ale zanim zdążył mi to zaproponować, Lisa musiała wszystko popsuć - oczywiście, nieświadomie.



Pojakimś czasie dołączył do nas znajomy Chalida, jego partner w interesach. Gdybym wiedziała, że nasza wycieczka łączy się ze spotkaniem biznesowym, pewnie nie wybrałabym się do Abu Zabi. Zupełnie straciłam humor, wyglądało na to, że nie uda mi się już swobodnie porozmawiać z Chalidem.

A ponieważ ani Lisa, ani ja nie wiedziałyśmy, jakie zwyczaje obowiązują podczas takiego spotkania, czułyśmy się zupełnie zbędne. Mężczyźni rozmawiali wyłącznie po arabsku, zupełnie się o nas nie troszcząc. Już dawno skończyłyśmy jedzenie i nie wiedziałyśmy, co ze sobą począć. Lisa odważyła się zapytać:

- Chalid, kiedy jedziemy dalej? Verena i ja marzniemy od klimatyzacji.

Ta wymówka zabrzmiała całkiem przekonująco, gdyż rzeczywistość we wszystkich restauracjach było zbyt chłodno, zwłaszcza w porównaniu z temperaturą na zewnątrz. W każdym razie przesiedzieliśmy przy stole trzy godziny, zanim ruszyliśmy dalej. W samochodzie Chalid znowu zaczął telefonować, pewnie po to, żeby nie poświęcać mi za dużo uwagi.

- Jedzimy z powrotem do hotelu? - zapytała Lisa zdecydowanym tonem.

- Tak, jeśli chcecie. Czekam na ciebie Abdul?

- Nie, musiał dzisiaj rano wrócić do Londynu.

- Już za tydzień odwiedzi Lisę w Zurychu - powiedziałam, żeby się odegrać.

Ale riposta przysłała od razu.

- Ach, naprawdę, Lisa? Noo, to musiałaś mu rzeczywiście zawrócić w głowie. Zresztą Zajed też ciągle mówi o tobie. Taak, Verena, najwyraźniej arabscy mężczyźni uważają twoją przyjaciółkę za niezwykle pociągającą.

Jakże wstrętna potrafi być zazdrość!

Ucieszyłam się, kiedy wróciliśmy do „Jebel Ali”. Co za ulga!

- Dzięki za uroczą wycieczkę - rzuciłam pogardliwe, wysiadłam z wozu, odwróciłam się na pięcie i natychmiast poszłam do hotelu. Nie miałam ochoty znosić Chalida ani minuty dłużej.

Odwracając się, zobaczyłam jeszcze, że Chalid spogląda na mnie kompletnie zaskoczony. Ale było mi to obojętne. Mógł pomyśleć wcześniej. Nikt mu nie kazał tak się zachowywać. Nawet jeśli to ja w jakiś sposób go sprowokowałam, nie usprawiedliwiało to aż takiej zajadłości.

Czy istnieje miłość, która dąży do samozniszczenia? Tak, Chalid i ja byliśmy tego najlepszym przykładem.

Czekałam na Lisę przy windzie.

- Wiesz co, Lisa? Dzisiaj sobie zaszaleję, zamierzam iść na zakupy do sklepu jubilerskiego.

- Masz rację! Przecież nasze kieszonkowe jest nienaruszone. No, to zaszalejemy obie.

- Hello, Mam, come in and have a look - zachęcał nas sprzedawca, kiedy podziwiałyśmy złote cacka w witrynie. Obok bogato zdobionych bransoletek i naszyjników błyszczały diademy z brylantami, sznury pereł i pierścionki z kamieniami szlachetnymi. Sprzedawca cierpliwie podawał nam do przymierzenia kolejne precjoza. Potem Lisa poprosiła drugiego sprzedawcę o zaprezentowanie złotych łańcuszków. Targowałyśmy się o cenę: wszystko według zasad, z uwzględnieniem wagi wyrobów i aktualnego kursu złota. To było ekscytujące.

W godzinę później wyszłyśmy ze sklepu, każda z portfelem lżejszym o dwa tysiące franków szwajcarskich.

- I jak? Widziałyście coś ładnego u Damasa? - usłyszałyśmy nagle za plecami.

Matar!

Zaraz też chwycił mnie za rękę i powiedział:

- Jalla, habibti, chciałbym ci kupić jakiś drobiazg na pamiątkę.

- Ależ Matar! Naprawdę nie trzeba! Zobacz, już coś sobie kupiłam.

I pokazałam mu błyszczące kółko na mojej ręce.

- No, to w takim razie dajcie się chociaż zaprosić na lunch. Oczywiście z Abdulem, Lisa!

- Niestety, nie dotrzyma nam towarzystwa. Nieoczekiwanie musiał dzisiaj wcześniej rano wyjechać do Londynu.

We troje udaliśmy się do restauracji na dachu. Gdy tylko zajęliśmy miejsca, Matar przeprosił nas i odszedł od stolika, żeby porozmawiać przez telefon komórkowy. Obie z Lisą uznałyśmy jednomyślnie, że co prawda komórka to bez wątpienia nowoczesne i przydatne urządzenie, ale czasem bardzo denerwujące. Nie wiedziałyśmy, że ze strony Matara to był tylko sprytny wybieg. Bo już po niedługim czasie wrócił, promieniejąc radością i położył przede mną na stoliku małą paczuszkę. Obląłam się rumieńcem, gdy zobaczyłam na pudełeczku znak firmy Damas.

- Nie, Matar... nie mogę tego przyjąć.

- Proszę, nie zawstydzaj mnie, nie każ mi tego zwracać - wyszeptał Matar zduszonym głosem. Widać było, jak bardzo jest mu przykro.

Spojrzałam w jego ciemne, poważne oczy. Czułam, że wszelki opór nie ma sensu. Niezależnie od tego, jaka była zawartość

paczuski, gest Matara był szczerzy i pełny oddania. Prawdziwy balsam dla mojej duszy.

- Zjrzyj do środka - uśmiechnął się wyczekująco.

- Tak, Verena, otwórz wreszcie!

Nieśmiało rozejrzałam się dokoła i odwinęłam paczuszkę. Boże, naprawdę mnie to krępowało. Kiedy podniosłam wieczko, ujrzałam cieniuteńką, złotą bransoletkę. Przypominała te, jakie tutejsze dziewczęta i kobiety noszą po kilka na przegubie.

- Nie mogę tego przyjąć, Matar - powiedziałam jeszcze raz.

- Habibti, nie jesteś mi niczego winna. Wystarczy, jeśli zobaczę uśmiech w twoich oczach.

- Nie wiem, co powiedzieć... - odparłam.

- Dla odmiany pozwól się trochę porozpieszczać - rzuciła Lisa po niemiecku.

- Yes, she ist right.

Wybuchnęliśmy śmiechem. To wyglądało tak, jakby Matar zrozumiał nasz szwajcarski niemiecki. Podchwyciłam ten żartobliwy ton i rzuciłam lekko:

- Czy mam to złote cacko rozumieć jako oświadczyzny, Matar?

Znowu gromki śmiech. Ale ja tak naprawdę byłam niespokojna, bałam się, żeby sytuacja nie stała się zbyt poważna. I że bym nie musiała podejmować decyzji, na które nie byłam gotowa. W każdym razie nie przed opuszczeniem Dubaju i Chalida.

- Możesz tak na to patrzeć - potwierdził Matar spokojnym głosem.

- Dobrze, porozmawiam z moim ojcem - odparłam natychmiast.

I tak to szło dalej, przerzucaliśmy się słowami, co chwila wybuchając salwami śmiechu. Właściwie to rzadko w moim życiu śmiałam się tyle, co w Dubaju. Ale też rzadko tyle płakałam.

Gdy Matar poprosił mnie do tańca, nie bardzo mogłam mu odmówić. Kilkoro starszych Niemców, gości hotelu, musiało chyba obserwować zaloty Matara od kilku dni, bo klaskali nam z życzliwością i zadowoleniem, kiedy wracaliśmy z parkietu do stolika. Nie wiem, co panowie doradzali Matarowi, ale obie starsze paniejednogłośnie orzekły, że ten szejki i ja tworzymy prawdziwą hollywoodzką parę.

„No, to czas zmykać” - pomyślałam. Matara okupowali już inni goście hotelu. Każdy chciał z nim porozmawiać, czegoś się o nim dowiedzieć. Niemcy popijali pachnący napar z mięty, który kazał podać Matar. Wiele mówiąca scena. Coś, co nie wymaga komentarza.

I tak nadeszły dwa ostatnie dni naszego pobytu. Chalid nie odzywał się - żadnego znaku z Al-Waha. Było mi ciężko na sercu, ołowiany pancierz ścisnął pierś. To dręczące wyczekiwanie było nie do wytrzymania! Modliłam się, żeby coś się stało, żeby zadzwonił. Inaczej będę musiała wziąć swój los we własne ręce. Ale Chalid się nie odezwał. Ani rano, ani w południe, ani wieczorem.

Następnego dnia nie wytrzymałam i sięgnęłam po słuchawkę. Chalid jednak się nie zgłaszał. Sekretarka w Al-Waha poinformowała mnie, że pan Al-Raszid jest w Dubaju. W Dubaju powiedziano mi, że jest w Al-Waha. Zabawa w ciuciubabkę? Zabolalo! I to bardzo. Czyżby Chalid polecił, żeby mnie z nim nie łączyć? Nie mogłam w to uwierzyć.

Ostatkiem się zatelefonowałam jeszcze raz do biura w Al-Waha i zostawiłam wiadomość. Nie zamierzałam robić z siebie idiotki i wydzwaniać bez końca. Potem nie pozostało mi już nic

innego, jak tylko *czekać* i mieć nadzieję. W głębi serca nie wierzyłam, nie mogłam sobie wyobrazić, że Chalid mógłby mnie tak zostawić, że pozwoliłby mi tak po prostu odjechać.

Powoli zaczęłyśmy się pakować.

Ostatniego dnia wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Kiedy wypoczywałyśmy na leżakach, nagle pojawił się Matar. Jakby spadł z nieba. W dodatku był w stroju kąpielowym. Bez swojego nakrycia głowy wyglądał tak niezwykle, że z początku go nie poznałyśmy. Zaskoczona, krzyknęłam mimo woli i błyskawicznie okryłam się ręcznikiem plażowym. Kiedy się opanowałam, zganiłam Matara:

- To nie było zbyt eleganckie, Matar.

Zaśmiał się z pewnym zażenowaniem, wyglądało na to, że nie spodziewał się takiej reakcji.

- Wybaczcie, nie chciałem was przestraszyć, a tylko zaprosić na lunch.

Spojrzałyśmy z Lisą na siebie i roześmiałyśmy się.

- Pomyślałem, że może miałybyście ochotę na ostatniego hemulona, co? No, a potem gram w tenisa przeciwko Niemcom.

Przestępował skrępowany z nogi na nogę. Pewnie dopiero teraz zdał sobie sprawę ze swojego nietaktu. (Chalid nigdy by tak nie postąpił).

Wkrótce siedzieliśmy na tarasie jachtklubu „Joumana”. Gdyby zadzwonił Chalid, wywołano by mnie przez megafon. Nie musiałam się więc obawiać, że znowu mnie nie zastanie.

I faktycznie nie musiałam, bo ryby były dawno zjedzone, talerze zabrane, Matar poszedł na kort tenisowy, a od Chalida ani znaku. Lisa starała się podtrzymać mnie na duchu. Była przeko-

nana, że Chalid mnie tak nie zostawi, że przyjdzie się przynajmniej pożegnać. Chciałam, żeby się nie myliła.

Kiedy słońce zniknęło za palmami, zebrałyśmy nasze rzeczy do kąpieli i ruszyłyśmy z powrotem do hotelu. Każdy krok, który oddalał mnie od przepięknej oazy, był dla mnie jak ból. W pewnej chwili muzyka delikatnie sącząca się za nami ucichła zupełnie, drzwi się zamknęły, chłodne, klimatyzowane powietrze odcięło przyjemną, ciepłą bryzę morską... „Oto koniec pięknego złudzenia” - pomyślałam.

Kiedy otwierałam drzwi do naszego pokoju, serce biło mi jak szalone. Natychmiast spojrzałam na podłogę. Jest! Zobaczyłam na dywanie kopertę. Podniosłam ją błyskawicznie i ostrożnie otworzyłam. Gdy smutna zwiesiłam głowę, Lisa spojrzała na mnie zaskoczona. Bez słowa podałam jej kartkę, Lisa rzuciła na nią okiem i dostała ataku śmiechu.

- Ach, to biuro podróży! Dobrze, że o nas nie zapomnieli.

- Wolałabym, żeby tak było.

Ten kraj, bezkres pustyni, słońce i wiatr, powiewające kwefy i oryginalne zapachy - to wszystko przyciągało mnie z magiczną niemal siłą. „Kiedy będę stara - pomyślałam - przeniosę się tutaj, będę tu mieszkać i tutaj umrę”.

Nie wiem, jak przeżyłabym te ostatnie godziny, gdybym musiała siedzieć beczynn timer do samego odjazdu. Na szczęście czekały już na nas oba niemieckie małżeństwa. I Matar, jak zwykle roztaczający delikatną woń orientalnych perfum. Dzisiaj zapach wydawał mi się jednak jeszcze intensywniejszy. Czyżby Matar się czegoś spodziewał? Nie sądzę. Był zbyt inteligentny i zbyt doświadczony na to, by nie widzieć, co się ze mną dzieje. Uzbroidł się jednak w cierpliwość. Na pustyni ludzie

mają przecież nieskończenie dużo czasu. Potrafią czekać w absolutnym spokoju ducha. Od idei do czynu mogą tu upłynąć całe lata. I pewnie tak traktuje się też miłość - wszystko rozwija się powoli.

Podczas gdy niemieckie panie zachwycały się naszymi kreacjami, panowie przypuścili szturm na Matara, namawiając go na następny mecz tenisowy - z przyjemnością przegoniliby go jeszcze raz po kortach. Najwyraźniej był nie dość zwinnyjak na niemieckie piłki.

- Verena, wymieńmy się teraz adresami, koniecznie, bo zapomnimy. Odwiedzę cię w Szwajcarii - jeśli Allah zechce, już wkrótce.

Uśmiechnęłam się pod nosem. Czemu nie, od czasu do czasu kartka pocztowa, niezobowiązujące kontakty ze światem arabskim, bardzo bym się z tego cieszyła. Matar był już w wieku, kiedy od dawna ma się żonę i dzieci. Zwłaszcza tutaj. Kiedy go o to zapytałam, odparł, że jest wolny, po rozwodzie. Ale tak mówią wszyscy mężczyźni. Jednak jego konsekwencja i wytrwałość pozostały dla mnie zagadką. Może faktycznie byłam dla niego kimś wyjątkowym, może rzeczywiście stracił dla mnie głowę.

Gdy nieco później żegnaliśmy się w obecności innych, ciemne oczy Matara płonęły zmysłowymi obietnicami i męskim pragnieniem. Używając całego swojego uwodzicielskiego kunsztu, starał się opóźnić nasze rozstanie.

- Habibti... kto się nie chce rozstać, ten się nie rozstanie. Proszę, tylko kilka kroków w świetle księżycy... - szeptał głosem pełnym nadziei, jednocześnie uwodzicielskim gestem przyślaniając ghutrą swoje piękne oblicze.



Powinien był wiedzieć, że nigdy bym się na to nie zgodziła. W każdym razie nie przed pożegnaniem z Chalidem, nie przed rozstaniem z Dubajem.

- Matar ja naprawdę muszę już iść, nawet nie spakowałyśmy jeszcze walizek - zmyśliłam naprędce. - A obudzą nas już o piątej rano.

Matar trochę rozczarowany, lecz mimo to opanowany, odprowadził nas aż do windy. Kiedy już byłam w środku, zobaczyłam, jak patrzy na mnie ze smutkiem. Wreszcie jego postać zniknęła za zamkniętymi drzwiami.

Straciłam już nadzieję, że Chalid się odezwie. Nawet najmniejszy promyk nie rozjaśniał ponurej ciemności, nieskończonej pustki i głębokiego smutku.

## *Czarna sobota*

- Good morning, ladies, ready for leave? Is this your baggage?

Nerwowo, nieprzyjemny pośpiech Pakistańczyka gwałtownie przywrócił mnie do rzeczywistości. Już uruchomił silnik, już ruszył. Krzewy o różowych kwiatach, palmy, kolorowe pawie zostały za nami, jakby to był sen. Jeszcze tylko sześć godzin lotu i znowu będziemy w Szwajcarii. Ogarnęło mnie przerażenie. Ten kraj całkiem zmienił moje życie. I nic już nie będzie takie, jak przedtem.

Kiedy dojechaliśmy do lotniska w Szardży, czekała już na nas pilotka biura podróży. Pomogła nam przy nadawaniu bagaży, pokazała drogę do hali odlotów i życzyła przyjemnego lotu. Schodami ruchomymi wjechałyśmy do poczekalni. Tego ranka panował tu wielki ruch. Na ławkach obok nas siedziały całe gromady zakwefionych kobiet. W swoich czarnych burkach, zasłaniających całą twarz, wyglądały jak duchy. Ale nie budziły lęku. Tym bardziej że zauważyłam, jak wesoło ze sobą rozmawiają, jak się przekomarzają. Wyglądało to tak, jakby się doskonale bawiły, ukryte za tymi swoimi zasłonami. Mogły sobie swobodnie obserwować wszystkich i wszystko dookoła, i krytykować do woli. Bez przerwy poruszały przy tym i gestykulowały. Ogromnie mnie to irytowało, była szósta rano, a ja prawie umierałam ze smutku.

- Chodźmy już do wyjścia, co?

Głos przyjaciółki wyrwał mnie z odrętwienia. Spojrzałam na nią niecałkiem przytomnie i posłusznie podniosłam się z fotela. W chwilę potem poczułam na sobie czyjś wzrok. Spojrzałam... I zamarłam. Chalid? Nie wytrzymałam, musiałam odwrócić

oczy. Ale po chwili nasze spojrzenia znowu się spotkały. I gdy tak na siebie patrzyliśmy przeszłość i przyszłość przestały istnieć, liczyła się tylko ta chwila.

„Niejestem fatamorganą, niejestem złudzeniem, jestem rzeczywistością” - zdawały się mówić jego oczy.

Stałam jak skamieniała, z na wpół otwartymi ustami.

- Popatrz, tam jest sklep wolnocłowy - usłyszałam głos Lisy, który docierał do mnie jak przez tunel. Tymczasem Chalid podniósł się z miejsca i przepychając się przez tłum, podszedł do mnie.

- Czy to ty? - zapytałam ledwie dosłyszalnym głosem.

Kąćki ust uniosły mu się do uśmiechu, ale w oczach załśniły łzy.

- Sweetheart, tak bardzo za tobą tęskniłem - wyjąkał wreszcie.

Wzruszenie ścisnęło mnie za gardło, byłam bliska płaczu. Stałam tak oszołomiona, na wpół przytomna, patrząc w zrozpaczone oczy Chalida. Zacisnął wargi, widać było, że walczy ze sobą, chce coś powiedzieć.

- Ja...ja umrę, jeśli odjedziesz - powiedział wreszcie zduszonym głosem.

Przeszedł mnie dreszcz. To było rozpaczliwe. Nie mogłam go objąć, przytulić, nie tutaj, nie na oczach wszystkich - nie wypadało. Przez chwilę staliśmy tak, nic nie mówiąc. Potem odnalazła mnie Lisa.

- Ach, tu jesteście! - powiedziała; była trochę zaskoczona pojawieniem się Chalida. - Wiesz co, Verena, chcę jeszcze kupić parę rzeczy. Zobaczymy się przy wyjściu. A tobie, Chalid, jeszcze raz serdeczne dzięki za wszystko. Dubaj jest wspaniały, na pewno tu jeszcze wrócimy.

Potem szybko pocałowała go w oba policzki, co dla Chalida było wyraźnie krępujące. Z całą pewnością niezliczone pary oczu obserwowały nas zza zasłon.

- Ja też tęskniłam za tobą, Chalid, nawet nie potrafię wyrazić jak bardzo.

Chalid spoglądał na przemian to w moje oczy, to na ziemię. Z trudem dobierał słowa.

- Chalid, weź mnie przynajmniej za rękę, muszę cię poczuć.

- Czy ty myślisz, żeja tego nie chcę? Tak bardzo pragnąłbym wziąć cię w ramiona, tak bardzo... Ale nie można, nie tutaj, publicznie - nie wolno mi ciebie dotknąć.

- Tak, oczywiście, rozumiem - powiedziałam rozczarowana.

- Chalid?

- Tak, sweetheart...?

- Posłuchaj. Nie musisz umierać ze zgrzyoty, po prostu mnie tu zatrzymaj. Ja to mówię poważnie. I z całego serca. Kocham ten kraj, kocham pustynię, waszą tradycję i obyczaje... Podobnie jak zawsze kochałam ciebie.

Chalid w napięciu zastanawiał się i rozważał moje słowa, a ja modliłam się gorąco, żeby usłyszeć upragnione: „Naprawdę myślałaś, że pozwolę ci odjechać? Za nic w świecie. Nie puszczę cię, sweetheart, nie oddam cię nikomu. Kocham cię już od tylu lat...”

Serce biło mijak oszalałe.

- Verena, daj mi jeszcze trochę czasu... proszę...

Tego się obawiałam.

- Nie, Chalid, bądź uczciwy wobec samego siebie, czas tu nic nie zmieni. Miałeś już dziesięć lat, by się nad tym zastanowić. Jeśli teraz odjadę - powiedziałam - a zabrzmiało to bardzo odważnie - to na zawsze. Opuścę cię i zapomnę o tobie.

Zapanowało przytłaczające milczenie. Ciemne oczy Chalida patrzyły mi prosto w twarz, malowała się w nich rozpacz. Z bolesną jasnością uświadomiłam sobie, że muszę teraz podjąć decyzję.

- Chalid - powiedziałałam załamującym się głosem - posłuchaj, zniknę teraz z twojego życia na zawsze i proszę, nie pisz do mnie listów i nie dzwoń.

Uparcie milczał dalej.

Chciałam wierzyć, że mnie zatrzyma, ale jedno spojrzenie na jego twarz wystarczyło, by zobaczyć, że nie zrobi nic. Nie mogłam już dłużej wytrzymać wyrazu jego oczu, odwróciłam się i odeszłam.

Nagle zobaczyłam wszystko jasno i wyraźnie. Szłam do wyjścia, nie oglądając się za siebie, bezjednej łzy - jak w transie.

## *Przebudzenie z tysiąca i jednej nocy*

**P**o początkowym okresie oszołomienia zaczęła do mnie docierać ostateczność tego pożegnania.

Był wrzesień, miesiąc, w którym często powraca lato. Siedziałam na drewnianej ławce nad strumieniem przepływającym w pobliżu naszego domu. Wdychając świeży zapach jodłowych igieł, przypominałam sobie oszałamiającą woń wschodniego kadzidła. W rękach trzymałam ostatni list Matara. Napisał, że jego ukochana mama w październiku będzie miała operowany staw biodrowy; zabieg ma wykonać wybitny specjalista w Monachium. On i kilku innych członków rodziny będą towarzyszyć matce w podróży. „Kiedy pomyślę, że już niedługo cię zobaczę, serce bije mi żywiej...” - napisał. Musi się ze mną koniecznie zobaczyć, ma mi coś ważnego do powiedzenia. I jeszcze: że tym razem mu nie ucieknę.

Natychmiast pomyślałam o Chalidzie. Czy już się ożenił? Od mojego powrotu do Szwajcarii nie miałam z nim żadnego kontaktu. Nie zgłosił się ani razu. Z wyjątkiem dnia mojego odlotu, kiedy to chciał się upewnić, czy cała i zdrowa dotarłam

do domu. Ale wtedy nie podeszłam do telefonu - tak jak zapowiedziałam na lotnisku.

W owym czasie Matar pisał wiersze i marzył o letnim urlopie w Szwajcarii. Chciał przylecieć w lipcu. Nie wiedziałam, jak to sobie wyobraża i czego się po mnie spodziewa. Oczywiście, zdawałam sobie doskonale sprawę z tego, że w krajach arabskich obyczaje dotyczące zawierania znajomości między kobietą a mężczyzną są zupełnie inne. Gdyby Matar napisał mi, że oczekuje mnie jego rodzina, na pewno inaczej potraktowałabym te jego zaloty. I oczywiście bardzo by mi to pochlebiało. Z dumą i radością poleciałabym do Abu Zabi. A tak, nie miałam najmniejszej ochoty go widzieć.

Matar zaś był ogromnie rozczarowany, kiedy mu oświadczyłam, że w lipcu, gdy planuje podróż, nie będzie mnie w Szwajcarii. Nie do końca była to prawda, ale nie widziałam większego sensu w wyjaśnianiu i tłumaczeniu mu wszystkiego.

Mimo to owego wrześnieowego poranka z prawdziwą radością czytałam list od niego. Matar był przecież kimś, kto łączył mnie ze światem i kulturą arabską. W tej chwili jednak nie wiedziałam jeszcze, czy go przyjmę, jeśli zechce do mnie przyjechać z Monachium. Miał zadzwonić, więc potem zdecyduję, co dalej.

I tak mijały dni i tygodnie, czas upływał niepostrzeżenie. Żyłam tylko dniem dzisiejszym, przyszłość była nieznana, a przeszłość odchodziła w zapomnienie. Bezpowrotnie. Tak mi się wydawało. Aż do dnia, gdy w moim życiu nagle nastąpił gwałtowny zwrot.

Ale po kolei. Wszystko zaczęło się w październiku, właśnie w czasie, gdy Matar rzeczywiście wybierał się do Zurychu.

Owego ranka byłem jeszcze przekonana, że panuję nad sobą i moimi sprawami - ale już wieczorem moje życie niebezpiecznie się zachybiło. Tak jakby tam, na dalekiej pustyni, coś się poruszyło. Jakby za sprawą tajemniczych sił, pojawił się mały ostrzegawczy znak, że oto zbliża się niebezpieczeństwo. A może to był czysty przypadek, że tak to się ułożyło?

Gdy owego wieczoru odebrałam telefon i nieoczekiwanie usłyszałam głos z pustyni, natychmiast odłożyłam słuchawkę. Moje serce biło jak szalone. A więc Al-Waha nie dotrzymuje umowy. Chalid łamie zasady i to już po niespełna czterech miesiącach! Co prawda, wtedy na lotnisku na moje słowa nic nie odpowiedział, nie potwierdził, że rozumie i że się zgadza, nie kiwnął głową, nie spojrzał ze zrozumieniem... Jednak moje słowa były jednoznaczne, było to wyraźne, jasne polecenie dla Chalida: nigdy już żadnych kontaktów.

Telefon dzwonił uparcie, ogarnęła mnie taka wściekłość i rozpacz, że do oczu napłynęły mi łzy. Porwałam słuchawkę z widełek:

- Nie dotrzymujesz umowy! - fuknęłam wściekle.

Nie wiem, po co w ogóle odebrałam ten telefon. Chalid od razu wpadł mi w słowo. Musiał doskonale wiedzieć, że powodzenie jego próby wisiało na włosku, że w każdej chwili mógł usłyszeć trzask odkładanej słuchawki. Gorączkowo i szybko nakreślił plan naszej przyszłości. Wstrzymałam oddech i słuchałam. To jeszcze nie były ostateczne rozwiązania, ale jednak coś konkretnego na początek. Pierwsze przybliżenie. Bo skoro za późno na słowa - jak powiedziałam mu na lotnisku w Szardzy - to może wreszcie przyszedł czas na czyny. Za trzy dni - już za trzy dni! - on, Chalid,



przyjedzie do mnie. „Wezmę cię w ramiona i już nie wypuszczę” - usłyszałam.

Szok. Tego się nie spodziewałam. Nie wiedziałam, co o tym sądzić, zalała mnie fala sprzecznych uczuć. Już sama myśl o tym, że mogłabym jeszcze raz zobaczyć Chalida, całkowicie wytrąciła mnie z równowagi. Wszystko we mnie dygotało, w głowie miałam chaos, w sercu - niepewność. Nie potrafiłam wykrztusić ani słowa. Zresztą, po co miałabym cokolwiek mówić? Niech będzie, co ma być... Ale przecież następnego dnia, samolotem o szesnastej miał z Monachium przylecieć Matar! Gdyby ci dwaj wiedzieli o sobie...

- Verena, ja wiem, milczysz, bo jesteś zaskoczona. Wiem też, że się boisz i że we mnie zwątpiłaś. Ale proszę, uwierz! Naprawdę możesz mi zaufać. Teraz ja odpowiadam za twoje życie, twoje szczęście, twoje dobro - za wszystko. Aż do końca twoich dni.

To były mocne słowa. Stałam, jak rażona, i nie mogłam zebrać myśli.

- Sweetheart, jeśli nie chcesz nic mówić, to nie mów. Ale proszę, nie odkładaj słuchawki, zanim skończę, dobrze? Obiecujesz?

- Tak.

I w ten sposób ostatecznie zaplątałam się w jego sieć - dałam mu się całkowicie omotać.

Teraz musiałam zrobić wszystko, by odwołać wizytę Matara. Wiedziałam, że następna rozmowa z Monachium będzie wymagała ode mnie nie lada dyplomacji. I rzeczywiście, kosztowała mnie sporo nerwów.

- O, niee... - usłyszałam smętnyjęk w słuchawce.

Potem Matar za nic w świecie nie chciał anulować lotu - upierał się, że będzie siedział w Zurychu tak długo, aż wreszcie znajdę dla niego czas. To było straszne! W końcu nie pozostało mi nic innego, jak wyłożyć karty na stół. Matar wściekły i urażony, rzucił słuchawkę. Rozumiałam go aż nadto dobrze. I było mi bardzo przykro.

Tymczasem w moim domu wszyscy z niecierpliwością czekali na wizytę Chalida. Także moi przyjaciele liczyli na to, że go przynajmniej zobaczą.

I tak nadszedł dzień spotkania z Kahalidem. Jadąc, miałam nadzieję, że po raz ostatni spotykamy się w hotelowym foyer.

Chalid już na mnie czekał. Na mój widok na chwilę zasłonił twarz rękami, jakby chciał ukryć swoją radość.

- Boże, jak ja za tobą tęskniłem - powiedział i objął mnie mocno.

Omiał nie zemdlałam ze szczęścia.

Usiedliśmy. W milczeniu patrzyliśmy na siebie z zachwytem. Trwało to dobrą chwilę.

- Gdybyś wiedziała, jak to przeżyłem... - zaczął w końcu Chalid.

Potrząsnął głową i zamilkł na chwilę, błędząc spojrzeniem dokoła. Potem mówił dalej:

- Kiedy wyjechałaś, z całych sił starałem się o tobie zapomnieć. Ale nic, absolutnie nic nie było w stanie oderwać mnie od myślenia o tobie. Po całych nocach leżałem w łóżku, nie mogąc spać. Tak było przez kilka tygodni. Aż w końcu wszystko zrozumiałem: moje życie bez ciebie nie ma najmniejszego sensu.

Jego słowa były dla mnie jak balsam. Chłonełam je chciwie, nie mogąc się nasłuchać. Wcześniej takie wyznania rzadko

padały z jego ust. Nie wątpiłam w to, że naprawdę cierpiał. Ale niepokój nie opuszczał mnie, musiałam poznać jego plany wobec nas.

- A co ty robiłaś przez ten czas, jak ty to przeżyłaś, powiedz, Verena?

Nie odpowiedziałam od razu, zastanawiałam się przez dłuższą chwilę.

Oczywiście, nie chciałam mu powiedzieć, że w zasadzie skończyłam z nim całkowicie: w ataku żalu, wściekłości i rozpaczli spaliłam w kominku wszystkie listy od niego. Zniszczyłam nawet nasze zdjęcia z kursu w Anglii. Dopiero potem, o wiele za późno, zdałam sobie sprawę, że nie powinnam była tego robić. To był błąd.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, powoli sącząc kawę, każde zatopione w swoich myślach. W końcu Chalid zaczął mówić o tym, jakie ma plany wobec nas. Na jego twarzy malował się wyraz spokojnego zdecydowania. W napięciu słuchałam, co wydarzyło się w Al-Waha w ciągu ostatnich miesięcy.

Chalid powiedział, że pierwsze, co zrobił, to przesunął na czas nieokreślony datę zawarcia planowanego małżeństwa. Oświadczył zwierzchnikom rodzin, że w najbliższych miesiącach będzie bardzo zajęty swoimi interesami, wobec czego nie może myśleć o ślubie i zakładaniu rodziny. Swoją decyzję dodatkowo uzasadnił dłuższą podróżą do Egiptu, którą faktycznie ma odbyć w związku z planowanym podpisaniem pewnej umowy handlowej. Ponadto później musi pojechać w interesach do Szwajcarii i Francji.

- I zaakceptowano to bez sprzeciwu? - zapytałam zdumiona.

- Tak, naturalnie, takie są u nas zwyczaje. Najważniejsze są interesy.

„Nie do wiary!” - pomyślałam.

Ponadto Chalid żywił po cichu nadzieję, że młoda studentka, która ma zostać jego żoną, a która jest też jego kuzynką, zakocha się w tym czasie w kimś innym. Bo w gruncie rzeczy on może dowolnie i w zasadzie w nieskończoność przesuwając termin ślubu. Aż w końcu sprawa upadnie, bo dziewczyna zacznie błagać ojca, by mogła poślubić innego mężczyznę, a nie tego, którego jej przeznaczono.

Nie wiedziałam, co o tym sądzić. Nie byłam pewna, czy to dobre rozwiązanie. Wołałabym, żeby Chalid zwołał rodzinną radę i powiedział całą prawdę. No, ale to pewnie było niemożliwe.

- Słuchaj, Verena, najpierw pojedziemy do Egiptu. Tam będziemy mieli dla siebie mnóstwo czasu. Mam ci tak dużo do powiedzenia, tyle rzeczy muszę ci wyjaśnić. Będziemy siedzieć nad brzegiem Nilu, pić kawę i snuć plany na przyszłość. Zobacysz Wielkiego Sfinksa, piramidy, obejrzymy grobowiec i skarby Tutenchamona... Kto wie, może pojedziemy aż do Abu Simbel i nad Tamę Asuańską. Co prawda, mam kilka spotkań w interesach w Kairze, ale to wszystko można jakoś pogodzić. Zobacysz, będzie wspaniale. I, Verena, kiedy już tam będziemy, czeka cię wielka niespodzianka...

- Naprawdę? Zaciekawiasz mnie. Może uchyłisz rąbka tajemnicy... - uśmiechnęłam się do niego.

Ale Chalid nie dał się uprosić. Niespodzianka, to niespodzianka.

Wyjazd do Egiptu... nęcąca propozycja. Perspektywa tej podróży bardzo mi się podobała. W wyobraźni już pakowałam sukienki z lnu, filmy, aparat fotograficzny i mój dziennik...

- Wiesz co, Verena, im częściej będę poza Dubajem, tym większe są szanse, że sprawy rozwiążą się same.

Na końcu języka miałam pytanie: „A co, jeśli się nie uda?” - ale się powstrzymałam. Bezsensowna refleksja. Przecież i tak wszystko będzie tak, jak zechce Allah...

W Zurychu Chalid miał faktycznie umówione spotkania w interesach. W ciągu dnia był zajęty, prowadził rozmowy z bankami i armatorami, z którymi chciał nawiązać kontakty. Ale któregoś popołudnia przyjechał po mnie nieoczekiwanie, powiedział, że przerwał rozmowy na dzień dzisiejszy, gdyż ma umówione spotkanie w agencji nieruchomości.

To było dla mnie coś nowego, nie miałam pojęcia o tym spotkaniu i zastanawiałam się, co się za tym kryje, jaką niespodziankę szykuje znowu Chalid. Pojechaliśmy taksówką, za miastem skręciliśmy w stronę Kiisnacht. Przez całą jazdę nie udało mi się z Chalida nic wyciągnąć, najwyraźniej nie chciał mówić przy taksówkarzu. Był bardzo tajemniczy. W końcu weszliśmy do biura agencji. Nie miałam pojęcia, o jaką nieruchomość chodzi; sądziłam, że pewnie o jakiś obiekt biurowy. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że Chalid może się interesować domami mieszkalnymi. Toteż poczułam się naprawdę nieswojo, kiedy makler rozłożył przed nami plany budowlane i zdjęcia trzech nieruchomości. I wreszcie, co najważniejsze, mieliśmy ustalić termin oglądania obiektów. O nie! Na myśl o tym, że oto Chalid decydował o moim losie, nie pytając mnie o zdanie, włosy zjeżyły mi się na głowie. Wcale mi się to nie podobało! Kiedy wyszliśmy, Chalid oświadczył z dumą:

- Będziemy mieszkać w pięknym domu z widokiem na jezioro... to znaczy wtedy, kiedy nie będę akurat w Dubaju albo w podróży...

„Co on sobie wyobraża, chyba naprawdę postradał zmysły...”  
—pomyślałam.

- Nie cieszysz się, sweetheart?

- Wiesz, to wszystko spadło na mnie tak nagle, że jestem oszołomiona. Muszę się najpierw zastanowić, pomyśleć, oswoić z twoimi planami. Ale, oczywiście, cieszę się.

W rzeczywistości w głowie zapaliła mi się ostrzegawcza lampka. Co prawda jeszcze nie było powodu do niepokoju: plan i realizacja planu - to dwie różne sprawy. Doskonale o tym wiedziałam. Jednocześnie byłam przekonana, że będę jeszcze mogła przeciwstawić się temu przedsięwzięciu - jeśli zechcę.

Chalid tymczasem podbił serca wszystkich. Cała moja rodzina była nim zachwycona i czułam, że mu sprzyja. Wszędzie był serdecznie podejmowany, zwłaszcza przez kobiety. Byłam już tym trochę zmęczona, dlatego z uczuciem ulgi myślałam o zbliżającym się dniu jego wyjazdu do Dubaju.

Pojechaliśmy na lotnisko. Kiedy staliśmy w kolejce do odprawy, Chalid zaczął grzebać w swojej teczce.

- Możesz mi potrzymać dokumenty? - poprosił.

Ze zwykłej ciekawości otworzyłam jego paszport, którego nigdy wcześniej nie widziałam. Przed nazwiskiem wypisane było słowo „sheikh”. Uśmiechnęłam się z lekka. „Ci Arabowie!  
- pomyślałam - Wpisują sobie przed nazwiskiem do paszportu jakieś tytuły...”

- Chalid?

- Taak?

- Czemu tu jest napisane: szejkh?

W pierwszej chwili rzeczywiście się nie domyśliłam.

Chalid odwrócił się, spojrzął na mnie, położył palec na ustach i uśmiechnął się:

- No, to teraz już wiesz...

- Co takiego?! Jesteś szejkiem?!

Chalid wyraźnie przestraszony rozglądnął się dokoła.

- Verena, proszę, nie tak głośno!

- Dobrze. Ale... nie, nic z tego nie rozumiem. Z wrażenia na chwilę zabrakło mi tchu. - Od kiedy jesteś szejkiem?

Uśmiech i wyraz dumy w oczach zdradzały, jak bardzo Chalid cieszy się tym moim zaskoczeniem.

- Urodziłem się jako szejk.

Nie wierzyłam własnym uszom! Na chwilę zacisnęłam powieki: czy ja śnię? Nie wiedziałam, czy mam się śmiać, czy złościć. Ale to, co za chwilę powiedział Chalid, było jeszcze bardziej zaskakujące:

- Wiesz, Verena, to jest jeden z powodów, dla których cię tak bardzo kocham. Bo ty kochałaś mnie zawsze jako mnie - jako Chalida.

Patrzyłam na niego wielkimi oczami.

Nie mogłam tego pojąć! Co za czelność! Tak mnie oszukać! Jakby to coś zmieniało! Byłam oburzona. Ale tylko potrząsnęłam głową. A Chalid tymczasem wyjął drugi paszport.

„Diplomatic passport” - przeczytałam. Świetnie!

I tak stopniowo zaczęły znikać wszystkie zagadki związane z osobą Chalida.

*Dwa miesiące później siedziałam w samolocie do Kairu. W Egipcie mieliśmy po raz pierwszy przez jakiś czas żyć jak para. Miai to być dla nas okres próby, jak się potem przekonałam.*

## ***Wydarzenia w dolinie Nilu, grudzień 1989***

**D**o wylotu były *jeszcze* dwa tygodnie, ale ja miałam już przygotowaną walizkę - trzymałam ją na wierzchu, tak by w każdej chwili jej widok przypominał mi Chalida.

Oto mieliśmy się połączyć - po dziesięciu latach tęsknoty i cierpienia. Nie mogłam w to uwierzyć. A im dłużej o tym rozmyślałam, tym bardziej stawałam się nerwowa; nocami przewracałam się w łóżku i nie mogłam spać. Byłam już tylko jednym wielkim pragnieniem, jedną tęsknotą. Tak mijał dzień po dniu...

Wreszcie przyszedł dzień wylotu. W napięciu stanęłam przy stanowisku odprawy biletowo-bagażowej. Urzędniczka spojrzała na monitor i na jej twarzy odmalował się wyraz wielkiego skubienia. Kilka razy stuknęła w klawiaturę, zmarszczyła brwi i coraz bardziej niepewnie wpatrywała się w ekran komputera. O co chodzi? Moja walizka ciągle *jeszcze* stała na taśmie transmisyjnej. Zaczęłam się niecierpliwić. „O, do diabła, coś tu nie gra...”

- Jakiś problem? - zapytałam.

- Pani jest na liście rezerwowej.



- Że jak?! A to dlaczego?

Ogarnęła mnie wściekłość.

- Niestety, na ten samolot jest nadkomplet. Ale bardzo proszę zachować spokój, madame, może będzie pani mogła polecieć. Proszę się udać do stanowiska przy wyjściu B 35, tam pomoże pani personel obsługi naziemnej.

Tego mi jeszcze brakowało! Overbooking! Jakbym nie była i tak dość zdenerwowana! Chciałam lecieć tego dnia, a nie następnego.

Rozdygotana pobiegłam do wskazanego wyjścia. Kiedy już wszyscy pasażerowie weszli na pokład samolotu, po raz drugi podeszłam do okienka. Ale znowu odprawili mnie z kwitkiem. Naliczyłam szesnastu pasażerów, w większości mężczyzn, którzy podobnie jak ja liczyli na otrzymanie karty pokładowej. „No to jestem załatwiona” - pomyślałam. Zgodnie z planem lotów, nasz samolot miał wystartować za pięć minut. Pomyślałam z przestraszeniem, że nic z tego, że przecież za chwilę zamkną się drzwi na pokład, samolot odłączy się od rękawa i pokołuje na pas - beze mnie.

- Mr Al-Zoghbi and Mr Sawiris, please...

O, mój Boże, więc jest jeszcze nadzieja! Jednego po drugim wywoływano pasażerów, którym urzędniczka wręczała karty pokładowe. Niecierpliwie nasłuchiwałam, kiedy padnie moje nazwisko, a tymczasem grupa oczekujących robiła się coraz mniejsza. Ale nagle, cisza! Naliczyłam siedmiu pasażerów. Wszyscy czekali w napięciu, moje zdenerwowanie sięgnęło zenitu. Wydano jeszcze kilka kart, a potem - koniec. Pozostało dwóch mężczyzn i ja. Jasne, wiedziałam, że tak będzie!

Lot był już opóźniony ponad trzydzieści minut. Pomyślałam, że to na nic, samolot pokołował już na pas i do widzenia. Bo nic

się nie działo, nikt nas nie wzywał. To było beznadziejne, będę musiała w tym napięciu wytrzymać jeszcze jakiś czas, przede mną kolejna bezsenna noc, a może dwie?

Po jakimś czasie poproszono nas do stanowiska. Myślałam, że chcą zmienić datę naszego lotu i powiedzieć, co z bagażami. Ale nie! Zanim się zorientowałam, o co chodzi, urzędnicy z kontroli bezpieczeństwa lotów wyrwali nam z rąk bagaż podręczny, przepchnęli nas przez bramki, a potem jakiś mężczyzna z krótkofalówką w ręku pognął nas przez rękaw do samolotu. Ledwie zajęliśmy miejsca, a już maszyna zaczęła kołować do startu. Ciągłe jeszcze brzmiały mi w uszach słowa urzędniczki z obsługi naziemnej: „Linie Egyptair zdecydowały, że możecie państwo polecieć pierwszą klasą, tu są karty pokładowe. Proszę się pośpieszyć, samolot jest gotowy do startu. Życzymy państwu przyjemnej podróży. Do widzenia”.

Natychmiast zapomniałam o stresie. Już wkrótce będę mogła uściskać Chalida! Poza nami w pierwszej klasie było tylko trzech pasażerów, z normalnie wykupionymi biletami. Jeden Arab i dwoje Europejczyków, małżeństwo. Ku mojemu zdumieniu, w pewnej chwili Arab rozłożył swój dywanik modlitewny i ukląkł, zwrócony w kierunku Mekki.

Wspólne przeżycia zbliżyły naszą trójkę, nawiązała się nić sympatii. Jeden z moich towarzyszy, ciemnowłosa, lekko szpakowaty mężczyzna, okazał się dyrektorem artystycznym renomowanej zuryjskiej agencji reklamowej. Miał odwiedzić swój kraj ojczysty po raz pierwszy od dziesięciu lat. Wcześniej, zdaje się, że z powodów politycznych, nie było to możliwe.

Wysoki blondyn, który przysiadł się do mnie, najpierw uprzejmie zapytał o pozwolenie, podróżował jako prze-

wodnik turystyczny. „Jak to zwykle podczas przerwy semestralnej” - dowiedziałam się. Bo tak w ogóle to studiuje archeologię. Co za zbieg okoliczności! Spotkałam kolegę po fachu i przez całą podróż mieliśmy o czym rozmawiać. Na koniec wymieniliśmy wizytówki, licząc na to, że może uda się nam jeszcze spotkać. Ponadto archeolog zostawił mi swój adres kairski - gdybym potrzebowała pomocy. Zresztą chciał nas oboje, Chalida i mnie, zaprosić na kolację albo pokazać nam miasto - Al-Quahirah, bo używał tej pięknej arabskiej nazwy. Był naprawdę ujmujący: spokojny, zrównoważony, miał miły sposób bycia i ciekawie opowiadał. Całkiem się przy nim odprężyłam, wrócił mi wewnętrzny spokój. Dziwne rzeczy przytrafiają się nam w życiu... Gdy tak gawędziliśmy, miałam wrażenie, że mnie i tego przypadkowo spotkanego mężczyznę coś łączy - ta sama dziwna melancholia, niewytłumaczalna tęsknota...

Wyrzałam przez okno. Pod nami był Kair. Nagle wróciło całe napięcie. Serce zaczęło mi bić jak oszalałe. Samolot stopniowo obniżał pułap lotu, byłam coraz bliżej Chalida. Niemal fizycznie czułam jego bliskość. Kiedy koła samolotu dotknęły płyty lotniska, myślałam, że zemdleję. Miałam nadzieję, że Chalid nie jest aż tak zdenerwowany i że jego obawy przed naszą pierwszą nocą nie są aż tak wielkie jak moje. Potem wszystko potoczyło się zupełnie inaczej, niż to sobie wyobrażałam.

Zbliżała się 21.30 czasu miejscowego, gdy razem z walizką przepchałam się do wyjścia. Za barierką tłoczyli się Arabowie o smagłych twarzach, głośno nawołując znajomych i wymachując rękami. Dwóch urzędników musiało torować drogę, by przybywający pasażerowie mogli swobodnie przejść. Przez

chwilę rozglądałam się za Chalidem. Wreszcie go zobaczyłam: stał w pobliżu jednego z umundurowanych urzędników. Nie mogłam w to uwierzyć: po raz pierwszy mieliśmy być tylko we dwoje, sam na sam. I to poza krajem Chalida. Co oznaczało, że wreszcie będziemy czuć się swobodnie.

- Sweetheart.

Na chwilę objęliśmy się mocno. Potem Chalid wziął mnie za rękę, drugą ręką chwycił walizkę - i jakoś wydostaliśmy się z tłumu. Po drodze podekscytowana opowiadałam mu, ile nerwów kosztował mnie ten nieprawdopodobny lot. Tymczasem Chalid poprowadził mnie w kierunku parkingu.

- Wynająłeś samochód? - zdziwiłam się.

Zatrzymał się i wziął mnie w ramiona.

- Seetheart, nareszcie... nareszcie jesteś... po tych wszystkich latach... ciąglejescze nie mogę w to uwierzyć. Ale muszę ci coś powiedzieć: w ostatniej chwili dołączył do nas jeden z moich partnerów w interesach z Abu Zabi wraz z żoną. Nazywa się Ibrahim.

Chalid musiał zauważyć moje rozczarowanie, bo zaraz dodał:

- J e g o żona, Aileenjest bardzo miła... zobaczysz, polubisz ją - zapewniał mnie gorączkowo. - Pochodzi z Irlandii, jest pielęgniarką, pracuje na bloku operacyjnym w Abu Dhabi Corniche Hospital. Ale teraz chodźmy, oboje już od dłuższego czasu czekają na nas w samochodzie.

W samochodzie? Czyja dobrze usłyszałam? Przecież nawet nie zdążyłam się tak naprawdę przywitać z Chalidem...

Wtedyjeszcze nie wiedziałam, że szejkwowie i synowie władców arabskich zawsze podróżują w towarzystwie - z rodziną lub przyjaciółmi. Tak wyglądają oficjalne podróże.

Byłam wściekła, ale nie mogłam zrobić. Wiedziałam, że lepiej nie okazywać złości. Przełknęłam więc rozczarowanie, poddałam się losowi i dzielnie poszłam z Chalidem.

Ibrahim, który siedział za kierownicą, natychmiast wyskoczył z samochodu, aby się ze mną przywitać. To był wysoki i szczupły mężczyzna, niespełna czterdziestoletni, dobrze ubrany, o czarnych włosach pieczołowicie zaczesanych do tyłu. Wyglądał bardzo sympatycznie, co mnie trochę uspokoiło. Wrzucił walizkę do bagażnika i szarmancko przytrzymał tylne drzwiczki, kiedy wsiadłam. Z tyłu siedziała jego żona Aileen. Spojrzałam jej prosto w twarz i pomyślałam: „Chyba nie będzie miło, nie polubi mnie...” I faktycznie, przywitała mnie niezbyt wylewnie. Z wyglądu Aileen mogłaby być córką Margaret Thatcher: kąciaki ust i oczu skierowane w dół, za to brązowe włosy ufrызowane w stylu księżnej Diany. Kiedy się uśmiechała, co jednak nie zdarzało się zbyt często, sprawiała bardzo sympatyczne wrażenie.

Ibrahim upewnił się, czy wszyscy zapięli pasy, włączył radio i, podśpiewując, ruszył w kierunku miasta. Jego wesołość była tak zaraźliwa, że nawet Chalid, zwykle powściągliwy, mimowolnie zaczął mu wtórować. Nie posiadałam się ze zdumienia.

Wkrótce zaparkowaliśmy przed „Heliopolis Movenpick Hotel”.

- To nasz hotel? - zapytałam Chalida.

- Nie, mamy się tutaj z kimś spotkać, potem pojedziemy dalej. To tylko krótkie spotkanie.

Wysiedliśmy. Aileen znudzona człapała za mężczyznami, a ja razem z nią. Nie była zbyt rozmowna, trochę się dziwiłam, nie miałam przecież pojęcia, jakie utrapienie miała z tymi face-

tami przez cały dzień. „Nic, tylko to obezwładniające czekanie, umrzeć można” - jak mi kiedyś potem powiedziała. Najprawdopodobniej musiała jeszcze ze względu na mnie przez kilka godzin tkwić na lotnisku. Ale o to wolałam nie wypytywać.

Ibrahim wskazał nam miejsca na kanapach, a sam zniknął w hotelowym lobby. Czas mijał, a on nie wracał. Aileen straciła resztki cierpliwości, miała wyraźnie dość. Wreszcie Chalid powiedział, że pójdzie zobaczyć, co z Ibrahimem; my miałyśmy w tym czasie połączyć sobie po butikach.

Już dawno zwiedziłyśmy wzdłuż i wszerz wszystkie hotelowe sklepy, a tymczasem żaden z mężczyzn nie wracał. Aileen była bliska załamania. „Boże, co ten Chalid mi tu funduje...” - pomyślałam. Minęły jeszcze trzy kwadransy i wreszcie zjawił się Chalid, jak gdyby nigdy nic zamachał do nas i powiedział:

- Chodźcie ze mną, to jeszcze trochę potrwa.

To był przedsmak tego, co miałam przeżyć w Kairze. Jednocześnie uświadomiłam sobie, że będę musiała dzielić się Chalidem z mnóstwem ludzi. Nie spodziewałam się, że oto zasiądziemy przy jednym stole z sześcioma obcymi mężczyznami. Aileen zbladła, gdy zobaczyła „urocze towarzystwo”. Chalid, usadziwszy nas obie przy stole, odszedł i zajął miejsce daleko ode mnie, u szczytu stołu. Powiedział tylko, że nie mogę siedzieć obok niego. Musiałam przełknąć i to. Oczywiście Egipcjanie byli zachwyceni, że przy stole pojawiły się kobiety. Na wyścigi podsuwali nam talerzyki z przekąskami i różnymi smakołykami: a to pikantne pierożki z mięsem, a to warzywa na ostro, a to sery. Europejscy goście hotelu z nieukrywanym zaciekawieniem przyglądali się naszemu stołowi. „Ach, szkoda, że nie ma tu tego miłego archeologa, pewnie by mnie wyratował z tego

męskiego towarzystwa..." - przemknęło mi przez głowę. Nie bardzo wiedziałam, o co tu chodzi, i nie miałam kogo zapytać: Aileen prawie się nie odzywała. Nie wiem, czy nie miała ochoty, czy może sama nie wiedziała, co to za ludzie. Jedyne co udało mi się z niej wyciągnąć to to, że jest instrumentariuszką i pracuje w Corniche Hospital w Abu Zabi i że Ibrahim nie dał jej nawet czasu na rozpakowanie walizek.

Godziny mijały, ale jakoś nikt nie wstawał od stołu. Co chwila posyłałam Chalidowi błagalne spojrzenia, ale to nic nie dawało. Zrobiła się północ. Aileen znowu zaczęła się denerwować.

- Jak Ibrahim zaraz się nie pożegna, zawołam taksówkę - burknęła pod nosem.

Ja też uznałam, mam naprawdę dość. Zwyczajnie zwyczajami, ale wszystko ma swoje granice.

Kiedy nasze oczy znowu się spotkały, spojrzałam na Chalida z wściekłością. O dziwo, podniósł się od stołu, pewnie z obawy, że całkiem stracę cierpliwość i narobię mu wstydu przy wszystkich.

- Słuchaj, jestem zmęczona - powiedziałam, kiedy usiadł obok mnie na ławce - pojedę taksówką do hotelu. Jak się ten hotel nazywa?

- Skarbie, bardzo mi przykro, że to tyle trwa. Sam jestem zmęczony, wierz mi. Zaraz pojedziemy razem, okay?

- Ja też chcę do domu - wtrąciła Aileen - i to natychmiast.

Biedny Chalid! Znalazł się między młotem a kowadłem. Z wymuszonym uśmiechem i udawaną swobodą rzucił przez stół:

- Ibrahim, nasze panie są zmęczone, chyba powinniśmy powoli zacząć się żegnać...

Egipcjanie natychmiast zaprotestowali. To było do przewidzenia. Chalid wrócił na swoje miejsce i zaczął, aż towarzystwo zaczęło się powoli rozchodzić.

Oczywiście nie zdawałam sobie wtedy sprawy z tego, że Chalid zachowywał się zgodnie z tutejszymi zwyczajami. Że istnieją ścisłe reguły wychodzenia gości ze spotkania towarzyskiego. Ale przecież on od samego początku niczego mi nie wyjaśniał.

Odkąd wylądowałam w Kairze, nic nie szło tak, jak chciałam. Nawet nadzieja na romantyczną noc zaczęła się powoli rozptywać.

W końcu po kilkugodzinnym spotkaniu nasz samochód ruszył wielopasmową autostradą w stronę oświetlonego wielomilionowego miasta. Ibrahim, nieustająco w doskonałym humorze, śpiewał jedną piosenkę za drugą. Typowy przykład człowieka, na którego nie sposób się gniewać. Jedynym wyjątkiem była jego żona Aileen, która potrafiła chodzić nadąsana przez cały dzień. Wreszcie dotarliśmy do wyspy Gezirah na Nilu i Ibrahim zatrzymał samochód przed hotelem „Marriott” - przed naszym tymczasowym domem, jak to ujął Chalid. Wokół wspaniałego budynku w stylu francuskiego neoklasycyzmu rozciągały się piękne ogrody, szumiała i pluskała woda w fontannach i wodotryskach. Ibrahim wyjaśnił, że hotel mieści się w legendarnym pałacu Gezirah, wzniesionym w 1869 roku z okazji otwarcia Kanału Sueskiego. Najwyraźniej dobrze znał Kair. Jeszcze wtedy nie wiedziałam, gdzie mieszka nasz przyjaciel, ani też, jaką rolę grają ci wszyscy Egipcjanie.

Kiedy weszliśmy do hotelu, w hallu panowała cisza. Tylko moje serce głośno biło ze wzruszenia. Chalid od razu skierował się w prawo, do wind.



- Hej! Czy nie powinnam się najpierw zameldować i oddać paszportu? - zapytałam, lekko trącając go w ramię.

- Sweetie, zameldowałem nas oboje; rodzina szejka nie musi biegać do recepcji.

Niedowierzająco rzuciłam okiem w kierunku recepcji, która znajdowała się pośrodku, między dwoma wejściami. I faktycznie, mężczyzna za kontuarem najwyraźniej wcale się nami nie interesował. Spokojna weszłam do windy.

- Gdzie będę spać, Chalid? Mam oddzielny pokój?

- Zobaczysz! - odparł Chalid i uśmiechnął się lekko.

Ach, mieć to już za sobą...

Kiedy wjechaliśmy na górę, otworzyły się drzwi do pokoju o kilka kroków od windy.

- To nasz pokój.

Szybko objęłam wzrokiem pomieszczenie i stwierdziłam, że znajdujemy się w hotelowej suicie. Chalid postawił moją walizkę pośrodku salonu i oprowadził mnie po pokojach. Rozglądałam się onieśmielona. Była tu piękna sypialnia ze wspaniałą łazienką naprzeciwko, pokój po przeciwnej stronie korytarza, także z własną łazienką, dalej pokój biurowy i naturalnie salon.

- Kochanie, te duże pokoje są dla ciebie. Na pewno chcesz wypakować rzeczy, prawda? Ja w tym czasie obejrzę coś w telewizji, dobrze?

Byłam zaskoczona pewnością i opanowaniem Chalida. Bo chociaż minęło już osiem lat, przez cały czas doskonale pamiętałam, jak skrzępowany był wtedy, w moim apartamencie, jak nie wiedział, co ze sobą zrobić.

Zdjęłam żakiet. Z salonu nie dobiegał żaden odgłos, słyszałam tylko uderzenia własnego serca. W końcu zabrzmiał

dźwięk głośniej nastawionego telewizora. Aż drgnęłam i szybko nacisnęłam zamki walizki - odskoczyły z głośnym trzaskiem. Boże! Te wszystkie klamoty! Za dużo. I same letnie. Za cienkie. Byłam zaskoczona nocnym chłodem w Kairze. Nerwowo zaczęłam wyciągać rzeczy i układać je w szafie. Boleśnie uderzyłam się przy tym w goleń o wysuniętą szufladę.

- Verena, wszystko w porządku, czy mam dzwonić po pogotowie? - usłyszałam z salonu.

O, do diabła! Nasłuchuje!

- Nie, nie, nic mi nie jest.

W głosie Chalida usłyszałam nutkę rozbawienia. Poczułam się bardzo niepewnie, spięta i podenerwowana, ale rozpakowywałam się dalej, mając nadzieję, że Chalid pozostanie tam, gdzie jest.

- Darling - usłyszałam znowu po chwili - czy zanim pójdziesz do łóżka, obdarzysz mnie pocałunkiem na dobranoc?

- Ach... daj mi trochę czasu do namysłu... nie wiem, czy zasłużyłeś dzisiaj na pocałunek.

Chalid zaśmiał się.

- Verena, jak będziesz się ze mną droczyć, to ja do ciebie przyjdę. Zastanów się!

O! Zareagował, jak typowy mężczyzna. Gdzie się podziała ta jego nieśmiałość, to skrępowanie? „Być może przeszłość i teraźniejszość to dwie różne rzeczy” - pomyślałam.

Chalid leżał na sofie, trzymał w ręku drinka.

- No, nareszcie. Chodź, usiądź przy mnie.

Wziął moją rękę i zajął mi głęboko w oczy. Nagle się uśmiechnął:

- Powiedz, onieśmiela cię to? - zapytał i delikatnie uszczypnął mnie w policzek.

- Mooże... - odparłam.

- Zachwycasz mnie, kiedy jesteś taka zawstydzona, naprawdę.

Spuściłam wzrok.

- A tak w ogóle, to jak ci się spodobała żona Ibrahima? Miła, prawda?

- Sama nie wiem, trudno powiedzieć. W każdym razie dzisiaj była przez cały czas w złym humorze. Chyba nie za bardzo jej się podobało to całe wyczekiwanie.

Chalid roześmiał się na cały głos.

- No, ty chyba też nie byłaś zachwycona, to było widać jak na dłoni, zgadza się?

- Tak, tak, śmieję się, śmieję...

W końcu Chalid wyjaśnił mi, o co w tym wszystkim chodzi, co łączy Egipcjan z nim i z jego przyjacielem Ibrahimem.

Ibrahim Aswari pochodzi z wpływowej dawniej rodziny sudańskiej, która z powodów politycznych wyemigrowała do Egiptu. Ponieważ po puczu w 1989 roku nowy rząd zniósł wcześniejszą konstytucję, Ibrahim próbował sukcesywnie ściągnąć z Sudanu rodzinny majątek. Majątek ulokowano w wielbłądach wyścigowych i w tej postaci miał się odbyć transfer pieniędzy za pośrednictwem upoważnionego człowieka w Chartumie. Wielbłądy miały być, via Egipt, przetransportowane do Emiratów i tam sprzedane. W tych transakcjach ważną rolę odgrywali trzej Egipcjanie, których poznaliśmy w hotelu „Heliopolis Movenpick”. To bracia Al-Naser, właściciele jednej z egipskich linii lotniczych. Ich samolotami frachtowymi transportowano

wielbłądy do Egiptu; stamtąd droga prowadziła do miejsca docelowego - do Al-Waha, gdzie rządził on, Chalid. Oczywiście Chalid miał nadzieje, że dla wszystkich, biorących udział w tym przedsięwzięciu, będzie to lukratywny interes.

A jeśli idzie o Aileen, to Ibrahim poznał ją przed dwoma laty w Abu Zabi. Właściwie to Ibrahim szturmem zdobył jej serce - Aileen od pierwszych chwil nie potrafiła się oprzeć jego urokowi. W końcu uległa jego namowom i zgodziła się na ślub. Najbliższe święta mają pierwszy raz spędzić razem, w Kairze, gdzie Ibrahim od dawna ma apartament.

- Zaciekawiasz mnie, Chalid - powiedziałam z uśmiechem.  
- Czekam na inne ekscytujące historie z twojego życia, mam nadzieję, że wkrótce opowiesz mi o sobie coś więcej...

- Zobaczymy, ale teraz, Verena, czas spać, zrobiło się późno.

Dręczyło mnie jeszcze jedno pytanie, miałam je na końcu języka, ale się krępowałam. W końcu jednak zapytałam:

- Chalid... powiedz... - zaczęłam ostrożnie - ale ten interes z wielbłędami, to... to jest legalne?

Widziałam, że Chalid walczy ze sobą, by zachować powagę.

- Wierz mi, sweetie, nigdy w życiu nie dałbym się wciągnąć w nielegalne interesy, nawet nie mógłbym sobie na coś takiego pozwolić.

- Aha. To mogę być spokojna. W takim razie dobranoc, kochanie.

Ucałowałam go w policzek i chciałam wstać. Ale Chalid mocno chwycił mnie za rękę. A ja znowu poczułam tę niepewność i oniesmielenie. Wielki Boże! Chociaż tak bardzo pragnęłam tej chwili, chociaż tak o niej marzyłam, teraz po prostu się bałam. Kiedy znowu podniosłam oczy, Chalid uśmiechał się ze wzruszeniem.

- Kochanie, będzie mi ciebie dzisiaj bardzo brakowało, tak bardzo chciałbym cię wziąć w ramiona... ale czekałem na ciebie dziesięć lat - wytrzymam jeszcze jeden dzień dłużej... Już dobrze?

Kiwnęłam głową, uspokojona.

- Dobranoc, kochanie - powiedział Chalid i pocałował mnie w czoło.

Najchętniej objęłabym go z całej siły, przytuliła i już nie wypuściła z ramion. Tak bardzo wzruszyła mnie tej troskliwość, delikatność i zrozumienie. Ale wstałam i poszłam do siebie.

Potem usłyszałam, jak Chalid wyłącza telewizor i cicho przechodzi obok mojego pokoju. W końcu światło zgasło także w korytarzu. Dopiero teraz w półmroku zrzuciłam ubranie. Potem po cichutku wślizgnęłam się pod kołdrę. Chwilę nasłuchiwałam. Kilka razy dobiegł mnie szelest pościeli. W końcu wszystko ucichło. „Boże, jaka ja jestem głupia - pomyślałam - jakże pięknie byłoby teraz w jego ramionach...”

Przez dłuższą chwilę rozglądałam się po pokoju, zanim dotarło do mnie, że jestem w Kairze. Musiałam długo spać - przez okna wpadało jasne światło dnia. Sięgnęłam po zegarek: dziesięć po dziesiątej! Gdzie się podziewa Chalid? Przez chwilę nasłuchiwałam w skupieniu. Od strony korytarza usłyszałam odgłosy z telewizora. Odrzuciłam kołdrę, postawiłam nogi na podłodze. Chciałam niepostrzeżenie przejść do łazienki. Jednak Chalid usłyszał moje kroki i wyjrzał zza drzwi.

- Ach, dzień dobry! — uśmiechnął się zawadiacko.

Przystanęłam, przetarłam oczy i lekko ziewnęłam.

- Brakowało mi ciebie, kochanie - powiedziałam.

Chalid natychmiast podszedł i serdecznie mnie objął.

- A ty myślisz, że co? Że jak ja się czułem? - Delikatnie przesunął ręką po moich włosach. - Od dzisiaj będę cię co noc trzymał w ramionach, zgadzasz się?

Kiwnęłam głową.

- Wiesz, nie śpię już od kilku godzin i musiałem się powstrzymać ze wszystkich sił, żeby nie wskoczyć do ciebie pod kołdrę - roześmiał się. - Wyglądałaś tak rozkosznie z tymi potarganymi włosami. Tylko głowa wystawała ci spod kołdry.

- Obserwowałaś mnie?

- Neee, oczywiście, że nie! - roześmiał się.

- Ach, czemu zawsze biorę poważnie wszystko, co mówisz.

Rozzłoszczona wywinęłam się z jego ramion.

- Hej, Verena - zawołał jeszcze Chalid, kiedy szłam do łazienki - dzisiaj zrobimy sobie wolny dzień, żadnych planów, żadnych spotkań, poleniuchujemy sobie, co ty na to?

- Świetnie! Bardzo się cieszę - odparłam ze śmiechem, znikając w łazience.

Po kąpieli sięgnęłam po flakon z perfumami - otuliła mnie delikatna mgiełka „Amouage”. Owinęłam się w miękki hotelowy szlafrok i spojrzałam w lustro: „Hm... Wyglądam rozkosznie...” - pomyślałam z zadowoleniem. Weszłam do salonu. Na stoliku na kółkach czekało już śniadanie. Zobaczyłam, jak Chalid wysypuje na frytki połowę pieprzniczki.

- Nauczyłem się tego w Tucson - mruknął.

- Naprawdę? Zdaje się, że w ogóle sporo się nauczyłeś w Ameryce.

- A tak, taak... - odpowiedział Chalid, posyłając mi znaczący uśmiech.

Czyżby zrozumiał, co miałam na myśli?

Nagle odezwała się jego komórka.

- Yes, alluu?

Salon zalał potok arabskich słów.

Niemal jednocześnie zadzwonił telefon. Boże, co tu się dzieje!

- Salam alejkum - usłyszałam dźwięczny głos.

Odwróciłam się do Chalida i szepnęłam:

- To Ibrahim!

Chalid tylko kiwnął głową i rozmawiał dalej.

- Słuchaj, Verena, chciałem tylko powiedzieć Chalidowi, że byłoby nam bardzo miło, gdybyście wpadli do nas na herbatę.

No tak, znowu te zobowiązania towarzyskie.

Godzinę później siedzieliśmy w taksówce i przez Most Szóstego Października jechaliśmy na zachodni brzeg. Chalid obiecał mi, że niedługo wrócimy. Oczywiście nie wiedziałam, że dla Arabów unikanie towarzystwa, szukanie odosobnienia i odłączanie się od reszty choćby na jeden, jedyny dzień jest nie do pomyślenia.

Do Bożego Narodzenia zostały jeszcze tylko dwa dni. Mimo niedzieli w mieście panował ożywiony ruch. No tak, prawie zapomniałam, że tutaj to piątek jest dniem wolnym od pracy. Na ulicach kłębił się i przelewał wielobarwny tłum, głośno trąbiły klaksony zdezelowanych samochodów, kierowcy kłęli i wrzeszczeli, między autami przepychały się dorożki, końskie kopyta uderzały o asfalt. Wszędzie ścisk, tłok, wrzawa. Nieprawdopodobny ruch. Samochody blokowały skrzyżowania, ludzie przebiegali przez jezdnię na czerwonym świetle, robotnicy wiercili dziury w asfalcie. Kto nie widział ulic Kairu, nie może sobie wyobrazić tego

niebываłego chaosu. Pulsujące życie Orientu. Zafascynowana nie mogłam oderwać wzroku od ulicy. Oczywiście na Chalidzie nie robiło to specjalnego wrażenia. Dla niego o wiele bardziej fascynujące były szybkie wozy, nowoczesne pałace ze szkła i eleganckie pasażerki handlowe.

Apartament Ibrahima znajdował w wieżowcu, niedaleko wschodniego brzegu, przy spokojnej bocznej uliczce. Wjechaliśmy windą na ostatnie piętro.

- Ah, szejch Chalid... Ahlan wa sahlán - rozległo się już do progu entuzjastyczne powitanie.

Zajrzałam do salonu... I najchętniej od razu bym uciekła. Na sofach siedzieli obcy mężczyźni w galabijach i spoglądali na nas z zaciekawieniem. Gdzie się podziała Aileenf Ibrahim natychmiast wziął Chalida pod ramię i poprowadził do mężczyzn, zostawiając mnie pośrodku pokoju. Rozpoczęła się niekończąca się ceremonia powitalna. Na mnie nikt nie zwracał najmniejszej uwagi. Stałam kompletnie zagubiona i nie wiedziałam, co robić. Czułam się okropnie. Wreszcie Chalid spojrział przez ramię i rzucił:

- Usiądź sobie.

Ale gdzie? Rozejrzałam się z niemym pytaniem w oczach. Natychmiast zapraszająco kiwnęło kilka głów. W pewnej chwili dotarło do mnie, że może bezpośredni kontakt wzrokowy uważa się tu za zbyt intymny, nie mówiąc już o uścisku dłoni. No, bo przecież ci mężczyźni nie mogli być aż tak nieuprzejmi.

Tymczasem Ibrahim kazał przynieść herbatę dla nowo przybyłych. Ale w salonie nie pojawiła się Aileen, tylko młoda dziewczyna ze wsi. Unosząc wysoko imbryczek, wąskim, długim strumieniem nalewała do małych szklaneczek aromatyczny



napar z mięty. Pomieszczenie salonu przypomniało mi posiadłość Matara. Także tutaj pod ścianami stały sofy, a między nimi pojedyncze fotele, krzesła i małe okrągłe stoliki. Salon oddziały od części jadalnej dwie kolumnienki. Dalej widać było korytarz, który prowadził do części sypialnej mieszkania. Stamtąd wreszcie nadeszła Aileen.

- Hi, Verena! Jak się czujesz?

- Cóż, trochę dziwnie w tym męskim towarzystwie, nie jestem przyzwyczajona...

- Rozumiem cię doskonale. Ale będziesz musiała się przyzwyczaić.

Czy ja się przesłyszałam? Przełknęłam ślinę i starałam się ukryć niezadowolenie. A Aileen wzięła sobie z tacy szklanekę z miętą i zaraz potem znowu zniknęła.

Pewnie po to, by wydać dalsze polecenia.

Siedziałam w salonie i nie bardzo wiedziałam, co ze sobą począć. Chalid najspokojniej w świecie gawędził sobie w gronie mężczyzn, a na mnie właściwie nie zwracał uwagi. Od czasu do czasu posyłał mi tylko uspokajające spojrzenie, to wszystko. Nikt się mną nie interesował, nikt się do mnie nie odzywał. Pomyślałam, że jeszcze chwila i po prostu sobie pójdę.

Zadźwięczał dzwonek przy wejściu. Otworzyły się drzwi i korytarzem szybko przemknęła mała, spowita w długą szatę postać. „Pewnie to matka tej dziewczyny” - pomyślałam. Z głębi mieszkania wyszła Aileen i obie kobiety zniknęły w kuchni. Dotychczas sądziłam, że pomoc zatrudnia się tu tylko w dużych domach.

Spięta i rozdrażniona sączyłam drugą herbatę, gdy nagle usłyszałam głos Chalida:

- Verena, idź na trochę do kuchni, do kobiet.

Boże! Co za arogancja! Urażona posłałam Chalidowi wymowne spojrzenie, wstałam ze złością i wyszłam z salonu. Jasne, że wolałam być z kobietami, ale czy on nie może w bardziej taktowny sposób dać mi do zrozumienia, że takie tu panują zwyczaje? „No, dostanie za swoje... jak tylko wrócimy do domu!” - pomyślałam.

- Hej, Aileen, co słyhać? Jak sobie tutaj radzisz? - zagadałam od progu.

- No, całkiem nieźle, jeszcze trochę, a będziemy tu urzędzeni... To jest Chadidża, moja pomoc kuchenna - odparła Aileen, nawet nie podnosząc wzroku.

Kobieta posłała mi przelotny śmiech i dalej mieszała w wielkim garnku.

- A ta młoda dziewczyna, to córka Chadidży - właśnie prasuje nasze rzeczy i układa w szafach.

- Świetnie! - powiedziałam. - Czy masz coś przeciwko temu, że chwilę tu z wami posiedzę?

- Pewnie, że nie! Co prawda, trochę tu ciasno, wybacz... i weź sobie taboret, jest tam, pod stołem... - rzuciła Aileen i wybiegła z kuchni.

- Pięknie pachnie! - zagadałam do Chadidży.

Uśmiechnęła się tylko bez słowa - jasne, przecież ona nie zna angielskiego.

Tymczasem dzwonek do drzwi znowu się odezwał i wśród męskich głosów usłyszałam głośne „hallo!” Ibrahima. „Jakie szczęście, że siedzę tu sobie bezpiecznie w kuchni” - pomyślałam z ulgą. Byłam wściekła na Chalida i złorzeczyłam mu w duchu. Tkwiliśmy tu już dwie godziny, a przecież zapewniał

mnie, że będzie to tylko krótka wizyta. Tego, że dla muzułmiana „krótka wizyta” oznacza coś zupełnie innego, musiałam się dopiero nauczyć.

Do kuchni wszedł Ibrahim, aby otworzyć butelkę wina. Podziwiałam go: z jaką łatwością nad wszystkim panował! Może ten Sudańczyk wcale nie pochodzi z wyższych sfer, tylko jest drobnym oszustem. W każdym razie uroczym. Sprawnie napełnił winem trzy kieliszki, które razem wypiliśmy, szybko ucałował Aileen w policzek i zniknął w salonie. Wino zostało w kuchni. A Chadidza poszła do gości ze świeżą, pachnącą herbatą.

Minęła cała wieczność, zanim Chalid zajął wreszcie do kuchni.

- Verena, zaraz wyjeżdżamy. Ibrahim przywoła dla nas taksówkę.

- Nie zostaniecie na obiedzie? - zapytała Aileen.

- Dzięki, Aileen - uprzedziłam odpowiedź Chalida - ale nie... wiesz, jeszcze się nie zaaklimatyzowałam, potrzebuję trochę spokoju i odpoczynku.

Myślałam, że zamówiona taksówka nigdy nie przyjedzie. Słońce powoli chowało się już za budynkami, kiedy Ibrahim wreszcie odwiózł nas do hotelu. „Tak łatwo nie dam się już namówić na żadną herbatę” - pomyślałam.

- Czy macie jakieś plany na jutro? - zapytał Ibrahim przy pożegnaniu.

- Jeszcze nie wiem... - odparł Chalid z wahaniem - ...może Verena zechce obejrzeć piramidy w Gizie.

- To może pojedźmy tam razem, Aileen bardzo się ucieszy.

Ciągle jeszcze nie za bardzo orientowałam się w tutejszych zwyczajach. Ten dzień zaczął się tak obiecująco, tak szczęśliwie

- teraz był wieczór, a ja w fatalnym nastroju. Gdy jechaliśmy windą na górę, Chalid powiedział:

- Verena, masz coś przeciwko temu, żebyśmy zjedli kolację w domu? Szczerze mówiąc, jestem trochę zmęczony, ostatniej nocy prawie nie zmrużyłem oka.

- O, to się świetnie składa! Ja też jestem wyczerpana, co prawda z innych powodów.

Chalid popatrzył na mnie z wyrazem niezrozumienia na twarzy, kiedy przemaszerowałam obok niego, żeby zdjąć buty i żakiet. Usłyszałam, jak opadł na kanapę. Nie odezwał się ani słowem. „O Boże - pomyślałam - ledwie zaczęliśmy być razem, a już pojawiają się nieporozumienia. Całkiem niechcący. I to już drugiego dnia”.

Kiedy weszłam do salonu, od razu pożałowałam mojej ostrej odzywki. Chalid siedział przygarbiony i bezwiednie patrzył przed siebie. Nie włączył nawet telewizora. Jakby całkiem oddalił się ode mnie i od całego świata, jakby przestał istnieć.

Zebrałam się na odwagę i przykucnęłam przed nim.

- Słuchaj, tu jest zupełnie inaczej niż u nas, inne zwyczaje... inaczej się żyje. To wszystko jest dla mnie takie nowe, muszę się jeszcze sporo nauczyć, przyzwyczaić... Zaczynam teraz rozumieć, że nie będę cię miała cały czas tylko dla siebie.

- No, przecież od razu ci powiedziałem, że nie musimy całego czasu spędzać z Ibrahimem i Aileen!

Jego głos był pełen rozdrażnienia.

- Tak, zgadza się. Ale nie o to chodzi, przecież ja też się cieszę, że mamy w Kairze przyjaciół. Ale pomyśl, to byli dla mnie obcy ludzie, sami mężczyźni - po prostu źle się tam czułam. I te wschodnie zwyczaje, o których nic nie wiem... Najchętniej roz-

płynęłabym się w powietrzu... Jak ich wszystkich zobaczyłam, nogi się pode mną ugięły. Szok.

Gdy to mówiłam, zauważyłam, że Chalid ze wszystkich się stara się ukryć rozbawienie.

- Dobrze ci się śmiać - prychnęłam, rozzłoszczona.

Szturchnęłam go lekko i wstałam.

Ale Chalid nie dał mi odejść. Chwytał mnie za rękę i przyciągnął do siebie. Zaczęliśmy się szarpać i tarmosić wśród śmiechów, i wydawało się, że wszystko rozejdzie się po kościach. Ja jednak nie mogłam pozbyć się uczucia, że coś jeszcze zaprzęta uwagę Chalida. W jego oczach co chwila pojawiał się wyraz wewnętrznego napięcia.

- Pewnie jesteś głodna - powiedział nagle.

- Jeszczejak!

Czekając najedzenie, usiedliśmy wygodnie na sofie.

- Skarbie, mam wrażenie, że coś cię dręczy... - zaczęłam ostrożnie.

Zaskoczony przyciągnął mnie delikatnie do siebie i tylko się lekko uśmiechnął.

- Chalid, proszę, obiecaj mi, że teraz już zawsze będziemy wobec siebie szczerzy, dobrze?

Przez chwilę zastanawiał się i rozważał.

- Ach, Verena, kochana jesteś, nie ma takiej drugiej na świecie... - powiedział, wdychając ciężko.

- Mów, kochanie, słucham cię...

- Wiesz... ten telefon, dzisiaj rano... był z Al-Waha...

- Iii? - zapytałam.

- Dzwonił mój młodszy brat, Haza. Wspomniał mimochodem, że kobiety z otoczenia mojej przyszłej żony wybrały się do Szardży, do sklepu z materiałami. Mówią już o tym w całej rodzinie.

- Nie bardzo rozumiem, o co chodzi.

- No pewnie, że nie rozumiesz... - powiedziała Chalid i utkwiał wzrok w przestrzeń. Po chwili dodał: - To znaczy, że chcą przyspieszyć ślub. Że właśnie rozglądają się za materiałem na suknię ślubną.

Na sekundę serce we mnie zamarło. Nie wiedziałam, co mam odpowiedzieć. To było jak grom z jasnego nieba. Siedziałam oszołomiona, a Chalid milczał. Za oknem w wodach Nilu migotały światła.

- Słuchaj, Chalid - odezwałam się po chwili zastanowienia - moje uczucia są silniejsze niż wszelkie wątpliwości. Cokolwiek się stanie i niezależnie od tego, kiedy upłynie dany nam czas, moja miłość na zawsze i na wieczność należy do ciebie...

Ale w duchu miałam nadzieję, że dzień naszego rozstania nie nastąpi nigdy.

Chalid spojrział na mnie z napięciem.

A ja mówiłam dalej:

- ... z każdą minutą, w której czynimy nasze życie cięższym, niż nim jest, tracimy siłę. A siła oznacza życie, oznacza energię. Nie mieć energii, znaczy nie móc żyć. Nie móc żyć - to umrzeć. Wybór należy do ciebie.

Moje słowa zaskoczyły mnie samą.

- Nie mogę uwierzyć, że to ty mówisz coś takiego - odparł Chalid spokojnie.

Jego oczy szukały moich. Wpatrywał się we mnie uważnym, przenikliwym spojrzeniem, tak jakby chciał wypatrzeć coś, co jest ukryte najgłębiej.

Zamilkł i zastanawiał się przez dłuższą chwilę, po czym rzekł:

- Twoje słowa świadczą o tym, że opowiedziałas się za życiem. Ale w twoim sercu jest inaczej. Przede mną nie musisz udawać.

Jak on mnie dobrze znał!

- Co do mnie - mówił dalej - to ja już dawno wybrałem życie. A mówiąc ściślej, wybrał za mnie mój ojciec. Jeśli Bóg zechce, poślubię przeznaczoną mi kobietę. Czy chcę, czy nie. Dzięki temu w przyszłości będę cieszył się w moim kraju wielkim poważaniem i przywilejami. Jeślibym zechciał poślubić ciebie, Verena, wbrew woli Boga i mojej rodziny, ściągnęłoby to hańbę na cały mój ród. Zostałbym napiętnowany, a imię Al-Raszid okryłoby się niesławą. Zła sława rozniosłaby się daleko poza granice Al-Waha. Byłbym zmuszony wyjechać, być może nawet do obcego kraju. A to oznaczałoby życie na niższym poziomie. Jestem niemal pewny, że nasza miłość tego by nie przetrwała.

Opuściłam ręce, oparłam twarz na jego piersi i z całych sił starałam się powstrzymać płacz. Chalid chwycił mnie za ramię, spojrzał na mnie i zapytał:

- Czemu masz łzy w oczach? To się jeszcze nie stało. Mamy jeszcze czas. Dużo czasu. Jeszcze wszystko może się zmienić. Zaufaj mi i bądź cierpliwa. Jesteś moją miłością - aż po kres.

Zapukano do drzwi. Pojawił się kelner ze stolikiem na kółkach, na którym obok świec stał nasz obiad.

- Verena, gdzie ma być postawiony stolik?

- Poproś, żeby postawił go przy oknie, chciałabym widzieć Nil.

Zgasiłam światła w salonie, zostawiłam tylko jedną stojącą lampę z przytłumionym światłem. Chalid poszukał w radiu amerykańskiej stacji i raptem z głośników rozległy się dźwięki „Jingle beli” w wykonaniu Binga Crosbyego.

- Mój Boże, to mi przypomina Arizone! - zawołał Chalid.  
- I to, jak Amerykanie świętują Boże Narodzenie... „Jingle beli, jingle beli, jingle ali the way...” - zaśpiewał na cały głos, a oczy mu rozbłyły.

Zdziwiłam się, z jaką łatwością przechodzi się czasem od zwątpienia do radości. Między srebrnymi kloszami przykrywającymi potrawy migotało światło świec, a przed nami rozciągał się bajeczny widok na gigantyczny wschodni brzeg Nilu, pulsujący tysiącami świateł.

- Te lata przeżyte w Ameryce, to był chyba przyjemny czas?  
- zapytałam.

- Z pewnością. Ale mimo to bardzo mi brakowało mojej ojczyzny. W każdym razie był to bardzo pouczający okres w moim życiu.

- Miałeś tam kontakty z jakąś rodziną, że tak dokładnie wiesz, jakie są zwyczaje bożonarodzeniowe w Ameryce?

- Verena, zacznijmyjeść, wszystko wystygnie.

- Dobrze... ale powiedz... żyłeś się tam z jakąś rodziną, zaprzyjaźniłeś się z kimś?

- No pewnie, miałem kolegów... moich kumpli od futbolu... bywałem u nich w domu.

- A jak to było z tą twoją dziewczyną w Stanach, z tą studentką seksuologii?

Chalid omal nie wypuścił widelca z ręki.

- Nie zapomniałaś, co?

- Nie, nie zapomniałam.

Roześmiał się.

- No cóż, miała sympatyczną rodzinę. Faktycznie, często u nich bywałem.



- Utrzymujecie jeszcze kontakty?

- Nie, nie. Ta znajomość się urwała, skończyła na długo przedtem, zanim wyjechałem ze Stanów.

- Hm... ale rozumiem, że wiele się w Tucson nauczyłeś...

- Verena... proszę. Daruj sobie te uszczypliwości...

Nieco zażenowany grzebał w talerzu, uśmiechając się pod nosem. Jego charakterystyczny, długi nos i kruczoczarne, błyszczące włosy wyglądały wspaniale w blasku świec, cała jego postać tchnęła w tej chwili jakąś dziwną tajemniczością; było w nim coś nieprzeniknionego. Nie umiałabym powiedzieć co, ale nagle wydało mi się, że ma to jakiś związek z Arizoną.

- Opowiedz mi coś więcej o Arizonie - poprosiłam, bez specjalnej nadziei, że się czegoś faktycznie dowiem.

- Przecież ci powiedziałem: to był krótki romans, jedyną prawdziwą miłością mojego życia jesteś ty.

- Nie o to mi chodzi - powiedziałam spokojnie. - Interesowałoby mnie na przykład, jakie były te twoje studia, jak ci szła nauka, czy byłeś zadowolony z wyboru kierunku studiów... no i w ogóle, dlaczego chciałeś studiować fizykę atomową?

- Wydawało mi się, że napisałem ci o tym wszystkim w listach.

- Obawiam się, że nie, Chalid.

- Skoro to dla ciebie takie ważne, skarbie, to wiedz, że to mój ojciec, jego bracia, cały klan Al-Raszidów, wszyscy uważali, że powinienem studiować coś przyszłościowego, nauki ścisłe, high technology, coś, co się w świecie ceni wysoko.

- O, to pięknie - wtrąciłam - kto wie, jak się potoczą sprawy, może i będziesz mógł pewnego dnia zrobić użytek ze swojej wiedzy. Życzę ci tego z całego serca.

Chalid spojrział na mnie zaskoczony, odłożył na bok sztucce i obszedł stół dokoła. Przykucnął obok moich kolan i w ten sposób zmusił mnie, abym patrzyła mu prosto w twarz. Wyraz jego oczu był teraz poważny, prawie uroczysty. Pewnie zaraz wyjaw mi tę tajemnicę, dowiem się, co za niespodzianka czeka mnie w Egipcie. Chalid ujął moją dłoń, przyłożył ją sobie do policzka, przez cały czas nie spuszczał ze mnie wzroku. Krótka przycięta broda przyjemnie łaskotała moją skórę. Zrobiło mi się gorąco. W końcu Chalid ucałował moją dłoń, a ja poczułam, że się czerwienię. Zawstydzona spuściłam oczy, żeby nie zobaczyć w nich tęsknoty i pragnienia.

- Chodź - ujął mnie za rękę - zatańczymy. Jak wtedy w Anglii. Pamiętasz jeszcze nasze piosenki? „I dońt like Mondays”, „We dońt talk any more” i inne?

- Oczywiście, że pamiętam - powiedziałam, wstałam z kanapy i poszłam za nim jak zahipnotyzowana. - Wszystko pamiętam, jakby to było wczoraj.

Chalid zatrzymał się. Ujął moją twarz w swoje dłonie i wyszeptał:

- To był najpiękniejszy okres w moim życiu. I takim pozostanie na zawsze, wiem to.

Potem przyciągnął mnie mocno do siebie. Wszystko we mnie drżało. Przymknęłam oczy i pozwoliłam się prowadzić w takt muzyki. Wdychałam głęboko zapach jego ciała, czułam jego ciepły oddech na swoich włosach, czole, szyi... wszędzie. Wiedziałam już, co mnie tak w nim fascynuje, co mnie z nim wiąże. To takiego głębia, intensywność uczuć, ta wielka i czysta namiętność.

Do późnej nocy rozmawialiśmy, zatopieni we wspomnieniach, spoglądaliśmy na ciche wody Nilu, poddając się uro-

kowi tych wspólnych chwil. W pewnej chwili Chalid przyciszył muzykę, zgasił świece, wziął mnie za rękę. Objęłam go mocno, moje serce zaczęło bić jak oszalałe. W połowie drogi do sypialni Chalid zatrzymał się, ujął moją twarz w dłonie i powiedział z uśmiechem:

- Verena, kochanie, posłuchaj, dzisiaj wyjątkowo pozwalam ci założyć piżamę - jeśli ma cię to uspokoić... ale rzeczywiście wyjątkowo, tylko dzisiejszej nocy.

Stałam z otwartymi ustami i nie wiedziałam, czy się roześmiać, czy zachować powagę.

- No, idź już - powiedział i uśmiechnął się. - I zawołaj mnie, jak już będziesz w łóżku.

Kamień spadł mi z serca. Ta wrażliwość i delikatność sprawiała, że był jeszcze bardziej pociągający, jeszcze bardziej godny pożądania jako mężczyzna. Skąd on to wszystko wie? Gdzie się tego nauczył?

Kiedy Chalid wślizgnął się wreszcie pod kołdrę, byłam tak spięta, że ledwie mogłam oddychać. Przez dłuższą chwilę leżał bez ruchu. Czułam, jak serce wali mi w skroniach, w piersi, w brzuchu. Zamknęłam oczy, ale słyszałam przecież jego oddech, czułam jego zapach, a pożądanie stawało się coraz silniejsze. Nagle Chalid poszukał pod kołdrą mojej ręki. Ścisnęłam mocno jego dłoń. A on, jakby czekając na znak, ostrożnie przysunął się bliżej.

- Chcesz, żebym cię objął? - padło w ciszy jego pytanie.

Przeszedł mnie dreszcz. Niczego nie pragnęłam tak bardzo, jak właśnie tego.

- Tak - szepnęłam nieśmiało - chciałabym cię poczuć.

Przyciągnął mnie do siebie, a kiedy nasze ciała się zetknęły, to było jak eksplozja - długo hamowana namiętność i tęsknota wybuchnęły z ogromną siłą. Objęliśmy się mocno, przywarliśmy do siebie. Chalid nachylił się nade mną, poczułam jego usta na moich. Nie kontrolowałam tego, co się dzieje. Otworzyłam usta, a mój język znalazł się między jego wargami. Z piersi Chalida wydobył się gardłowy dźwięk, stłumione westchnienie zachwytu. Zakręciło mi się w głowie. Byłam już tylko tym jednym pragnieniem, by trzymać go w ramionach, by dotykać jego włosów, pieścić skórę, by czuć jego mięśnie, biodra, barki. W końcu Chalid przewrócił się na plecy. Leżałam teraz na nim, czułam dzikie bicie jego serca i jak wszystko w nim mnie pragnie.

- Chcę cię poczuć naga... - westchnął. - Proszę, powiedz, że ty też tego chcesz... muszę to usłyszeć...

Jego głos dygotał z podniecenia.

- Tak, ja też chcę poczuć twoje nagie ciało...

Chalid westchnął głęboko. Jego palce pomknęły po mojej twarzy, zanurzyły się we włosach. Potem delikatnie ściągnął mi ramiączka nocnej koszuli. Znowu przeszedł mnie dreszcz. Siedziałam teraz wyprostowana na jego biodrach... Jakże delikatny, jak cudowny był dotyk jego rąk, jego warg na moich piersiach... Zamknęłam oczy i westchnęłam z głębi duszy.

- Muszę cię zobaczyć, najdroższa - szepnął gorąco. - Jeśli się boisz, powiedz mi, dobrze?

Tylko potrząsnęłam nieśmiało włosami.

Chalid zapalił nocną lampkę, a ja poczułam, jak krew uderza mi do głowy.

- Boże, jaka jesteś piękna - westchnął.

Znowu poczułam jego usta na swoich. Oboje oddychaliśmy gwałtownie, głośno. Głaskałam jego ramiona, jego kark, czułam napięte mięśnie. Kiedy znowu mnie pocałował, puściły ostatnie tamy.

Chalid wszedł we mnie, a ja poczułam, że eksploduję ze szczęścia i rozkoszy. Ledwie, nasyceni spełnieniem, spoczęliśmy spokojnie w swoich ramionach, a już rozpałało się w nas nowe pragnienie zbliżenia. Nie mogliśmy się sobą nasycić. To było tak, jakbyśmy musieli nadrobić te wszystkie stracone lata - od czasu naszego kursu w Anglii. W końcu, wyczerpani, zasnęliśmy przytuleni do siebie...

## *Klan Al-Naserów*

I tak nadszedł dzień 23 grudnia - w Egipcie narodowe święto. Jak było zaplanowane, wybraliśmy się do Gizy, aby zobaczyć piramidy. Aileen wraz z Ibrahimem przyjechali po nas do hotelu już o dziesiątej rano.

Ibs, jak nazywała męża Aileen, znowu był w doskonałym humorze. W samochodzie przez cały czas żartował i gadał z Chalidem po arabsku, a my z Aileen siedziałyśmy z tyłu. Czuję się oszołomiona po naszej szalonej nocy. Miałam nadzieję, że Aileen nic nie zauważyła. Pewnie nie, bo siedziała obok całkowicie pochłonięta wertowaniem przewodnika.

- Gdyby nie ty, pewnie nie tak szybko zobaczyłabym piramidy - powiedziała w pewnym momencie.

Spojrzałam na nią pytająco.

- No, wiesz, dla Ibsa zwiedzanie muzeów, oglądanie zabytków to koszmar, nie znosi tego! - mruknęła i znowu wsadziła nos w przewodnik.

Naraz uzmysłowiłam sobie, gdzie się znajduję. W miłosnej gorączce traktowałam Kair tylko jako nasze schronienie, nasze gniazdko. Miejsce, gdzie możemy się swobodnie czuć i poruszać, i snuć plany na przyszłość. Może to i nie tak źle, że jest tutaj ta kobieta z Abu Zabi!

Droga do piramid wiodła lewym brzegiem Nilu, obok ogrodu botanicznego i zoo. Aileen, patrząc na plan miasta, informowała mnie o każdym ważnym miejscu, które mijaliśmy. W końcu dojechaliśmy do wielopasmowej autostrady Szaria al-Ahram, prowadzącej bezpośrednio do celu naszej wycieczki.

Nagle krajobraz się zmienił - zupełnie tak, jakbyśmy znaleźli się się pośrodku pustyni. Z płaskowyżu na północno-wschodnim skraju Sahary Libijskiej dumnie wyrastały z piasków wspaniałe monumenty minionego czasu.

To był fantastyczny widok! Kiedy wysiedliśmy, Aileen i ja chcieliśmy jak najszybciej znaleźć się pod piramidami, nasi panowie natomiast szli wolno za nami. W absolutnej euforii pstrykałyśmy już z daleka jedno zdjęcie za drugim. Nagle zauważałam, że podążą za nami cała gromada turystów.

- Szybko, pośpieszmy się, bo nas wyprzedzą i całe piramidy będą oblężone!

W chwili, gdy udało nam się pstryknąć zdjęcie u podnóża piramidy Cheopsa, turyści wyprzedzili nas i szybko zaczęli się wspinać na skalne bloki.

Z zachodu wiał rzeźki, chłodny wiatr. Chalid obejmował mnie od czasu do czasu, a każdy jego dotyk przejmował mnie słodkim dreszczem.

- Musimy kupić dla ciebie kilka cieplejszych rzeczy - powiedział, ukradkiem dotykając wargami moich włosów.

Potem zdecydował, że nie będziemy iść do Wielkiego Sfinksa na piechotę, tylko pojedziemy samochodem.

Kiedy my podziwialiśmy imponujący monument, Chalid postarał się o kawę w papierowych kubkach. Na szczęście słońce zaczynało już przygrzewać. Udało nam się zdobyć miejsce siedzące. Przyglądaliśmy się krzątaniu wokół posągu - sfinksa fotografowano ze wszystkich możliwych stron. Aileen podała nam garść informacji na temat historii i czasu powstania monumentu oraz wyników najnowszych badań sejsmologicznych. Potem przez dłuższy czas tylko ogrzewaliśmy dłonie o gorące

kubki z kawą, wystawiając twarze do słońca. W końcu Ibrahim powiedział:

- Chodźmy już, zapraszam was na obiad do miejscowej restauracji. To niedaleko stąd.

Przy lepiącym się od brudu stoliku, wtłoczona między bezwężnych, niechlujnych ludzi, nie czułam się najlepiej. Chciałam skorzystać z toalety, ale była tak brudna, że nawet Aileen, która nie była specjalnie przewrażliwiona, wołała się cofnąć. Ibrahim powiedział, że dzisiaj w związku ze świętem wszystkie restauracje są przepełnione, a zaganiana obsługa nie nadaża z zamówieniami. Ostrożnie zjadłam zamówioną przez Ibrahima potrawę: ryż z kurą i warzywami podobnymi do szpinaku.

Odetchnęłam z ulgą, gdy niedługo potem nasi przyjaciele wysadzili nas przed „Marriottem”.

- Odpocznijcie trochę, żebyście byli w formie na wieczór, na Dzień Wolności - zawołał Ibrahim za nami, kiedy już się pożegnaliśmy.

Pobiegłam przodem.

- Biedna Verena! - powiedział potem Chalid. - Ale przecież sama mówiłaś, że chcesz pójść do miejscowej restauracji.

- No tak... Ale sądzę, że teraz będę raczej unikać takich miejsc... Powiedz, Chalid, jakie mamy plany na dzisiejszy wieczór?

- Nie wiem. Może pojedziemy gdzieś z rodziną Nabila, jednego z braci Al-Naserów? Albo Ibrahim urządzi przyjęcie u siebie w domu?

- To znaczy, że równie dobrze możemy oglądać taniec brzucha albo pojechać na wielbłądach na pustynię?

- Mniej więcej - odparł rozbawiony Chalid.

Skapitulowałam i rzuciłam się na sofę.



Kilka godzin później znaleźliśmy się w domu Nabila; wśród nieprawdopodobnego gwaru i krzątania. Na powitanie stawiła się cała jego najbliższa rodzina: wszyscy rzucili się do drzwi. Trzy odświętnie ubrane dziewczynki w lakierowanych bucikach i ze wstążkami we włosach, żona Nabila, pełna energii dama o blond włosach, a także powarkujący szorstkowłose piesek, maskotka dzieciaków.

Ledwie zebraliśmy się przy stole, a zza drzwi ukradkiem wyjrzały mały chłopiec, dziedzic nazwiska i duma rodziny. Wkrótce odezwał się dzwonek do drzwi i do mieszkania wpadła gromada sąsiadów. Malec, korzystając z zamieszania, gdzieś się ulotnił. Pomoc kuchenna, dziewczyna o jasnych włosach, dwoiła się i troiła, serwując napoje. Wszyscy przyglądali się nam z zaciekawieniem. Uderzyło mnie, że każdemu nowo przybyłemu przedstawiano Chalida jako szejka. Wywnioskowałam stąd, że w Egipcie goszczenie arabskiego szejka musi być uważane za nie lada zaszczyt.

Drzwi otworzyły się znowu. Kolejny gość - tym razem jeden z braci Nabila, którego już poznałam pierwszego wieczoru w hotelu „Heliopolis Movenpick”. Dla odmiany dzisiaj zjawił się z żoną. Wkrótce po nich przybył także drugi brat. Przez cały czas pośpiesznie przynoszono i dostawiano krzesła dla nowych gości. Salon dosłownie pękał w szwach. Pomyślałam, że Egipcjanie to wyjątkowo towarzyski i lubiący święta naród.

- Nie wiedziałam, że są także jasnowłose i niebieskookie Egipcjanki - powiedziałam do żony Nabila.

Roześmiała się.

- Ależ jestem z pochodzenia Dunką!

- Naprawdę? Nie przysłoby mi to do głowy. Wydaje mi się, że pani mówi doskonale po arabsku. Czy to znaczy, że pani opiekunka do dziecka także jest Dunką?

- Zgadza się, pochodzi z Kopenhagi.

„Zwariowany dom” - pomyślałam. Tymczasem malec znowu zakradł się do salonu i wdrapał na kolana ojca, skąd gapił się na mnie szeroko otwartymi oczkami. Nigdy przedtem nie byłam w takim barwnym międzynarodowym towarzystwie. Bądź co bądź w domu Nabila świętowali Duńczycy, Egipcjanie, Irlandka, Arabowie, Sudańczyk i Szwajcarka!

Przybywało coraz więcej przyjaciół i rodziny, toteż w pewnej chwili sąsiedzi pożegnali się z gospodarzami, by zwolnić miejsce dla nowych gości. Cieszyłam się, że rodzina Nabila jest tak otwarta i nowoczesna - inaczej niż w domu Ibrahima, gdzie miejsce kobiet było w kuchni, z dala od mężczyzn.

Nagle dano znak do wyjścia. Młoda niania z Kopenhagi zabrała dzieci i psa, a my wtłoczyliśmy się do samochodów i ruszyliśmy na świąteczną ucztę do jednej z miejscowych restauracji w willowej dzielnicy Heliopolis.

Na miejscu czekał już długi suto zastawiony stół. Oczy gości zgromadzonych w restauracji skierowały się na nas, wszyscy przyglądali się nam z nieskrywanym zaciekawieniem, a tymczasem gospodarz wylewnie witał klan Al-Naserów.

Natychmiast stuknęłam w bok Chalida i powiedziałam:

- Chcę siedzieć obok ciebie, zrozumiałeś!

Posadzono nas obok Nabila, który zajmował najbardziej godne miejsce u szczytu stołu. Naprzeciwko siedzieli jego bracia, jeden ze szwagrów, i na końcu kobiety - żony Al-Naserów. Obok mnie usiedli Ibrahim i Aileen. Pozostałe miejsca zajmowała reszta rodziny Al-Naserów. Żałowałam, że wymogłam siedzenie obok Chalida, bo w efekcie tkwiłam wciśnięta między mężczyzn. Na pomoc Chalida raczej nie mogłam liczyć.

Zresztą natychmiast zaanektowali go bracia Al-Naserowie. Na stole pojawiły się niezliczone miseczki i salaterki z sosami, sałatką z soczewicy, z serem owczym, humusem i mięsnymi kulkami. Na szczęście zajął się mną Ibrahim. Co chwila podsuwał mi różne smakołyki, wyjaśniał, jakie podają potrawy, i bawił mnie rozmową. Cały czas próbowałam wciągnąć w rozmowę Aileen, ale ona siedziała sztywna i naburmuszona, było widać, że czuje się skrępowana.

Potem z uprzejmości także Nabil zaczął się troszczyć o mnie. Tego już było dla Chalida za wiele, ale o tym dowiedziałam się dopiero potem, kiedy wróciliśmy do hotelu.

Karen, żona Nabila, cały czas zajmowała się gośćmi. Co jakiś czas obchodziła stół, zagadywała, z każdym zamieniła kilka słów. Podano danie główne. Ale najwyraźniej goście byli już najedzeni, bo tylko grzebali w talerzach; za to wszyscy żartowali i dowcipkowali, tak że całe towarzystwo skręcało się ze śmiechu.

Wreszcie Dzień Wolności dobiegł końca - przyjęcie się udało, syci i zadowoleni goście zaczęli się rozjeżdżać i my także opuściliśmy restaurację. Gdy nasz samochódjechał w kierunku miasta, Aileen, która siedziała obok mnie, cały czas milczała i wyglądała przez okno.

- Aileen, powiedz, czy w Egipcie obchodzi się Boże Narodzenie:<sup>1</sup>

- Mam nadzieję. W tym kraju jest przecież wielu chrześcijan - burknęła w odpowiedzi, nie odrywając wzroku od ulicy.

Zrobiło mi się przykro. A więc i mnie miała coś za złe. Pomyślałam, że lepiej nic już nie mówić. Tymczasem nasi panowie rozmawiali beztróska.

Noc była bezchmurna. Gdy wchodziliśmy do hotelu, na czarnym niebie zauważyłam srebrny sierp księżyca. Chalid uprzejmie przytrzymał mi drzwi. Przechodząc obok niego zauważyłam, że unika mojego spojrzenia. W windzie też nie podniósł na mnie oczu, tylko od razu popatrzył na zegarek, a potem udawał, że nie może znaleźć klucza do pokoju. Przeszukiwał wszystkie kieszenie, wyciągając przy tym karty wizytowe. Ledwie przekroczyliśmy próg, a on powiedział:

- Padam ze zmęczenia, idę do łóżka.
- Ależ kochanie! Coś jest nie tak?
- A co ma być? Jestem zmęczony - burknął.

Zaskoczona patrzyłam, jak znika w korytarzu. A niech to! Co znowu zrobiłam nie tak? Czyżby był zazdrosny? Przecież pretensje powinien mieć raczej do mężczyzn, którzy za bardzo mi nadskakiwali. Rozdrażniona i zła poszłam do sypialni, rozebrałam się i postanowiłam trochę odczekać. Jeszcze tego tylko brakuje, żeby Chalid poszedł do siebie. Co on tam tak długo robi w tej łazience? W końcu usłyszałam dźwięk otwieranych drzwi i kroki oddalające się w kierunku salonu. Nasłuchiwałam w napięciu, ale nie działo się nic specjalnego. W końcu wyszłam z sypialni. Zobaczyłam Chalida trzymającego w ręku butelkę wódki, którą właśnie zamierzał napełnić sobie kieliszek.

- Chybaj już dość wypiełeś, kochanie...

Ostrożnie wyjęłam mu z ręki butelkę, odstawiłam na bok i powiedziałam:

- Lepiej ze mną porozmawiaj.

Milczał uparcie.

Myjąc zęby, spojrzałam w lustro i pomyślałam: „Nic by nie dało, nawet gdybym nosiła zasłonę, to bez różnicy...” Bo prze-

cież nawet całkiem zasłonięta piękna kobieta może sprawić, że mężczyźni będą się za nią oglądać: wystarczy jej spojrzenie, widok szczupłych palców, nieśmiałe zachowanie, pociągająca woń perfum...

Gdy wróciłam, Chalid już leżał w łóżku pod kołdrą i drzemał. Wyłączyłam światło, nachyliłam się nad nim i pocałowałam go delikatnie.

- Kocham cię, śpij dobrze, moje serce.

Kiedy położyłam głowę na poduszce, Chalid odwrócił się do mnie, objął mnie i mocno przytulił. Zaczął całować moją twarz, głaskać delikatnie i z czułością moje ciało, wzdychając przy tym namiętnie, aż w końcu zerwał ze mnie nocną koszulę...

## *Boże Narodzenie, 1989*

Tego przedpołudnia na bazarze „Chan al-Chalili” panował nieprawdopodobny zgiełk, ścisk i ruch. Falujący, barwny tłum przelewał się między straganami. Gdy przepychaliśmy się przez labirynt alejek, w którym bardzo łatwo można było się zgubić, musiałam stale uważać, żeby nas nie rozdzielono. Wśród tego orientalnego rozgardiaszu handlowano wyrobami ze srebra i miedzi, targowano się o cenę, handlarze podsuwali nam pod nos skórzane torby, sygnety ze skarabeuszem, hartowane pantofle albo próbowali nas wciągnąć do sklepów z barwnymi kobiercami i kilimami.

- Jak myślisz, Verena, czy ten dywanik modlitewny nadałby się do salonu Aileen?

Szukaliśmy właśnie prezentów bożonarodzeniowych.

- Nie jestem do końca przekonana. Zresztą nie będziemy przecież chodzić z dywanem po całym bazarze. Może obejrzymy najpierw wyroby ze złota i srebra.

Po długich poszukiwaniach i błądzeniu trafiliśmy wreszcie na uliczkę złotników. Zafascynowana, z szeroko otwartymi oczami, rozglądałam się dokoła, podziwiając prześliczne wyroby filigranowe, złote pierścionki, łańcuszki, obrączki i bransoletki pyszniące się na wystawach.

- Popatrz tylko, Chalid, ten faraon jest przepiękny.

Handlarz kiwnął na nas, zapraszając do wejścia. Miał na głowie czerwony fez, a na palcu kosztowny, rzucający się w oczy pierścień. Podczas gdy ja oglądałam biżuterię, nie mogąc się wprost napatrzeć na te wszystkie złote cacka, kupiec zapropono-

wał Chalidowi krzesło. Obaj mężczyźni wdali się w pogawędkę, wreszcie po jakimś czasie Chalid powiedział do mnie:

- Verena, proszę, bądź tak miła i usiądź, pan zaprasza nas na herbatę.

O, nie, nie, tylko nie to! Chciałam wreszcie wziąć do ręki i przymierzyć ozdoby, a nie pić herbatę. Zupełnie zapomniałam, że na Wschodzie klient jest równocześnie gościem.

Kupiec przyniósł tacę z trzema szklaneczkami, które prawie po brzegi napełnił świeżymi, zielonymi listkami mięty. Potem zniknął za zasłoną i coś tam znowu gadał.

- Chalid, chyba już zobaczyłam coś odpowiedniego na prezent dla Aileen.

Chalid nie zareagował. „Aha!” - w tym momencie przypomniałam sobie, że na targowanie się z muzułmanami trzeba mieć równie dużo cierpliwości, co i czasu. A ponieważ jestem na zakupach z Arabem, to wszystko będzie trwało dwa razy dłużej.

Tymczasem handlarz przyniósł swoje najcenniejsze towary. Z prawdziwą rozkoszą wysypał z jedwabnej chusty szlachetne kamienie i błyszczące perły, które potoczyły się między jego palcami. Zaniemówiłam z wrażenia, a jednocześnie pomyślałam z obawą, czy aby starczy nam czasu na zwiedzenie słynnego meczetu El-Azhar. Wcześniej umówiłam się bowiem z Aileen, że pomogę jej przy bożonarodzeniowym obiedzie. Moje zadanie miało polegać na świątecznym ozdobieniu wielkiego salonu w jej domu.

Po dobrej godzinie przy herbacie Chalid i kupiec przystąpili wreszcie do ubijania interesu.

- Verena, pokaż, co tam wybrałaś dla Aileen.

To było rozpaczliwe: kiedy przyszło do ustalania ceny, obaj mężczyźni zaczęli się targować. Trwało to całą wieczność!

Gdy wreszcie, pobłądziwszy trochę po alejkach bazaru, bez tchu dotarliśmy do postoju taksówek, czekało tam już mnóstwo turystów. Wiedziałam, że tak będzie - z meczetu tym razem nici. Z daleka z postoju mogłam zobaczyć jedynie minarety, które górowały nad głównym dziedzińcem. Ale i tak nam się udało: dzięki temu, że Chalid mówił po arabsku, szybko złapaliśmy taksówkę.

Pomagając sobie klaksonem, szofer przebił się między zaprzęgniętymi w osiołki wózkami i miejskim autobusem, który okropnie dymił. Gdy przez okno przyglądałam się temu przeraźliwemu zgiełkowi i chaosowi, Chalid wcisnął mi coś do ręki. Spojrzałam zaskoczona i zobaczyłam paczuszkę ze sklepu złotnika.

- Merry Christmas! - powiedział, uśmiechając się szeroko.

Słońce stało już dość nisko - promienie padały płasko na dachy miasta. Szybko wzięliśmy prysznic i ubraliśmy się w odświętne ubrania, aby należycie uczcić ten szczególny dzień.

Kiedy otworzyły się drzwi domu Ibrahima, moją pierwszą reakcją była chęć ucieczki. Naprawdę w tym domu za każdym razem działy się coraz bardziej niepokojące rzeczy. Tym razem na sofach tłoczyli się wysocy, dobrze zbudowani czarnoskórzy mężczyźni w białych i niebieskich galabijach, i w kunsztownie udrapowanych turbanach.

Właśnie próbowałam przemknąć się niepostrzeżenie do kuchni, gdy nagle rozległ się głos Ibrahima:

- Verena, chciałbym cię przedstawić mojemu ojcu.

Ale najpierw poproszono jego wysokość szejka Chalida - ja miałam być następna. Kiedy stary, siwobrody Sudańczyk próbował podnieść się z sofy, Chalid dał mu do zrozumienia, by nie wstawał. Mężczyźni przywitani się z wielkim szacunkiem, ceremonialnie



wymieniając grzecznościowe formuły powitalne. Tymczasem ja stałam za plecami Chalida. Czułam, jak spojrzenia wszystkich kierują się w moją stronę. Każdy chciał zobaczyć „tę Szwajcarkę”.

Gdy Ibrahim doprowadził mnie do ojca, ten skinął głową i obdarzył mnie uprzejmym uśmiechem. Nosił okulary i miał krótko strzyżoną brodę. Po dokładniejszym przyjrzeniu się, można było dostrzec podobieństwo między nim a synem, starzec był jednak wyższy od Ibrahima, mógł mieć nawet dwa metry wzrostu. Pozostali mężczyźni wyglądali na jego świtę albo pielęgniarzy.

W każdym razie musiałam stale mieć się na baczności i na wszystko uważać, gdyż Chalid nie mógłby mi w żaden sposób pomóc.

Kiedy zakończyła się ceremonia powitalna, mogłam wreszcie pójść do kuchni, do innych kobiet.

W korytarz jak szalona przebiegła obok mnie Aileen.

- Sorry, ale jestem w strasznym stresie.

- Widzę, powiedz, jak mogę pomóc.

Co prawda, nie bardzo wyobrażałam sobie, jak wszystkie pomieścimy się w tej ciasnej kuchni. Już teraz byliśmy tu trzy - Chadidza, jej córka i ja.

Po chwili do kuchni wpadła Aileen z igłą i nicią w rękę.

- Przytrzymaj dobrze indyka - powiedziała do dziewczyny.

Potem błyskawicznie zaszyła pierś ptaka - raz, dwa, trzy, szew po szwie - i gotowe!

- Aileen, daj mi, proszę, te dekoracje, zabiorę się do roboty...  
- powiedziałam.

- O Boże, zaraz szósta! Niedługo przyjdą Al-Naserowie. Szybko, Verena, pozawieszaj te cacka!

Al-Naserowie? Znowu coś, o czym nie wiedziałam!

Kiedy wypakowywałam ozdoby bożonarodzeniowe, okazało się, że Aileen nakupowała wszystkiego jak popadnie, bez ładu i składu, po jednej sztuce z każdego asortymentu. Nic nie pasowało do siebie! Ale za to pasowało do Aileen. Kiedy skacząc po krzesłach próbowałam pozawieszać girlandy i ozdobić kiczowate drzewko, Ibrahim wygłupiał się, chodząc po pokoju z niebieską plastikową gwiazdą. To przyłożyła ją tu, to tam, obracał i pokazywał wszystkim, a mężczyźni w turbanach dzielnie mu sekundowali, śmiejąc się i coś tam plotąc. „Boże, gdzie ja jestem!” - pomyślałam. Od czasu do czasu Ibrahim cichutko podchodził do Aileen i starał się ją udobruchać słodkimi słówkami, co pobudzało czarnoskórych mężczyzn do jeszcze większego śmiechu.

Wśród ogólnego zamieszania rozległ się dzwonek do drzwi. Aileen jak tornado wypadła z kuchni i pomknęła na tyły mieszkania. W drzwiach stali Al-Naserowie, dosłownie obładowani bożonarodzeniowymi prezentami.

Byłam wściekła na Chalida za to, że nic mi wcześniej nie powiedział! Mogłabym przynajmniej kupić jakieś drobiazgi dla dzieci.

Kiedy wchodzili nowi goście, poprzedni wychodzili prawie bez słowa. Wreszcie w mieszkaniu został tylko ojciec Ibrahima i Al-Naserowie.

Dziewczyna podała świeżą herbatę. Sięgnęłam do torebki, szukając papierosów.

- Verena, dzisiaj pali się tylko w kuchni - dyskretnie dał mi do zrozumienia Chalid.

Spojrzałam pytająco, a on dla potwierdzenia kiwnął głową. Malec Nabila skakał po sofach i co chwila na mnie spoglądał.

Trzy dziewczynki siedziały grzecznie, a Karen w kącie pokoju układała stos prezentów.

Kiedy wreszcie ukazała się elegancko ubrana i umalowana Aileen, niepostrzeżenie wymknęłam się z salonu. W kuchni Chaidża z córką zabierały się właśnie do układania na tackach przekąsek i przystawek. Z cichym westchnieniem opadłam na kuchenne krzesło i zapaliłam papierosa. Ledwie usiadłam, a już w lansadach nadbiegł Ibrahim. Odkorkował butelkę wina, nucąc przy tym:

- Merry Christmas, Verena, Merry Christmas...

Nagle w drzwiach pojawił się Chalid.

- Oo, Chalid, nalać i tobie?

- Nie, nie, Ibrahim, nie w tej chwili...

Ibs zniknął z kuchni równie nagle, jak się pojawił.

- Słuchaj, Verena, dzisiaj, ze względu na ojca Ibrahima, będziemy palić i pić wino tylko w kuchni, dobrze? - zwrócił się do mnie Chalid.

- Aha. I ty sądzisz, że on nie wie, że jego syn pali i pije?

Chalid z irytacją wypuścił kłęb papierosowego dymu.

- Pojęcia nie mam. Ale to bez znaczenia. Ważne jest tylko to, byśmy okazali mu należyty szacunek.

Zrozumiałam. Zresztą, nie był to moment na dyskusowanie o tutejszych zwyczajach i obyczajach.

- Idź teraz do gości i porozmawiaj z Karen.

Spojrzałam na niego wielkimi oczami. Nigdy nie przyzwyczaję się do tego rozkazującego tonu.

- A czy nie mógłbyś powiedzieć tego nieco uprzejmiej? Na przykład tak: skarbie, bądź tak miła i dotrzyмай towarzystwa Karen, żeby Aileen mogła spokojnie zająć się resztą...

Obróciłam się na pięcie i wyszłam z kuchni.

Kątem oka uchwyciłam jeszcze, że Chalid *patrzy* na mnie, jakbym była istotą z innej planety. Właściwie to całkiem zrozumiałe, gdy weźmie się pod uwagę jego pozycję - jest przecież szejkiem. Może wydawać innym rozkazy, to jest jego prawo. Nic dziwnego, że nie rozumie, gdy ktoś kwestionuje coś, co dla niego jest oczywiste. W dodatku tym kimś nie był mężczyzna - nie, to byłam ja, kobieta, która, jak sam twierdził, jest mu najdroższa na świecie.

Wkrótce Ibrahim zaklaskał na znak, że oto rozpoczyna się świąteczny obiad. Ujął swojego ojca pod ramię i uroczyście poprowadził do najbardziej zaszczytnego miejsca przy stole. Potem zasiedli mężczyźni - łącznie z czteroletnim synkiem Nabila - a na końcu kobiety. Powoli zaczynałam się orientować w obowiązującej tutaj hierarchii.

W gruncie rzeczy te arabskie zwyczaje nie są wcale takie głupie. Przecież również w Europie chętniej przebywają ze sobą, mniej lub bardziej świadomie, ludzie o podobnym statusie społecznym. Ponadto, czy to nie męczące, ciągle wysłuchiwać rewelacji na temat punktów Parkera? I czy kolor wina jest bardziej wiśniowy czy rubinowy? Nie mówiąc już o tych obezwładniających rozważaniach na temat konsystencji i smaku hawańskich cygar. Oczywiście w męskim towarzystwie nie może zabraknąć lekceważących dowcipów o blondynkach, co jest tym bardziej dziwne, że niektórzy z tych panów są związani właśnie z blond paniami.

Wszystko jedno Wschód czy Zachód. Kobiety i mężczyźni to dwa światy, istoty o różnych pierwotnych instynktach, o różnych wyobrażeniach i dążeniach. Tak właśnie stworzyła nas natura. Dogłębnie uświadomiłam to sobie dopiero wtedy, gdy znowu wróciłam do Szwajcarii.

Podczas przyjęcia jeszcze kilka razy chyłkiem, jak złodziej, wymykałam się do kuchni. Chalid zwykle szedł za mną. Jemu i Ibrahimowi to zuchwałe omijanie własnych praw wydawało się niezwykle przebiegłe i obaj cieszyli się jak dzieci, którym udało się głupi dowcip. Typowo męskie.

Dla mnie było to raczej żenujące. Zastanawiałam się, czy ojciec Ibrahima naprawdę nie domyśla się, co się dzieje w kuchni. Musi przecież czuć dym papierosowy.

Kiedy sytuacja została już opanowana, Aileen jakoś się w końcu uspokoiła, odprężyła i siedziała przy stole całkiem rozluźniona i w doskonałym humorze. Tego wieczoru postanowiliśmy, że obejrzymy grobowiec Tutenchamona - jak się nie da inaczej, to nawet bez naszych panów. Karen opowiadała nam o dolinie Nilu; słuchałyśmy zafascynowane, a ona mówiła o śnieżnobiałych felukach, które bezgłośnie śmigają po ciemnoniebieskiej wodzie, o jasnobłękitnym niebie odcinającym się od tafli wody, o złocistych, pustynnych górach. Wieczorami płonące czerwienią słońce odbija się w wodach rzeki, a nocą niebo usiane jest milionami gwiazd, które - wydaje się - wiszą tak nisko, że można po nie sięgnąć ręką...

Aileen i ja natychmiast zaczęłyśmy marzyć o podróży statkiem po Nilu. Tyłko jak do tego nakłonić naszych mężczyzn?

- Co to dla was! Igraszka! - zaśmiała się Karen.

Aileen i ja szybko spojrzaliśmy na siebie i wybuchnęłyśmy śmiechem.

Dzieci już dawno rozpakowały swoje prezenty i przez cały czas grzecznie się bawiły. Ale teraz chciały większych atrakcji. Nagle w pokoju zaczęły syczeć zimne ognie, fruwać confetti oraz serpentyny, piszczeć papierowe fujarki, latać kartonowe

nosy; atmosfera robiła się coraz weselsza. Ogólnej wesołości ulegli też dorośli. Chalid nałożył mi na głowę marynarską czapkę; był bardzo zadowolony że tak dobrze dogaduję się z kobietami. Gdyby wiedział, co knujemy!

Aileen zaczęła otwierać paczki ze swoimi prezentami. Nasz złoty faraon z bazaru „Chan al-Chalili” ucieszył ją szczególnie. Karen wręczyła Aileen filigranową broszkę i egipskie perfumy w eleganckim flakoniku.

- Mm... fantastycznie pachną, uwodzicielsko! Ja też muszę je mieć - roześmiałam się.

Szeptem opowiedziałyśmy sobie, co która dostała w prezencie od swojego mężczyzny Karen pokazała wielokaratowy diament, który błyszczał na jej palcu.

- O Boże - jęknęłam - aja nie mam dla Chalida nawet najmniejszego drobiazgu.

- Ależ, Verena! - powiedziała Karen spokojnym tonem - w krajach arabskich nie ma zwyczaju, by w ten sposób obdarowywać mężczyzn. Tu daje im się synów, miłość, dobroć i nieustannie kwitnącą urodę - mniej więcej w tej kolejności.

Popatrzyłam na nią z otwartymi ustami. Potem spojrzałam na Aileen.

- No, to kiedy ty obdarzysz Ibrahima?

Na sekundę zapadła cisza, a potem wybuchnęłyśmy głośnym śmiechem.

- Kto wie... - powiedziała wreszcie Aileen - próbujemy już od pewnego czasu...

Karen trąciła ją w bok, żeby nie mówiła nic frywolnego przy jej córkach, które siedziały przy nas i oczywiście z ciekawością nastawiały uszu.

Zrobiło się późno. Kiedy wreszcie Al-Naserowie wyszli, Chalid zamówił dla nas taksówkę.

- No, Aileen - powiedziałam - lepiej szykuj dla nas pokój gościnny...

Chalid posłał mi spojrzenie pełne nagany.

Tymczasem razem z Aileen schroniłam się w kuchni. Wśród resztek jedzenia i brudnych talerzy wypaliłyśmy ostatniego papierosa.

- O bałagan się nie kłopotcz - powiedziała Aileen, widząc moje pytające spojrzenie - jutro przyjdzie Chadidza z córką i zrobią z tym porządek. A wracając do taksówki. Gdyby nie przyjechała, to odwiezie was Ibrahim. W pokoju gościnnym śpi ojciec Ibrahima.

- Ach, Aileen, przecież to był tylko żart.

- Żarty żartami, ale ja wcale nie jestem pewna, czy ta taksówka przyjedzie... zobaczmy...

Po dłuższym czekaniu usłyszeliśmy, jak Ibrahim głośno debatuje przez telefon. Zaraz potem wszedł Chalid i powiedział:

- Verena, ubieraj się, idziemy... szybko, musimy zaczekać na ulicy, taksówkarz nie może znaleźć domu...

Następnego ranka obudziłam się z lekkim drapaniem w gardle. Wskoczyłam z łóżka i wypłam cały karton soku pomarańczowego, ale nic to nie pomogło.

Dzień Bożego Narodzenia spędziliśmy w naszym apartamencie. Obejrzelśmy film *Casablanca*. Aileen przekazała przez Ibrahima, że w razie potrzeby ma panadol i antybiotyki.

Następnego ranka Chalid wsiadł do taksówki i pojechał do Aileen po lekarstwa. Nie liczyłam na to, że wróci przed

południem. Pomyślałam, że na pewno u Aswarich znowu są goście na herbacie. Ale ku mojemu zaskoczeniu Chalid wrócił bardzo szybko. Troskliwość, z jaką pielęgnował mnie przez cały dzień i minionej nocy, była prawdziwym balsamem dla mojej duszy.

- Sweetheart, jutro będzie po wszystkim, zobaczysz. Aileen powiedziała, że masz co sześć godzin łykać pojednej kapsułce i dużo pić.

Okazało się, że Chalid wpadł do hotelu tylko na chwilę.

- Kochanie, muszę cię teraz zostawić. Ibrahim czeka na dole. Musimy załatwić kilka spraw, interesy... ty tymczasem leż i wypoczywaj. W razie czego dzwoń do Aileen, numer znasz... A ja tu do ciebie też od czasu do czasu zadzwonię... dobrze, sweetheart:<sup>1</sup>

- Ależ tak, tak, jedź.

Właściwie to byłam zadowolona, że mogłam zostać sama.

„Boże, żebym tylko szybko wyzdrowiała - pomyślałam. - Szkoda każdej minuty, której nie mogę z nim spędzić”.

Kolejny ranek zaczął się jak zwykle obowiązkowym telefonem Ibrahima. Tym razem Ibs chciał wiedzieć, jak się czuję, bo Aileen tylko czeka, żebym stanęła na nogi. Pewnie o wiele przyjemniej jest iść z kimś do Muzeum Egipskiego.

- W porządku - powiedziałam. - Chyba dam radę już dzisiaj.

Wiedziałam, że to może niejest dobry pomysł, ale też nie chciałam, żeby Chalid pomyślał, że jestem chorowitą kobietą.

Gdy wkrótce potem przed dom Ibrahima zajechała tak-sówka, zostałam w środku, a Chalid, tak jak było umówione, zadzwonił do drzwi. Ale zaraz wrócił i zawołał przez okno:

- Wsiądź. Nie sąjeszcze gotowi.



Jęknęłam cicho. Znowu minie dobra godzina przy herbacie, zanim wyjedziemy.

Tego dnia było mi szczególnie trudno usiedzieć w męskim towarzystwie i czekać, aż pan domu uzna łaskawie, że możemy ruszać. Chalid to wyczuwał i co jakiś czas posyłał mi pełne współczucia spojrzenia. Ale nie mógł nic zrobić. Za toja, ponieważ zaczynałam się już czuć tutaj jak w domu, wstałam od stołu i poszłam poszukać Aileen. Znalazłam ją w łazience. Właśnie robiła makijaż.

- Ach, Verena, sorry, zaraz będę gotowa.

- Ale co z Ibrahimem i gośćmi?

- Rozumiem, że goście zaraz sobie pójdą, bo inaczej już ja Ibsowi pokażę... Pojedziemy bez niego do muzeum, obiecuję ci.

- Dobrze, zobaczę, jak wygląda sytuacja.

Miałam już dość tego wiecznego wyczekiwania, toteż podeszłam do Chalida i powiedziałam:

- Słuchaj, chodźmy już. Aileen powiedziała, że możemy pojechać do muzeum bez Ibrahima.

Twarz Chalida skamieniała, a ja od razu zorientowałam się, że lepiej już nic więcej nie mówić. No tak, musiałam nauczyć się i tego, że kobiecie nie wypada publicznie pouczać mężczyzny, czy wydawać mu polecenia.

Nawet jeśli kobieta zarządza wieloma sprawami w domu, publicznie takie zachowania są nie do przyjęcia.

Wtedy nie byłam świadoma tego, jak bardzo dotykam, a często wręcz obrażam Chalida swoim zachowaniem. Dlatego zupełnie nie rozumiałam, dlaczego przez resztę dnia był milczący i zamknięty w sobie.

Wieczorem nie mogłam już dłużej wytrzymać tego napięcia i przykrej atmosfery. Przypisywałam wszystko tym spotkaniom

w męskim gronie, podczas których oboje nie czuliśmy się dobrze, gdy byliśmy razem. Nie mogło tak być dalej. Musiałam z nim porozmawiać. I to natychmiast. Zanim dojdzie do poważnego konfliktu. Na twarzy Chalida malowało się z wątpienie. Wiedzia-łam, że jeśli teraz nie zbiorę się na odwagę, to później nie uda mi się już nic z tym zrobić.

- Skarbie, przecież obiecaliśmy sobie, że zawsze, kiedy poja-wią się problemy, będziemy ze sobą rozmawiać.

Odwrocił twarz, jakby to wszystko było dla niego w najwyż- szym stopniu nieprzyjemne.

- Słuchaj, nie mogę znieść, gdy tak nagle zamykasz się w sobie, siedzisz i milczysz. Zawsze mi mów, jeśli coś zrobię nie tak, dobrze?

Chalid zwlekał z odpowiedzią, a ja tymczasem mówiłam dalej:

- Może byłam dzisiaj trochę za bardzo niecierpliwa. Ale to dlatego, że nie czuję się jeszcze zbyt dobrze, i ty o tym wiesz. Po prostu nie miałam już siły na to siedzenie... co niby miałam zrobić?

- No, może trzeba było trochę poczekać, gdzieś w innym pokoju...

- Aha. To wtedy całkiem byś już wsiąkł.

Chalid westchnął.

- Słuchaj, nie byłam przygotowana na takie spotkania. Ani też na to, jak mam się podczas nich zachowywać. Powinieneś był wiedzieć, że może to być dla mnie trudne. I że istnieją pewne zasady zachowania, o których powinnam wiedzieć.

- Dlaczego nie porozmawiasz o tym z Aileen? - zapytał Chalid rozdrażniony. - To są kobiece sprawy.

- Z Aileen? Ach tak! Na to naprawdę nigdy bym nie wpadła.

Dla Chalida temat był wyczerpany.

I chociaż miałam na końcu języka kilka kolejnych pytań, uznałam, że lepiej przerwać tę rozmowę. Chalid był wyraźnie zniecierpliwiony i rozdrażniony, jakby za chwilę miał stracić panowanie nad sobą. Pomyślałam nawet, że może zechce zakończyć nasz pobyt w Egipcie, i ogarnęła mnie panika.

Następnego dnia wyglądało na to, że coś się szykuje, bo Chalid od rana siedział przy telefonie. Wydzwaniał i wydzwaniał: to do Ibrahima, to do Nabila, to do Hazy, potem znowu do Ibsa i tak dalej. Ponieważ znowu nic mi nie mówił, nie wiedziałam, o co chodzi, mogłam tylko obserwować i czekać, co się wydarzy. Moje podekscytowanie wzrosło, gdy zauważyłam, że twarz Chalida się rozjaśnia, a podczas rozmowy coraz częściej pada słowo Asuan. Asuan, najcudowniejsze miejsce w całej dolinie Nilu.

O co chodzi? Co się dzieje? Chalid przez cały czas nie pisał ani słowa. Dopiero po południu, kiedy skończyło się wreszcie to obłądnie telefonowanie, powiedział nagle:

- Verena, jutro jedziemy tylko we dwoje do Asuanu.

Z radości rzuciłam mu się na szyję i czym prędzej zaczęłam pakować walizki, żeby przypadkiem się nie rozmyślił.

Samolot pędził, trzęsąc się, po nierównym pasie lądowiska w Asuanie. Na chwilę ogarnęło mnie przerażenie: „Wyboje!” - przeleciało mi przez głowę. Jednak w końcu maszyna zatrzymała się bezpiecznie i mogliśmy wsiąść. Drzwi się otworzyły i owiało nas przyjemne, ciepłe, suche powietrze. Cieszyłam się, że udało

mi się uciec od kairskich chłodów, a tym bardziej od tych wszystkich towarzyskich obowiązków. Od razu wiedziałam, że miejsce, do którego przybyliśmy, to mój świat: soczyście zielone oazy, żłociste wydmy, cichy Nil i bajeczne zachody słońca.

Stukając obcasami, zadowolona i pełna radości schodziłam po metalowych schodkach. W pewnej odległości dostrzegłam niewielki, dość nędzny i odrapany budynek lotniska. Gdy tylko zesliśmy, krzycząc, gestykulując i przepychając się, otoczyli nas miejscowi. Bosonogie dzieciaki ciągnęły mnie za spódnice, wołając o bakszysz, a gromada mężczyzn szarpała się i kłóciła o to, kto poniesie nasze bagaże. Wrzask i chaos były nie do opisania. Przestraszona kurczowo uczepiłam się Chalida. Wreszcie wózek z bagażami potoczył się po piaszczystej drodze do budynku lotniska. Tu znowu do naszych waliz rzucili się na wyścigi mężczyźni - jeden wielki wrzask i szarpanina. W końcu sytuacja się uspokoiła, choć nie obyło się bez pewnych strat i uszkodzeń toreb.

Po krótkiej jeździe przez pustynię dotarliśmy do zachodniego brzegu Nilu. Jazda przez gigantyczną tamę wprawiła mnie w ogromne zdumienie. Niezliczone zielone wyspy, granitowe skałki i ciemnoniebieska tafla wody, na której unosiły się tradycyjne feluki. Zupełnie jakby tu czas się zatrzymał. Pod stalowoniebieskim niebem potężne piaskowe wydmy nachylały się ku Nilowi. Zapierająca dech sceneria. Byłam zachwycona i oczarowana, nie mogłam się wprost napatrzeć. W pewnej chwili zupełnie straciłam orientację, gdyż tuż przed Asuanem Nil rozgałęział się na kilka odnóg.

Jechaliśmy szosą, a w dole płynęła rzeka. Wyglądało to wspa- niale. Nagle taksówka zatrzymała się przed hotelem. Dom -

w stylu kolonialnym - otaczał zielony park, schodzący aż nad rzekę, po której krążyły śnieżnobiałe feluki. Pomyślałam, że mogłabym tu zostać na zawsze. Niestety ani Chalid, ani taksówkarz najwyraźniej nie zamierzali się tu zatrzymać. Samochód pojechał dalej, w kierunku nadbrzeżnej promenady.

Popołudnie było gorące, całe miasto odpoczywało. Poza nami wokoło żywego ducha - po drodze nie spotkaliśmy nikogo. Zaczęłam się zastanawiać, czego my właściwie szukamy. Bo przecież minęliśmy już dwa lub trzy hotele. Raptem taksówka zjechała z szosy i zatrzymała się przed przystanią dla statków. Kierowca wysiadł i gdzieś poszedł. Posłałam Chalidowi pytające spojrzenie.

- Czy to ma być ta niespodzianka, która miała na mnie czekać w Egipcie?

W duchu już skakałam z radości. Ale Chalid tylko uśmiechnął się tajemniczo.

- Hej, no, powiedz wreszcie - nie dawałam za wygraną - czy to ta twoja tajemnica? Teraz będzie niespodzianka?

Chalid spojrzął na statki.

- Mogę ci powiedzieć tylko tyle: jak przyjdzie czas, sama będziesz wiedziała i nie będziesz musiała pytać.

- Nie będę musiała pytać? - powtórzyłam, nic nie rozumiejąc.

Po chwili pojawił się taksówkarz, już z daleka przecząco kręcąc głową. Zapalił silnik i podjechaliśmy kawałek dalej, w górę rzeki. Rozglądałam się zająkawszy apteką. Czułam, że lot mi nie posłużył, i że znowu bierze mnie przeziębienie. Potrzebne mi było jakieś lekarstwo, chciałam też kupić chusteczki do nosa.

- Szukamy jakiegoś konkretnego statku, kochanie? - zapytałam w końcu. Nie mogłam już dłużej wytrzymać tego bezczynnego siedzenia, w dodatku w kompletnej niewiedzy.

- Zgadza się. Szukamy „Ismailiji”.

Taksówka znów się zatrzymała. Kierowca poszedł w kierunku *nabrzeża*.. Widziałam, jak rozmawia z załogami kilku statków. Ale i tym razem wrócił, bezradnie rozkładając ręce. Chalid postanowił upewnić się osobiście. Widziałam, jak podszedł do kilku mężczyzn, jak ich wypytywał, żywo przy tym gestykulując.

- Nigdzie nie ma tego statku, nie można go odnaleźć - powiedział z westchnieniem, wsiadając do taksówki.

Tego się właśnie obawiałam. Wzdłuż brzegu widać było całe kolumny statków, w podwójnych i potrójnych rzędach, trudno więc było znaleźć konkretny, jeśli się nie wiedziało, gdzie zacumował. Gdy pojechaliśmy dalej, Chalid zdradził mi wreszcie, że właściciel „Ismailiji” jest przyjacielem Nabila i całej rodziny Al-Naserów. Na sylwestra wszyscy zjadą do Asuanu, by razem z nami i Ibrahimem wyruszyć w prywatny rejs po Nilu. To brzmiało jak bajka. Ale gdzie się podział nasz statek?

Po dłuższych poszukiwaniach, kiedy już objechaliśmy całe nabrzeże, Chalid zadzwonił do Kairu, by powiedzieć, że nie znalazł statku. Ale akurat nie udało się nigdzie złapać Nabila.

W pewnej chwili taksówkarz, który woził nas po dolinie Nilu już dobre dwie godziny, poprosił o kilka drachm, zanim rozpoczniemy dalsze poszukiwania.

- Wiesz co, Verena, pojedźmy teraz do jakiegoś hotelu, masz coraz gorszy katar - powiedział Chalid.

Słońce stało w zenicie i w samochodzie zrobiło się bardzo gorąco. Tymczasem, o ile statków i łodzi było tu pod dostatkim, o tyle hotele można było policzyć na palcach jednej ręki. Nie powiem, żeby ten fakt jakoś szczególnie podniósł mnie na duchu. Kiedy Chalida po raz drugi odesłano z kwit-

kiem, gdy zapytał o wolny pokój, poczuliśmy się naprawdę nieswojo. Wyglądało na to, że nikt wcześniej nie pomyślał o tym, że w Asuanie podczas świąt wszystkie miejsca w hotelach mogą być zajęte, bo to przecież pełnia sezonu. Powoli zaczynało mi świtać, jak się zakończy nasza przygoda. Nocowanie na ulicy, to nie moja specjalność; a już na pewno nie wtedy, gdy jestem przeziębiona.

Bogu dzięki, wkrótce znaleźliśmy jakiś nocleg. Egipcjanin wyładował nasze walizki, złapał pieniądze za kurs i odjechał z piskiem opon. Kiedy wchodziliśmy do niewielkiego, skromnego hoteliku, było mi obojętne, jak mały albo jak brudny będzie pokój - ważne było tylko to, żebym miała łóżko. Chalid poprosił, żebym usiadła w holu, a on załatwi formalności. Trwało to wieczność. „Co on tam znowu robi? - pomyślałam. - Czemu sobie spaceruje z zadowoloną miną? Przecież te formalności nie mogą trwać tak długo...”

- Chalid - odważyłam się wreszcie podejść i zapytać - czy nasz pokój nie jest jeszcze gotowy?

- Cierpliwości, Verena, właśnie negocjuję cenę.

Zdębiałam. Nie, chyba nie mówi poważnie!

Nie mogłam uwierzyć, że Chalid majeszcze siłę i chęć targować się o cenę! W takiej sytuacji! Gdyby zapytano mnie, zgodziłabym się na wszystko, zapłaciłabym każdą cenę. Ale powstrzymałam się od komentarza. A Chalid najspokojniej w świecie negocjował z recepcjonistką, zupełnie jakby siedzieli przy wspólnej herbatce. Nie do wiary!

Wiedziałam jednak, że lepiej nie okazywać zniecierpliwienia. To i tak nic nie da. Wszelkie poganianie, traktowanie z góry, nadęcie i zarozumiałość budzą w krajach muzułmańskich tylko

niezrozumienie. Nic się w ten sposób nie osiągnie. Przeciwnie - można nawet wszystko popsuć.

- Verena, spróbuj jeszcze raz złapać Nabila - rzucił Chalid, przechodząc obok mnie.

Nic nie powiedziałam, tylko zmusiłam się do uśmiechu.

Kiedy Chalid wrócił z budki, z wyrażonego oczu nie dało się wyczytać, czego dowiedział się w Kairze.

- No, i...? Udało ci się złapać Nabila?

- Tak.

- I co on na to, że nigdzie nie ma tego statku?

- Także jest zdumiony.

Nie, to niemożliwe! Czegoś takiego nigdy bym się nie spodziewała. Żeby jakoś się uspokoić, usiłowałam myśleć o czymś przyjemnym, choć z pewnością napięcie miałam wypisane na twarzy. Nagle zadzwonił telefon. Recepcjonistka dała znak, że to do nas.

I tak w kółko - telefonowanie i czekanie. Zupełnie nie przyszło mi do głowy, że Chalid też może mieć wszystkiego dość i jest bliski załamania, a uśmiech na jego twarzy, to tylko histeryczny grymas.

- Chodź, skarbie - powiedziała w pewnej chwili - napijemy się czegoś, a w tym czasie przygotowują nasz pokój.

Byliśmy jedynymi gośćmi w malutkiej hotelowej kafeterii. Stojący za barem Egipcjanin o gładko wygolonej głowie rzucił nam podejrzliwe spojrzenie. Od rzeki przez otwarte drzwi wpadał delikatny wietrzyk. Poza prawie bezgłośnym szumem zawieszzonego pod sufitem wentylatora i cichym burczeniem chłodziarki, wokoło panowała martwa cisza.

Wdychałam parującą miętę. Chalid z obojętną miną patrzył w przestrzeń. Bez przerwy kręcił swoją szklanką z colą, w której grzechotały kostki lodu. Na czubku nosa zebrały mu się kropelki potu.



- Chalid, czy ktoś ci powiedział, ile będziemy musieli czekać na ten pokój?

- Nie, nie, właściwie nie... och, mówisz coraz bardziej przez nos. Chyba nie za dobrze się czujesz, prawda...?

- No, nawet całkiem źle - odparłam przybita.

W tym momencie Chalid nieoczekiwanie wstał i powiedział:

- Zapytam, co z tym pokojem.

„Na pewno zaraz przyjdzie portier i otworzy nam drzwi, i będzie koniec tego czekania” - powtarzałam sobie. Ale nic podobnego się nie stało. Minuty ciągnęły się nieznośnie, czekałam i czekałam, a Chalid nie wracał.

Nagle za plecami usłyszałam męskie głosy. Mężczyźni mówili po arabsku. Chwilę potem usłyszałam, jak po drewnianej planszy tryktraka z grzechotem potoczyły się kostki. Coraz bardziej opadałam z sił, a moja cierpliwość była na wykończeniu. Wstałam i odwróciłam się. Mężczyźni gapił się na mnie bez skrępowania. Boże, cojeszcze będę musiała znieść!

Chalid z budki telefonicznej zobaczył, że idę do niego.

- Wróć do stolika, Verena, zaraz do ciebie przyjdę.

Co tu się właściwie dzieje?

- Nie, nie wrócę. Tam są mężczyźni, którzy się na mnie gapią. Kiedy Chalid odłożył słuchawkę, na jego twarzy ujrzałam wyraz zmieszania i bezradności.

- Verena, muszę ci coś wyznać... nie dadzą nam wspólnego pokoju.

Oniemiałam.

- Aha, rozumiem - wydusiłam z siebie po chwili - i tej damie z recepcji przyszło to do głowy tak mimochodem, po bitych dwóch godzinach czekania?

Nie mogłam już się pohamować.

- A dlaczego, jeśli łaska, nie możemy dostać wspólnego pokoju?

Chalid westchnął ciężko i bezradnie uniósł ramiona.

- No to weźmy dwa osobne - powiedziałam. - Tylko, proszę, dopilnuj, żeby przynajmniej były obok siebie.

Wyraz jego twarzy pozwalał domyślać się najgorszego.

- Verena, jest tylko ten jeden, ostatni pokój.

Dostałam ataku wściekłości.

- Ale dlaczego nie możemy dostać wspólnego pokoju. Ja tego nie rozumiem. To nie do wiary!

- Powiedziałem ci już, nie wiem. Może ze względu na nasze różne religie.

- Nasze religie?! - powtórzyłam - Boże, strzeż mnie! Czyja jestem jakąś grzesznicą? Powiedz, proszę, że to jest nieprawda!

Chalid położył mi rękę na ustach.

- Verena, błagam cię, bądź cicho.

Przełknęłam ślinę i zamilkłam.

- Słuchaj, na pewno nie musisz sobie robić żadnych wyrzutów. Ja też spotykam się z czymś takim po raz pierwszy. Zaraz pojedziemy do jakiegoś hotelu międzynarodowego, do „Old Cataract” albo do „The Oberoi”. Recepcjonistka właśnie rezerwuje dla nas pokój.

Słońce stało już nisko nad dachami, a my ciągle jeszcze siedzieliśmy przy herbacie i coli. Oczywiście, wszystkie hotele były pełne - „Old Cataract” i „The Oberoi” też. A w czasie ostatniej rozmowy telefonicznej z Nabil'em okazało się, że „Ismailija” stoi na kotwicy nie w Asuanie, ale w Luksorze!

Zwariować można. Ważne, wpływowe osobistości, mężczyźni, którzy robią interesy warte miliony, a nie potrafią ustalić

tak prostej rzeczy, jak to, gdzie stoi ich statek?! Przy całym szacunku, to naprawdę nie mieściło mi się w głowie.

Nagle spieszonym krokiem do kawiarni wbiegł Chalid.

- Nie uwierzysz, Verena! - Znaleźli dla nas pokój!

Omal nie zemdlałam z wrażenia.

Jeszcze nie zdążyliśmy zapłacić, a już ktoś zawołał:

- Proszę pana, pańska taksówka czeka!

Bez słowa patrzyłam, jak zabierają nasze bagaże - po czterech godzinach czekania! - i ładują do kolejnej taksówki.

- Za pięć minut będziesz miała swój pokój, obiecuję, Verena!

Nie byłam w stanie myśleć. W milczeniu otarłam łzę, która spływała mi po policzku.

Na ulicach było teraz pełno ludzi, dorożkarze mieli pełne ręce roboty. Nasza taksówka powoli przepychała się między kolorowymi dorożkami, końskie kopyta stukały głośno, wszędzie wokoło widziałam pogodne twarze, a miejscowa dzieciarnia wesoło biegała i skakała po chodniku.

„Bakszysz, bakszysz” - słyszałam przez okno.

Pachniało smażoną rybą i gotowaną fasolą. Ale, ale, czy my już tutaj dzisiaj nie byliśmy? Ku mojemu zdumieniu kierowca zaparkował przyjednej z przystani na Nilu. Czyżby nagle pojawiła się „Ismailija”? Ach, nie! Przecież jest w Luksorze!

Obojętnie popatrzyłam, jak nasze bagaże znikają najednym ze statków.

- Witamy na pokładzie M/S „Jaśmin”. To dla nas wielki zaszczyt, Wasza Wysokość!

Co to znowu za przedstawienie? Mężczyzna z szacunkiem schylił głowę, po czym potoczyła się lawina powitalnych formuł. „No tak, przecież jestem z szejkiem Chalidem Bin Sułtanem

Al-Raszidem" - przeleciało mi przez myśl, i znowu uzmysłowiłam sobie, że w tym kraju szejkowie cieszą się wielkim poważaniem. Gesty i słowa kapitana mówiły same za siebie. Kiedy wreszcie poprowadzono nas do kabiny, bez sił opadłam najedno z łózek.

Chalid usiadł na jego brzegu, ujął mnie za rękę. Wyglądał dość bezradnie.

- No jak, sweetheart, jak się czujesz?

- Nie zapomnę tego dnia do końca życia. Powiedz, skarbie, czy jest tu w kabinie barek? Strasznie chce mi się pić.

- Zaraz będziesz mogła się napić na pokładzie. Oficer chce nas oprowadzić po statku.

- Zwiedzanie statku? Po co?

- Dlaczego nie?

- Nie gniewaj się, ale najpierw muszę trochę odpocząć. Jestem naprawdę wykończona.

- Nie możemy odmówić, bo to byłoby bardzo nieuprzejme.

- Chalid, proszę, ja już nic nie rozumiem, miesza mi się w głowie... Nie wiem, dlaczego jesteśmy na M/S „Jaśmin”, a nie na „Ismailiji”, czy płyniemy w górę, czy w dół rzeki, nie wiem, czy mam gorączkę, czy nie, i niby dlaczego to byłoby nieuprzejme... jestem wyczerpana, rozumiesz, mam dość...

Chalid zerwał się z miejsca, jęknął z głębi piersi, złapał się za głowę i zaczął nerwowo chodzić po ciasnej kabinie.

- Słuchaj, Verena, nie mogę ci ciągle wszystkiego wyjaśniać. To nic nie da, bo stale pojawiają się nowe problemy.

Jakbym sama tego nie dostrzegała!

Patrzyłam tylko na niego i nie mówiłam nic.

- Jesteśmy na tym statku - mówił dalej Chalid - bo wszystkie hotele są pełne. Nie płyniemy, stoimy w porcie w Asuanie.

Jutro albo pojutrze pojedziemy taksówką do Luksoru, gdzie zacumowała „Ismailija”. A na sylwestra dołączą do nas przyjaciele. Teraz jesteś zadowolona?

- Tak, bardzo! - zmusiłam się do uśmiechu.

- No to chodź już, oficer czeka.

Tego się właśnie obawiałam.

- Kochanie - powiedziałam - jeśli wyczerpanie nie jest dostatecznym usprawiedliwieniem w krajach arabskich, to wymyśl coś innego. Powiedz temu oficerowi, że twoja żona jest w ciąży, że jest niedysponowana, cokolwiek... ale okaż mi w końcu trochę zrozumienia.

Dotknął mojego czoła.

- Nie masz gorączki. Ale musimy szybko kupić ci coś na katar.

- Tak, koniecznie.

- Dobrze, skarbie. Zaraz dostaniesz herbatę, a jak zwiedzę statek, pojedę do apteki.

## *Tajemnica Chalida*

Ze snu delikatnie obudził mnie świeży *zapach* miętowej herbaty. Zamrugałam oczami. „Gdzie ja jestem?” Powoli dochodziłam do siebie i przypomniałam sobie, że jestem w dolinie Nilu, na statku. Na stoliku nocnym stał świeży napar, pieczywo i przezroczyste pudełeczko z czerwono-biało-żółtymi kuleczkami w środku. Łóżko obok mnie było puste. A więc Chalid już wstał i przyniósł mi śniadanie do łóżka. To było wzruszające. Odsunęłam nieco na bok zasłonkę i zaspana wyjrzałam przez luk. Nil osłepiająco skrzył się i lśnił w słońcu, tak że musiałam zaraz znowu opuścić materiały. Usłyszałam głosy w korytarzu, także z pokładu dochodziły odgłosy ruchu i krzątania. Poczulałam gwałtowną chęć, by wyjść. Chciałam koniecznie zobaczyć, co się dzieje na pokładzie.

Wkrótce przyszedł Chalid. A kiedy wziął mnie w ramiona, wszystko co złe uleciało, jakby nie było tej całej nieszczęsnej eskapady. Wokół naszego statku bezgłośnie krążyły feluki, a Nil cicho płynął dalej...

- Najchętniej zostałabym tutaj na zawsze, Chalid. Nigdy nie widziałam równie urzekającego miejsca... prawdziwie magiczny zakątek... ta cisza, ten spokój, jestem oczarowana.

- Naprawdę? - Chalid uśmiechnął się tajemniczo.

Nagle przy naszym stoliku stanął oficer. Grzecznie zapytał o moje samopoczucie - przez Chalida, oczywiście. Potem panowie zaczęli rozmawiać po arabsku, a ja wstałam i podeszłam do relingu. Wiedziałam już, że w takich chwilach wypada dyskretnie się oddalić. Przypatrywałam się, jak fellachowie w nie-

bieskich galabijach i białych turbanach przepływali przed dziobem statku na łodzi. Jeden z nich wołał głośno i klepał ręką w ławkę, na której siedział. Pewnie usiłował w ten sposób zwerbować klientów. Nagle podszedł do mnie Chalid. Stanął tak blisko, że czułam jego oddech.

- Czy nie powiedziałaś, że to najbardziej czarujące miejsce, jakie kiedykolwiek widziałaś?

- Tak, zgadza się... a dlaczego pytasz?

Chalid intensywnie wpatrywał się w rzekę. Objął moje ramię i mocno przytulił się do mnie policzkiem.

- Chodź, zejdźmy z pokładu, warto chyba trochę zwiedzić miasto - powiedział w końcu.

Nie zorientowałam się, że zanim zeszliśmy na ląd, Chalid zabrał z recepcji nasze paszporty.

Tego popołudnia ulice Asuanu były puste, jak wymarłe. Przez okno taksówki wpadała odurzająca woń kwiatów i wolno płynącego Nilu. Nagle nasz szofer spojrzął we wsteczne lusterko. Wjego wzroku dostrzegłam coś nieprzyjemnego. Zaczął głośno i szybko mówić, wymachiwać rękami. Nic nie rozumiałam. Czy on kłóci się z Chalidem? Zaczęło nami rzucać na tylnym siedzeniu i nagle samochód stanął. Chalid otworzył drzwi - był spokojny, nie stracił panowania nad sobą, a na jego twarzy pojawił się przelotny uśmiech.

- Co się stało? - zapytałam, gdy pomagał mi wysiąść.

Żadnej odpowiedzi.

Chalid z wyrazem zaskoczenia na twarzy patrzył za oddalającą się taksówką. Nie jechaliśmy nawet pięciu minut. A kierowca nie chciał zapłaty.

- Powiedz, co tak rozzłościło tego człowieka?

Wzrok Chalida błędził w przestrzeni.

- Znajdziemy innego kierowcę. Ten Egipcjanin uznał, że mam źle w głowie, gdy mu wyjaśniłem, dlaczego chcę jechać do imama.

- Do kogo?

Chalid spojrział na mnie swoimi ciemnymi oczami.

- Do imama - powiedział spokojnie.

- Po co chcesz jechać do imama? Do czego ci potrzebny?

- Nie mnie - nam.

Szeroko otworzyłam oczy, potem zasłoniłam twarz rękami. Nie śmiałam dopuścić do siebie myśli, która właśnie zaświtała mi w głowie. Jak przez mgłę docierały do mnie słowa Chalida:

- Chcę, żebyś została moją żoną, tutaj, teraz... kto wie, co jeszcze może się wydarzyć...jak potoczą się sprawy... Może to ostatnia szansa, by przypieczerować naszą miłość przed Bogiem.

Wszystko zawirowało mi przed oczami, świat zadrżał. Serce na chwilę przestało bić, nie mogłam wydobyć z siebie słowa. Niezdolna nawet się poruszyć, przez kilka sekund głęboko wpatrywałam się w jego oczy. Chalid przyłożył rękę do mojego policzka i otarł spływającą po nim łzę.

- Habibti, proszę, nie! U nas płacze się tylko wtedy, gdy ktoś umrze - powiedział i zaczął się rozglądać za inną taksówką.

Po chwili otrząsnęłam się i znowu wstąpiło we mnie życie. Nie zastanawiając się, rzuciłam się Chalidowi na szyję, najchętniej ścisnęłabym go i całowała z radości. Wiedziałam jednak, że muszę powściągnąć emocje do wieczora.

Nagle przyszło mi do głowy, że nie mamy przy sobie żadnych papierów. Ani dowodów osobistych, ani paszportów, nie mówiąc o metrykach urodzenia.



- Ach, Verena! Jesteśmy przecież w kraju muzułmańskim. Tu obowiązują prawa Koranu, świętej księgi islamu. A w niej nie ma nic na temat takich dokumentów. A poza tym, mam nasze paszporty przy sobie.

Uśmiechając się szeroko, Chalid wskazał na kieszeń na piersi. Otworzyłam oczy ze zdziwienia.

- Chalid? Ale ty mnie nawet nie zapytałeś, czy chcę zostać twoją żoną.

Skinął na przejeżdżającą taksówkę.

- A tak w ogóle - mruknęłam - to masz szczególny sposób oświadczenia się. Jeśli to w ogóle były oświadczyzny.

- Tak, to były oświadczyzny.

Chalid otworzył mi drzwi do samochodu.

Usiadłam na tylnym siedzeniu i w duchu przygotowałam się na wszystko. Chalid zajął miejsce obok kierowcy, który był o wiele młodszy od poprzedniego. Serce biło mi mocno ze zdenerwowania, kiedy samochód toczył się przez centrum miasta. Minęliśmy bazar z barwnymi malutkimi sklepikami i kawiarniami. Z tonu rozmowy i gestykulacji wywnioskowałam, że tym razem między mężczyznami nie doszło do nieporozumień. „Szkoda, że nie znam arabskiego” - pomyślałam. Od czasu do czasu kierowca spoglądał na mnie we wstecznym lusterku, jakby chciał się upewnić, że wszystko jest w porządku.

Jechaliśmy ulicą, która malowniczo pięła się w górę, z dala od tras turystycznych. Wokół pełno było baraszkujących dzieci. Gdzieś tam widać było wałęsające się kozy, kury i psy o zmierzwionej sierści. Chalid i kierowca robili wrażenie spokojnych i zadowolonych, a nawet - rozbawionych. A ja zaczęłam sobie wyobrażać, jak będzie wyglądała ta ceremonia.

Tymczasem kierowca zatrzymał się, by zapytać o dalszą drogę. Natychmiast otoczyła nas gromadka dzieci - zawisły na okienku szofera jak kiść winogron. Brudne paluszki szczypały się, szarpały i odpychały nawzajem. Nieco z boku stała mała dziewczynka i patrzyła na mnie nieśmiało przez szybę. Po chwili kilkoro dzieci pobiegło do domu i ściągnęło posiłki. Wyglądało na to, że wcale nie jest łatwo trafić do imama. W pewnej chwili w pobliskim domu poruszył się jutowy worek, który służył za drzwi, i w szparze ukazała się twarz starej kobiety. Staruszka, częściowo ukryta za poszarpanym materiałem, szybko spojrzała w naszym kierunku i zaraz zniknęła.

Było jasne, że niczego się nie dowiemy. Chalid wetknął szoferowi trochę drobnych na bakszysz dla dzieci i ruszyliśmy dalej. Po pewnym czasie asfalt się skończył, jechaliśmy teraz po kamiennych płytach. Samochód piął się w górę, podskakując na nierównej nawierzchni, a kierowca musiał co chwila się zatrzymywać, żeby nie najechać na kury i bawiące się dzieci. „Żeby tylko sprzęgło wytrzymało” - pomyślałam z niepokojem. Po obu stronach drogi, a właściwie wąskiej uliczki, domy stały ciasno, jeden obok drugiego. W pewnym oddaleniu dostrzegliśmy mężczyznę w niebieskiej galabiji, który przykucnął na ziemi. Chalid wystawił głowę przez okno i zawołał:

- Przepraszam, jak dojechać do imama i meczetu?

Mężczyzna, wyraźnie zaciekawiony, podniósł się z kucek i przyczłapał do nas, cały czas żując coś w ustach. Zawstydzona odwróciłam spojrzenie. Co on sobie musiał pomyśleć, ten Egipcjanin! Oto Arab wiezie Europejkę na tylnym siedzeniu takśówki, jakjakiś towar, by na końcu świata, pośród kóz, kogutów i kur, pójść z nią do imama. Po krótkiej wymianie słów, mężczy-

zna wskazał kierunek w górę ulicy. Jasne, innej drogi przecież tu nie było. Kilka metrów dalej uliczka ostro skręcała. O mały włos, a nasz samochód na dobre zaklinowałby się między dwoma domami. Klnąc i złorzecząc, kierowca wrzucił wsteczny bieg i próbował się wycofać, aby uwolnić samochód z pułapki. Sprzęgło niebezpiecznie zarzęziło. Chalid wyskoczył z wozu, podwinął rękawy i z całej siły odepchnął karoserię od muru. Powoli zaczynałam mieć dość. Bałam się, że facet zaraz się wścieknie, będziemy mu musieli zapłacić zajazdę, a dalej iść pieszo.

Na szczęście nic takiego się nie wydarzyło.

Uliczka nagle się skończyła, a my znaleźliśmy się na placu, wysoko nad miastem. Nieco dalej wznosiła się starożytna twierdza. Mężczyźni przez kilka sekund patrzyli na siebie pytająco, ale Chalid zaraz stuknął kierowcę w bok i obaj rozeźmieli się z ulgą. Dostrzegli meczet. Był wciśnięty między domy, ściana przy ścianie, mur przy murze. Zaraz też otoczyły nas dzieci, które bez przerwy coś gadały jedno przez drugie, biegały i skakały bardzo podekscytowane. W towarzystwie kilku chłopców mężczyźni podeszli do meczetu i zastukali w ciężką, drewnianą bramę.

Tymczasem we mnie wpatrywał się tuzin dziecięcych oczu. Zaczęłam nerwowo grzebać w torebce. Naraz, ku zaskoczeniu wszystkich, brama się uchyliła. Widziałam, jak taksówkarz zamienił z kimś parę słów; potem odsunął się i zrobił miejsce Chalidowi. Teraz on wyłuszczał swoją sprawę. Serce skoczyło mi do gardła, waliło w skroniach, gdy patrzyłam, jak Chalid stoi i wyjaśnia, z czym przyszedł, i prosi. Najprawdopodobniej zaraz mu odmówią. W końcu zobaczyłam, że Chalid się odwraca, a drewniana brama zamyka się za nim. Mężczyźni nachylili się

ku sobie i coś tam szeptali; pewnie się naradzali. Chalid nerwowo przestępował z nogi na nogę, a nasz kierowca usiłował przepędzić rozdokazywane, ciekawskie dzieciaki. Moje zdenerwowanie jeszcze wzrosło, gdy zobaczyłam, że oto brama otwiera się znowu. Nastąpiła krótka wymiana zdań, a potem Chalid odwrócił się i zaczął iść prosto do mnie. Aż mnie zakłuło w piersi. „Boże, miej mnie w swojej opiece” - pomyślałam, gdyż nagle zrozumiałam powagę sytuacji. Przecież Chalid ani słowem nie pouczył mnie, jak mam się zachowywać przed muzułmańskim duchownym. Nie wiedziałam nic o Koranie, o imamach, rytuałach i o proroku Mahomecie.

Na pewno wiedziałam tylko jedno: to jest ta niespodzianka, zapowiedziana przez Chalida.

A Chalid z nieporuszoną twarzą podszedł do wozu, otworzył drzwi i poprosił, żebym wysiadła.

Spojrzałam na niego wielkimi, przestraszonymi oczami.

- Chalid, czy ty wiesz, co robisz?

- Oczywiście. Chodźmy.

Ku mojemu ogromnemu zdumieniu teraz już nikt, nawet małe dzieci, nie odważyły się do nas zbliżyć. Wyglądało na to, że wizyta u imama budzi prawdziwy respekt.

Z mocno bijącym sercem przekroczyłam wrota świątyni. Mężczyzna w galabiji i czapeczce na głowie zamknął za nami wierzeje. Ku mojemu zaskoczeniu znaleźliśmy się na pięknym wewnętrznym dziedzińcu. Cieniste drzewa i wesoło pluskająca fontanna tworzyły przyjemną, spokojną atmosferę. Mężczyzna dał znak, by iść za nim. Arkadowe przejście prowadziło do pomieszczenia, które znajdowało się tuż przy bramie wejściowej meczetu.

Siedząc na chłodnym, jasnym murku, czekaliśmy w napięciu na wielkiego imama. Nawa boczna, wraz z kopułowym malowanym sklepieniem i łukowatym wejściem, sama wyglądała jak mały meczet. Ściany były częściowo ozdobione prześlicznymi, orientalnymi motywami. Za siedziska służyły skromne murki, które przywodziły na myśl wnętrze mauretańskiej herbaciarni.

Uczony mąż mógł się pojawić w każdej chwili. Najakiekolwiek wprowadzenie w sury Koranu było za późno.

- Chalid - szepnęłam - czy teraz zostaniemy mężem i żoną?
- Spróbujemy.

Spróbujemy?! Czy to znaczy, że duchowny może się sprzeciwić, zależnie od swojego nastawienia?

W tym momencie pod łukiem pojawił się długi cień. To musi być on! Wysoki, słusznej postury, odziany w białą galabiję, w turbanie i z długą, siwą brodą. Spojrzałam szybko na twarz duchownego, usiłując odczytać coś z jej wyrazu: odmówi, czy nie?

Wraz z pojawieniem się imama wewnątrz meczetu wypełniła atmosfera powagi i pewnej surowości. Chalid podniósł się z szacunkiem. Ja również. Przez chwilę wahałam się, nie wiedząc, jak mam się przywitać. Ale on po prostu podał mi rękę - tak jak Chalidowi, nie bacząc na sztywne nakazy religijne. Zrobiło to na mnie duże wrażenie. Potem, znowu pomijając powitalne rytuały, usiadł na murku i dał znak, byśmy także zajęli miejsca. I niemal od razu z poważną i surową miną wezwał Chalida do przedłożenia sprawy.

Gdy Chalid, wyraźnie zdenerwowany, formułował zdania, ja aż skurczyłam się w sobie z niepewności i zawstydzenia. Bo co on mógł sobie o mnie myśleć, ten imam? Pewnie miał mnie za uwodzicielkę, która doprowadziła tego dumnego, niewinnego

Araba do szaleństwa. Ja byłam kusicielką - a Chalid biedną, godną pożałowania ofiarą. W każdym razie miałam nadzieję, że Chalid stanie w obronie mojej czci.

Tymczasem imam podciągnął nogi i usiadł na murku - który miał kształt tronu - po turecku. W skupieniu wsłuchiwał się w słowa Chalida. Od czasu do czasu rzucał jakąś uwagę albo w zamyśleniu przesunął ręką po brodzie. Widać było, że jest to głęboka, mądra rozmowa, co kazało mi także przypuszczać, że tak szybko stąd nie wyjdziemy.

Nagle wydało mi się, że spojrzenie osłoniętych okularami oczu imama stało się bardziej zdecydowane. Uporczywie zadawał jakieś pytania, a ton jego głosu brzmiał nieco ostrzej. Przez cały czas Chalid nie odważył się na mnie spojrzeć, nawet kątem oka. Gdy zobaczyłam, że spuszcza wzrok i milknie, wyraźnie przestraszony, serce ścisnął mi lęk. Potem w pomieszczeniu zapanowała głęboka cisza. „No, to po wszystkim” - pomyślałam.

Tymczasem imam nieoczekiwanie rozpoczął coś, co przypominało kazanie. Mówił spokojnie, ale dobitnie. Słuchając jego słów, wywnioskowałam, że pewnie cytuje Koran. Tak bardzo chciałam wziąć Chalida za rękę, dodać mu otuchy, pokazać, jak jestem z niego dumna. Imam przemawiał i przemawiał, to był niekończący się potok słów. Nagle umilkł. Znowu zapanowała cisza. Pełna napięcia i niepewności.

Kątem oka dostrzegłam, że Chalid stoi z pokornie spuszczoną głową. To mogło oznaczać wszystko: pochylenie głowy pod koniec kazania imama, zawstydzenie, rozczarowanie, uległość. Nie umiałam ocenić sytuacji.

Nagle duchowny poruszył się, spuścił nogi. Serce ścisnął mi strach. Wyglądało to tak, jakby właśnie zamierzał wstać

i wyjść. Z niepokojem spójrzałam na Chalida, potem na imama. Patrzyłam na niego błagalnie, prosząc spojrzeniem o wyrozumiałość, o litość, o wybaczenie... o co tylko chce - byleby wreszcie dał nam błogosławieństwo!

Cały czas panowała budząca lęk cisza. Wreszcie imam znowu zaczął mówić. Słowa padały coraz gwałtowniej, jego spojrzenie było ostre i surowe, gesty i mimika - wymowne, upominające. Ale i to, co wtrącał Chalid, brzmiało odważnie i bardziej stanowczo. Imam mówił coraz głośniej i głośniej - jakby chciał wstrząsnąć Chalidem, obudzić go i spytać: „Gdzie się podział twój rozum?” Chyba oboje go postradaliśmy!

Zimny pot spłynął mi po karku.

I wtedy imam wstał, i odszedł, a Chalid posłał mi zwycięski uśmiech. Za chwilę duchowny wrócił z blokiem do pisania i atramentem. Wręczył Chalidowi papier i pióro, a sam z powrotem usiadł na murku. Ze zdumieniem zobaczyłam, że imam zaczął dyktować coś Chalidowi. To pewnie były sury Koranu. Kartka papieru zaczęła się zapełniać pięknymi znakami arabskiego pisma. W pewnej chwili obaj mężczyźni nawet się uśmiechnęli - przy moim imieniu. Dwa słowa, które imam wymówił z największym trudem.

W końcu wszystko zostało napisane - było po wszystkim. Mieliśmy to czarno na białym: nasz dokument ślubu. Gdybym mogła, ze szczęścia i wdzięczności rzuciłabym się imamowi na szyję.

Jak na skrzydłach przebiegłam przez dziedziniec. Gdy zamykały się za nami ciężkie, drewniane wierzaje, w oczach imama dostrzegłam jednak cień wątpliwości.

- Czy teraz naprawdę jestem twoją żoną? - zapytałam, spoglądając na Chalida nieśmiało.

Nie posiadałam się ze szczęścia i ledwie mogłam ukryć radość.

- Chodźmy szybko do samochodu - odpowiedział z niepewnym uśmiechem.

Taksówka, którą przyjechaliśmy, przez cały czas czekała na nas przed meczetem. Ledwie wsiedliśmy, a już Chalid wdał się w dyskusję z kierowcą. Znowu potok arabskich słów. Na twarzy taksówkarza malowało się niepomierne zdumienie. Pewnie niecodziennie zdarza mu się taki szalony kurs.

- Boże święty, Chalid, powiedz mi wreszcie! - niecierpliwie szarpałam go za koszulę.

Ale on nie dał się odciągnąć od rozmowy. Samochód ruszył, a Chalid najspokojniej mówił dalej. Jasne! W końcu to mężczyzna!

Pochyliłam się do przodu, wsuwając głowę między nich, tak jakbym chciała coś zrozumieć z rozmowy. Nagle kierowca wskazał na siebie, tak jakby mówił: „Coo, ja?!”

Potem wybuchnął głośnym śmiechem. Co go tak rozbawiło?

- Chalid, powiedz mi natychmiast: jesteśmy małżeństwem, czy nie?!

- Częściowo tak.

- Nie rozumiem... co to znaczy: częściowo?

- Potrzebujemy jeszcze świadków. Albo dwóch mężczyzn, albo czterech kobiet, albo mężczyzn i dwóch kobiet.

- Dałbyś spokój tym żartom.

- To nie są żarty. Tak to u nas wygląda.

„U nas właściwie też” - pomyślałam. Z tą różnicą, że głos kobiety traktuje się tak samo, jak mężczyzny. Zgodnie z tym, co powiedział Chalid, w islamie kobieta liczy się jako połowa osoby. Nie zdziwiło mnie to, tylko okropnie rozzłościło.

- Jednego świadka już mamy, prawda, Hassan?



I Chalid ze śmiechem klepnął kierowcę po ramieniu.

- A kto ma być drugim? - zapytałam zdumiona.

- Wkrótce zobaczysz.

Nerwowo wciągnęłam powietrze. Odkąd wyjechaliśmy z Kairu, ciągle jakieś niespodzianki, niekoniecznie przyjemne; nic nie idzie tak, jak zostało zaplanowane, a teraz jeszcze to?!

- Nasze małżeństwo będzie ważne dopiero wtedy, gdy dokument zostanie podpisany przez nas i przez świadków.

Kiedy to usłyszałam, odebrało mi mowę. A zatem ceremonia w meczecie była prawdziwa? A zatem Chalidowi naprawdę zależało na tym, by nasze małżeństwo zawrzeć przed Bogiem?

Oszołomiona opadłam na oparcie; zamyślona patrzyłam przez okno na mijane domy i zaprzęgnięte w osły małe wózki, jadące drogą.

Kiedy już prawie dojechaliśmy do nabrzeża, Chalid nagle odwrócił się do mnie i powiedział:

- W podróż poślubną pojedziemy do Luksoru. Od razu, teraz.

- Co takiego? Przecież już jest piąta. Zdaje się, że z Asuanu do Luksoru jest dobre dwieście kilometrów?

- Ach, wiesz, nie mam ochoty wracać do tej ciasnej kabiny. Chciałbym uczcić nasze małe szczęście tylko z tobą, w apartamencie na „Ismailiji”. Poza tym Ibrahim potwierdził dzisiaj rano, że załoga statku oczekuje nas już od dwóch dni.

Z mojej piersi wyrwało się głębokie westchnienie, ale zrezygnowałam z protestów i poddałam się losowi. Nagle Chalidowi zaczęło się bardzo śpieszyć. Błyskawicznie wymeldowaliśmy się z M/S „Jaśmin” „nasz przyjaciel Hassan” złapał walizki i znowu mieliśmy ruszyć doliną Nilu.

- Chwileczkę! - zawołałam. - Chalid, czy nie byłoby rozsądniej jeszcze raz zadzwonić do Kairu i upewnić się, czy „Isma-ilija” rzeczywiście ciągle jest w Luksorze?

Chalid rzucił mi zniecierpliwione spojrzenie, ale zastanowił się przez chwilę i powiedział:

- No, dobrze! Jeśli to cię uspokoi...

Kiedy wrócił, nic w jego oczach nie wskazywało na to, czego się dowiedział. Usiadł obok mnie i powiedział:

- Możemy jechać, Hassan.

Nad doliną Nilu nachylał się właśnie chłodny wieczór. Jeśli wszystko poszłoby dobrze, mieliśmy dojechać do Luksoru, miasta świątyń, w ciągu dwóch godzin. Z żalem myślałam o pięknym Asuanie - tak nagle musiałam opuścić to czarujące miejsce. Wszystko działo się tak szybko. Za szybko. Najpierw nie udało się odnaleźć statku, potem okazało się, że wszystkie hotele są zajęte... nie zdążyliśmy się wybrać na przejażdżkę feluką... a teraz jedziemy o zmierzchu doliną Nilu. „Żeby tylko ta nieszczęsna karoca to wytrzymała...” - pomyślałam z niepokojem.

- Udało ci się złapać Nabila? - zapytałam po chwili.

- Nie, rozmawiałem z Ibrahimem. Jutro rano wszyscy zjadą do Luksoru. Cieszysz się na przejażdżkę?

I Chalid ścisnął mnie za rękę.

- Nie umiem ci nawet powiedzieć, jak mnie uszczęśliwiasz...  
- szepnęłam.

Jego oczy promieniały zadowoleniem. Mimo iż siedzieliśmy obok siebie, nie wypadało nawet bliżej się przysunąć, a o przytulaniu czy obejmowaniu mogliśmy jedynie pomarzyć. Ale i tak było cudownie, i pomyślałam, że jeśli przytrafiłoby mi się teraz coś złego, to umierałabym jako szczęśliwa kobieta.

Tymczasem mijaliśmy ciągnące się bez końca kamieniołomy granitów, przejeżdżaliśmy obok staroegipskich cmentarzysk, a wokół unosiły się piaski pustyni. Cała okolica pełna była mglistych cieni i tajemniczych mroków - jak piękny, niezapomniany sen...

Gdy ciemność spowiła Nil, Chalid objął mnie. Spojrzałam na niego - jakże pragnęłam dotknąć jego warg! Ale jedyne, co mogłam zrobić, to oprzeć głowę na jego ramieniu. Światła mijanych domów zostawały za nami i coraz mniejsze, i mniejsze znikały w ciemnościach. W końcu zasnęłam, ukołysana jednostajnym szumem silnika.

- Darling, obudź się... - usłyszałam nagle.

Wzdrygnęłam się, przestraszona tym nagłym wyrwaniem ze snu.

- Jesteśmy na miejscu? - zapytałam.

- Niezupełnie. Ale musimy teraz koniecznie zrobić małą przerwę.

Rozejrzałam się i dostrzegłam zarysy budynekczku nędznej kafejki. Pod blaszanym daszkiem nad wejściem paliły się lampki. W drzwiach stał mężczyzna ze skrzyżowanymi na piersi rękami i patrzył na ulicę.

- Chalid, jestem zmęczona... idź sam czegoś się napić.

- Nie możemy zostawić cię w samochodzie, no chodź, wysiadamy.

Nie rozumiałam, na czym polega problem. Przecież samochód stoi w zasięgu wzroku, na wprost wejścia. Ale Chalid obstawał przy swoim. Koniec. Kropka. Zła, wysiadłam z auta i poszłam za mężczyznami.

- A tak w ogóle, to gdzie jesteśmy?

- W Edfu - padła odpowiedź.

Spojrzałam na zegarek i stwierdziłam, że Edfu musi leżeć mniej więcej w połowie drogi do Luksoru.

Kiedy wchodziliśmy do kafejki, niechętnym wzrokiem obrzuciło mnie kilku mężczyzn. Zażenowana spuściłam wzrok i ukryłam się za plecami Chalida.

Mały lokalik był długi i wąski, przedzielony ścianką na dwie części. Usiedliśmy w pierwszym pomieszczeniu, w którym pod ścianami ustawione były małe drewniane stoliki. W drugiej części lokalu siedzieli mężczyźni i oglądali telewizję. Zaczęłam się zastanawiać, czy ktoś nas w ogóle obsłuży. Dwóch muzulantów i Europejka. I czarnajak smoła noc.

Na twarzach obecnych malowała się rezerwa i wyraźna niechęć. „Chalid chyba wie, co robi” - pomyślałam.

- Czego się napijesz, Verena?

O dziwo, do naszego stolika podszedł właściciel, Egipcjanin w brązowych spodniach, przepasany kuchennym fartuchem.

Kiedy mężczyzna się oddalił, Chalid oznajmił uroczyście:

- Skarbie, zaraz ostatecznie dokonamy aktu naszych zaślubin.

Upłynęła dobra chwila, zanim dotarło do mnie, co ma na myśli.

- Ale chyba nie tutaj? - wyszeptałam oburzona. - Dlaczego nie weźmiemy na świadków Ibrahima i Nabila?

- Zrobimy to teraz - powtórzył Chalid z pełnym napięcia uśmiechem.

I zanim zdołałam zaprotestować, on już odwrócił głowę i zaczął konferować z „naszym przyjacielem Hassanem”.

Jak spiskowcy przysunęli do siebie głowy, wydawało się, że coś tam potajemnie knują i planują. Chalid poprosił mnie o nasz „święty dokument”. Wyjęłam go z torebki, a on ostroż-

nie, jak coś drogiego, rozłożył papier na stole. Hassan pochylił się nad wypisanymi niebieskim atramentem znakami, po jego twarzy przemknął lekki uśmiech, pełen jednak nabożnej czci. Mężczyźni wymienili szybkie spojrzenia - pakt został zawarty. Hassan zabrał się do dzieła.

Zdecydowanym ruchem odchylił się w bok od stolika i śmiało zagadał do gościa siedzącego przy sąsiednim stole. Prawie jednocześnie Chalid dał nieznajomemu znak, by ten się do nas przysiadł. Mężczyzna uśmiechnął się z zakłopotaniem, zupełnie jakby z docierających do niego okruczeństw rozmowy zorientował się, o co chodzi. Podniósł się onieśmielony i przyciągnął krzesło do naszego stolika. Usiadł. Chalid przywołał obsługę, by zamówić dla nieznajomego kawę, ale ten, ku naszemu zaskoczeniu, poprosił o podwójną wódkę daktylową. Z pewnością normalnie nie mógłby sobie na coś takiego pozwolić. Byłam pewna, że pozostali mężczyźni nas podsłuchują. Także właściciel kafejki bez przerwy, niby to przypadkiem, przechodził koło naszego stolika: a to przecierał stoły, a to wychodził na zewnątrz i przez chwilę patrzył na ulicę, ale zaraz wracał. Doprawdy, scenajak z filmu.

Ukradkiem spojrzałam nad ramieniem Chalida na nieznajomego mężczyznę, by się przekonać, jak zareagował na przedstawioną mu prośbę. A on odchrząknął i siedział, nic nie mówiąc, jakby na coś czekał. No jasne, przecież to nie było co, i w dodatku wszystko spadło na niego tak nagle.

Kiedy nieznajomy zamówił drugą wódkę, do akcji wkroczył Chalid. Wyciągnął nasz dokument i podsunął Egipcjaninowi. Przypatrywałam się, jak mężczyzna powoli studiuje wersy, pokazując i uśmiechając się pod nosem. Zastanawiałam się, czy on

w ogóle umie czytać? A może podejrzewał, że to jakaś ciemna sprawa, jakieś oszustwo?

- Verena... - nieoczekiwanie Chalid zwrócił się do mnie, a obaj Egipcjanie spojrzeli na mnie wyczekująco.

- Verena... - powtórzyłeś jeszcze raz Chalid - ten mężczyzna chciałby się od ciebie dowiedzieć, czy zgadzasz się na zawarcie małżeństwa.

Sytuacja była osobliwa i w końcu zachciało mi się śmiać. Zmusiłam się jednak do zachowania powagi. Przy tym wszystkim byłam kompletnie zaskoczona: nigdy bym nie pomyślała, że ten Egipcjanin zapyta mnie o zdanie! Jednak powaga, z jaką trzech mężczyzn podchodzili do sprawy, dowodziła, że wszystko miało charakter jak najbardziej oficjalny.

- Yes, I do - kiwnęłam głową, a jednocześnie poszukałam oczu Chalida, który wpatrywał się we mnie jak zakłęty.

Po chwili mężczyźni uroczyście podpisali dokument. Ja także, jako ostatnia.

Jakby mi rozum odjęło. Gdy składałam podpis, wszystkie oczy były skierowane na mnie. „W domu nikt mi nie uwierzy - pomyślałam. - A co powie Aileen! Boże, gdyby ona wiedziała, co się tu teraz dzieje w tym zapomnianym przez Boga miejscu!”

Chalid zapłacił za napoje, czas było ruszać w dalszą drogę.

Gdy wstaliśmy od stolika i szliśmy do drzwi, rozległo się za nami głośne stukanie, walenie i hurgot. Przestraszona rozejrzałam się dookoła i zobaczyłam, jak mężczyźni tłuką i walą pokrywkami, kubkami i innymi naczyniami. Stanęłam jak wryta z ustami otwartymi ze zdumienia. Chalid pociągnął mnie za rękaw. Okropnie zażenowany, niepewnie uśmiechał się pod nosem. Walenie i stukanie za nami było teraz po prostu nie do zniesienia, aż

w końcu wszystko zagłuszyły dzikie, ostre i przeraźliwe gwizdy i terkotanie. Goście gromadą ruszyli za nami do samochodu, zbiegowisko było coraz większe. Chalid szybko wepchnął mnie na tylne siedzenie. Zobaczyłam jeszcze tylko, jak sięga do kieszeni i rozdaje bakszysz. Potem i on schronił się w samochodzie.

- No, Hassan, ruszaj!

Mężczyźni ciągle jeszcze gwizdali i hałasowali, stojąc na wąskim chodniku. Kiedy skręciliśmy za róg i hałas ucichł, do naszych uszu dotarło grzechotanie jednej jedynej puszki. Hassan rzucił ukradkowe spojrzenie we wsteczne lustro. Raptem wszyscy wybuchnęliśmy głośnym, serdecznym śmiechem.

- Chalid, powiedz mi, czy to wszystko, co się dzieje, to prawda? Chociaż ten miły gest miejscowych wzruszył mnie niewymownie, to teraz nie mogłam się powstrzymać od śmiechu - aż mi łzy poleciały po twarzy.

Chalid także nie mógł się opanować, z zadowoleniem zatarł ręce, ale zaraz rzucił:

- Hassan, zatrzymaj się, proszę, nie będziemy tej puszki ciągnąć przez całą dolinę.

Jechaliśmy dalej. Zamyśliłam się. Przed moimi oczami co chwila pojawiały się obrazy minionego dnia: kafejka, mężczyźni skrycie naradzający się przy stoliku; widziałam imama, meczet, a w uszach brzmiała mi przemowa Chalida. Tyle niezwykłych wrażeń - za dużo jak na ten jeden dzień i jak na mnie. Trwało to dobrą chwilę. Wreszcie dotarło do mnie, że jestem mężatką. „Oto zawarłam związek małżeński i w dodatku - według obrządku muzułmańskiego! To historyczny dzień!” - pomyślałam olśniona. A potem nagle wydało mi się, jakby od tego cudownego zdarzenia zadrżała cała dolina Nilu.

Wreszcie po kilku godzinach od wyjazdu z Asuanu na horyzoncie zobaczyłam tysiące światła. Podekscytowana spoglądałam w napięciu w kierunku celu naszej podróży - Luksoru, miasta świątyni.

Przy gwarным nabrzeżu, jeden obok drugiego, wznosiły się budynki luksusowych hoteli, banków, biur turystycznych. Podobnie jak w Asuanie na przystani w podwójnych albo potrójnych rzędach kołysały się zacumowane dziesiątki statków. „Oj, niełatwo tu będzie znaleźć „Ismailiję” - pomyślałam - poszukiwania mogą potrwać nawet godzinę”.

Hassan zatrzymał samochód tuż przy przystani. Nie wiadomo było, jak długo potrwać poszukiwania naszego statku, ale kierowca, który jeździł z nami już siedem godzin, nie zażądał jeszcze nawet jednego piastra.

W napięciu patrzyłam za Chalidem i Hassanem, gdy zbliżali się do jasno oświetlonych statków. Przez chwilę wyglądało na to, że szczęście nam dopisuje, że jeszcze trochę, a wreszcie odnajdziemy naszą „Ismailię”. Jeden z marynarzy kiwnął głową i wskazał ręką w konkretnym kierunku. Wkrótce potem straciłam z oczu obu mężczyzn - zniknęli w tłumie turystów, handlarzy i zebranych dzieci, przewalających się po promenadzie i oblegających statki.

Wrócili po pewnym czasie - niestety - znowu z niczym. Znaleźliśmy się w punkcie wyjścia - ani śladu statku. Poszukiwania „Ismailiji” powoli zamieniały się w koszmar, a ja po raz pierwszy zadałam sobie w duchu pytanie, dlaczego nie mogliśmy po prostu wykupić rejsu po Nilu zwykłym statkiem turystycznym - jak inni ludzie; dlaczego nie możemy teraz spokojnie włóczyć się po malowniczych orientalnych bazarach albo spoglądać na Nil z tarasu „Savoya”.



Żadne z nas nie odzywało się ani słowem, gdy samochód znowu powolutku potoczył się wzdłuż nabrzeża. Zatrzymaliśmy się jeszcze raz i mężczyźni wysiedli. Widziałam, jak wołają do marynarzy na statkach, jak gestykulują i wypytują miejscowych. Podchodziło coraz więcej ludzi, każdy chciał wtrącić swoje trzy grosze. W końcu uzmysłowiłam sobie, że nikt, absolutnie nikt nie wie, gdzie jest ten nieszczęsny statek. Nawet ci w Kairze.

- Jeśli Bóg zechce, to już jutro razem Al-Naserami wejdziemy na pokład - powiedział Chalid, wsiadając z powrotem do samochodu.

„Oby!” - pomyślałam.

Teraz należało znaleźć jakąś kwaterę. Hassan nawet nie próbował szukać w obłożonych hotelach nad Nilem. Od razu pojechał do centrum miasta, gdzie szybko udało się znaleźć nocleg. Co prawda nie mieliśmy wspaniałego widoku na rzekę - ale było za to łóżko do spania.

Przy pożegnaniu musieliśmy uroczyście przyrzec naszemu kierowcy, że odwiedzimy go, gdy wrócimy do Asuanu.

- Moja żona przygotowuje uroczyste przyjęcie - powiedział Hassan - w końcu trzeba jakoś uczcić ten dzisiejszy dzień. Przecież należycie teraz do mojej rodziny - dodał - po czym, zadowolony z sówitej zapłaty, wsiadł do samochodu i odjechał.

Pierwsze, co zrobił Chalid, to zadzwonił do Kairu. U nas nie niepokoi się nikogo telefonami o tak późnej porze, to po prostu niegrzeczne - ale tu panują inne obyczaje. Rzuciłam się na daktyle na talerzu i wsłuchiwałam się w rozmowę. Głos Chalida to się zniżał, to podnosił, aż w końcu ucichł. Na jego twarzy pojawił się wyraz napięcia. W pewnej chwili usłyszałam

gardłowy dźwięk, cośjakbyjęk zwątpienia. A potem z ust Chalida popłynął gwałtowny potok karcących słów.

Kiedy wreszcie odłożył słuchawkę, spojrzął na mnie bardzo niepewnie.

- Verena, kochanie, muszę ci coś wyznać - powiedział, a wyraz jego twarzy zdradzał poczucie winy - nasz statek jestjednak w Asuanie.

Tego już było za wiele.

- Nie, proszę, nie... -jęknęłam bliska załamania.

Ziemia zakołysała mi się pod stopami, z trudem chwytałam oddech, cała krew odpłynęła mi z twarzy - w tej chwili miałam tylkojedno pragnienie: żeby się to wszystko wreszcie skończyło. Teraz. Natychmiast.

Chalid złapał mnie i podtrzymał, potrząsnął za ramiona, próbował mnie jakoś rozśmieszyć i - jak zwykle - zbagatelizować sprawę.

- Hej, słuchaj, nie jest tak źle, przecież nie musimy wracać taksówką. Polecimy do Asuanu porannym samolotem. To znaczy wsiądziemy do samolotu, którym leci klan Al-Naserów.

- Cicho, nic nie mów. Mam już dość tych bajek.

- No już, już, moja słodka, mała żono! Nie ma sensu się złościć. Przed nami noc poślubna. Ale najpierw chodźmy coś zjeść, pewnie jesteś bardzo głodna.

Spazmatycznie wciągnęłam powietrze, chciałam coś powiedzieć, ale dotarło do mnie, że to nie ma sensu. Co najwyżej, osiągnę przeciwny skutek. Z rezygnacją wetknęłam torbę pod ramię i przez chwilę udawałam obrażoną - nie mogło mu to ująć tak zupełnie bezkarnie.

## *"Telestar 1"*

Byłojeszcze ciemno, gdy ze snu wyrwało nas budzenie na życzenie.

- Habibti, wstawaj, już siódma.

Nawet się nie ruszyłam. Usłyszałam, że Chalid idzie do łazienki i znowu zapadłam w drzemkę.

- Skarbie, jeśli zaraz nie wstaniesz, nie starczy nam czasu na śniadanie - tym razem głos Chalida zabrzmiał zdecydowanie.

Wczepiłam się w poduszkę i zamknawszy oczy, próbowałam sprawić, by Chalid zniknął. Ale nic z tego. Nadal stał przy moim łóżku. W końcu zniecierpliwiony ściągnął ze mnie kołdrę. Chwilę potem zadzwonił telefon. Boże, czy tu musi być taki hałas! Jedyne, co mogę znieść o tak wczesnej porze, to szum wody napełniającej wannę i zapach olejków do kąpieli.

Ledwie weszłam do łazienki, a już Chalid załomotał do drzwi.

- Verena, Verena! Zęby możesz umyć w Asuanie. Musimy natychmiast jechać na lotnisko. Wszyscy na nas czekają. Nabil jest już na dole, przy recepcji. Samolot leci nie o dziewiątej, a o ósmej. Szybko, pośpiesz się!

Szarpnęłam drzwi i wypadłam z łazienki. Przebiegając obok Chalida zakląłam po niemiecku: „Do diabła, mam tego wszystkiego po dziurki w nosie, ja chcę do domu...”

Chalid stał oniemiały w do połowy podciągniętych spodniach, kompletnie nie rozumiejąc, o co mi chodzi. Bo przecież taka sytuacja, to dla Arabów nic nadzwyczajnego: albo całymi dniami nic się nie dzieje, albo nagle trzeba rzucić wszystko i lecieć na łeb na szyję, choćby się waliło i paliło.

- Kochanie, ale teraz będzie wspaniale, zobaczysz, będzie cudownie, proszę cię...

- Nic nie mów, po prostu nic nie mów, zaraz będę gotowa.

Ktoś zapukał do drzwi, to był portier. Dziesięć minut później bez tchu lecieliśmy przez hotelowe foyer do wyjścia; rachunek został już zapłacony przez Nabila. Na ulicy czekał samochód z włączonym silnikiem. Pięć po ósmej byliśmy już na lotnisku. Pognaliśmy z bagażami w kierunku wyjścia dla VIP-ów, gdzie stał człowiek z ochrony lotniska z krótkofalówką w ręku. Dysząc, spojrzałam na płytę lotniska i dostrzegłam wielką maszynę floty Al-Naserów. Czy to jest właśnie nasz samolot? Nagle w krótkofalówce usłyszałam jakieś nawoływanie. W tym czasie podjechał lotniskowy minibus, do którego wrzucono nasze walizki i nas - że tak powiem - zaraz za nimi. Bez biletu i karty pokładowej.

Gdy zbliżyliśmy się do samolotu, twarz Nabila rozjaśnił szeroki uśmiech. Był z siebie zadowolony. Zadowolony, że oto udało mu się podczas rozkładowego międzylądowania wyrwać przyjaciół z łóżka i zafrachtować do samolotu. Nie do pojęcia!

Kiedy wchodziliśmy na pokład, w naszym kierunku spojrzęła dwieście par oczu: jedno z wyrzutem, inne - z zaciekawieniem. W tej chwili dobiegł mnie skądś charakterystyczny głos Ibrahima:

- Ah, shech Chalid, shech Chalid, welcome... Ahlan wa sahlan.

Jednocześnie rozległo się klaskanie, coraz głośniejsze i głośniejsze. Byłam tak zawstydzona, że ledwie śmiałam spojrzeć na naszych przyjaciół.

- Verena, usiądź w fotelu, przywitamy się z nimi w Asuanie.

Z ulgą przecisnęłam się do miejsca przy oknie. Chalid usiadł obok mnie, a Nabil zajął miejsce od strony przejścia.

Gdy maszyna wzniosła się w górę, a w dole pustynia roziskrzyła w porannych słońcu, poczułam ulgę. „Tyle tu już przeżyłam w ciągu tak krótkiego czasu... inni nie zaznają tego przez całe swoje życie” - pomyślałam.

Asuan zdawał się dopiero budzić, kiedy kilkoma taksówkami jechaliśmy nabrzeżem Nilu.

- Popatrzcie tam - powiedział Nabil - czy widzicie tę wieżę? To hotel „The Oberoi”. A widzicie statek przed nim? To nasz statek.

Aileen i ja z radości padłyśmy sobie w ramiona. Jak to dobrze, że wreszcie wiedzą, gdzie jest ten nasz statek.

- Oczywiście, nie przyszło nam do głowy, że „Ismailija” może znajdować się po drugiej stronie rzeki - powiedział Chalid.

- To nie jest drugi brzeg, to, co widzicie, to wyspa, nazywa się Elefantine.

- Aha... - mruknęłam. - Aileen, pokaż mi swoją mapę... wiedziałaś, że na Nilu jest taka duża wyspa?

Aileen obrzuciła mnie badawczym spojrzeniem.

- Ale powiedz, Verena, co wy właściwie robiliście przez te dwa dni w Asuanie?

Poczułam, że się czerwienię.

- Ach, Aileen, gdybyś wiedziała. Później ci wszystko opowiem, ze szczegółami.

Po pięciominutowej przeprawie hotelowym promem przybiliśmy do południowego krańca wyspy. Ku naszemu zaskoczeniu spośród palm wyrósł przed nami ogromny, arabski, bajkowy namiot, a przed nim stał dumnie nasz statek. Kiedy jednak spojrzałam na nazwę statku, nie wierzyłam własnym oczom: „Tele-

**/**<sup>n</sup>

- Chalid, czy nasz statek zmienił nazwę?

To było paskudne z mojej strony, wiedziałam o tym. Bo przecież Chalid niczemu nie był winny. A teraz okazało się jeszcze, że podano nam niewłaściwą nazwę statku! No cóż...

Zdziwiła mnie nazwa dla statku pływającego po Nilu: „Telestar I”. Najwyraźniej był to ukłon w stronę Zachodu, w stronę fałszywie pojętej nowoczesności; pomysł całkowicie chybiony, nazwa kompletnie niepasująca do czarującej doliny Nilu.

Ale już na pokładzie czekał na nas Chalifa, właściciel statku. Musiał być, podobnie jak bracia Al-Naserowie, bardzo wpływowym człowiekiem. W każdym razie jego statek cumował w jednym z najlepszych miejsc przy pierwszej katarakcie. Przywitanie odbyło się w przestronnej poczekalni statku, gdzie pan Chalifa oczekiwał nas otoczony członkami rodziny i przyjaciółmi. Był to korpulentny mężczyzna po pięćdziesiątce, ubrany niedbale i z rozwichrzonymi włosami. Jedynie zegarek marki Rolex na przegubie dłoni pozwalał sądzić, że jest to człowiek majątny.

Podczas powitalnego koktajlu policzyłam gości. Doszłam do siedemnastu, z których dwunastu było mężczyznami. Razem z Aileen dziwiłyśmy się temu brakowi równowagi płci, ale nie było to dla nas istotne. Najważniejsze, że wreszcie znaleźliśmy się na statku, że rozpoczęła się podróż Nilem, o której tak marzyliśmy.

Podczas gdy mężczyźni zabawiali się leniwą pogawędką, my poszłyśmy do naszych kabin. Nareszcie mogłam dokończyć poranną toaletę, na którą nie było czasu w Luksorze. Ale ledwie stanęłam pod prysznicem, a już rozległo się łomotanie do drzwi.

- Tu serwis: czyszczenie odzieży!

No tak, zaczyna się. Podczas tych kilku dni na Nilu miała nas rozpieszczać pięćdziesięcioosobowa załoga.

Znowu pukanie. Chalid!

- No, całkiem niezła ta nasza kabina. W porównaniu z M/S „Jaśmin” mamy tu aż nadto miejsca.

W istocie, ale gdzie obiecany elegancki apartament, o którym mówił Chalid? Hm... powoli zaczynałam się orientować we wschodnim sposobie myślenia i podejściu do rzeczywistości. Kto wie, może nawet kiedyś do tego się przyzwyczaję, a może pewnego pięknego dnia nawet to polubię...

- Chalid, czekamy jeszcze najakichś gości, czy zaraz wypływamy?

- O ile wiem, odbijamy dopiero po północy. W namiocie przy hotelu „The Oberoi” ma się odbyć wielkie przyjęcie sylwestrowe.

- Masz na myśli ten cudowny, bajeczny namiot, którego wierzchołek widać nad palmami?

- Właśnie ten!

- To fantastycznie!

No, teraz wreszcie wiem, dlaczego nasz statek stoi na kotwicy przy hotelu.

Nad Nil opadła noc, a wraz z nią nadszedł sylwester. Wielki namiot wypełnił się po brzegi. Wyglądało na to, że do Asuanu zjechali wszyscy kairsy prominerenci, aby wspólnie przeżyć sylwestrowy spektakl. Tej nocy zgromadzonym tłumnie gościom mieli towarzyszyć znani muzycy, gwiazdy sceny i ekranu. Pośród tego wesołego zgiełku próbowałam porozmawiać z Aileen, ale okazało się to po prostu niemożliwe - zbyt wielki był hałas i wrzawa. Na krótko przed północą podano szampana. Korki strzelały, piana wylewała się z kieliszków, ręce łakomie wycia-

gały się po wypełnione szlachetnym trunkiem puchary. Jeszcze tylko kilka sekund i wejdziemy w nowy rok. Wszyscy w radosnym napięciu czekali na tę chwilę.

Nagle muzyka ucichła. Napięcie jeszcze wzrosło, a potem nieoczekiwanie na scenie pojawiła się słynna gwiazda egipskiej piosenki, która wzięła mikrofon i zaczęła odliczać czas. Publiczność szalała i biła brawo. Gdy piosenkarka zawołała do mikrofonu: „szczęśliwego nowego roku” i zaraz potem zaczęła swój pierwszy utwór, niemal wszyscy Egipcjanie zalali się łzami. To była najprawdziwsza w świecie ekstaza. Nigdy przedtem czegoś takiego nie przeżyłam. Nie widziałam dotąd ludzi, którzy tak otwarcie okazują emocje! W tej chwili wybaczyłam moim znajomym wszystkie niewygody i trudy, najakie mnie narazili. Ta ich otwartość, ten szczery wybuch uczuć w końcu porwały i mnie. Nagle poczułam, że kocham wszystkich Egipcjan.

Chalid nie czuł się jednak zbyt dobrze w tej atmosferze. Widać było, że nie przywykł do tak jawnego okazywania nastrojów.

Po dwóch czy trzech piosenkach gwiazda zniknęła. Muzyka ucichła. Wszyscy w napięciu spoglądali na scenę. I nagle na zewnątrz rozległy się trzaski, świsty i huk noworocznych fajerwerków. Znowu wszyscy razem, jak w zbiorowej hipnozie, ruszyli z miejsc, wywabieni magicznymi dźwiękami, a wraz z nimi i ja. Widok był wspaniały. Na wodzie lekko kołysały się świątecznie oświetlone statki, w księżycowym blasku śmigwały feluki, których żagle co chwila jaskrawo rozbłyskiwały w ogniu fajerwerków - wyglądało to naprawdę niesamowicie. Miałam wrażenie, że ulatuję w górę razem ze srebrnymi iskrami, które rozpryskiwały się na niebie, by zaraz potem z sykiem zanu-



rzyć się w rzece. Chalid objął mnie ramieniem. Powietrze było świeże, a niebo wisiało nad nami jak baldachim usiany wzorami gwiazd - nisko, bardzo nisko, na wyciągnięcie ręki. Byłam bardzo, bardzo szczęśliwa.

Z głośników rozległy się stłumione, głuchoe dźwięki, potem przeciągły gwizd wzmacniaczy, a wreszcie zmysłowy kobiecy głos:

- Kto chce zobaczyć beledi? - zawołała głośno piosenkarka.

W tle cichutko stukwały bębenki i zabrzmiała arabska muzyka.

Na tę zachętę goście ruszyli z powrotem do namiotu, a tymczasem piosenkarka dalej zagrzewała widzów, nawołując ich i zapraszając. Niepomierne zdumiona zobaczyłam, że diwa nie tylko dysponuje boskim głosem, ale i potrafi uwodzicielsko poruszać biodrami. Kiedy rozkręciła się na dobre, widzowie rzucili się do sceny; nic już nie mogło ich utrzymać w fotelach. Tańcowi towarzyszył nieustający aplauz, ludzie krzyczeli coraz głośniejsze, aż w końcu było słychać tylko jeden wielki, potężny wrzask.

To dopiero był taniec brzucha!

Po jakimś czasie wróciliśmy na statek. Chalifa miał dla nas jeszcze jedną niespodziankę.

Na pokładzie zastaliśmy dwoje nowych gości, a właściwie - troje. Kobietę, mężczyznę i niemowlę. Dumny tata, przyjaciel Chalify, przyleciał właśnie z Paryża wraz z rodziną. Przed laty ten Egipcjanin wyjechał nad Sekwanę, by doskonalić swój kunszt w dziedzinie tańca i mimiki. Teraz miał na naszym statku dać prywatny pokaz. Włosy mężczyzny były długie, czarne, zmierzwiłone, na potylicy zaznaczała się już łysina, ale za to jego twarz zdobiły wspaniałe, bujne i sterczące wąsy. Zniewalający uśmiech i słuszną

postura robiły piorunujące wrażenie. Jak się dowiedzieliśmy, przyjaciel Chalify miał w Paryżu własną szkołę beledi - tańca brzucha. To w niej właśnie - jako uczennicę - poznał swoją przyszłą żonę, Francuzkę. A teraz jeżdżą razem z występami po całym świecie.

W barze czym prędzej zaczęto odsuwać na bok fotele, barman mieszał drinki, z głośników popłynęła arabska muzyka. Pomyślałam, że zaraz będę mogła porozmawiać z Aileen - przez cały wieczór gorączkowo szukałam okazji, by opowiedzieć jej o swoich przeżyciach.

Rozpoczął się występ. Z głośników płynęły dźwięki bębnow, fujarek i akordeonu. Tymczasem nasz artysta przebrał się w niebieską galabiję, nogi miał bose, a w rękę trzymał drewnianą laseczkę. W takt tęsknej melodii zaczął się kołysać, naśladować krok wielbłąda. Przez jego twarz przemknął uśmiech. Cała jego postać emanowała pierwotnym, naturalnym pięknem. Mężczyźni, zachwyceni i podekscytowani, zagrzewali tancerza okrzykami. Charakter tańca zmieniał się i po jakimś czasie wszyscy ryczeli już ze śmiechu, patrząc na popis mężczyzny. Po dwóch czy trzech piosenkach na salę wbiegła tancerka. Biodra miała owinięte jasnoniebieskim jedwabiem, ozdobionym złotymi ornamentami i łańcuszkami. Lekko, elegancko, jak gazela, włączyła się w taniec męża. Muzyka stawała się coraz szybsza i szybsza. Francuzka w ekstazie potrząsała biodrami. Oczy widzów były utkwione w jej postać, tak jakby wszyscy chcieli na zawsze zapamiętać obraz tej jasnowłosej kobiety o mlecznej skórze. Jej bujne ciało przez kilka minut wibrowało jak w upojeniu. Aplauz widowni sięgnął zenitu. Potem tancerka powoli zaczęła się kołysać w rytm muzyki, lekko jak wiatr, który przemyka po pustynnych wydmach. Ruchy kobiety i mężczyzny ponownie zlały się w jeden wspólny rytm.

W pewnej chwili artyści zaczęli *zachęcać* do tańca zgromadzonych gości. W końcu wszystkie skórzane fotele opustoszały. Jednak Chalid nie dał się namówić do zabawy. Gdy podszedł do mnie jakiś mężczyzna i poprosił do tańca, rzuciłam Chalidowi błagalne spojrzenie. Ale nic to nie dało. Chalid nie chciał tańczyć. Mężczyzn było o wiele więcej niż kobiet, toteż panowie dosłownie mnie oblegali. To Ibrahim, to znów Nabil, to jakiś nieznajomy wirował ze mną i kręcił się w tańcu. W końcu pozbyłam się onieśmienia i dałam się porwać atmosferze wspaniałej zabawy. Także Aileen była w świetnym humorze i kręciła biodrami w takt oszałamiających dźwięków muzyki. Nastrój był coraz lepszy, wszyscy doskonale się bawili i nikt nie myślał o spaniu.

Nagle zauważyłam, że Chalid z kieliszkiem whisky w rękę patrzy na wszystko z wyraźną zazdrością. Z bijącym sercem i poczuciem winy wróciłam do stolika. Nic nie mówiąc, delikatnie pogłaskałam go po ręce i uśmiechnęłam się łagodząco. Przez chwilę miałam wrażenie, że jeszcze trochę, a Chalid rąbnie kieliszkiem o ziemię. Ale nie, opanował się, wypił alkohol, potem uśmiechnął się z wysiłkiem - lecz ja wiedziałam, że to tylko pozór.

- Kochanie, proszę, chodźmy już, twoja żona jest zmęczona - powiedziałam zaniepokojona nie na żarty.

- Naprawdę? - zapytał i zaśmiał się sztucznie, nawet na mnie nie patrząc.

W tym momencie wróciła Aileen.

- Wybaczycie, jeśli zostawię was na chwilę same... - powiedział Chalid, wstał i dosiadł się do grupy mężczyzn.

Wiedziałam, że alkohol mu nie służy - nie był przecież przyzwyczajony do picia. Nagle uzmysłowiłam sobie, że być może

Chalid pije nie tylko z zazdrości. Prawdopodobnie dopiero teraz tak naprawdę uświadomił sobie wagę swojego spotkania z imamem. On, bogobojny, uczciwy muzułmanin prędzej czy później wejdzie przez to w konflikt z własnym sumieniem, z Bogiem i ludźmi. Ale może się myliłam... Niezależnie od wszystkiego, Chalid swoim czynem dowiódł niewiarygodnej odwagi i siły - zrobił więcej, niż uczyniłby inny kochający mężczyzna na jego miejscu.

Od czasu do czasu spoglądałam w jego stronę, żeby się przekonać, czy wszystko w porządku. W końcu Aileen przypomniała mi, że jeszcze nie opowiedziałam jej o najnowszych wydarzeniach.

Aileen była już trochę wstawiona, ale słuchała uważnie i z coraz większym zdumieniem. Co jakiś czas głośnym okrzykiem dawała wyraz swojemu przerażeniu albo wybuchała śmiechem. Kiedy w końcu ze wszystkimi szczegółami opisałam jej ślub oraz tę obłądną jazdę do Luksoru, popatrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami. Dosłownie zatkało ją z wrażenia. Milczała przez chwilę, nie mogąc wydobyć słowa, potem powiedziała:

- Nie wierzę ci, Verena, to nie może być prawda.
- Zapytaj Chalida.
- No, a gdzie jest teraz ten dokument, świadectwo ślubu?
- Mam go tutaj, w torebce.

Aileen przełknęła ślinę, spojrzała ukradkiem w stronę Chalida i powiedziała:

- Wyjdźmy stąd, muszę to zobaczyć.

Wzięłyśmy torebki i poszłyśmy spacerkiem do damskiej toalety. Kiedy zamknęły się za nami drzwi, a ja szukałam doku-

mentu w torebce, Aileen omal nie pękła z napięcia. Nerwowo bębniła palcami po krawędzi umywalki.

- Wielki Boże, Verena! Nie mogę w to uwierzyć!

Wreszcie wręczyłam jej kartkę i w napięciu czekałam na reakcję. A Aileen czytała, coraz szerzej otwierając usta. Odcyfrowywała arabskie znaki, a na jej twarzy malowało się niepomierne zdumienie i widać było, że przez głowę błyskawicznie przelatują jej różne myśli.

- Ach! - wykrzyknęła poruszona w najwyższym stopniu. - Verena... ty... ty... ty nic nie rozumiesz - wykrztusiła wreszcie - czy ty wiesz, co oznacza ten papier? Jeśli teraz zajdziesz w ciążę, Chalid będzie musiał uznać dziecko za prawowitego spadkobiercę.

Stałam oszołomiona przed lustrem i kompletnie nie rozumiałam, o co jej chodzi. O jakiej ciąży ona mówi! Chybaję odbiło.

- Ach, Aileen, co ty wygadujesz! - powiedziałam. - Przecież najpierw Chalid musi rozwiązać w Al-Waha swoją obietnicę małżeństwa.

- Naprawdę tak myślisz?

Poważnie kiwnęłam głową.

- Hm... w każdym razie, niezależnie od małżeńskich obietnic, teraz to ty jesteś prawowitą małżonką szejka Chalida Bin Sultana Al-Raszida. Tak tu stoi napisane. To jest zgodne z Koranem i podpisane przez dwóch świadków - tak jak tego wymaga prawo.

Spojrzała na mnie sugestywnie:

- Pamiętaj! Nigdy nie wypuść tego papieru z rąk!

Nawet jeśli prawo było teraz po mojej stronie, to rady Aileen nie interesowały mnie w najmniejszym stopniu. Obcho-

dziło mnie tylko to, czy Chalid będzie miał odwagę zwołać w Al-Waha zebranie rodzinne, gdy wróci do Emiratów.

Chalid tej nocy pił o wiele za dużo, jak na swoje możliwości.

Śmiał się za każdym razem, gdy tylko podchodziłam do niego, i próbowałam nakłonić go do wyjścia. W końcu pożegnałam się i poszłam do kabiny w nadziei, że on przyjdzie za mną. I tak też się stało.

W butach i ubraniu rzucił się na łóżko. Próbowałam go rozebrać, ale wszystko było takie ciężkie: jego głowa, nogi, ramiona.

Wreszcie zapytał:

- Opowiedziałas Aileen o naszym ślubie?

- Tak. A dlaczego pytasz?

Chalid fuknął gniewnie.

- Czemu nie mogłaś z tym poczekać. Jutro będzie o tym wiedział cały Kair, a pojutrze - Abu Zabi - westchnął.

O Boże! O tym zupełnie nie pomyślałam.

- A jak myślisz, ile trzeba, żeby ta wiadomość dotarła do Al-Waha?!

W głosie Chalida brzmiała rozpacz.

- Skarbie, zadbam o to, by Aileen nie opowiadała o tym dalej, dobrze?

Chalid z trudem chwycił powietrze. Potem roześmiał się histerycznie.

- Ale Ibrahim! Do diabła! Co ty myślisz... już mu pewnie powiedziała! Boże, miej mnie w swojej opiece... - zamruczał pod nosem - ...będę musiał pogadać z Ibrahimem...

Zaraz potem opadł na poduszkę i zasnął głęboko.

Nagle zdałam sobie sprawę z tego, jakiej biedy mu napytałam.

Obawy Chalida były bardziej niż uzasadnione. Lepiej nie myśleć, co by się stało, gdyby ta wieść dotarła do Al-Waha zanim on sam będzie miał możliwość porozmawiania z rodziną.

Ta noc była jednym wielkim koszmarem - zamiast leżeć w ramionach Chalida, ukołyszana spokojnym rytmem statku powoli płynącego Nilem, przewracałam się z boku na bok i do rana nie zmrużyłam oka.

Jaką wartość miał dokument, który trzymałam w torebce, i jak bardzo rację miała Aileen, przekonałam się szybciej, niż bym chciała.

Wyrzałam przez okienko kajuty - na wodzie widać było delikatne fale dziobowe. Ani szum maszyn, ani słońce wpadające przez zasłonkę nie zdołały obudzić Chalida. Na wspomnienie jak patrzył na mnie ostatniej nocy ze swojego łóżka, robiło mi się bardzo przykro. Postanowiłam poczekać, aż się obudzi.

Z korytarza dobiegały kroki i różne dźwięki. Wśród nich rozpoznałam głos Ibrahima. Na pewno już wszystko wiedział.

Kiedy znowu spojrzałam przez luk, zobaczyłam bujne gaje palmowe i żyzne pola, które właśnie mijaliśmy. „Jaki wspaniały musi być widok z pokładu... - pomyślałam smętnie. - Tymczasem mój mąż śpi. Przegapimy przez niego połowę tego pięknego rejsu”.

W godzinę później z rozmyślań wyrwała mnie zmiana pracy maszyn: silniki statku nagle załomotały gwałtownie, potem poczułam szarpnięcie, tak jak wtedy, kiedy wrzuca się wsteczny bieg. Szybko odsunęłam zasłonkę i zobaczyłam stromy mur przystani. Gdy „Telestar I” dobijał do nabrzeża, Chalid wreszcie zaczął się budzić.

- Hello, sweetheart, noworoczne śniadanie przeszło nam koło nosa, ale może dostaniemy przynajmniej kawy.

Chalid powiódł wokoło nieprzytomnym wzrokiem.

- Gdzie jesteśmy:<sup>1</sup>

- Nie mam pojęcia, statek właśnie zacumował.

- Oo, moja głowa, boli...

W tej samej chwili znowu usłyszałam na korytarzu głos Ibrahima. Zaraz potem rozległo się energiczne pukanie do drzwi:

- Chalid!

Chalid przymknął oczy i zebrał się w sobie:

- ... yes?

- Mam otworzyć drzwi? - zapytałam.

Machnął z rezygnacją ręką, aja przekręciłam klucz i pozwoliłam Ibrahimowi zajrzeć do naszej kajuty.

Ibrahim przez moment usiłował zachować powagę, ale zaraz przecisnął się obok mnie i z głośnym śmiechem wpadł do pokoju; bez skrupowania usiadł koło Chalida na brzegu łóżka. Okazja dla mnie, żeby się wyrwać z kajuty. Błyskawicznie wskoczyłam w buty i wybiegłam na korytarz. Na statku był spory ruch, trzaskały zamykane i otwierane drzwi, usłyszałam, jak ktoś przekręca klucz w drzwiach kajuty, ludzie chodzili po korytarzach. Drzwi do kabiny Aileen i Ibrahima były otwarte. Zobaczyłam, że Aileen szuka czegoś w torebce.

- Hello, Aileen, przeszkadzam?

- Nie, nie, wejść! - zawołała - gdzie wy się podziewacie przez cały ranek!

Zażenowana spuściłam oczy.

- Chalid ma okropny ból głowy, chyba za dużo wypił.

- Szkoda, traciecie tę piękną przejażdżkę! A ty w ogóle wiesz, gdzie jesteśmy?



- Nie, pojęcia nie mam.

- W Edfu!

- Nie do wiary, co za zbieg okoliczności!

- Tak. Ibs właśnie chciał was zabrać, żebyśmy razem zeszli z pokładu. Słuchaj, Verena, koniecznie muszę zobaczyć tę kafe-  
terię, gdzie podpisaliście akt ślubu. Boże, co za historia! A potem  
możemy sobie połązić po bazarze.

Zatkało mnie. Jeszcze tylko tego brakowałoby Chalidowi!  
Jakoś muszę odwieść Aileen od tego pomysłu... alejak?

- Niezła myśl - powiedziałam - ale Chalid to się nie nadaje  
na tę eskapadę. Zamiast zwiedzania Edfu potrzebuje raczej  
aspiryny.

- Aż tak źle z nim?

- Na to wygląda.

- Hm... w takim razie musimy iść bez niego - rzuciła  
Aileen.

Naglejakoś odechciało mi się spiskowania z Aileen. Nie bar-  
dzo mi to odpowiadało. Zabraniać jej mówić, wymagać przyrze-  
czenia, że będzie milczała aż do śmierci... nie, to już lepiej niech  
Chalid sam to załatwi z Ibrahimem.

Wkrótce w drzwiach stanął Ibrahim.

- I co? Czy Chalid pójdzie z nami do miasta? - zapytałyśmy  
jednocześnie.

- Nie, zostanie na razie w łóżku.

Próbowałam odgadnąć, czy Ibrahim właśnie wraca z przesłu-  
chania. Ale nie dał nic po sobie poznać - maskował się doskonale  
i nic na jego twarzy nie zdradzało, o czym rozmawiał z Chalidem.

Kilku gości leniwie wylegiwało się na otwartym pokładzie,  
inni zeszli na ląd, jeszcze inni, tak jak Chalid, odsypiali sylwe-

strowego kaca. Zanim razem z Ibrahimem i Aileen zeszedłam z pokładu, zniosłam Chalidowi sok pomarańczowy i aspirynę. Powiedziałam mu kilka miłych słów i życzyłam poprawy samopoczucia. Na koniec wyraziłam nadzieję, że wybaczy mi mój błąd. Podczas tej rozmowy Chalid ani słowem nie zdradził, o czym rozmawiał z Ibrahimem.

Na miejscowym deptaku panował nieprawdopodobny ruch. Drewniane dorożki konne turkotały po nierównej ulicy. Inaczej, niż w Luksorze i Asuanie, tutaj wzdłuż nabrzeża biegła naturalna, nieutwardzona droga. Nagle zobaczyłam, że kilku miejscowych nędzarzy siedzi na środku ulicy, jak pogrążeni w letargu. Stanęłam i nie mogłam się ruszyć. Pomyślałam, że przecież w każdej chwili któryś może zostać potrącony przez dorożkę albo ciężarówkę. Najwyraźniej jednak kierowcy byli przyzwyczajeni do takich widoków, bo umiejętnie omijali siedzących.

Właściwie nie było możliwości zwiedzenia tego miejsca na piechotę. Co chwila rzucały się na nas chmary dzieciaków i żebraków. Przestraszona, nie odstępowałam Aileen na krok. Najchętniej uciekłabym na statek, ale Ibrahimowi udało się zatrzymać starą, skrzypiącą dorożkę.

Nasz dorożkarz skręcił od razu w barwną ulicę, która prowadziła od brzegu Nilu do wsi. Rozglądałam się na prawo i lewo, ale nigdzie nie mogłam dostrzec naszej tajemnej kafejki. W świetle dnia wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Miałam wrażenie, że w ogóle tu nie byłam. Tajemnicza kawiarenka pewnie znajduje się w innej części wsi, jeśli nie na drugim brzegu rzeki.

Wreszcie dorożkarz wysadził nas przed bazarem. „Dziwne - pomyślałam - nagle odwiedzenie kawiarenki przestało być

ważne". Przez cały czas dziwiłam się, że Aileen nie wspomniała już o tym ani słowem. To pewnie dlatego, że jest z nami Ibrahim. Pewnie coś się wydarzyło, gdyja rozmawiałam z Chalidem w kabinie. Byłam przekonana, że Ibrahim nakazał Aileen milczenie. Inaczej tak by się nie zachowywała. Miałam nadzieję, że gdy tylko nadarzy się okazja, Aileen o wszystkim mi opowie.

Na bazarze było mnóstwo kolorowych przypraw, perfum, wyrobów garncarskich i koszulek z podobizną faraona. Jakże pociągały mnie te egzotyczne wonie, te oszałamiające orientalne esencje! Ibrahim miał pełne ręce roboty - odganiał od nas natrętnych handlarzy. Gdy Aileen przebierała wśród koszulek, ja testowałam po kolei wszystkie esencje. Biedny Ibrahim krążył między nami, pilnując, by nas za bardzo nie oszukano.

Dwie godziny później wracaliśmy już z naszej wyprawy. Właśnie robiliśmy sobie zdjęcia przed statkiem, kiedy zauważyłam Chalida. W ciemnych okularach stał przy wejściu na statek i obserwował nas właściwie z ukrycia. Kto wie, jak długo to trwało. Byliśmy w doskonałych humorach, zrobiliśmy kilka zabawnych fotek, a do jednego ze zdjęć Ibrahim po koleżeńsku objął mnie za ramię.

Chalid nie ruszał się z miejsca, toteż zawołałam go, pokazując na aparat. Ale właśnie w tym momencie podszedł do niego jeden z pasażerów i zaczął coś mówić. Schowałam aparat do torby - na pewno będzie jeszcze okazja, by zrobić sobie wspólne zdjęcie z rejsu po Nilu.

- Hej, kochanie lepiej *cii* - zapytałam, kiedy się witaliśmy. Chalid posłał mi wymuszony uśmiech, ale zaraz odwrócił się do Ibrahima i zaczął z nim rozmawiać. W tej chwili dotarło do mnie, że koniecznie muszę z nim porozmawiać w cztery oczy.

- Chalid, chodźmy do kajuty, chciałabym ci pokazać, co kupiłam - powiedziałam.

- Już, już, kochanie.

Weszliśmy na statek i kiedy staliśmy przed recepcją, stało się coś okropnego. Chalid wziął mój aparat - tak jakby chciał nam zrobić zdjęcie.

- Zaraz, zaraz, jak to się obsługuje... - mruknął.

Ledwie padły te słowa, gdy nagle odskoczyła klapka komory filmu! Przez moment patrzyłam przerażona na ręce Chalida. Potem w ułamku sekundy wyrwałam mu aparat, zatrzasnęłam klapkę. Serce waliło mi jak oszalałe. Ale to, co zobaczyłam na pięknym wschodnim obliczu, to nie była skrucha; nie, twarz Chalida była czerwona i wykrzywiona, a wzrok pełen dezaprobaty.

Oczywiście natychmiast zapewnił, że to przez nieuwagę, ale ja mu nie uwierzyłam! Nikt nie jest aż tak głupi, by niby nie chcący otworzyć komorę z filmem! Aileen i Ibrahim powstrzymali się od komentarza. Jedno było pewne; to był ostatni raz, kiedy dałam się sfotografować z obcym mężczyzną.

Odechciało mi się wszystkiego.

Poszłam do kabiny, by zanieść zakupy i się przebrać. Chalid za mną. Gdy ja zmieniałam ubranie, on siedział w fotelu i nerwowo wyłamywał sobie palce - stawy okropnie trzaskały, a ja wzdygałam się za każdym razem. Naraz słyszę:

- Ach, Verena, mówią, że świetnie dogadujesz się z Ibrahimem.

Odebrało mi mowę. Spojrzałam na Chalida, ale on nie patrzył na mnie, tylko dalej trzaskał palcami i mówił:

- Spędziłaś z nim beze mnie pół dnia w Edfu. A potem jeszcze fotografujesz się z nim w tej pozie... jak sądzisz, co teraz ludzie powiedzą?

- To najzwyklejsza niesprawiedliwość - powiedziałam zduszonym głosem.

Chalid zerwał się z fotela, objął mnie ramionami i głęboko, poważnie spojrzął mi w oczy.

- Słuchaj, Verena, ja przecież nie chcę sprawiać ci przykrości. Ale to po prostu nie wypada.

Łza spłynęła mi po policzku, Chalid delikatnie ją otarł, lekko dotknął ustami mojej twarzy.

- Ja przecież wiem, że jesteś porządną, uczciwą kobietą, inaczej nigdy bym cię nie poślubił. Ale inni ludzie o tym nie wiedzą, rozumiesz?

Kiwnęłam tylko głową.

Chalid przytulił mnie mocno i z wielką czułością.

Na obiad wszyscy zebraliśmy się na otwartym pokładzie. Na polecenie Chalify statek został odcumowany i teraz płynął dalej w kierunku Luksoru. Krajobraz po obu stronach rzeki był urzekający: żyzne pola, soczyste zielone ogrody palmowe, dziwaczne formacje skalne ciągnęły się kilometrami wzdłuż brzegów. W Luksorze otworzył się przed nami inny widok: czuło się tu specyficzną atmosferę, tchnienie wieczności ponad nagimi, pozbawionymi roślinności Górami Zachodnimi, które jak majestatyczne kulisy wznosiły się na skraju bujnych, zielonych pól.

Na opustoszałym pokład zaczęły padać promienie późnego, popołudniowego słońca. Nagle zrobiło się cicho. Tylko kilka osób spało na leżankach, inni udali się do swoich kabin. Jeszcze chwila, a niebo zabarwi się na pomarańczowo, na jego tle, jak na teatralnej dekoracji, zarysują się ciemne kontury gór, a w wodzie zaczną się odbijać pióropusze palm.

Stałyśmy z Aileen na pokładzie i rozmarzone patrzyłyśmy w dal. Dotychczas ani słowem nie wspomniała już o moim ślubie. Zupełnie jakby się to wszystko nie wydarzyło.

Patrzyłam na nią i zastanawiałam się, co też ona sobie myśli.

- Aileen, co byś powiedziała na to, gdyby Chalid celowo chciał zniszczyć nasz film... wiesz, ze względu na wspólne zdjęcie Ibrahima i moje?

Spojrzała na mnie i odpowiedziała:

- Byłabym zdziwiona i oburzona.

- Sama widzisz.

Potem znowu zapadło milczenie. Zamyślona patrzyłam na odwieczny nurt starożytnej rzeki.

- Wiesz... - zaczęła po chwili Aileen spokojnym tonem - ...w pojęciu muzułmanów dobra żona trzyma się domu, czyli nie odstępuje męża. Tak tu jest, niestety.

- Ależ Aileen! Przecież Chalid zgodził się na tę wycieczkę i sam poprosił Ibsa, by ten na sekundę nie spuszczał mnie z oka, żeby nie przytrafiło mi się nic złego.

- Cóż... zapewne miał przy tym na myśli głównie twoją cześć i dobre imię, których należało strzec... Ponadto kobiecie nie wypada okazywać radości w towarzystwie mężczyzn - to tak a propos sylwestrowej nocy. Zawsze będzie to odbierane jako coś dwuznacznego, nawet wtedy, gdy towarzyszyć nam będzie czternastoletni kuzyn bądź siedemdziesięcioletni wujek.

- Ale przecież ty także tańczyłaś i się śmiałaś. A gdyby była tu z nami Karen, dopiero by nam pokazała, co to znaczy się bawić. Jestem o tym przekonana!

- Zapominasz, że jesteśmy w Egipcie. Oni tutaj są zupełnie inni niż ludzie z Emiratów. Potrafią otwarcie okazywać emocje.

Ponadto rodzina Nabila jest bardzo nowoczesna, otwarta. Pewnie to zauważyłaś? A mimo to, śmiem twierdzić, że Nabil właśnie dlatego nie zabrał Karen na sylwestra - żeby nie narażać jej na dwuznaczne sytuacje.

- Aha, rozumiem.

Przysłuchiwałam się Aileen z coraz większym zainteresowaniem. Aileen, która na początku, gdy się poznałyśmy, nie była do mnie nastawiona zbyt przychylnie, teraz okazywała mi coraz większą życzliwość i przyjaźń. Rozmawiałyśmy dość długo. Jej wyjaśnienia i komentarze pozwoliły mi wiele zrozumieć i spojrzeć na niektóre zachowania Chalida innym okiem.

- Verena, musisz się jeszcze dużo nauczyć - powiedziała na koniec. - W każdym razie ja nigdy bym się nie zgodziła na takie małżeństwo. Już nawet z Ibrahimem mam często aż za dużo problemów, takiego mentalność wystawia mnie na ciężkie próby. Pod pewnymi względami oni obaj są do siebie bardzo podobni, zwłaszcza w sprawach związanych z religią.

Tymczasem na pokładzie zrobiło się chłodno.

Aileen wyraźnie chciała już iść do siebie. Szybko odwróciłam się do niej i chwyciłam ją za ramię:

- Aileen, a teraz powiedz mi, dlaczego nic nie mówisz o ostatnich wydarzeniach? Czy Ibrahim - albo też Chalid - zabronili ci tego?

Westchnęła.

- Ach, Verena, Verena... ale najpierw musisz mi przyrzec, że zachowasz to dla siebie?

Kiwnęłam głową i patrzyłam na nią wyczekująco.

- Ibrahim wymusił na mnie milczenie.

- Jak, na miłość Boską, jak?

- Powiedział, że wyrwie mi język, jeśli tylko pisnę słowo.

Ogarnęło mnie takie przerażenie, że omal nie krzyknęłam.

Aileen spojrzała groźnie, nakazując, bym się natychmiast opanowała.

- Słuchaj... - powiedziała szeptem - ...to, naturalnie, było tylko ostrzeżenie... ale wyraźne, rozumiesz?

Tak, zrozumiałam.

Wkrótce ostatni amatorzy słonecznych promieni udali się pod pokład, a my wraz z nimi.

Święta minęły i świat powrócił do swojej normalnej krzątania. Wszystko nawoływało do powrotu: praca, interesy, giełda, rodzina i przyjaciele. Musieliśmy natychmiast wracać do Kairu.

Po południu kilkoma taksówkami pędem zajechaliśmy na lotnisko w Luksorze. W hali odpraw panował kompletny chaos. Po świętach tysiące turystów wracało do domu. Nabil załatwił, że nasze bagaże przyjęto na specjalnie dla nas otwartym stanowisku. Trzeba było zobaczyć te niezadowolone miny innych pasażerów.

W poczekalni dla VIP-ów zobaczyłam, jak mężczyźni coś do siebie szepcą i uśmiechają się pod nosem. Spojrzałam na Chailida pytającym wzrokiem.

- Nabil kazał właśnie skreślić z listy pasażerów dziewięć osób - usłyszałam.

- Nie mów takich rzeczy! - syknęłam, na poły z niedowierzaniem, na poły oburzona.

Ciemne oczy Nabila spoglądały na mnie życzliwie. Boże, co za okropna sytuacja! Było mi wstyd i miałam poczucie winy.



Ale Chalid powiedział, że przecież Nabil zrobił to dla nas, i że w końcu te linie są jego własnością.

Wkrótce zabrano nas na pokład samolotu. Jako VIP-ów, ma się rozumieć. Gdy umieszczaliśmy w schowkach bagaże podręczne i sadowiliśmy się na pomarańczowych fotelach, Nabil poszedł do kokpitu. Jego zawadiacka śmiałość spowodowała wybuch dziecięcej wesołości u naszych panów. „Typowo męskie” - pomyślałam. Aileen tymczasem zachowała całkowitą powagę. Mniej więcej dwadzieścia minut później do samolotu weszła gromadka innych pasażerów.

I znowu nie ujrzałam ani biletu, ani karty pokładowej. To zdumiewające, jak świetnie w Egipcie działają układy. Jedyny bilet, jaki zobaczyłam na oczy, to kuriozalny zapis na kartce papieru o treści:

Cairo-Aswan-Cairo, Sheikh Chalid Bin Sultan Al Rashid  
+ 1 Pax (plusjedna osoba).

## *Ramses Hilton*

Przed nami z oparów smogu wyłonił się luksusowy hotel na brzegu Nilu - nasze ostatnie mieszkanie w Kairze.

Hotelowy hall w prawdziwie światowym stylu - z mnóstwem gości i bezszelestnie poruszającym się personelem - przywołał mnie do rzeczywistości. Nagle uzmysłowiłam sobie bardzo wyraźnie, że termin wyjazdu zbliża się nieubłaganie. Już wkrótce mój urlop się skończy i trzeba się będzie rozstać. Najak długo - tego na razie nie wiedziało żadne z nas. Chalid dopiero teraz miał rozpocząć trudne rozmowy z Sudanem. Będzie musiał z braćmi Al-Naserami negocjować warunki lądowania wielbłądów oraz swój udział w zyskach z całego przedsięwzięcia. Po załatwieniu interesów zamierzał wrócić do Al-Waha. Jeśli wszystko poszłoby zgodnie z planem, miał potem wprowadzić w interesy nad Zatoką młodszego brata, Hazę. I zamierzał też zwierzyć się ze wszystkiego swojej matce.

Chalid z uśmiechem wrócił z recepcji.

- Skarbie, to niewiarygodne, ale żądają naszego świadectwa ślubu. Zabrzmiało to jak kłamstwo, a Chalid musiał zauważyć powątpiewanie na mojej twarzy, bo zaraz dodał:

- Pewnie tutaj przepisy są ostrzejsze, niż gdzie indziej.
- Tak, to możliwe, w takim wielkim hotelu dla biznesmenów... - rzuciłam z udawaną obojętnością.

Wiedziałam, że kłamie, ale dałam mu dokument.

Umieszczono nas na 26. piętrze, w Executive Floor. Chalid oświadczył mi z dumą, że to piętro jest zarezerwowane wyłącznie dla królów, głów państw i arabskich szejków. Osobna recep-

cja z własnym foyer - z darmowymi drinkami i przekąskami - gdzie przyjmowano także odwiedzających, wydawały się to faktycznie potwierdzać.

Z melancholią patrzyłam przez okno na Kair - Al-Qahira. Nil, który płynął tuż obok hotelu, miał w Kairze ciemny kolor szlamu, inaczej niż w Asuanie. W oddali, na skraju pustyni widać było piramidy. Przytłumione światło, smog... to wszystko wywoływało u mnie osobliwy nastrój.

Nasze wspólne dni płynęły teraz spokojniej. Często przechadzaliśmy się leniwie po Corniche el-Nil, by w końcu wylądować w jednej z licznych kafejek, tych, w których można siedzieć przy stolikach na zewnątrz, na słońcu. Chalid dużo żartował - pewnie po to, by w ogóle móc to jakoś wytrzymać. Ale ciężar tego, co nieuniknione, przytłaczał go - można to było dosłownie wyczytać z jego oczu.

Zamiast rozmawiać o przyszłości naszego małżeństwa, szukaliśmy rozrywki i próbowaliśmy zamknąć oczy na to, co nieuchronnie musiało nadejść. Nawet nie chciałam teraz myśleć o tym, czy Chalid będzie miał odwagę i siłę, by wycofać się z obietnicy danej przedstawicielom rodów. Ani też o tym, czy utrzyma w tajemnicy swoje małżeństwo z miłości. Przynajmniej tak długo, aż sprawy przyjmą inny obrót i wszystko jakoś się ułoży. Albo mówiąc inaczej, do czasu, aż Allah znajdzie jakieś inne wyjście. Nasz respekt wobec jego rodziny, a także wobec niczego niepodważającej kuzynki w Al-Waha, był zbyt wielki, by postanowić coś już teraz.

Byłam też pewna, że w owym czasie również Chalid sam jeszcze nie wiedział, jak to wszystko ma wyglądać.

Przedostatnią noc w Kairze świętowaliśmy we czworo, z Aileen i Ibrahimem, którzy zaprosili nas do eleganckiego

lokalu z występami tancerek brzucha, odwiedzanego wyłącznie przez bardzo bogatych Egipcjan. Posadzono nas przy najlepszym stoliku, tuż przy scenie. Pewnie znowu kryły się za tym znajomości Nabila.

Podczas gdy artyści prezentowali swój program, na naszym stoliku lądowały niezliczone półmiski, tacki i miseczki z orientalnymi potrawami. Wokoło bez przerwy wybuchały salwy śmiechu, ale - oczywiście - ani Aileen, ani ja nic nie rozumiałyśmy z arabskich docinków i żarcików. W końcu pojawiła się tancerka - piękna kobieta w dojrzałym wieku. Przebiegła przez salę. Gdy tańczyła, oklaski i aplauz gości stawały się coraz głośniejsze, a ja zauważyłam, że tancerka od razu zwróciła na mnie uwagę. Nie wiem, czy przyciągnęły ją moje jasne włosy, kunsztownie związane błyszczącą tasiemką, czy może piękny Arab u mego boku, dość, że stopniowo zbliżała się do naszego stolika. W końcu tańcząc tuż przy mnie padła na kolana i jak w transie zaczęła potrząsać dzwoneczkami między swoimi palcami. Zaczęły błyskać flesze. Bez wątplenia byłyśmy najbardziej przyciągającymi uwagę kobietami w lokalu. Ale na tym nie koniec. Potem na scenę wkroczył miejscowy David Copperfield. Najpierw opowiadał arabskie dowcipy, a goście skręcali się ze śmiechu. Uznałam, że ja także powinnam się z tego pośmiać, ale nagle zauważyłam, że wszyscy na mnie patrzą, jakby ten dowcip dotyczył właśnie mnie. Poczułam, że się czerwienię. „Nie, tylko niejako...” - pomyślałam, ale to na nic. Zanim się obejrzałam, magik już wciągnął mnie na scenę i - ku uciesze gości - zaczął wypróbować na mnie swoje sztuczki.

Bawiliśmy się świetnie i na kilka godzin zapomniałam o wszystkim. Ale na zewnątrz czekała nieubłagana rzeczywistość.

stość - rozstanie. Osiągnęłam już taki stan, że wyjazd wydawał mi się wybawieniem.

Ostatniego dnia jeszcze raz zanurzyliśmy się w plątaninę uliczek starego miasta. Przeszukaliśmy kilka sklepów ze starociami, aż w końcu wylądowaliśmy na suku, bazarze „Chan al-Chalili”. Chalid chciał kupić jakiś prezent dla mojej mamy, którą bardzo szanował, jak szanuje się matki w krajach arabskich. Mimo pięknego dnia nie opuszczał nas smutek. Czuliśmy na sobie ciężar zbliżającego się pożegnania. Jak w transie przepychałam się przez barwny tłum, mijając wózki ciągnięte przez osły, wychudzone koty o zmierzwionej sierści i głośno trąbiące trójkołowe pojazdy. W powietrzu mieszały się ciężkie zapachy podgrzewanego oleju, czosnku i tłustej, słodkiej bakławy. Z oddali dało się słyszeć głos nawołującego muezina. „Jak ja będę dalej żyć bez tego wszystkiego?” - pomyślałam, i żal ścisnął mi gardło. Pomyślałam że najchętniej bym się zgubiła w tym labiryncie. Wszystko we mnie burzyło się przeciwko wyjazdowi, broniło się przed rozłąką. Chalid musiał to wyczuć, wziął mnie za rękę i mocno ścisnął. I wtedy nagle przeżyłam *déjà vu*: już tak kiedyś było. Oczywiście! Olsniło mnie: Londyn, Victoria Station! „Rush hour” - wymamrotałam pod nosem nieobecna duchem.

- Co, co mówisz? Że jesteś zmęczona? - zapytał Chalid. - Może zjemy tu coś, masz ochotę? Widać było, że i on jest bardzo spięty.

- Nieee, nie „zmęczona” - powiedziałam, śmiejąc się.

Chalid nie zrozumiał związku; bo i nie mógł.

- Ach, miałam właśnie *déjà vu* - wyjaśniłam.

- No, ale dlaczego akurat tutaj, na bazarze?

- Nie mam pojęcia - powiedziałam. - Ale wiesz, faktycznie, *zjedźmy* tu coś, to doskonały pomysł.

I tak upłynął mój ostatni dzień w Egipcie. Walizki były już spakowane, a ja nie miałam pojęcia, jak będzie wyglądać przyszłość.

Nadszedł dzień mojego wyjazdu i naszego rozstania. Samolot EgyptAir wylatywał z Kairu o dziesiątej rano. Kończyłam właśnie makijaż, gdy zapukano do drzwi. Usłyszałam męski głos, a potem - jak wynoszą moje bagaże. Drzwi się zamknęły, a Chalid zawołał: „Skarbie, już czas!”.

W nocy prawie nie zmrzyliśmy oczu. Mimo wszelkich obietnic i czułych słów, nie udało mi się opanować lęku. Co prawda Chalid zapewniał mnie, że zobaczymy się tak szybko, jak to tylko będzie możliwe - w Zurychu, Kairze czy Dubaju. Ale co dalej? Tego nie wiedział. Najpierw chciał wrócić do domu, a potem... In sza Allah! Moje położenie było trudne, ale nie chciałabym być w skórze Chalida! Naprawdę nie.

- Verena - tym razem głos Chalida zabrzmiał bardziej zdecydowanie - o tej porze są często korki na ulicach!

Przez cały czas gorączkowo myślałam, jak przypomnieć Chalidowi o świadczeniu naszego ślubu. Zakładając oczywiście, że on sam o tym nie wspomni. Dlatego teraz zaczęłam grzebać w torebce, udając, że czegoś szukam.

- Słuchaj... - powiedziałam zdenerwowanym głosem - no, nie wiem, gdzie to mam... moja osobista, najdroższa pamiątka z Egiptu... gdzie to jest...

Uśmiech przemknął po twarzy Chalida.

- Ach, już wiem! Przypomniałam sobie! Przecież ty to masz, dałam ci do meldunku w hotelu!

- Masz na myśli nasz akt ślubu? - Chalid uśmiechnął się niepewnie. - Nie mogę ci go dać!

Spojrzałam na niego i poczułam, jak ogarnia mnie wielkie, gorzkie rozczarowanie.

- Chyba nie mówisz poważnie, skarbie?

Kwinał głową.

- Ależ Chalid! Przecież chyba pamiętasz, jak powiedziałam w Asuanie, że każę oprawić w ramki to piękne pismo i powieszę sobie nad łóżkiem?

- Kochanie, tak nie może być... zrozum... mogłabyś w ten sposób zniszczyć moje życie. Uważam po prostu, że będzie rozsądniej, jeśli ten dokument pozostanie w moich rękach.

Boże, jakbym zamierzała rzeczywiście mu w ten sposób zaszkodzić!

Czułam, jak po karku spływa mi zimny pot. (Och, Aileen, miałas rację! Miałas po stokroć rację!).

Chalid zrobił krok w moją stronę, wyciągnął ramiona, jakby chciał mnie objąć.

- Daj spokój, proszę - wyciągnęłam ręce obronnym gestem.

- Muszę najpierw uporządkować myśli.

Nie mogłam w tej chwili znieść jego dotyku, nawet jego widoku. Tak bardzo mnie zranił.

W drodze na lotnisko siedzieliśmy obok siebie, milcząc. Do oczu co chwila napływały mi łzy. Ten jego brak zaufania palił mnie żywym ogniem. Nie wiedziałam, czy sobie z tym poradzę.

Chalid skruszony obiecał, że da mi kopię dokumentu. Ale to jego zapewnienie nie było dla mnie żadną pociechą. Złe słowa padły. Co się stało, to się nie odstanie. Chalid głęboko mnie rozczarował. Zawiódł mnie. Nadszarpnął moje zaufanie.

Po odprawie bagażu w milczeniu poszliśmy do okienka kontroli paszportowej.

Chalid patrzył na mnie błyszczącymi oczami, nie mógł wydusić z siebie ani słowa. Staliśmy nieruchomo wśród nerwowo biegnących pasażerów i żadne z nas nie wiedziało, co powiedzieć. Nagle padliśmy sobie w ramiona, to było silniejsze od nas.

- Wybacz mi, wybacz mi, najdroższa, nie chciałem cię zranić...

W końcu półprzytomna, ledwie widząc, co się wokoło mnie dzieje, poszłam do wyjścia. Łzy za przeciwsłonecznymi okularami obeschły dopiero wówczas, gdy chmury zasłoniły Kair.



## ***Ja, pierwsza żona szejka Chalida***

Rok 1990 rozpoczął się fatalnie. Jakbym nie miała już dosyć kłopotów, zaczęły się problemy ze zdrowiem. Prześwietlenie wykazało bakteryjne zapalenie płuc, którego prawdopodobnie nabyłam się w Egipcie. To właśnie z tego powodu miałam tam częste ataki gorączki, a pod koniec pobytu w Kairze czułam się coraz gorzej i byłam coraz słabsza. Starałam się, jak mogłam, żeby nikt nic nie zauważył: „To pewnie nerwy” - przekonywałam sama siebie.

Gdy Chalid dowiedział się o mojej chorobie, bardzo się zaniepokoił i chciał natychmiast przylecieć do Zurychu. Ale mama wytłumaczyła mu, że ze względu na stan mojego zdrowia będzie lepiej, jeśli nie przyjedzie. Dwa tygodnie przeleżałam w łóżku, bardzo osłabiona; mój pokój wypełniały róże z Dubaju, dostarczane przez Fleurop.

Po trzech tygodniach mogłam wreszcie uściskać Chalida. Może to brzmi nieco dziwnie, ale gdy tylko przestąpił próg mojego pokoju, poczułam przypływ sił witalnych.

Tamtego dnia poszliśmy pod ramię brzegiem strumienia, aż do ławki podjodłami, gdzie lubiłam siadywać, marząc o Arabii. Co prawda byłam jeszcze ciągle osłabiona, ale czułam się wów-

czas bardzo szczęśliwa. Starałam się nie myśleć o tamtej bolesnej ostatniej godzinie w Kairze. Nie pytałam też, co się dzieje w Al-Waha. Chalid z pewnością sam by mi powiedział, gdyby wydarzyło się coś nowego. Tak minęły trzy dni. Byłam spokojna i zadowolona, że Chalid jest przy mnie, i cieszyłam się, że wyszłam z choroby.

Musiałam teraz bardzo precyzyjnie dysponować urlopem. Chciałam widzieć się z Chalidem tak często, jak to tylko możliwe, a więc w grę wchodziły przedłużone weekendy. Do czasu, gdy na zawsze przeprowadzę się do Dubaju. Co drugi czwartek wsiadałam do samolotu do Abu Zabi; lądowałam tam o jedenastej w nocy. Rejs do Dubaju w tamtym czasie odbywał się tylko raz w tygodniu - i to w środku tygodnia - podczas gdy samoloty do Abu Zabi przez Rijad latały prawie każdego dnia. Poza tym Chalid wiedział, że w Abu Zabi jestem pod dobrą opieką Aileen i Ibrahima. Zwykle też to oni odbierali mnie z lotniska. I wreszcie Abu Zabi było dostatecznie daleko od Al-Waha.

Doskonale pamiętam pierwszy lot. Siedziałam wciśnięta między rodziny z Arabii Saudyjskiej i europejskich biznesmenów, którzy z zainteresowaniem studiowali dokumenty - wyglądały na bardzo ważne - rozłożone na eleganckich aktówkach. Gdy maszyna wylądowała w Rijadzie, zobaczyłam, że z samolotu wszyscy wychodzą przebrani w ciemne szaty. Moją uwagę zwróciła wysoka Europejka o jasnych włosach. Miała na sobie abaję, ale włosy pozostawiła odkryte. Stwierdziłam, że podróżuje z rodziną saudyjską, i że pewnie jest wychowawczynią dzieci. Gdy podróżni opuszczali pokład samolotu, ja zafascynowana wpatrywałam się w ciemność nocy - w dali widać było śnieżnobiałe terminale. Postój

trwał czterdzieści pięć minut, potem samolot Swissair poleciał dalej, do Abu Zabi.

Podróżujących było zwykle niewielu - zaledwie dwadzieścia osób. Nic więc dziwnego, że moja osoba budziła czasem zainteresowanie - pytano mnie o powód podróży do Abu Zabi. W końcu to nie był codzienny widok: samotna kobieta bez chusty czy czadoru, podróżująca do islamskiego kraju.

Nie zamierzałam nikomu się zwierzać i opowiadać całemu światu swojej historii! I oczywiście za każdym razem uświadamiałam sobie, jak nieprawdopodobnie, jak niedorzecznie brzmiałyby moja opowieść. Pewnie nikt by mi nie uwierzył.

A jednak to wszystko prawda.

Podczas tej pierwszej podróży, gdy zostawiliśmy za sobą Rijad i samolot znowu wzniósł się na odpowiednią wysokość, nagle ogarnął mnie niepokój. Im bardziej zbliżaliśmy się do celu podróży, tym większe było moje zdenerwowanie. Lot trwał półtorej godziny. Gdy wylądowaliśmy, pomyślałam z ulgą, że wreszcie mam to za sobą. Ale nie! Trzeba było jeszcze przejść te ostatnie metry dzielące mnie od Chalida. Na drżących nogach wyszłam z samolotu i ruszyłam przez terminal do stanowisk kontroli paszportowej. A tu niespodzianka! Celnik w białej diszdaszy i chuście na głowie z obojętną miną sprawdził mój szwajcarski paszport. A potem nienack podnosząc wzrok, rzucił niemal znudzonym głosem:

- Poproszę o wizę.

Zdumiona popatrzyłam na jego białą chustę, odetchnęłam głęboko i odparłam tak spokojnie, jak to tylko możliwe:

- Moja wiza musi być tutaj.

Chalid powiedział, że wizę dostanę przy wjeździe, dlaczego więc ten urzędnik zadaje mi takie dziwne pytanie? Przestraszy-

łam się. Przez głowę przeleciała mi myśl, że może coś poszło nie tak... Ale w tym momencie urzędnik wskazał na szklaną ścianę działową, przy której tłoczyło się mnóstwo ludzi, przyciskając dłonie do szyby i wypatrując znajomych wśród przybyłych pasażerów. Oczekujący wymachiwali rękami i głośno nawoływali przybyłych.

Nie rozumiałam, o co chodzi, i dalej stałam przy okienku, a wtedy urzędnik powiedział:

- Może pani wizajest tam.

Nadal nie rozumiałam, ale usłuchałam rady i ruszyłam w stronę szklanej ściany. Z początku widziałam tylko las wymachujących rąk i mnóstwo nieznanomych twarzy. Ale nagle rozpoznałam znajomą postać Ibrahima i dwie ręce, które do mnie machają. Ibrahim stanął na palcach i przerzucił na drugą stronę jakąś karteczkę. Złapałam ją i ze zdumieniem stwierdziłam, że to moja wiza. Uff! Ale gdziejest Chalid? I dlaczego znowu nie poinformował mnie, jak tutaj wygląda wjazd osoby prywatnej! To było typowe dla niego - wszystko w rękę Boga. A mnie nie pozostawało nic innego, jak tylko się temu podporządkować.

Zaraz potem przywitał mnie Ibrahim - istna burza powitalnych uprzejmości. Ja zupełnie naturalnie, jakbym robiła to całe życie, równie wylewnie zaczęłam wypytywać o samopoczucie jego i Aileen. Dopiero, gdy powitalny rytuał się zakończył, i wyszliśmy przed terminal, zapytałam o Chalida.

- Jest tutaj - odparł Ibrahim swobodnie.

To mogło znaczyć wszystko: w Abu Zabi, na lotnisku, za moimi plecami... W każdym razie ja Chalida nie widziałam. Ale na pewno zaraz się wszystko wyjaśni. Samą mnie to zasko-

czyło, jak łatwo w ciągu tych kilku minut przestawiłam się znowu na tutejszy sposób myślenia i działania. Kochałam ten kraj, wraz z jego zwyczajami, zakazami i nakazami, jak żadne inne miejsce na świecie.

Tymczasem obok nas przejechał i nieopodal zatrzymał się biały mercedes. Ibrahim wziął mój bagaż i poszedł do wozu. Otworzył bagażnik, załadował rzeczy i przytrzymał drzwi, żebyśmy mogła wsiąść.

- Welcome to Abu Dhabi, sweetheart.

Tego właśnie się spodziewałam. Przelotnie musnęłam ręką policzek Chalida, po czym zaraz odsunęłam się, takjak nakazuje przyzwoitość i dobre obyczaje, i oparłam się na tylnym siedzeniu.

Samochód ruszył sprzed międzynarodowego dworca lotniczego Abu Zabi. W oddali widać było światła jasno oświetlonego miasta. Wiedziałam, że niczego teraz się nie dowiem na temat programu mojego pobytu. Było też dla mnie jasne, że skoro Chalid nie mógł pokazać się na lotnisku, to znaczy, że nic nie zmieniło się w Al-Waha. „Muszę mu dać czas, w końcu to kraj arabski”. Gdy o tym rozmyślałam, a światła miasta zbliżały się do nas, przypomniałam sobie Matara i tę jego złość, i żal do mnie. Błagałam Boga, żeby oszczędził mi przypadkowego spotkania.

Jechaliśmy już dobrą chwilę przez miasto na pustyni, gdy Ibrahim nagle wykrzyknął:

- Patrz, Verena, tam po drugiej stronie jest Electra Street, tam jest nasz dom.

- Aha. A zobaczę dzisiaj Aileen i

- Hm, jeśli masz ochotę skoczyć na chwilę do szpitala... Aileen ma dzisiaj dyżur.

- Nie, chyba nie, Ibrahim. Na pewno zobaczymy się jutro, prawda?

Tymczasem samochód zatrzymał się przed hotelem «Méri-dien». I znowu się zdziwiłam, kiedy to nie Chalid, a Ibrahim poszedł do recepcji, by załatwić sprawy meldunkowe. Najwyraźniej miało to wyglądać tak, jakbyśmy byli gośćmi Ibrahima.

Ach, jak mi się nie podobała ta cała maskarada! To było sprzeczne z moimi zasadami moralnymi. I pewnie nie inaczej czuł się Chalid. Jeśli nie gorzej. Na pewno nieraz miał wrażenie, że przygniata go aż nazbyt wielki ciężar.

Te trzy dni w Abu Zabi spędziliśmy w domu Aileen, w samochodzie i w pokoju hotelowym. Jakże chętnie pospacerowałabym z Chalidem za rękę po plaży, brodząc po piasku, patrząc na turkusowe morze i słuchając szumu fal. Popatrzyłabym choćby z daleka na pracę sokołnika. Ale to nie było możliwe. Jeździliśmy wszędzie tylko samochodem i mogłam przyglądać się wszystkiemu tylko zza przyciemnionych szyb. Dzielnie odgrywałam swoją rolę, śmiałam się i udawałam beztroskę, ale tak naprawdę było mi bardzo smutno, że tak to się musi odbywać.

Chalid odbierał to inaczej. On uwielbiał pędzić przez pustynię swoim klimatyzowanym sportowym wozem, z włączonym radiem. Ale dźwięki gitary i krajobrazy pustyni podobnie wprawiały nas w głęboką melancholię. To przepełniała nas radość i szczęście, to znów poddawaliśmy się smutkowi i zniechęceniu. I trudno nam był potem odzyskać pogodę i równowagę ducha.

I tak minęła moja pierwsza wizyta w Zjednoczonych Emiratach jako żony u boku Chalida. Podczas lotu powrotnego

do Szwajcarii przyjrzałam się biletowi na następną podróż. Było na nim wypisane, że lecę „tam”, a nie „z powrotem” i ten drobny fakt napełnił mnie radością i cichą nadzieją.

Już od trzech miesięcy krążyłam tam i z powrotem między Abu Zabi a Zurychem. Wsiadałam do samolotu, jakby to był pociąg - wylatywałam zaraz po pracy, a gdy wracałam, często od razu z lotniska szłam do pracy. Tymczasem nic się nie zmieniło, nic nowego nie działo się w Al-Waha. Chalid niewzruszenie wierzył w pomoc Allaha. Ale przecież bez błogosławieństwa jego rodziny, nigdy nie będziemy mogli zaznać spokoju i szczęścia. Oboje doskonale o tym wiedzieliśmy.

Kilka razy próbowałam porozmawiać z Aileen, zasięgnąć jej rady, ale ona wyraźnie unikała tematu. Odnosiłam wrażenie, że ciągle pamięta groźbę Ibrahima.

Za to za każdym razem, gdy przyjeżdżałam, robiła wszystko, żeby uprzyjemnić nam pobyt - to ona układała program rozrywek, chodziła też z nami do restauracji. Dzięki niej poznałam wiele ciekawych miejsc i lokali, jak choćby bar karaoke w „Al-Ain Pałace”. Spotykali się w nim głównie obco-krajowcy, którzy służyli Emiratom swoją wiedzą, pracą, umiejętnościami. Nawiasem mówiąc - za astronomiczne wynagrodzenie. Na wszystkich tego typu spotkaniach zawsze czuło się charakterystyczną atmosferę, przesyconą tęsknotą za rodzinnym krajem. Najbardziej szalone imprezy odbywały się jednak w „Al-Birkek”, restauracji libańskiej. Gdy Libańczycy tańczyli i śpiewali, wszyscy bawili się razem z nimi - nikt nie mógł oprzeć się atmosferze, którą tworzyli. Wszyscy śmiali się do łez, a ja zapominałam o wszystkich kłopotach i wątpliwościach.

Niestety ani codzienne rozmowy przez pół kontynentu, ani też nasze spotkania nie dawały mi żadnego pojęcia o zamiarach Chalida. Pomysł z domem w Szwajcarii zarzuciliśmy już dawno. Po pierwsze dlatego, że nie bardzo mi odpowiadało samotne mieszkanie w dużym domu. A po drugie, ponieważ obawiałam się w duchu, że w takiej sytuacji nie mogłabym już latać do Dubaju. Do krainy moich marzeń... Mając dom, Chalid nie musiałby się już śpieszyć z przeprowadzeniem swoich planów. Nie, nie, dom naprawdę nie był mi potrzebny.

Niestety wkrótce okazało się, że nic nie idzie zgodnie z planami. Moje niejasne przeczucie, że Chalid powoli nagina się do rzeczywistości, potwierdzało się przy każdym pobycie. Był coraz bardziej przybity, poważny. Zaczęłam podejrzewać, że zmuszony okolicznościami, nosi się nawet z myślą o bigamii. Gdy do Abu Zabi zaprosił także moją mamę, wszystko wydało mi się jeszcze bardziej podejrzane. Ale po kolei.

Siedzieliśmy właśnie przy kolacji, a przed nami rozpościerał się wspaniały widok na marinę w Abu Zabi.

- Verena - powiedział Chalid - co powiesz na to, żebym kupił dla nas dom, gdzieś przy plaży Dzumajrai<sup>1</sup> Moglibyśmy dzięki temu spędzać razem połowę tygodnia, a przez resztę dni ja byłbym w Al-Waha.

Ośłupiała, zaniemówiłam na chwilę i spojrzałam na niego z niedowierzaniem. Oczywiście od razu wiedziałam, co ma na myśli, mówiąc: Al-Waha.

- Chyba nie mówisz tego poważnie? - odrzekłam.

- Ależ najpoważniej! Oczywiście do naszego domu musiałaby się też przeprowadzić twoja mama. Musi mieć przecież opiekę, takie jest u nas prawo i zwyczaj. Żeby też twoja mama nie musiała



całkiem zrezygnować z życia towarzyskiego i pracy, mógłbym dla niej urządzić butik w Deira City Center. A ty, habibti, ty mieszkałabyś sobie wygodnie i mielibyśmy miejsce dla siebie.

- Słuchaj, nie tak wyobrażałam sobie naszą przyszłość. To znaczy, nie chciałabym, żebyś spędzał czas w Al-Waha.

Twarz mu spochmurniała.

- A ty myślisz, że ja się nie staram... ciągle łamię sobie głowę, jak z tego wybrnąć, doprowadzam ich wszystkich w Al-Waha do szaleństwa coraz to nowymi wykrętami. Czy ty myślisz, że to dla mnie łatwe? Musimy wreszcie znaleźć jakieś rozwiązanie.

- Spójrz na mnie - powiedziałam spokojnie - czy naprawdę sądzisz, że mogłabym się dzielić tobą z inną kobietą?

- Dlaczego nie? Moja miłość, moje życie należą do ciebie.

- Nie, Chalid, nie. Ja bym tak nie mogła. Nigdy. A ty? Spodziewasz się, że twoje sumienie zniosłoby takie życie w kłamstwie?

Chalid westchnął.

- Słuchaj - mówiłam dalej - to by cię zniszczyło. Czułbyś się rozerwany. I wkrótce zacząłbyś mnie nienawidzić. Naprawdę nie pojmujesz, jak nierealne są twoje pomysły? Nie moglibyśmy nigdy pokazać się razem publicznie, bylibyśmy zamknięci w czterech ścianach. Życie w ukryciu i kłamstwie - nie, Chalid, to nie jest godne naszej miłości.

Na chwilę zapanowała martwa cisza.

- Wybacz mi, kochanie, to rozpacz popycha mnie do takich pomysłów - powiedział w końcu Chalid.

Tej nocy czułam, jak ogarnia mnie podstępna, obezwładniająca niemoc. Nie mogłam już tak dalej żyć. Ale zaraz jakaś siła, potężniejsza niż pustynia, mądrzejsza niż rozum, kazała mi brnąć dalej - wbrew wszelkiemu rozsądkowi.

## *Mama i Chalid*

Gdy moja mama wylądowała na Abu Dhabi International Airport, zgotowano jej takie przyjęcie, jakby to była wizyta na szczeblu państwowym. Chalid okazał mojej mamie szacunek, zjawiając się na lotnisku osobiście - za szklaną ścianą - a Ibrahim przywdział z tej okazji tradycyjny uroczysty strój. W powiewnych szatach i w kunsztownie zawiniętym turbanie wyglądał jak jeden z Trzech Króli. Po prostu bajecznie.

Obaj okazywali niebywałą radość z przybycia mojej mamy i widać było, że już się cieszą na wszystkie atrakcje, które z tej okazji zaplanowali. Przywitanie było w tradycyjnym stylu - kaskada niekończących się uprzejmości. Mama i jej przyjaciółka Ursina, którą zabrała w tę podróż, nie posiadały się ze zdumienia.

Kiedy już wsiadłyśmy do samochodu, Ibrahim ze śpiewem na ustach poprowadził wóz przez pustynię. Mama i Ursina spojrzały na siebie i wybuchnęły śmiechem. Nie mogły się powstrzymać, a Ibrahim jeszcze je rozśmieszał, stale wzbogacając swój repertuar. Chalid tylko potrząsał głową, kiedy śpiew przyjaciela zagłuszał jego pogawędkę z teściową. Zgodnie z arabskimi zwyczajami wypytywał ją po kolei o moje rodzeństwo: jak się mie-wają, jak im się powodzi. Oczywiście mama znała już ten rytuał z rozmów telefonicznych i przygotowała po kilka zdań o każdym ze swoich dzieci. Wreszcie promenada Corniche się skończyła i samochód stanął przed "Intercontinental Hotel".

Ibrahim poszedł jak zwykle do recepcji. Kroczył z godnością przez hotelowy hall - po raz pierwszy widziałam go w tradycyjnym stroju i byłam pod wrażeniem.

Potem zajęliśmy nasze pokoje. Kiedy już walizki były wypakowane, zapukałam do mamy. Drzwi się otworzyły, weszłam do środka i usiadłam w fotelu.

- Boże, dziewczyno, ale mnie wpakowałaś - wyrzuciła z siebie ze śmiechem. - Nie spodziewałam się takiego przyjęcia!

Obie z mamą byłyśmy w doskonałym nastroju. Wystarczyło, że jedna zaczęła coś mówić, a już druga wybuchała śmiechem. Po chwili dołączyła do nas także Ursina. Ja oczywiście nie umiałam im powiedzieć ani tego, o której powinny jutro wstać, ani też, jaki jest program. To wie tylko Allah - i będą się musiały do tego przyzwyczaić.

Następnego dnia telefon Ibrahima wyrwał nas z łóżka wcześnie rano. Gdy Chalid z nim rozmawiał, odsunęłam firanki i wyjrzałam przez okno. Pod nami rozpościerało się wielkie turkusowe morze, widać było malowniczy, kolisty port jachtowy - marinę.

- Boże, co za widok! Coś pięknego, po prostu bajka! - zawołałam, gdy usłyszałam, że skończył rozmowę.

Widać było, że Chalid promienieje z dumy i zadowolenia.

- Zobacz, co tam z twoją mamą - powiedział.

Podniosłam słuchawkę i zadzwoniłam do pokoju mamy, zaproponowałam im, żeby najpierw zjadła z Ursiną śniadanie w pokoju, a potem nacieszyła oczy wspaniałym widokiem na morze. A mnie, być może, uda się przez ten czas dowiedzieć się, jak będzie wyglądał nasz dzień.

Zapowiadało się upalne popołudnie, toteż postanowiliśmy wypłynąć jachtem w morze. Aileen wraz z Ibrahimem przynieśli z samochodu kosze z jedzeniem, maty, przenośną lodówkę i wielki parasol od słońca. Celem naszej wycieczki miała być

jedna z wysp u wybrzeża Abu Zabi. Razem z nami płynął właściciel łodzi, Libańczyk zaprzyjaźniony z Ibrahimem, oraz para lekarzy, znajomi Aileen. Moja mama nie spodziewała się, że jej pobyt w Emiratach będzie wypełniony różnymi atrakcjami. A już na pewno nie wyobrażała sobie, że podczas tej morskiej wyprawy będzie musiała brodzić po pas w wodzie. Ona, która tak boi się krabów, meduz i jeżowców! Ibrahim chciał ją przenieść na ląd na rękach, ale mama gwałtownie odmówiła. Oczywiście wszyscy uśmialiśmy się przy tym do łez.

Gdy kilka godzin później, przemoczeni do suchej nitki, wróciliśmy do portu, Ibrahimowi ciągle jeszcze było za mało śmiechu i rozrywki. Koniecznie chciał nas wszystkich zaprosić na kolację do „Al-Birkek”.

Po czterech dniach świętowania mama była prawie zadowolona, że ja muszę już wracać do Szwajcarii. Myślała, że teraz będzie wreszcie miała trochę spokoju. Ale mocno się pomyliła. W krajach arabskich obyczajają się inne. Życie rodzinne jest tu najważniejsze. Zaproszonego gościa nigdy nie zostawia się samego na całe dnie.

Pewnego wieczoru moja mama zadzwoniła do mnie do Szwajcarii z Al-Waha. Muszę przyznać, że gdy dowiedziałam się, że wszystko, o czym mi opowiadała, stało się właściwie wbrew jej woli, byłam raczej ubawiona niż zaskoczona. Bo cóż to za rozkosz, przechytryć, wyprowadzić w pole dobrodusznego, naiwnego Europejczyka - prawdziwa gratka dla Araba.

Ale wszystko po kolei. Ibrahim zaproponował paniom, czyli mojej mamie i Ursinie, wycieczkę do Dubaju. Następnego dnia wcześniej rano przed hotel zajęła ogromna limu-

zyna z szoferem. Podczas jazdy panie zjadły drugie śniadanie. Wszystko przy dźwiękach arabskiej muzyki. W Dubaju dosiadła się do nich sekretarka, która miała służyć paniom pomocą, ale robiła jakieś notatki pod dyktando Ibrahima. Podczas jazdy kilkakrotnie dzwonił Chalid, aby się upewnić, czy jego teściowej niczego nie brakuje. W końcu zgłosił się do mamy bezpośrednio i sam zapytał ją o samopoczucie, po czym oświadczył z całkowitym spokojem, że cieszy się z jej wizyty w Al-Waha. Mama była tak zaskoczona, że nie zdołała nawet zaprotestować przeciwko temu wyrafinowanemu podstępowi.

Po drodze zajechali na „jeden z największych i najsłynniejszych wielbłądzich torów wyścigowych w regionie” - jak poinformowała sekretarka. No, a ponieważ Ibrahim i Chalid od niedawna są dumnymi posiadaczami tych zwierząt, najpierw wszyscy mieli pójść na plac treningowy. Tak myślała moja mama. Z początku wcale nie chciała wyjść z samochodu, zwłaszcza że zatrzymali się pośrodku stada wielbłądów. Na nic zdały się wszystkie wykręty: że ma nieodpowiednie buty, że jest gorąco... Ibrahimowi udało się jakoś wywabić mamę z samochodu.

No, i oto znalazła się wśród pochrzakujących zwierząt, gdzieś między Dubajem i Szardżą. Ku jej przerażeniu jeden z wielbłądów podszedł do niej bardzo blisko i, charcząc, zaczął ją obwąchiwać. Oczywiście ku uciesze poganiaczy. W końcu nie każdego dnia do obozu trafiają Europejki.

Miały już obie z Ursiną naprawdę dość, w gardłach im wyschło, ubrania kleiły się do ciał. I wtedy sekretarka poinformowała je, że Beduini zapraszają na herbatę! „Boże, za co mnie to spotyka - pomyślała mama - dlaczego nie ma tutaj kiosku z colą”.

Zamiast coli musiały pić gorącą herbatę z brudnych srebrnych kubków i uczestniczyć w niekończącej się konferencji Ibrahima z Beduinami. Dyskusja nad tym, jakiego rodzaju miód mają dostawać wielbłądy, ciągnęła się i ciągnęła, i nikt by pewnie nie zauważył, gdyby mama padła nagle zemdlona.

Trwająca kilka godzin debata w końcu jednak się zakończyła. Mężczyźni uzgodnili, jakim miodem mają karmić zwierzęta, i można było ruszyć dalej. Nareszcie! Teraz już bezpośrednio do Al-Waha! Tak myślały obie z Ursiną. Znowu błędnie. Samochód nagle skręcił, zjechał z drogi i stanął. Ibrahim telefonował, sekretarka pilnie coś pisała, a szofer wyjął kanapki i puszki coli. I znowu niekończące się posiedzenie. Mama pomyślała wtedy, że tego dnia pewnie już nie ujrzy swojego pokoju w hotelu w Abu Zabi. Tym razem się nie omyliła.

Słońce stało już nisko nad horyzontem, gdy wreszcie okrążyli wieżę zegarową w Al-Waha. Zaraz też Ibrahim zawiózł je do hotelu o tej samej nazwie, gdzie pokój był już zarezerwowany. Ibrahim powiedział, że mogą się teraz odświeżyć i odpoczywać, aż przyjedzie szejek Chalid.

Biedaczki! Cały dzień upłynął im na czekaniu, a teraz zanośliło się na kolejne godziny! A one nie miały przy sobie nic - żadnych przyborów toaletowych, ubrań na zmianę, nic! Moja mama była coraz bardziej zła i przeklinała w duchu godzinę, w której wsiadła do samochodu Ibrahima. Już więcej nie da się namówić na żadną wycieczkę.

Zmierzchało, kiedy wreszcie przyjechał Chalid i poprosił wszystkich o przybycie do foyer.

Mama nie posiadała się ze zdumienia, kiedy ujrzała Chalida wchodzącego na salę. Takim go jeszcze nie widziała, właściwie

ledwie go poznała. Chalid bowiem był w tradycyjnym stroju. Wyglądał niezwykle godnie i wzbudzał powszechny respekt. Czy to ten sam Chalid, z którym niedawno była na pikniku? Ten sam, który teraz sprawia, że personel hotelu dwoi się i troi, by go obsłużyć?

Chociaż mamę i Chalida łączyła już pewna poufałość, to teraz nagle jakby wyrosła między nimi niewidoczna ściana, pojawiła się rezerwa i dystans. Mama starała się odnaleźć w roli oficjalnego gościa. Chalid musiał to wyczuć, gdyż próbował jakoś rozluźnić atmosferę zarcikami i swobodnymi uwagami. Ale ona i tak czuła się skrępowana i spięta.

Po kolacji Ibrahim wraz ze swoją świętą poszedł do sali bilaradowej. Poprosił Ursinę, by zechciała mu towarzyszyć, ale przyjaciółka mamy nie miała ochoty. Kiedy zaczęła namawiać także Chalid, stało się jasne, że chce zostać z mamą sam.

Poza nimi w sali restauracyjnej nie było żadnych gości. Cisza. Tylko świergot ptaków w wolierze. Chalid gawędził z mamą, ale wydawało się, że czeka na to, by kelnerka zniknęła wreszcie w kuchni. Gdy już byli sami, przybrał poważny wyraz twarzy i rzekł:

- Mam, chciałbym powiedzieć, że pani wizyta w Zjednoczonych Emiratach znaczy dla mnie bardzo wiele. Darzę panią wielkim szacunkiem. Przez te wszystkie lata dawała mi pani odczuć, że we mnie wierzy. Chciałbym za to najszczerzej podziękować.

- Ach, Chalid...

Mama nie wiedziała, co powiedzieć.

Kelnerka znowu wyszła z kuchni, spojrzała na ich stolik, i wyszła. Na twarzy Chalida pojawił się wyraz niepokoju.

- Czy wolno mi panią o coś zapytać? - powiedział.

- Ależ naturalnie, Chalid!

- Pani córka jest miłością mojego życia i nie potrafię bez niej żyć. A oto moje pytanie: czy mogłaby pani wyobrazić sobie wspólne życie z nami w Dubaju?

Mama oniemiała. Co prawda, wiedziała wcześniej o tym niewiarygodnym pomysle Chalida, ale nie spodziewała się, że on rzeczywiście traktuje to poważnie. To był dla niej autentyczny wstrząs.

- Mam, mógłbym dla pani urządzić butik w największym centrum handlowym w mieście - dodał Chalid po chwili. - Albo moglibyśmy otworzyć sklep ze szwajcarskimi pralinkami.

Mama westchnęła głęboko.

- Ach, Chalid, bardzo mi przykro, ale nie wydaje mi się, abym mogła spełnić twoje pragnienie. Nie wyobrażam sobie życia nad Zatoką, z dala do mojej ojczyzny, z którą jestem bardzo związana. Tu wszystko jest dla mnie obce.

Chalid odparł, że mama nie musi decydować już teraz, taka rzecz wymaga rozważenia i zastanowienia.

Wkrótce potem wstał, rozmowa była skończona, ale on zaproponował jeszcze, żeby razem zadzwonili do niego, do Zurychu. Kiedy Chalid opuszczał salę, personel zęgnął go ukłonami; mama podążyła za nim. Poszli na parking i wybrali mój numer.

- Hi, Verena, zgadnij, kto tu jest ze mną? - zapytał zawadiackim tonem Chalid.

W tle rozpoznałam głos mamy.

- Hi, słyszę, że to moja mama.

- Poczekaj, dam ci ją.



- Verena, nie uwierzysz! Chalid uprowadził mnie do Al-Waha! - wykrzyknęła mama wzburzona.

- Coo?

Chalid zabrał jej komórkę i powiedział ze śmiechem:

- No, to prawda. Mama jest w hotelu „Al-Waha”, właśnie razem zjedliśmy kolację.

Przez chwilę komórka wędrowała między nimi. Ja oczywiście nie miałam pojęcia, jak ważną rozmowę mieli za sobą ci dwoje, toteż zaśmiewałam się do łez z tego „uprowadzenia Szwajcarek”.

Następnego dnia po śniadaniu Ibrahim przekazał paniom, że oczekuje ich przed hotelem w samochodzie. Osobiście i za przyciemnionymi szybami, ma się rozumieć. Przed powrotem do Szwajcarii Chalid chciał mamie pokazać swoje ziemie - żeby mogła zabrać te obrazy w sercu do domu. Żeby je na zawsze zapamiętała. I naprawdę udało mu się to osiągnąć.

## *Ramadan, koniec kwietnia 1990*

Od zawarcia ślubu minęły cztery miesiące. Powoli traciłam nadzieję - nie miałam nic, ale to absolutnie nic, na czym mogłabym się oprzeć. Cicha walka z arabskimi tradycjami, prawami i zwyczajami była już dawno przegrana - czułam to wyraźnie. Byłam pewna jednego - nigdy nie uciszyłabym głosu swego serca, gdybym za nim nie podążyła.

Po raz kolejny głęboko wciągałam w nozdrza duszny, ciężki zapach kerozyny i piasków pustyni. Tamtej nocy na niebie nie było widać ani księżyca, ani gwiazd, a powietrze było tak wilgotne, że cała okolica wyglądała jak spowita we mgle.

W hali przylotów panowała kompletna cisza. Nieliczni pasażerowie Swissair już dawno przeszli kontrolę paszportową. Za szklaną ścianą nie było nikogo. „Co się dzieje - pomyślałam - czyżby o mnie zapomnieli?” Nieco zaskoczona, usiadłam w fotelu. Dwóch urzędników, którzy jeszcze pełnili służbę, od czasu do czasu spoglądało na mnie ukradkiem zza białych chust. Ciekawe, jak długo będą tujeszcze siedzieć? Byłam coraz bardziej zdenerwowana, minuty ciągnęły się nieznośnie, aż tu nagle w ciszy terminalu wywołano z megafonu moje nazwisko. Odetchnęłam z ulgą. Przynajmniej jakiś znak, że o mnie nie zapomnieli, widzą, że tujestem. Urzędnik zabrał mnie do jakiegoś biura, gdzie wręczono mi słuchawkę telefoniczną. Gdy usłyszałam śmiech Ibrahima, miałam ochotę posłać go do wszystkich diabłów.

- Verena, wybacz, tak mi przykro, że się spóźniam, zaraz będę na lotnisku.

Oczywiście upłynęły jeszcze trzy kwadranse, zanim Ibrahim wreszcie przyjechał i mnie wybawił. W tym czasie nie przyleciał ani jeden samolot i naprawdę zadawałam sobie pytanie, czy to rzeczywiście ze względu na mnie lotnisko było dłużej otwarte.

- A gdzież to się podziewa mój mąż? - zapytałam rozczarowana, kiedy ruszyliśmy.

- Jedźcie za nami, jest niedaleko, możesz się już z nim przywitać przez telefon.

Przełknęłam narastające rozczarowanie i wybrałam numer Chalida. Usłyszałam jego głos i dowiedziałam się, że dzieli nas jeszcze sto kilometrów.

- Nie bądź smutna - powiedział - już niedługo się zobaczymy.

No tak, wyglądało na to, że wszyscy się tego dnia spóźniali, pewnie w związku z ramadanem. Aileen znowu była na dyżurze, toteż od razu pojechaliśmy do hotelu „Meridien”.

W ogrodzie długie, suto zastawione stoły zapraszały do al-iftar - uczyty na zakończenie postu. „O Boże - pomyślałam w panice - akurat tutaj...” W miejscowym hotelu, gdzie będę mogła co najwyżej przelotnie dotknąć ręki Chalida, mojego męża!

Kiedy usiedliśmy przy jednym ze stołów, oczy wszystkich zwróciły się w moim kierunku. Po raz pierwszy znalazłam się w towarzystwie, w którym wszystkie kobiety były zakwefione - czułam się wśród nich jak intruz. W dodatku powietrze było parne, wszystko się kleiło i dosłownie spływało wodą; kropelki wilgoci błyszczały na torebce, na włosach.

Przez cały czas napływali coraz to nowi przyjaciele i znajomi Ibrahima, przeważnie mężczyźni, i dosiadali się do nas. Czu-

łam się okropnie, coraz bardziej skrępowana i speszona. To była nie lada sztuka, czekać na Chalida i przez cały czas utrzymać dystans, zachowywać się zgodnie z tutejszymi zwyczajami, tak aby uważano mnie za porządną kobietę. Ale to po prostu było niemożliwe. W każdym razie nie w tym kręgu kulturowym - wiedziałam, że dopóki mój mąż nie ogłosi oficjalnie naszego małżeństwa, jestem i tak na straconej pozycji. Siedziałam tam udręczona i modliłam się już tylko o to, by Chalid wreszcie przyszedł i mnie wybawił.

Zjawił się wreszcie po półtorej godziny. Z początku wcale go nie poznałam. Zobaczyłam tylko jakąś postać w białej disz-daszy - następny znajomy Ibrahima, który po kolei wita się ze wszystkimi. Gdy stanął przede mną, wspaniałały i godny, w tej swojej śnieżnobiałej szacie, oniemiałam. Oczy Chalida przez krótką chwilę spoczęły na mnie, uśmiech walczył w nich z powagą. Ale zanim w ogóle zdołałam zareagować, zjawa odpłynęła. Jak rażona gromem, patrzyłam za oddalającą się majestaticzną postacią, która dopiero co uścisnęła mi rękę - tak jak wszystkim. Żeby zaskoczenie było pełne, Chalid usiadł spokojnie między jakimiś obcymi mężczyznami. Patrzyłam na niego szeroko otwartymi oczami, spięta i zeszywniała do ostatniego włókienka. Jak on mógł mi coś takiego zrobić! Zwyczajnie zwyczajami - ale czy on nie rozumie, jak bardzo mnie zranił?!

Tymczasem z pomocą przyszedł mi Ibrahim. Od razu zaczął opowiadać o Aileen, która właśnie dostała awans; a potem - że jak minie ramadan, planują wspólne wycieczki i rozrywki z nami. Ibrahim cały czas się o mnie troszczył, podsuwał mi różne przysmaki. Nie miałam apetytu, nie chciałam jeść, ale on spojrzał na mnie i powiedział dobitnie:

- Verena, musisz jeść, przed tobą długi dzień postu, nie będziesz miała siły.

Gardło miałam ściśnięte, z trudem przełykałam każdy kęs. W duchu modliłam się, żeby wreszcie to się skończyło. Ale końca nie było widać. Chalid dalej siedział w tym samym miejscu i nie zwracał na mnie uwagi.

Tymczasem powoli dochodziłam do siebie, sztywność ustępowała, a najej miejsce pojawiła się wściekłość. Serce mi waliło - jeszcze trochę, a wybuchnę. Była trzecia nad ranem, a Chalid dalej siedział wśród obcych mężczyzn, „A może wziąć tak-sówkę i stąd uciec” - pomyślałam.

Wreszcie drżącym głosem poprosiłam Ibrahima, żeby zawiózł mnie do hotelu. Ten spojrział na mnie z wielkim zaskowaniem, potem pogłaskał mnie po ręce i powiedział:

- Zaraz, Verena, zaraz pojedziemy.

Popatrzył przy tym na Chalida, który rozmawiał przy drugim końcu stołu. Zanim się obejrzałam, Chalid siedział tuż obok mnie.

- Jak śmiesz robić mi coś takiego! - syknęłam ze spuszczo-nymi oczami.

- Wszystko ci potem wyjaśnię - zaszeptał Chalid zza bia-łego zawoju - wyjedziemy, jak najszybciej się da.

Niedługo potem wyruszyliśmy do Dubaju.

Gdy nieco oddaliliśmy się od hotelowego ogrodu, straciłam panowanie nad sobą.

- J a k mogłeś mi coś takiego zrobić! - wybuchnęłam. - Toja, twoja żona, lecę przez pół kontynentu, czekam na ciebie godzi-nami, a ty, co robisz? Siadasz do stołu z obcymi mężczyznami! Tylko na to cię stać! Jak myślisz, jakja się poczułam?

Chalid wciekły, ale i przestraszony, szybko spojrzął w prawo i lewo, a potem ostro rzucił, gdy wsiadaliśmy do samochodu:

- Jak możesz tak się zapominać i robić mi scenę na środku ulicy!

„I co z tego!” - miałam już na końcu języka, ale się powstrzymałam. To nie miało sensu.

Silnik zapalił i ruszyliśmy bez słowa.

Angielska mgła to nic w porównaniu z tym, co tej nocy opadło na Abu Zabi. Wilgotność była tak duża, że Chalid musiał włączyć wycieraczki. Chwilami nic nie było widać, jakbyśmy jechali prosto na wielką, białą ścianę. Pomyślałam, że Chalid zaraz zjedzie na pobocze i zatrzyma samochód. Ale nie, powoli sunęliśmy do przodu. Zrobiło mi się niedobrze ze strachu. Ale nie odważyłam się pisnąć ani słowa. Oczywiście, to nie był dobry moment na roztrząsanie problemów naszego związku, teraz chodziło o to, by nie wpakować się najakimś pojazdem jadącym z naprzeciwka.

Długo i w milczeniu przebijaliśmy się przez tę nocną mgłę. W końcu Chalid pierwszy otworzył usta.

- Co porabia twoja mama?

Przez moment nie byłam w stanie wydusić z siebie odpowiedzi.

- Nie wiem, ale dobrze, że nie musi widzieć, przez co przechodzi teraz jej nieszczęsna córka - powiedziałam wreszcie.

Chalid, nie odrywając wzroku od szosy, dotknął mojego ramienia.

- I am so sorry for that, sweetheart.

Mgła podnosiła się powoli, widoczność była coraz lepsza.

W pewnej chwili noc stała się pogodna i jasna. W oddali tańczyły światła Dubaju. Ta noc uzmysłowiła mi bardzo wyraźnie, że nasz związek nie ma szans. W ten sposób nie da się godnie żyć. Wszystkie problemy, wszystkie przykrości wynikały z tego,

że Chalid utrzymuje nasze małżeństwo w tajemnicy. Gdyby wprowadził mnie do swojej rodziny, gdybym została przyjęta przez jego kraj - takie rzeczy by się nie zdarzały. Dzisiejszej nocy miałam okazję przekonać się, jak świetnie bawią się Arabki poza czterema ścianami własnego domu. Jedyną kobietą, która źle się czuła na tym przyjęciu, której było przykro i źle - byłam ja. Napełniło mnie to wielką goryczą.

Światła miasta były coraz bliżej, a ja zaczęłam się zastanawiać, jaką to kwaterę obmyślił dla nas Chalid. I chociaż nieustannie pracowałam nad cierpliwością, tym razem nie wytrzymałam i w końcu ośmieliłam się zadać mu pytanie:

- Dlaczego jedziemy do Dubaju o piątej rano?
- Przecież jest ramadan.
- Przykro mi, ale nie rozumiem związku.

Spojrzał na mnie szybko, zauważył, że jestem zniecierpliwiona.

- Niedługo zrozumiesz.

Następnych kilka kilometrów przejechaliśmy w milczeniu. W końcu Chalid zatrzymał się przed wysokim budynkiem. Drapacz chmur stał po drugiej stronie autostrady, na zachód od Dubai Creek.

- Nie widzę tu żadnego hotelu. Co my tu robimy? - zapytałam, kiedy wysiadaliśmy z samochodu.

Chalid podniósł głowę, spojrzał na fasadę.

- Tam, na górze, jest nasz nowy dom - powiedział. - Dwa tygodnie temu kupiłem mieszkanie.

- Co zrobiłeś?

Patrzyłam na niego w osłupieniu.

Oczy Chalida lśniły dumą, jakby dokonał cudu.

No, to było zaskoczenie! Szok! Niezdolna wydobyć z siebie

słowa, poszłam za Chalidem. Po tym wszystkim, co się stało, nie wiedziałam, czy mam się cieszyć, czy płakać. Jedyne, co czułam, to zniechęcenie.

Na parterze budynku znajdował się ciąg sklepów. Znaleźliśmy się w przestronnym marmurowym holu. W głowie mi wirowało, myśl goniła myśl, gorączkowo zastanawiałam się, jak w tej sytuacji będzie wyglądała moja przyszłość z Chalidem. Kiedy jechaliśmy windą na górę, nie czułam niczego poza narastającą niepewnością i lękiem. Aileen na pewno nic nie wie o tym apartamencie i teraz będzie ją widywać tylko od czasu do czasu. Ją, jedyną osobę, którą jest dla mnie oparciem w tym kraju.

Gdy Chalid majestatycznie kroczył przez nowo zakupione mieszkanie, ja starałam się ukryć swoje niezadowolenie.

- Gdy już wszystko będzie gotowe, kiedy umeblujemy też duży salon, będziesz miała piękny dom. Już niedługo - rozmarzył się Chalid.

- Pewnie. Bardzo się cieszę - powiedziałam, starając się wykrzesać z siebie trochę udawanego entuzjazmu.

Nie miałabym serca psuć mu w tej chwili radości. Wiedziałam przecież, że w gruncie rzeczy on chce dla mnie jak najlepiej. Żebym była zadowolona. Aż Allah wskaże jakieś rozwiązanie.

Kiedy obudziłam się następnego dnia, w mieszkaniu było jeszcze ciemno - wszystkie żaluzje opuszczone. Idąc do łazienki, zerknęłam na zegarek - dwunasta, za wcześnie, by wstawać. Chalid powiedział mi, że na tych kilka dni musimy się prześwilić na nocy tryb życia. Jedzenie i picie są podczas ramadanu dozwolone dopiero po zachodzie słońca.

W lodówce faktycznie nie było niczego poza kilkoma puszkami coli. Położyłam się więc do łóżka.



Długo leżałam, co jakiś czas zapadając w drzemkę, ale nie mogłam już zasnąć. W końcu wymknęłam się do salonu i włączyłam telewizor. Było mi słabo z głodu, więc potajemnie wypłam puszkę coli. Potem Chalid pojechał do supermarketu, kupił jajka i pomidory i usmażył mi omelet.

Ostatnie dwie godziny były już tylko jednym wielkim czekaniem na zawołanie muezina - koniec postu. W końcu z telewizora rozległ się zbawczy głos: „La ilah ilia Allah wa Muham-mad Rasul Allah...”

Chalid zjadł szybko kilka daktyli i pojechaliśmy samochodem do restauracji. Kiedy weszliśmy do niewielkiego lokalu dla cudzoziemców, od razu zrozumiałam, że znowu działamy w ukryciu, żeby nikt nas nie zobaczył. Rzeczywiście, na tarasie posilało się zaledwie kilku turystów. Wiedziałam, że długo nie wytrzymam tej zabawy w chowanego. Poprzedni wieczór był tak upokarzający, że nie zamierzałam znosić już więcej poniżeń. Nie zasłużyłam na takie traktowanie, jako - podobno - osoba Chalidowi najdroższa na świecie. A już na pewno niejako jego żona.

Przysięgłam sobie, że tego wieczoru muszę się dowiedzieć, co Chalid zrobił dla naszej miłości, na co się odważył. Wprawdzie nauczyłam się, że na pustyni czas płynie inaczej - trzeba mieć nieskończoną cierpliwość. Ale oto doszłam do granicy bólu. Chciałam mieć wreszcie jasność, co dalej. Coraz bardziej wątpiłam w odwagę i zdecydowanie Chalida. Jego spotkanie z moją mamą, ta rozmowa z nią, a teraz ten apartament - to wszystko źle wróżyło na przyszłość.

Chalid w milczeniu pochłaniał jagnięcinę z ryżem. Na jego twarzy stopniowo pojawił się wyraz odprężenia. Rozumiałam

to doskonale. *Przecież* dopiero co na własnej skórze przekonałam się, co oznacza taki ścisły post i jak surowo przestrzega się tego nakazu w islamie.

- Opowiedz mi o Al-Waha, Chalid, jak się powodzi twojej rodzinie? - zaczęłam ostrożnie.

- Och, wszystko dobrze - odparł.

- A jak twoja mama? Jak się czuje?

- Znakomicie. Mamajest w najlepszym zdrowiu.

Jego głos zdradzał wewnętrzne napięcie. Nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że Chalid coś przede mną ukrywa.

- Słuchaj, a ten apartament... kupiłeś go, żebyśmy nie musieli błąkać się po hotelach?

Jego oczy błędziły po morzu.

- I żebyś nie musiał jeździć tak daleko, do Abu Zabi?

- Tak, Verena... a także, żebyś... - urwał, był coraz bardziej zdenerwowany.

- Żebyś, co? Proszę, powiedz.

- Żebyś wreszcie poczuła się w Dubaju jak w domu - powiedział trochę zbyt szybko.

Intuicja mnie nie myliła. Decyzja o zakupie tego apartamentu kosztowała go wiele nerwów, Chalid musiał stoczyć walkę z samym sobą. Starałam się zachować spokój, żeby pytaniami nie wzbudzić jego podejrzeń. Ale wreszcie musiałam się dowiedzieć całej prawdy. Tu i teraz.

- Czy naprawdę tego pragniesz z całej duszy? - zapytałam.

- Tak, pragnę... wątpisz w to?

- Powiedzmy tak: tobie się wydaje, że ja nie widzę, co się z tobą dzieje. Ale wszystko można wyczytać z twojej twarzy - odparłam spokojnie.

Niepewny uśmiech przemknął po jego pięknym obliczu.

- No i co ci mówi moja twarz?

- Mówi, że masz jakieś zmartwienie - odparłam.

Roześmiał się.

I znowu przybrał tę swoją słynną twarz pokerzysty. Pomyślałam, że może powinnam podjąć jego grę. Tak, najlepiej będzie, jeśli w żartach powiemy sobie to, o czym myślimy poważnie.

- Hm... - kontynuowałam - a więc kłopoty doprowadzają cię do śmiechu. To godne uwagi. Też bym tak chciała. Powiedz, jak to robisz?

- Nie popuścisz, co, sweetheart?

- Zgadza się. Jeśli chcę, potrafię być bardzo uparta.

Upił łyk wody i zamilkł.

- Zatem - mówiłam dalej, ostrożnie dobierając słowa - obawiam się, że jesteś zatroskany, ponieważ ja jeszcze nie wiem, że tymczasem wzięłeś ślub ze swoją... kuzynką. Zgadza się?

Oczywiście, naprawdę wcale tak nie myślałam.

Chalid roześmiał się.

- Ależ skąd, Verena!

Ale zaraz spowaźniał.

- Muszę jednak przyznać, że naciski ze strony obu rodzin są coraz większe. I nie wiem, jak długo jeszcze uda mi się odsuwać termin ślubu.

Nareszcie! Teraz już wiedziałam.

Przez długą, bardzo długą chwilę siedzieliśmy w milczeniu. W mojej głowie przeciągał upiorny korowód barwnych obrazów z wesela Chalida. A zatem przygotowania idą pełną parą - a on, on to wszystko przede mną zataił.

Było mi trudno zachować spokój. Tym bardziej, że zdawałam sobie sprawę ze swojej przegranej.

- Słuchaj, Chałid - powiedziałam - wydaje mi się, że oto nadszedł czas, gdy powinniśmy się rozstać. Nasza sytuacja będzie coraz gorsza, im dłużej będziemy odsuwać to, co i tak nieuchronnie musi nadejść.

- Ależ skarbie! Moja cała miłość, całe moje życie należy do ciebie. I to nie zmieni się nigdy.

Nachylił się przez stół, spojrział na mnie, w jego oczach ujrzałam bezmiar rozpaczy.

- Nie chcę cię stracić, słyszysz?

Potrząsnęłam głową z niedowierzaniem. To beznadziejne.

- Ale ja nie jestem kobietą pustyni, nie jestem Arabką. Nie potrafię się tobą dzielić - powiedziałam z westchnieniem.

Twarz Chalida poczerwieniała ze złości. Nie wiem, co tak naprawdę go rozzłościło.

- Nie zrozum mnie źle - powiedziałam szybko - wiesz, jak wielki jest mój szacunek dla islamu, dla waszych zwyczajów i praw. Ale mimo to nie potrafię dzielić się tobą z inną kobietą. Rozmawialiśmy już o tym przed kilkoma tygodniami. I to się nie zmieniło.

Westchnął. Widać było, że nic nie rozumie. A potem powiedział, artykułując każde słowo dobitnie:

- Jesteśmy małżeństwem. I tak już pozostanie na zawsze.

Rozmowa była zakończona. W przykrym nastroju, smutni i rozdrażnieni opuściliśmy hotelową restaurację.

A ponieważ bez towarzystwa nie mogliśmy pokazać się razem w mieście, nie pozostało nam nic innego, jak wrócić

do przytłaczającej ciszy i samotności apartamentu. Żadnego tarasu, żadnej trawy, widoku na morze. Nic. Tylko pustynny pył i smutek.

Następnego dnia obudziliśmy się jeszcze wcześniej. Po prostu nie dało się zrobić z dnia nocy, tym bardziej że musieliśmy się ukrywać. Chalid bez przerwy telefonował, rozmawiał chyba z całym światem. Ja z nudów zaczęłam robić mu zdjęcia - we wszystkich możliwych ujęciach, z różnych stron. Jego profil, głowa owinięta chustą w biało-czerwona kratę jak u Beduina. Gdybyśmy nie byli uwięzieni w tych czterech ponurych ścianach, mogłabym mu zrobić naprawdę piękne zdjęcia.

- Powinniśmy zadzwonić do twojej mamy - powiedział nagle Chalid.

Tego jeszcze brakowało! Mama na pewno od razu wyczułaby moje przygnębienie. Nawet gdybym się śmiała, nic nie udałoby się przed nią ukryć. Nie, tego nie chciałam. Wolałam być z moim bólem sama. Chalid bardzo się zdziwił. Nie rozumiał, jak można nie być w nastroju, by zadzwonić do własnej matki. Nic dziwnego, przecież niczego nie przeczuwał.

- A może zadzwonimy do Aileen, albo - jeszcze lepiej - odwiedźmy ich, dobrze?

Pojawił się cień nadziei na jakąś odmianę - wreszcie gdzieś wyjdziemy. Ale zaraz się rozczarowałam: Chalid powiedział mi, że po południu oczekuje Nabila. Ostatecznie, całkiem przygnębiona, wybrałam numer Aileen. Ale co jej powiedzieć? W obecności Chalida nie mogłyśmy rozmawiać swobodnie, a już na pewno nie o tym, co mi teraz chodziło po głowie.

Dzwoniłam i dzwoniłam, ale w Abu Zabi nikt się nie zgłaszał. Sprawa rozwiązała się sama.

Popołudnie okazało się jeszcze gorsze, niż się spodziewałam. Czas między piętnastą a osiemnastą spędziłam całkiem sama, zamknięta w apartamencie. Chalid pojechał na lotnisko po Nabila. Na wszystkich kanałach radiowych i telewizyjnych na okrągło rozbrzmiewały sury Koranu. Nie rozumiałam arabskiego, nie miałam nic do czytania, nie było telefonu. Byłam sama z sobą. I oto mimowolnie zaczęłam uczestniczyć w ramadanie, który jest czasem rozważań i zastanawiania się nad sobą.

Nagle przed oczami przebiegło mi całe moje życie, a potem historia miłości do Chalida. Czy rzeczywiście kochałam jeszcze tego dumnego, pięknego Araba, który potrafił zacytować z pamięci każdą surę Koranu? Czy tylko kurczowo trzymałam się pięknych, szczęśliwych wspomnień, bajkowych rojeń i wyobrażeń? Czy to pustynia budzi we mnie te wszystkie tęsknoty? Rozgwieżdżone niebo nad piaskami, spokój, który tak koi moją duszę? Dubai Creek z pięknymi wieżyczkami na nabrzeżu, ze starymi, brzuchatymi statkami, które jak przed stu laty krążą z towarami między Indiami a Afryką? Piękna panorama miasta, wspaniałe wieżowce o architekturze łączącej elementy Wschodu i Zachodu, wąski pas luksusu, za którym na wielkich bazarach tętni życie dawnej Arabii?

A jak się to wszystko zaczęło? Pomyślałam o Fajsalu, o Anglii. I zrobiło mi się wstyd. Przed Fajsałem.

Po trzech godzinach Chalid wrócił wreszcie z lotniska.

- Skarbie, pojedziemy z Nabilęm coś zjeść. Pośpiesz się, już czeka na nas na dole.

Nie spodziewałam się tego. Ale wraz z serdecznością, z jaką powitał mnie Nabil, od razu powróciła dawna zażyłość.

Ku mojemu zaskoczeniu po raz pierwszy poszliśmy w Dubaju do miejscowej restauracji. Kiedy weszliśmy po stromych schodach na piętro, ujrzałam obraz prawdziwej tutejszej przytulności. We wnętrzu dominował widok Arabek zasłoniętych od stóp do głów. Zmieszana, ze spuszczoneymi oczami przeszłam obok stolików i dopiero, gdy kelner przyniósł wodę i wielbłądzie mleko, odważyłam się rzucić ukradkowe spojrzenie na salę. Całe klany rodzinne - kobiety ze wzrokiem utkwionym w ścianę - siedziały spokojnie, czekając na koniec kolejnego dnia postu. Jeszcze tylko kilka minut, a zza okien dobiegnie głos muezina. Zadawałam sobie pytanie, czy gości w lokalu nie gorzszy to, że siedzę tutaj, jedyna kobieta z nieosłoniętą twarzą. Nie miało sensu pytać o to Chalida - nigdy by tego nie przyznał. Ale może ludzie znad Zatoki są bardziej tolerancyjni, bardziej otwarci niż inni Arabowie. Tymczasem muezin obwieścił koniec postu. Całe towarzystwo podniosło się z miejsc i rzuciło w stronę bufetu. Ze zdumieniem zobaczyłam, że jedna z kobiet miała twarz zasłoniętą nawet podczas jedzenia. Lewą ręką unosiła zasłonę, a prawą zgrabnie wsuwała widelec do ust.

Mimo że całe zasłonięte, kobiety były niezwykle pociągające. Wystudiowanymi, zalotnymi spojrzeniami, to opuszczając, to podnosząc rzęsy, uwodziły mężczyzn i roztaczały cudowną atmosferę kobiecości.

Z ulgą wyszłam z restauracji - wśród tych wszystkich kobiet czułam się jak intruz, jak outsider. I wiedziałam też, że to nie było w porządku. Ale wcale nie musiało tak być. To tylko i wyłącznie wina Chalida. Wszystko zależało od niego. To przez niego

tak się czułam. Byłam na niego wściekła, byłam wściekła na cały świat, na samą siebie. Nagle to wszystko, cała nasza sytuacja stała się dla mnie nie do zniesienia.

Ledwie weszliśmy do domu, poczułam ogromne przygnębienie. Usiadłam na sofie, podciągnęłam kolana, ukryłam twarz w dłoniach. Po moich policzkach bezgłośnie spływały łzy rozpacz i rozżalenia. W tamtej chwili przeklinałam godzinę, w której poszłam za głosem serca. Pragnęłam cofnąć wszystko, absolutnie wszystko, co się stało. Ale co się stało, to się nie odstanie, nie można cofnąć czasu. Niczego już nie można było zmienić. Musiałam sobie z tym jakoś poradzić. Albo umrzeć. Wybór należał do mnie.

Nagle usłyszałam głos Chalida, smutny, pełen zwątpienia:

- Wiedziałem, skarbie, wiedziałem, że nie powinienem być cię tu ściągać w czasie ramadanu. Ale ty sama tak bardzo tego chciałaś. Powiedziałaś, że chcesz żyć jak muzułmanka.

Nic nie odpowiedziałam, siedziałam wstrząsana cichym szlochem. On nie ma o niczym pojęcia, niczego nie rozumie.

- Słuchaj, nie smuć się, jutro zawiozę cię do pięknego hotelu z basenem, będziesz mogła sobie popływać i przez cały dzień jeść i pić, ile dusza zapagnie. Dobrze?

Nie wiem, dlaczego, ale ta propozycja wywołała jeszcze większą falę łez.

- Boże, pomóż mi! Co ja mam z tobą zrobić? - jęknął Chalid.

Tymczasem zadzwonił telefon. Z tonu wywnioskowałam, że to pewnie Ibrahim. Podczas rozmowy Chalid co chwila spoglądał na mnie z niepokojem. Rozmawiali i naradzali się długo, potem Chalid przytulił mnie i powiedział:

- Wyjdźmy gdzieś. To ci dobrze zrobi. Możemy pojechać do jakiegoś hotelu, napić się kawy.



- Nie, Chalid, nie dam rady. Nie mogę w tym stanie pokazać się ludziom.

- To co możemy zrobić, żebyś się lepiej poczuła?

- Nie wiem... chociaż właściwie... pojedźmy na pustynię.

- Żejak? Na pustynię? Po ciemku, w środku nocy?

- Przecież jest pełnia.

- No tak. Ale chyba wiesz, że w nocy są tam dżinny.

- Ach, Chalid, daj spokój tym żartom.

- Aha, myślisz, że ja żartuję - i Chalid uśmiechnął się tajemniczo.

Poszłam do łazienki, żeby przemyć zapuchnięte odpłacz oczu. W tym czasie Chalid przygotował termos z kawą i wsypał trochę daktyli do papierowej torebki. Ruszyliśmy w stronę pustyni. Kiedy miasto zostało za nami, nie spotkaliśmy już po drodze ani jednego pojazdu. Od czasu do czasu widzieliśmy niesamowite sylwetki wielbłądów, raz nawet Chalid musiał gwałtownie zahamować, gdyż jeden z nich stał na środku drogi. Z prawej i lewej strony dwupasmowej szosy piętrzyły się wydmy.

Chalid zwolnił, szukając odpowiedniego miejsca. Wzięliśmy nasze rzeczy pod pachę i przeszliśmy parę kroków po piasku.

- Chalid - zapytałam, jednak trochę przestraszona - a jak właściwie wygląda taki dżinn?

- Ja tego nie wiem, nigdy żadnego nie widziałem. No, powiedz, nagle się przestraszyłaś? Ale to przecież tylko przywidzenia.

Rozwinęłam dywan, usiadłam i znowu zachciało mi się płakać.

Chalid objął mnie ramieniem.

- Habibti, wybacz, to nie było fair z mojej strony.

- Ach, w porządku, to nie twoja wina, mam dzisiaj po prostu zły dzień.

Jednak doskonale wiedziałam, że to nie chodzi o zły dzień ani też o ramadan. Moje załamanie to była depresja, której przyczyny sięgały o wiele głębiej. Byłam rozczarowana, bezgranicznie rozczarowana. Przegrałam walkę. Byłam bezsilna wobec potęgi islamskich praw i zwyczajów. Nic nie mogłam zrobić. Widziałam, jak Chalid, który najpierw walczył o naszą miłość, teraz ugina się pod naciskami swojej rodziny. Tego najwyższego autorytetu, który stoi ponad wszystkim. Jedynie Bóg, Aileen i Ibrahim byli świadkami naszej historii. O ślubie wiedział jeszcze tylko imam z Asuanu i dwaj egipscy świadkowie. I chociaż już dawno zrozumiałam, że Chalid nie ma wyboru, że musi się ugiąć, to jednak przez cały czas tliła się we mnie iskierka nadziei. Takie właśnie jest życie. Nadzieja umiera ostatnia. Ale teraz moje serce było już zmęczone. Tym razem pożegnamy się na zawsze. To było dla mnie oczywiste. I jeszcze jedno: w tamtej godzinie uświadomiłam sobie, że muszę zranić Chalida. Musi trochę pocierpieć. Za to, że wybrał siebie.

Nie chciałam mu jednak poważnie zaszkodzić. Nie. Tego typu działania są mi kompletnie obce. Poza tym za bardzo szanowałam naszą miłość i naszą przyjaźń.

Tak właśnie czułam się owej nocy na pustyni. „Gdybyś wiedział, Chalid - myślałam - gdybyś tylko wiedział... dzisiaj poczułam, że już nie chcę cię więcej widzieć...”

Przed oczami ujrzałam scenę pożegnania na lotnisku. Bezradne, zrozpaczone spojrzenie mężczyzny, który nie jest panem swojego losu, ponieważ jest niewolnikiem swojego pochodzenia. Cios - ale szejkowi nie wypada okazywać bólu. A już na pewno nie publicznie. „Zmyliłam cię, wywiodłam w pole, co? Głupio. No, ale w miłości bez bólu się nie da. Dotyczy to także ciebie”.

Chalid otworzył termos, podał mi kubek kawy. Przez chwilę rozkoszowałam się mocnym, obcym zapachem kardamonu i wody różanej.

- Czy to nie piękne... ta przestrzeń, cisza i niebo nad nami - powiedziałam.

Chalid spojrział na mnie badawczo, jakby obawiał się nowego ataku płaczu.

- A popatrz na te miliardy migoczących gwiazd! To tak, jakby niebo rozsypało nad nami skrzynię klejnotów. Cudowne!

- Inti madžnuna, habibti (jesteś szalona, skarbie) - roześmiał się Chalid.

Dla niego gwiazdziste noce nie były niczym nadzwyczajnym.

- Może i jestem - powiedziałam - Arabia fascynowała mnie od dziecka... zawsze byłam trochę inna.

- Co masz na myśli?

- Różniłam się od innych dzieci. Gdy moje rodzeństwo skakało po drzewach i biegało po podwórku, ja wolałam rysować i malować. Prawie zawsze były to postacie z *Baśni z tysiąca i jednej nocy*. Często siedziałam sama w oknie, oglądałam obrazki w książkach i marzyłam o Arabii. Malownicze postacie w długich, białych i złotych szatach bardzo mnie fascynowały, byłam pod urokiem tych bajecznych opowieści. Nocą zasypiałam z cudowną lampą Alladyna pod powiekami. A w szkole byłam często zamyślona. Koledzy i rodzeństwo nierzadko się ze mnie śmiali.

No, chyba że mieli okazję zarobienia dzięki mnie drobnych na słodycze - wtedy wszystko było w porządku. W takie dni bez kręcenia nosem dawali się wyciągnąć z placu zabaw. „Tu są wasze role - mówiłam. - Za pięć minut rozpoczyna się próba”. Prawie

zawsze ćwiczyliśmy sceny z filmu *Lawrence z Arabii* lub innych o tematyce biblijnej, bądź wschodniej. Za scenę służyło nam łóżko mojego brata. A wszystkie lniane prześcieradła z domu zamieniały się - ku niezadowoleniu mamy - w arabskie stroje.

Po kolacji wolno nam było urządzać przedstawienia. Moi rodzice musieli płacić za bilety - jak w prawdziwym teatrze. Oglądali nasze popisy ubawieni, ale często także zniecierpliwieni. Niemal za każdym razem wszystko kończyło się jedną wielką katastrofą - przez mojego brata, który nigdy nie mógł się powstrzymać od podskakiwania na łóżku, by na koniec, zaplątany w galabiję, zerwać kurtynę. To był ostatni punkt programu.

Chalid dosłownie skręcał się ze śmiechu.

Leżeliśmy obok siebie, potem Chalid wziął mnie w ramiona. Nagle poczułam gwałtowny przypływ zmysłowego pożądania. To było pierwotne uczucie, prawie zwierzęce. Rokoszowałam się jego pieścizotami, oddawałam delikatne pocałunki - może to już ostatni raz... Czułam się przy tym jak pająk, który bez ruchu czyha na swoją ofiarę.

Następnego dnia, zgodnie z obietnicą, pojechaliśmy do hotelu. To był «Intercontinental» z widokiem na Dubai Creek i malownicze statki. Chalid rzucił mimochodem, że następnym razem możemy na kilka dni wpaść do Abu Zabi, do Ibrahima i Aileen, nie musimy zawsze siedzieć w apartamencie w Dubaju.

„Nie będzie żadnego następnego razu” - pomyślałam.

I tak pożegnaliśmy się o jedenastej rano u wejścia do hotelu. Chalid wziął jeszcze z bankomatu parę dirhamów, wcisnął mi je do ręki i powiedział:

- Spotkamy się za dwie godziny na hotelowym tarasie.

Nastawiłam się na długie, samotne popołudnie. Najpierw pochodziłam po hotelowych sklepach, kupiłam coś do czytania, a potem poszłam do recepcji, by zapytać o wejście na taras.

- Bardzo mi przykro, madame, ale na taras i basen mają wstęp tylko goście hotelowi.

Dlaczego Chalid nie przyszedł ze mną tutaj, żeby się upewnić, czy wszystko jest w porządku? Boże, miałam tego naprawdę dość!

Ale dobrze, to już ostatni raz. Odwróciłam się na pięcie i już chciałam odejść, by poszukać kabiny telefonicznej, kiedy zwrócił się do mnie po angielsku jakiś Europejczyk.

- Pani wybaczy, madame, ale usłyszałem, że ma pani problem z basenem. Jeśli to pani odpowiada, mógłbym przedstawić panią jako mojego gościa, jestem zameldowany w tym hotelu.

Spojrzałam na nieznanego, zastanawiając się, czy przyjąć propozycję. Byłam naprawdę zażenowana.

- Proszę się nie obawiać - mówił dalej mężczyzna - nie będę korzystał z basenu. Wychodzę w interesach.

Boże, czy ja się nie wpakuję w jakieś nowe tarapaty, jeśli przyjmę tę propozycję? Po krótkim zastanowieniu odsunęłam na bok wątpliwości i odpowiedziałam:

- Dobrze, z wdzięcznością przyjmę pańską pomoc.

Razem udaliśmy się do windy. Aby nieznanomy nie robił sobie żadnych nadziei, rzuciłam mimochodem, że za dwie godziny przyjdzie po mnie mój przyjaciel. Po tej informacji Anglik nie przestał traktować mnie z równą uprzejmością. Przy stanowisku kontroli przy wejściu pokazał klucz do pokoju i przedstawił mnie jako swojego gościa. Życzył mi miłego popo-

łudnia. Sprawa była załatwiona. „Prawdziwy dżentelmen” - pomyślałam i uspokojona wyciągnęłam się na jednej z licznych wolnych leżanek.

Minęło kilka godzin. Marzyłam o chwili, kiedy zaskoczę Chalida swoją ostateczną decyzją. Kiedy zobaczę, jak stoi przede mną zdumiony, bezradny. Już na samą myśl o tym serce zaczynało mi bić szybciej. A najbardziej podniecające było to, że tylko ja wiedziałam, co już wkrótce nastąpi. Lecz im więcej się nad tym zastanawiałam, im dłużej wyobrażałam sobie chwilę naszego rozstania, tym bardziej pograżałam się w smutku. W końcu pomyślałam, że nie dam rady, że nie potrafię tak po prostu odejść.

Było już pół do czwartej po południu, kiedy zobaczyłam, że nadchodzi mój poranny wybawca. Zacerwieniłam się, gdy spotkały się nasze spojrzenia.

- Oo, jeszcze tu panijest?

- Tak, niestety, mój przyjaciel się spóźnia.

- To pewnie przez ramadan. W każdym razie załatwienie wszelkich spraw przeciąga się dzisiaj niemożliwie, trzeba mieć naprawdę dużo czasu, cierpliwości i mocne nerwy.

- Potrafię to sobie doskonale wyobrazić - odpowiedziałam.

Anglik położył się na tarasie kilka metrów dalej. Ale tylko na krótko. Niebawem zebrał swoje rzeczy z zamiarem udania się na lunch. Nieco skrępowany zapytał, czy nie zechciałabym mu towarzyszyć.

Zastanawiałam się przez moment. Propozycja była kusząca. Nie chciałam jednak obrazić Chalida. Nie w jego kraju. I nie ostatniego dnia. Pomyślałby, że niejestem nic warta. Nie, nie, tego nie chciałam.

Szkoda, bo ten mężczyzna był bardzo uprzejmy i okazał mi bezinteresowna pomoc. Ale tak właśnie w życiu bywa, los potrafi być kapryśny.

Godzinę później siedziałam z Chalidem w samochodzie, wracaliśmy do naszego apartamentu. Oczywiście coś tam mu po drodze przeszkodziło i nie mógł mnie wcześniej zabrać.

- Ach, nie ma o czym mówić, przecież jest ramadan - powiedziałam pogodnie.

Nic, absolutnie nic nie mogło mnie już teraz wyprowadzić z równowagi.

- Co porabia Nabil?

- Byliśmy razem na torze treningowym wielbłądów, trzeba było omówić ważne sprawy. Teraz Nabil jedzie z Ibrahimem do Al-Waha.

- Aha. Rozumiem, że ty też tam pojedziesz?

- Tak, habibti, jak tylko odwożę cię na lotnisko. Ale najpierw weźmiemy prysznic, później pojedziemy do „Metropolitan” na kolację, a dopiero potem na lotnisko. Aha, Aileen przesyła ci serdeczne pozdrowienia. Żałuje, że się nie zobaczyłyście.

- Miło mi to słyszeć. Ja też żałuję.

Napiszę do niej, wszystko jej wyjaśnię. Biedna Aileen. Nie. Raczej - biedna Verena. Będzie mi brakowało jej przyjaźni. I będę tęsknić do wszystkiego, co tu zostawiam.

- Zobaczycie się następnym razem - powiedział Chalid.

- Aha.

Poczułam bolesne ukłucie w piersi.

„Jak dobrze, że on nie widzi, jak mi wali serce” - pomyślałam.

Kiedy wkrótce potem Chalid poszedł pod prysznic, zaczęłam pakować walizki. Bez lęku, zdecydowana raz na zawsze

położyć kres temu wstydomi. Nagle Chalid mokry - owinięty tylko w ręcznik - stanął obok mnie. Potrząsnął swoją wspaniałą grzywą, na której perliły się krople wody.

- Zostaw to pakowanie! - powiedział. - Przecież teraz nie musisz za każdym razem zabierać swoich rzeczy.

Tego się obawiałam. Katastrofa była tuż-tuż.

Albo teraz wyłożę karty na stół, albo muszę grać dalej - aż do gorzkiego końca.

Musiałam zaraz coś wymyślić, jakąś wymówkę. Żeby zyskać na czasie, mocno przytuliłam się do Chalida.

- Ach, kochanie, pewnie... gapa ze mnie, takajestem roztrągniona - powiedziałam - poczekaj, zaraz zobaczę, co z tych rzeczy mogę zostawić.

Udało się, uspokojony Chalid zniknął z powrotem w łazience. Scena, którą przed chwilą odegrałam, wcale mi się nie podobała, oszukiwanie, kłamstwa - to nie w moim stylu. Ale nie miałam wyboru: musiałam przeprowadzić swój plan, zniknąć raz na zawsze, a chciałam oszczędzić nam obojgu łez i rozdzierających serce dramatycznych scen.

Tego bym nie zniosła, naprawdę nie.

Okołojedenastej w nocy cicho mknęliśmy pontiakiem przez pustynię na lotnisko. Byłam zdecydowana na ostateczny krok, pewna, że się nie wycofam. I ta pewność pozwoliła mi przez cały czas zachować spokój.

Chalid niczego nie podejrzewał. Zabrałam ze sobą do Szwajcarii tylko kilka rzeczy, które wzięłam do Dubaju. No, a mydła, kosmetyki - to wszystko po prostu zostawiłam.

Kiedy weszliśmy do terminalu, na twarzy Chalida zobaczyłam wyraźny niepokój: od kilku godzin bezskutecznie wydzwania-



niał do swojego przyjaciela, Zajeda, wojskowego psychiatry; Zajed miał nam towarzyszyć na lotnisku jako swego rodzaju alibi. Do Zurychu miałam lecieć samolotem linii Malaysia Airlines, przybywającym z Kuala Lumpur. W Dubaju na pokład miało wejść tylko kilku pasażerów.

Podczas odprawy spoglądałam przez ramię i ze zdumieniem ujrzałam, jak mój ukochany Chalid nerwowo chodzi tam i z powrotem. Podejrzliwie rozglądał się na boki, jak małe zwierzę, które się boi, że dosięgnie go drapieżnik. Przykro mi było na to patrzeć.

„To już ostatni raz - pomyślałam - Zaraz rozstaniemy się na zawsze. Nie będę już więcej znosić tego wstydu i upokorzeń”.

- This is your boarding card, we wish you a pleasant flight.

Boże, to już? Wszystko poszło tak szybko.

Jakże będzie mi brakowało tego miejsca...

Nagle ogarnęła mnie taka sama melancholia jak wtedy, tamtej nocy; owej nocy, gdy patrzyłam na zbliżające się światła Szardży i nie przeczuwałam, co mnie czeka na dole.

Czy to wszystko dlatego, że tak bardzo zbliżyłam się do serca Azji, że jestem tu uwięziona w nieszczęśliwej miłości? Musiałam chyba całkiem postradać zmysły.

Staliśmy z Chalidem na lotnisku, w zniechęcającej scenarii terminala, tuż przy stanowisku kontroli bezpieczeństwa. Nie bardzo wiedzieliśmy, co mamy robić: nie wolno nam się było objąć ani pocałować. Gadaliśmy więc o nieistotnych sprawach. W końcu nadeszła chwila pożegnania.

— Kochanie, pozdrów wszystkich w Al-Waha (zawsze to mówiłam, chociaż oboje wiedzieliśmy, że to tylko puste słowa), no, i uważaj podczas jazdy.

- Nie bój się, będę uważał. Też pozdrów ode mnie rodzinę, a specjalne pozdrowienia przekaż twojej drogiej mamie, dobrze?

- Dobrze - głos mi zadrżał.

Głęboko nabrałam powietrza. „Miej to już za sobą, Verena” - pomyślałam. Wyciągnęłam do Chalida rękę na pożegnanie.

- Szerokiej drogi, Chalid... żegnaj, mój kochany, nigdy więcej tu nie przyjadę.

Odchodziłam już, kiedy do jego zdumionego serca dotarły moje ostatnie słowa: „Tym razem rozstajemy się na zawsze”.

Urzędnik w mundurze wyciągnął rękę, wziął moje dokumenty, a Chalid stał jak rażony gromem, patrząc na mnie nieruchomym wzrokiem. Stał tak jeszcze, kiedy już przeszłam przez kontrolę - osłupiały, sparaliżowany, złamany przez los... Chalid, wybacz mi, proszę.

Tak bardzo chciałam pobiec z powrotem.

Ale nie zrobiłam tego.

I tak pozostało do dziś.

Ledwie wróciłam do domu, a rozdzwonił się telefon. Wiedziałam, że to ty.

Ale nie podniosłam słuchawki. Nigdy więcej nie chciałam usłyszeć twego głosu.

I tak pozostało do dziś.

## *Epilog*

Zurych, rok 1997. Minęło siedem lat, odkąd rozstałam się z szejkiem Chalidem i spisałam tę historię.

Dowiedziałam się potem od Aileen, że wtedy, w kwietniu 1990 roku, gdy podjęłam ostateczną decyzję o rozstaniu, przygotowania do ślubu szły pełną parą. Chociaż Aileen i Ibrahim zostali zaproszeni na uroczystość, postanowili nie wziąć w niej udziału.

Krótko po zakończeniu wojny w Zatoce Perskiej w 1991 roku, jeszcze raz spotkałam się z Aileen w Abu Zabi. Utrzymywałyśmy ze sobą kontakt listowny i telefoniczny do czasu, kiedy Aileen zorientowała się, że zamierzam opublikować tę książkę. „Szkoda, Aileen. Ale nasze dobre wspólne lata na zawsze pozostaną w moim sercu”.

Chalid po początkowym szturmie telefonów umilkł na kilka lat. I tak było dla mnie najlepiej. Pięć lat po naszym rozstaniu znowu skontaktował się z moją mamą. Od tego czasu informuje ją zawsze o narodzinach swoich kolejnych dzieci (ostatnio, na krótko przed Bożym Narodzeniem 2004 roku, jego rodzina powiększyła się o piąte dziecko) i pyta, czy jestem szczęśliwa.

Tak, jestem.

Dwa lata po rozstaniu z Chalidem, w sierpniu 1992 roku spotkałam mojego drugiego męża, z którym jestem do dzisiaj. W moim życiu pojawiło się nowe szczęście.

Mam nadzieję, że na zawsze...

## ***Ostatnie wydarzenia, Zurych i Dubaj 2006***

Niespodziewane pojawienie się szejka Chalida w mediach poruszyło mnie i przywołało wspomnienia. Przez szesnaście lat unikałam wszelkich kontaktów z Chalidem, ale teraz musiałam pogratulować mu sukcesu. 19 stycznia 2006 roku wysłałam do niego maila tej treści:

***Drogi Chalidzie!***

***Niezmiernie się cieszę, widząc, że zdrowie Ci dopisuje i że nawet tu, w Szwajcarii, odnosisz wspaniałe sukcesy.***

***Serdeczne pozdrowienia, także od mojej rodziny.***

***Verena***

31 stycznia 2006 nadeszła odpowiedź z Dubaju:

***Kochana Vereno!***

***Twój mail to dla mnie prawdziwa niespodzianka, sprawiłaś mi wielką radość. Jak się miewasz? Jak miewa się Twoja rodzina - Mama, Lilian i Dagi? Mam nadzieję, że wszystko u nich w porządku!***

*Vereno, jestem Ci coś winien i pragnę Ci to wyjawić. Wprawdzie nasze życie już się zmieniło i my też się zmieniliśmy, ale mimo to muszę Ci to wyznać. Być może wywoła to uśmiech na Twojej pięknej twarzy, a może sprawi Ci ból - nie wiem. Piszę to nie dlatego, że czegoś od Ciebie chcę, ale dlatego, że czuję, iż należy Ci się to ode mnie.*

*Jesteś pierwszą osobą, w której się zakochałem. Pierwszą, a jednocześnie ostatnią. To, co robiłem w czasie trwania naszego związku, było właściwe, chociaż przez te wszystkie lata było mi ciężko na duszy. Nigdy nie czułem do żadnej kobiety tego, co czuję do Ciebie. Ponieważ nikogo przed Tobą nie kochałem, dlatego w naszym związku nawet nie próbowałem kontrolować uczuć do Ciebie. Moja miłość była szczera, świeża i spontaniczna; pozwoliłem, abyś wkroczyła głęboko do mojego serca i stała się częścią mojego życia. Ale jeden jedyny raz sprawiłaś mi ból i nie mogłem wtedy zrozumieć, czemu mi to zrobiłaś... Starłem się potem w nikim nie zakochać i nigdy też się nie zakochałem. Kiedy spotkaliśmy się w „Jebel Ali”, byłem już dorosły i potrafiłem kontrolować emocje, jednak przy Tobie było to niezmiernie trudne. Aż do teraz jesteś moją jedyną, prawdziwą i czystą miłością... Ta miłość do Ciebie zmieniła na lepsze całe moje życie. Dziękuję Ci więc i za szczęście, i za smutek, które mi dałaś, i przepraszam, jeśli kiedykolwiek zachowywałem się tak, że czułaś się zraniona. Nie myśl, że piszę to wszystko, bo chciałem się jeszcze raz z Tobą spotkać albo skontaktować w inny sposób... Nie. Pragnąłem tylko, abyś o tym wiedziała. To wszystko.*

*Wiem, że jesteś zamężna. Ty wiesz, że jestem żonaty. Oboje to szanujemy, tak więc teraz, nawet jeśli nie będziesz chciała odpisać, także to uszanuję. Wyznałem to, co pragnąłem Ci wyznać przez te wszystkie lata. Gdybym teraz umarł, odszedłbym jako szczęśliwy człowiek.*

*Chalid*

## *Słowniczek*

Abaja - długi, zwykle ciemny płaszcz z wełny, czasem lamowany złotą nitką.

Ar-Rab al-Chali - największa piaszczysta pustynia na Ziemi, leżąca na południu i południowym wschodzie Półwyspu Arabskiego; jej powierzchnia wynosi około 650 000 km<sup>2</sup>.

Asuan - miasto w Górnym Egipcie, na wschodnim brzegu Nilu, znane z Wielkiej Tamy Asmańskiej wzniesionej w latach 1960-1972.

Bakszysz - datek, jałmużna, drobne.

Cieśnina Hormus - cieśnina łącząca Zatokę Perską z Morzem Arabskim.

Dau (dhau) - tradycyjny arabski dwumasztowy statek drewniany - relikw przeszłości. Statki te, obecnie wyposażone w silniki, nadal pływają w Zatoce Perskiej.

Dirham - waluta w Zjednoczonych Emiratach Arabskich; skrót: AED (Arab Emirates Dirham).

Diszdasza - wierzchnie ubranie mężczyzn w rejonie Zatoki Perskiej (odpowiednik galabiji).

Dżinn - duch (wg wierzeń islamu).

Emir (arab. wydający rozkazy) - tytuł dostojników, władców i przywódców w krajach arabskich.

Emirat - obszar pod władaniem emira.

Faraon - nazwa króla w czasach Nowego Państwa w starożytnym Egipcie.

Fellachowie - ubodzy egipscy chłopci.

Feluka - dwumasztowa łódź żaglowa, często spotykana na Nilu.

Galabija (dżalabija) - tradycyjna szeroka arabska szata męska.

Ghutra - nakrycie głowy mężczyzn w Emiratach, białe albo w biało-czerwona kratę; odpowiednik keffiji.

Habibti (arab.) - pieszczotliwa forma zwracania się do kobiety (także do dziecka): kochanie, skarbie.

Hemulon - ryba poławiana w Zatoce Perskiej, popularna w regionie potrawa.

Imam (arab. przewodnik) - duchowny muzułmański, który przewodniczy modłom w meczecie; także zwierzchnik religijny. Tytuł honorowy dla wybitnych uczonych islamu.

Kanał Sueski - długości 163 km, łączący Morze Śródziemne z Morzem Czerwonym. Zbudowany w latach 1856-1868 przez Francuzów i Brytyjczyków, pod kierownictwem Ferdynanda Lessepsa. Egipcjanie przejęli kontrolę nad kanałem dopiero w 1956 roku.

Koran - święta księga islamu (z VII w.), zawierająca zbiór objawień proroka Mahometa.

Kuwejt - państwo i emirat nad północno-zachodnim krańcem Zatoki Arabskiej. Niepodległy od 1961 roku. Jedno z najbogatszych państw świata (złoża ropy naftowej).

Male - stolica wyspiarskiej Republiki Malediwów na Oceanie Indyjskim.

Marhaban - formuła powitalna: „witam!”

Meczet - świątynia muzułmańska.



Meczet Al-Azhar - drugi co do wielkości meczet w Kairze, z pięcioma minaretami. Dzisiaj mieści się w nim najbardziej ceniony uniwersytet w Egipcie.

Mekka - miasto w Arabii Saudyjskiej, miejsce urodzenia proroka Mahometa i corocznych pielgrzymek tysięcy muzułmanów.

Minaret - wieża meczetu, z której muezin codziennie nawołuje wiernych do modlitwy zawołaniem: Allan akbar! (Bóg jest wielki).

Montechristo - wyborowe cygara o odpowiedniej cenie, nazwane od hrabiego Monte Christo, tytułowego bohatera książki A. Dumasa.

Piastr - jednostka monetarna w Egipcie.

Piramidy - słynne wielkie budowle nad grobowcami królów egipskich, pochodzące mniej więcej z 2500 p.n.e. Najsłynniejsza jest piramida Cheopsa w Gizie.

Ramadan - 30-dniowy post w islamie, czas skupienia i refleksji. W ciągu dnia obowiązuje ścisły post: jeść i pić można dopiero po zachodzie słońca.

Skarb Tutenchamona - skarb z grobowca Tutenchamona, znajdujący się w Muzeum Egipskim w Kairze. Najcenniejsze znalezisko z grobowców egipskich, zachowane niemal w całości. Skarb został odkryty w Dolinie Królów w 1922 roku przez Howarda Cartera.

Szejk - pierwotnie: naczelnik plemienia, dzisiaj także syn szejka, każdy zajmujący wysoką pozycję mężczyzna i jego synowie; duchowny.

Szejkini - pierwotnie: córka szejka, dzisiaj także żona szejka.

Targ złota w Dubaju - największy targ ze złotem na Środkowym Wschodzie; wiele zadaszonych uliczek, wzdłuż których ciągną się sklepy z wyrobami sztuki złotniczej, sprzedawane na funty albo gramy.

Wielki Sfinks - monumentalny posąg sfinksa w Memfis (XV w. p.n.e.), długości 20 m i wysokości 73,5 m, symbolizujący najwyższą duchową i fizyczną władzę króla.

Zjednoczone Emiraty Arabskie - siedem państw leżących na Półwyspie Arabskim, wzdłuż wybrzeża Zatoki Perskiej i Omańskiej, które uzyskały niepodległość w 1971 roku (federacja powstała już w 1968). Należą do nich: Abu Zabi, Ajman, Dubaj, Fudżajra, Ras al-Chajma, Szardża i Umm al-Kajwajn. Stolicą jest Abu Zabi. Główną gałęzią przemysłu jest wydobywanie ropy naftowej. Eksploatacja złóż ropy, rozpoczęta w 1956 roku, szybko przyniosła Emiratom ogromne bogactwo.